

Steve Shagan

Słupy ognia

Przełożył: Jerzy Gozdek

Tytuł oryginału: Pillars of Fire

Kiedy wejrzysz w otchłań, otchłań wejrzy w ciebie.

Friedrich Nietzsche

5 marca 1986

Mamy prawo rozwijać technikę nuklearną, a gdy już osiągniemy cel, 900 milionów mahometan dzielić będzie z nami owoce tych badań...

Dyrektor Pakistańskiego Centrum Badań Jądrowych

Dr I.Q. Khan

3 listopada 1987

Wejście w posiadanie bomby atomowej i systemu środków jej przenoszenia jest sprawiedliwym celem narodu libijskiego.

Muammar al-Kadafi

5 stycznia 1986

Naród znajdujący się w sytuacji oblężenia przez terrorystów ma prawo użyć siły w celu uprzedzenia ataku lub zapobieżenia mu, gdy nie istnieją inne dostępne środki.

George Shultz

Prolog
PUSTYNIA LIBIJSKA
6 Grudnia 1991

Oko Boga wstawało majestatycznie, zmieniając pustynię w falujące, czerwone morze. Ruchome piaski unosiły się z wysokich wydm i tumanem gnały nad wyschniętymi korytami rzek i dzikimi palmami Jarmah. Pojona źródłem oaza dawała cień kabinie łączności i brezentowym namiotom, w których mieszkali niemieccy technicy i ich libijscy asystenci. Beduini z plemienia Siwan, przycupnąwszy przy ogniskach, pili gorącą herbatę i jedli ser z koziego mleka zawinięty w świeżo upieczone placki pita. Oficerowie z 16 Brygady Trypoliskiej siedzieli na dachach radzieckich transporterów opancerzonych, palili francuskie papierosy i popijali kenijską kawę.

Na skraju oazy, w pewnej odległości od obozu, stał namiot z kozlich skór, strzeżony przez trzynaście uzbrojonych po zęby dziewcząt w mundurach maskujących o wzorze skóry geparda.

Nagle płachta zakrywająca wejście do namiotu uniosła się i najniebezpieczniejszy człowiek na świecie dużymi krokami wyszedł w pustynny poranek. Miał czyste ubranie safari i wypucowane buty, a na głowie kafijkę w czerwonej kratkę. Lustrzane okulary osłaniały mu oczy przed wschodzącym słońcem. Charyzmatyczny przywódca bogatego w ropę kraju uśmiechnął się i zamienił kilka słów z kapitanem swej kobiecej gwardii przybocznej. Niosąc modlitewny dywanik, przeszedł przez płytkie wadi, wspiął się zwinnie na wysoką wydmę, po czym na moment przystanął wpatrując się w horyzont. Rozległy pejzaż pustyni pokrywały blizny sieci szybów naftowych, na których wierzchołkach pomarańczowe płomienie spalały nadmiar gazu ziemnego. Allah udzielił Libijczykom swego błogosławieństwa, dając im to ogromne bogactwo, a jemu, Muammarowi al-Kadafiemu, powierzono pieczę nad szczodrymi darami Boga.

Przeznaczenie wybrało go, by stworzył imperium islamu, rozciągające się od Atlantyku, przez cały pas Afryki Północnej, do Morza Czerwonego, i dalej, aż do Pakistanu. On, syn pasterza, zjednoczy kraje arabskie i poprowadzi je do Jerozolimy. W tym wielkim dniu, dniu chwały, zostanie ogłoszony zbawcą narodu arabskiego. Syjoniści zginą w okrutnym, żółtym ogniu, ich miasta wyparują, a żyjący w nich ludzie upieką się w ruinach. Dwadzieścia jeden

lat pracy niebawem wyda owoce. Czekając cierpliwie przez cały ten czas na urzeczywistnienie swych planów, Kaddafi nie siedział bezczynnie. Nieugięcie wspierał ruchy rewolucyjne w czterdziestu pięciu krajach i wywołał gniew Szatana. Amerykanie wystąpili przeciwko niemu w zatoce Wielka Syrta, a w kwietniu 1986 zbombardowali Trypolis i zabili jego przybranego syna. Bomby, przeznaczone dla niego, zabiły dziecko. Amerykanie to tchórzliwy naród, któremu tylko wymyślna broń pozwala osiągać cele. Ale, jak nakazał Allach, niewierni otrzymają należną zapłatę. Szósta Flota zostanie zniszczona, a ich miasta popadną w niewolę. Wkrótce świat odkryje, że w Afryce Północnej narodziło się supermocarstwo.

Zbudowane przez niego Centrum Badań Jądrowych w Tajurze z czasem zacznie wytwarzać wzbogacony uran do produkcji broni, ale nie ma dłużej na co czekać. Już wkrótce okaże się, jak świetną inwestycją była bomba pakistańska. Wielkie zwycięstwo jest nieomal w zasięgu ręki.

Książę islamu rozłożył dywanik modlitewny, padł na kolana, zwrócił się twarzą do Mekki i rozpoczął sałat. Po skończeniu modlitwy powstał i skinął na czekających niemieckich techników.

Doktor Alois Brunner, podstarzały niemiecki specjalista od techniki raketowej, wspiął się dysząc na stromą wydymę i powiedział:

- Odliczanie dobiega końca. Czy przełączyć na głośniki?

Kaddafi skinął głową i zdjął lustrzane szkła. Miał właśnie skorzystać z lornety, gdy pustynny wiatr przekazał mu wiadomość. Odwrócił się i na szczycie sąsiedniej wydmy zobaczył ich - Tauregów odzianych w białe szaty. Siedzieli na wielbłądach, w bezruchu, jak posągi z dalekiej przeszłości, czekając, by ujrzeć ogień na niebie. Kaddafi dał znak ręką ich wodzowi, na co ten w odpowiedzi uniósł palcat.

Czas próby wybrano z największą ostrożnością; jeżeli nie nastąpiła zmiana orbity, amerykański satelita szpiegowski KH-11 nie znajdował się jeszcze nad oazą Jarmah.

Podczas gdy trwało odliczanie, Kaddafi skierował lornetę na dziwny okrągły twór w piasku pustyni.

Ziemia zadrżała, a z jej wnętrza dobiegł złowróżbny huk. Kolistą pokrywa rozsunała się i z podziemnego silosu wypłynęła ogromna głowica. Zaprojektowana przez Niemców międzykontynentalna rakiet balistyczna z bolesnym oporem nabierała wysokości, zanim pokonała ciężenie i wzbijała się w niebo.

Kaddafi obserwował ognisty ogon, dopóki ten nie zniknął w zamglonych przestworzach.

Kilka minut później głos z nadajnika poinformował o trafieniu ćwiczebnej głowicy w

cel oddalony o sześćset mil na wschód.

Kadafi energicznym ruchem włożył lustrzane okulary i spojrzął na odległą wydmę.
Tauregowie zniknęli.

Księga I

„CZERWONA PUSTYNNIA”

Waszyngton, D.C.

23 grudnia 1991

Rozdział pierwszy

Pomimo gwałtownej burzy śnieżnej i świątecznego przepelnienia ekspres z Nowego Jorku wjechał punktualnie na Union Station w Waszyngtonie.

Tom Lawford wysiadł z wagonu klubowego na wilgotny, podziemny peron i wraz z innymi pasażerami wjechał schodami na górę do odrestaurowanego budynku dworca w stylu Beaux Arts.

Przechodząc przez wyłożoną białym marmurem i przypominającą katedrę halę dworcową, niespokojnie zerknął na wychodzących pasażerów. Drobny Azjata, z którym dzielił przedział, z pewnością go nie śledził. Obejmował dziecko i wręczał bożonarodzeniową paczuszkę elegancko ubranej kobiecie o egzotycznych rysach. Paranoja, pomyślał Tom, potrząsając głową, paranoja spowodowana telefonem od Hickeya. Upływ czasu nie zmienił tego napiętego, niecierpliwego głosu. „Wsiadaj w południowy ekspres, Tom. Steve Garrett będzie na ciebie czekał”.

Fakt, że Hickey przetrwał przez te wszystkie lata, zakrawał na cud. John Hickey pracował dla CIA. Agencja umieściła go wraz z partnerem, Steve'em Garrettem, w prywatnej firmie o nazwie Towarzystwo Badania Lojalności. Firma ta - jedno z przedsiębiorstw założonych przez Biuro Operacji Tajnych CIA - oficjalnie zajmowała się obsługą swoich klientów, a naprawdę - wysoce ryzykownymi przedsięwzięciami, od których Agencja wolała trzymać się z daleka.

Telefon od Hickeya oznaczał wezwanie z Agencji. Wspinając się po ozdobnych schodach, Lawford myślał o tym, że przyszło ono W najodpowiedniejszej chwili. Nie wykorzystywali go od czasu, gdy pomagał zatuszować skandal wywołany zakupami Pentagonu latem 1987... ponad cztery lata temu. Ale przecież taka była zasada, żeby głęboko zakonspirowanych agentów wykorzystywać jak najrzadziej.

Wieczorne powietrze było zimne, ale nie ostre. Płatki śniegu tańczyły w światłach przejeżdżających samochodów. Granatowe niebo wydawało się dziwnie rozświetlone.

Stojąc pod okapem dworca, Lawford wpatrywał się w połyskującą, zabytkową Iglicę Waszyngtona, jak zawsze zauroczony tym starym miastem. Czuło się w nim - w centrum największego mocarstwa świata - coś surrealistycznego. Stolica była dla Lawforda Hollywood nad Potomakiem, gdzie fantazja i rzeczywistość zrosły się w kafkowską całość.

Od czasu do czasu czekający na taksówki zerkali na niego ukradkiem. Lawford przywykł do tego, że rozpoznawano go w miejscach publicznych. Występował regularnie jako komentator w popularnych, wieczornych dziennikach telewizyjnych, co uczyniło go swego rodzaju gwiazdą. Prawdziwą sławę zdobył dzięki publikacjom w prasie, ale nikt nie łączył podpisów pod artykułami z twarzą.

Nagły ostry pisk hamulców wyrwał go z zadumy. Drzwi od strony pasażera w czarnym, dwumiejscowym jaguarze model 1991 otworzyły się, a Steve Garrett wykrzywił cienkie wargi w czymś, co przypominało uśmiech.

- Przepraszam za spóźnienie.

Lawford badawczo popatrzył na jego kredową cerę, wodnistobrązowe oczy i niechlujny płaszcz.

- Coś nie tak? - zapytał Garrett.

- Niespecjalnie pasujesz do jaguara - odparł Lawford, pochylając sześć stóp swego ciała, by wsiąść do nisko zawieszzonego samochodu.

- Masz rację. To angielskie cacko należy do Hickeya.

Odjeżdżając sportowym samochodem od krawężnika, Garrett o skok zmienił prędkość wycieraczek. Gumy wściekle przesuwwały się po szybie, ale śnieg i tak zbierał się w jej dolnej części.

- Szmelc, nie wycieraczki. Tom chuchnął w dłoń.

12

- A co z ogrzewaniem?

- Spieprzone - powiedział Garrett, opuścił szybę i wypluł flegmę. - W schowku jest butelka brandy - dodał. - Poczęstuj się.

Lawford znalazł srebrną butelkę na jakichś dokumentach, otworzył ją i wypił solidny łyk.

- Tak lepiej - westchnął, czując, jak w jego gardle i żołądku trunek rozniecił płomyk. - A ty?

- Nie, dziękuję. Mam krwawiący wrzód.

Tom wypił kolejny łyk, zakręcił butelkę i zapytał:

- A gdzie Hickey?

- Nie wiem. Zadzwoił do mnie parę godzin temu i kazał cię odebrać... Zabawne, nie?

- Co?

- Jestem jego partnerem. Obracam pieniędzmi. Zajmuję się rachunkami. Ale on mi nie ufa - to znaczy nie tak, jak starzy kumple powinni sobie ufać.

- Nie brałbym tego do siebie. Hickey nikomu nie ufa. Poświata zniknęła z nieba i wszystko ogarnął mrok. Tylko reflektory jadących z przeciwka samochodów migotały w przyciemnionej szybie.

- Trzymaj się! - krzyknął nagle Garrett i szarpnął kierownicą, skręcając raptownie z Louisiana w Delaware Avenue. Lawforda rzuciło na drzwiczki.

- Mam na ogonie czarnego mercedesa - powiedział Garrett kręcąc gałką wycieraczek.

- Spróbuj odmrażania - poradził Tom.

- Żartujesz? - mruknął sarkastycznie Garrett. Oczami strzelał w lusterko wsteczne. - Daj mi łyka tej brandy.

- A co z wrzodem?

- Pieprzę.

Odchylając głowę do tyłu, łyknął trochę alkoholu i otarł usta wierzchem dłoni.

Na Pennsylvania Avenue ruch przerzedził się i mogli jechać prędzej, na zachód.

- Wygląda na to, że zgubiłem tego cholernego merca.

- A jeśli mają trzy wozy?

Garrett spojrział na Lawforda z nie ukrywanym lekceważeniem.

- Pieprzeni dziennikarze zawsze szukają tego, czego nie ma.

- Ale czasem znajdują. - Tom uśmiechnął się. - Dokąd jedziemy?

- Do skrytki CIA w Georgetown.

- Co dalej?

- Czekaj na telefon od Hickeya.

Dotarli na Wisconsin Avenue i wjechali do centrum Georgetown. Ulice w stylu kolonialnym pełne były studentów i klientów robiących ostatnie świąteczne zakupy.

- Spory ruch jak na poniedziałkowy wieczór - zdziwił się Tom.

- Dzieciaki skończyły szkołę - mruknął Garrett. - Większość z nich to albo arabusy, albo żółtki. Nie wiem, co do cholery mają wspólnego z Bożym Narodzeniem.

- Jesteś ostatnim prawdziwym liberałem w Waszyngtonie.

- Nie mam nic przeciwko ich pieniądzom, jeśli o to ci chodzi.

- Teraz gadasz jak konserwatysta.

- Odwal się, Tom.

Lampy uliczne z przełomu wieku łagodnie oświetlały Dumbarton Street. Świąteczne lampki zdobiły oszronione okna domów, a w powietrzu unosił się zapach dymu z palonego drewna. W połowie ulicy Garrett skręcił nagle na podjazd dwupiętrowego domu.

- Dyżur ma Larry Dutton - wyjaśnił. - Duży, czarny facet, kiedyś grał w pomocy w drużynie Eagles. Oprowdzi cię. Odpocznij, zanim zadzwoni Hickey.

- Dzięki za podwiezienie.

Garrett skinął głową i włączył wsteczny bieg. Opony jaguara wzbily chmurę śniegu, gdy zawrócił i ruszył na północ.

Larry Dutton był olbrzymem o sympatycznym wyglądzie; nieznacznie utykał. Wprowadził Lawforda do salonu, gdzie w wielkim kominku trzaskał ogień.

- Napaliłem też w gabinecie na górze. - Zawiesił głos. - Głodny? - zapytał.

14

- Nie, dzięki. Przekąsiłem w pociągu.

- Gdybyś chciał się napić, w gabinecie masz barek. Sypialnia dla gości jest na lewo od schodów. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, to zawołaj. Telefony są codziennie czyszczone z pluskiew.

Lawford wszedł do sypialni i powiesił torbę w szafie. Wiedział, że w pokoju musi być podsłuch. Zapewnienie Duttona, że tak nie jest, utwierdziło go tylko w tym przekonaniu. W Agencji zapewnienie równoznaczne było z wprowadzeniem w błąd.

Przestronny gabinet z dużym wykuszowym oknem wychodzącym na ulicę był pełen książek. Tom wszedł za barek i nalał sobie nieco wódki na lód. Sącząc drinka wpatrywał się w płomienie w staromodnym kominku i myślał o Hickeyu i o dawno minionym lecie 1968 - o czasach laotańskiej eskapady.

Oficjalnie Lawford był korespondentem zagranicznym Reutera, a Hickey przewoził uciekinierów dwusilnikową cesną należącą do Capital Air Transport. Naprawdę obaj pracowali dla Agencji, szmuglując opium z Laosu do Tajlandii. Tajlandzcy handlarze wyrabiali z tego opium cegiełki morfiny, które dostarczano na Sycylię i przetwarzano na heroinę. Zyski szły na zakup karabinów AK-47 dla plemion laotańskich. Tajna operacja miała na celu uzbrojenie i wyszkolenie batalionu Laotańczyków, który mógłby stawić opór wojskom wietnamskim postępującym na południe wzdłuż Mekongu. Cała ta tajna misja była absurdem, jako że żadna perswazja nie mogła skłonić apatycznych Laotańczyków do opuszczenia ich wiosek w dżungli, nie mówiąc już o podjęciu walki z regularną armią Północnego Wietnamu. Jednak Lawford i Hickey wykonywali rozkazy. Eksportowali opium, importowali broń, przekupywali lokalnych dygnitarzy wojskowych, uzbrajali tubylców, w sumie robili dużo zamieszania.

W tych dniach, stolica Laosu, Vientiane, była siedliskiem szpiegów, handlarzy bronią i narkotykami. Prywatne kluby dostarczały szkocką whisky, wódkę, amerykańskie papierosy i dziwki o egzotycznej urodzie. Misja narkotykowa w Laosie przypominała trochę surrealistyczną przejażdżkę po Disneylandzie. Ale prawdziwy sens tych zdarzeń, pomyślał Lawford, pokazał Coppola w *Czasie Apokalipsy*.

Nie miał w sobie nic z surrealizmu parny poranek w dżungli, gdy helikopter typu Huey rozbił się wybuchając kulą ognia. Lawford, ze zwichniętym barkiem i zgruchotaną prawą ręką, czuł już na stopach żar płomieni, które spalały ciało pilota. Laotańczycy stali dookoła, w bezruchu, i z grymasem uśmiechu czekali, aż płomień upieką schwytanego w pułapkę Amerykanina. Hickey przedarł się przez krąg tubylców i doznając poparzeń trzeciego stopnia obu rąk, wyciągnął Lawforda z wraku helikoptera na moment przed eksplozją.

Popijając drinka, Tom przywoływał okruchy wspomnień, które wydawały mu się zarazem bliskie i jakby nie jego.

Wyjął z kieszeni buteleczkę aspiryny, łyknął trzy tabletki i popił je wódką. Już dawno odkrył, że taka mieszanka skutecznie uśmierza bóle artretyczne, które promieniując od szyi przez lewą rękę ogniskowały się w nadgarstku. Ból atakował zazwyczaj w chwilach napięcia lub po dłuższym siedzeniu przy maszynie do pisania. Lekarz odradzał operację, więc Lawford nauczył się żyć z tą dolegliwością.

Sam, w tajnym mieszkaniu, czuł się jak postać z Beckettowskiego *Czekając na Godota*. Na co on czekał? Zbliżał się do pięćdziesiątki, a wciąż żył odizolowany od świata i dryfował bez celu. Jego małżeństwo ugrzęzło w bagnie apatii i obojętności. Nawet praca nie stanowiła już wyzwania, na które chciałby odpowiedzieć. Jego dziennikarska drapieżność gdzieś się zagubiła. Duchowa pustka zapanowała w jego życiu po śmierci brata bliźniaka. Ale Tom nie obawiał się śmierci - nękała go jednostajność egzystencji. Rozpaczliwie tęsknił za swoją dawną energią, ciekawością świata, ochotą do podejmowania ryzyka. Ale może ta tęsknota była po prostu młodzieńczym złudzeniem? Ktoś powiedział, że po czterdziestce, aby przetrwać, mężczyzna musi przeistoczyć się w Machiavellego.

Odwrócił się i ujrzał swoje odbicie w lustrze nad barkiem. Szare oczy głęboko zapadnięte; kiedyś szlachetne, rzymskie rysy teraz stały się dziwnie wyostrome. To była twarz obcego człowieka.

Niespodziewanie głośnie zadzwonił telefon.

- Tom?

- Taak?

- Hickey. Jesteś na górze?
- W gabinecie.
- Zgaś światło. Podejdź do okna, rozejrzyj się po ulicy.
- Czego mam szukać?
- Czarnego mercedesa z wyłączonym silnikiem.
- Zaczekaj.

Wydawało się, że śnieg zgęstniał, a duże płatki migąły w świetle błyszczących latarni. Kostkę jezdni i chodniki pokrywał czysty, biały puch. Samochody stały zaparkowane na podjazdach. Spokojna i opustoszała ulica przypominała Lawfordowi scenę zimową z Curriera i Ivesa. Wrócił do barku i podniósł słuchawkę.

- Nic. Żadnego mercedesa. Widok jak na bożonarodzeniowej kartce.
- Ten cholerny Garrett musiał się czegoś naćpać. - Hickey westchnął. - W porządku.

Za piętnaście minut u Starke'a. Stolik na twoje nazwisko.

- Piętnaście minut?
- Cholera, możesz tam dojść w dziesięć.

Wszędobyłski Larry Dutton oczekiwał go przy drzwiach. Podał Lawfordowi kalosze i pomógł włożyć płaszcz. Następnie wręczył mu klucz i kartkę.

- To od frontowych drzwi, a to numer telefonu.
- Wychodzę tylko na chwilę.
- Tak na wszelki wypadek.
- Dziękuję.

Lawford wyszedł na chodnik, powoli naciągnął rękawiczki i poprawił kaszmirowy szalik. Widok śniegu sprawił, że przypomniało mu się dzieciństwo w małej wiosce we wschodnim Maine. Idąc w kierunku Wisconsin Avenue wspominał puszyste zaspy, walki na śnieżki z bratem, ładne dziewczynki o zaczerwienionych policzkach i rześki, czysty zapach zimy.

Rozdział drugi

„U Starke'a” zebrał się tłumek ożywionych waszyngtończyków z klasy średniej, którzy korzystali z wolnych chwil przed kolacją. Na ekranie telewizora nad barem można było oglądać atrakcję „Poniedziałkowego Wieczoru Futbolu” - mecz Jets - Lions.

Kafejka tętniła narcystycznym gwarem, który wypełniał ją całkowicie - od białej podłogi z kafelków po zielony sufit.

Lawford, siedzący przy stoliku w kącie, w głębi wyłożone dębową boazerią sali, podziękował młodej kelnerce, która przyniosła mu drugą wódkę z martini. „U Starke’a” obsługiwały studentki z Uniwersytetu Georgetown, dorabiające sobie, by opłacić czesne. Tom podziwiał zręczność, z jaką poruszały się między zatłoczonymi stolikami, balansując z tacami pełnymi napojów, hamburgerów i smażonych mięczaków.

Hickey spóźniał się jak zwykle, ale Tom nie przejmował się tym specjalnie. Punktualność nigdy nie była mocną stroną Hickeya. W długim, ustawionym pod kątem lustrze zauważył odbicie mężczyzny o semickich rysach, który wpatrywał się w telewizor jak zahipnotyzowany - mogło się wydawać, że jego życie zależy od wyniku każdego następnego zagrania w meczu.

Nagle uwagę Lawforda przyciągnął głośny śmiech uderzająco pięknej, ciemnowłosej dziewczyny. Siedziała przy sąsiednim stoliku, po przeciwnej stronie wąskiego przejścia. Miała wyraźnie zarysowane kości policzkowe i chłodną, delikatną urodę wysokiej klasy modelki. Towarzyszył jej chudy, przystojny chłopak o kobiecym sposobie bycia. Na ich stoliku leżał kosztownie wyglądający trzydziestopięciomilimetrowy aparat fotograficzny.

Kobieta odrzuciła do tyłu proste, czarne włosy, zapaliła papierosa i spojrzała w stronę Toma. Ich oczy spotkały się na moment, zanim odwróciła wzrok. Tom nie zdawał sobie sprawy z tego, że stał się właśnie tematem sześciu zdjęć na filmie podczerwonym o wysokiej czułości. Kontemplował urodę dziewczyny, nie zadając sobie pytania, dlaczego starała się przyciągnąć jego uwagę lub z jakiego powodu drogi aparat fotograficzny wyjęto z futerału i zdjęto osłonę obiektywu.

Wchodząc do „Starke’a” Hickey wpuścił do środka trochę śniegu niesionego wiatrem. W jednej ręce trzymał dyplomatkę ze skóry aligatora, a drugą zdejmował czapkę z daszkiem i strząsał topniejące płatki z płaszcza. Tom uśmiechnął się na myśl, że ubrania Hickeya nadają mu klasyczny wygląd tajniaka ze starych filmów wytwórni Warner Brothers.

Zauważywszy Lawforda, Hickey ruszył wąskim przejściem między stolikami. Włosy miał już posiwiałe, ale perkaty nos i rumiana cera sprawiały, że wciąż wyglądał jak chłopak, zwłaszcza że pozbawiony był brzuszka typowego dla panów w średnim wieku.

Starzy kumple podali sobie ręce i uściskali się serdecznie.

- Świetnie się trzymasz, chłopie - Hickey uśmiechnął się ciepło.

- Ty też nie najgorzej.

Hickey ułożył dyplomatkę i płaszcz na wolnym krześle, po czym usiadł obok. Z kieszeni wyciągnął puszkę ciemnych cygaretek i poczęstował Toma.

- Nie, dziękuję. Staram się rzucić.

- To samo mówi moja obecna pani w tych rzadkich przypadkach, gdy czuję się seksy.

Hickey zapalił cygaretkę i otarł pot z górnej wargi.

- Sporo tu niezłych kociaków. - Mówiąc to, zręcznym ruchem złapał kieliszek La-wforda i opróżnił go jednym haustem.

- Częstuj się - powiedział Tom z uśmiechem. - Czymże jest wódka z martini dla dwóch starych przemytników broni?

- Handlarzy narkotyków.

- To też, stary... to też.

Hickey ciągnął lekką, odpowiednią do sytuacji rozmowę, ale ciemnymi czujnymi oczami stale omiatał pobliskie stoliki i nerwowo bębnił palcami o blat. Chwycił za rękę przechodzącą kelnerkę.

- To twój stolik? - zapytał.

Dziewczyna przytaknęła.

- Oto dziesiątka z góry.

- Z góry za co?

- Szybką obsługę. Prosimy jeszcze o dwie bardzo wytrawne wódki z martini. Niech zrobi je z absolutem. - Spojrzał na Toma. - Szwedzi robią wyśmienitą wódkę.

- Coś jeszcze?

- Na zakąskę talerz dużych zielonych oliwek hiszpańskich. No wiesz, tych faszerowa-nych ziolem angielskim, i dowiedz się, proszę, o wynik.

- Jaki wynik?

- Meczu.

- Zaraz wracam.

Hickey rozgniół cygaretkę.

- A jak Klaudia? - zapytał.

- W porządku.

- Oboje?

- *Comme ci, comme ca.*

- Coś nie tak?

Tom wzruszył ramionami.

- Atrofia. Wszystko, co ważne, zostało już dawno powiedziane. To niczyja wina - po prostu lata.

- Cóż, nie można oczekiwać, że coś będzie trwało wiecznie. Nic nie trwa. Wszystko się zużywa. Oczy, uszy. Kutas. Pompka. Wszystko. - Na psotnej, irlandzkiej twarzy niespo-

dziewanie pojawił się uśmiech. - Cholera, dobrze cię spotkać, chłopie. Widziałem cię w telewizji, ale to nie to samo. Założę się, że nadal jesteś niezły kozak.

- Kozackie dni, jeśli były, to dawno minęły.

- Pieprzysz. Jesteś twardziel. Nieraz spotykałeś się z rekinem.

Kelnerka podała im napoje i zielone oliwki:

- Jets prowadzą siedemnaście do trzech w trzeciej ćwiartce. Uśmiechając się szeroko Hickey wyciągnął zwitek pieniędzy, wyjął z niego dwudziestodolarówkę i wsunął ją do kieszonki fartuszka kelnerki.

- A to za co?

- Za Boże Narodzenie.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się, nieco zdziwiona. - Bardzo dziękuję.

20

Oddaliła się pośpiesznie, a Hickey uniósł kieliszek.

- Postawiłem kupę szmalu na Jets. Zdrówko, chłopie. Stuknęli się kieliszkami i sączyli drinki.

- Czym się zajmujesz?

- Tym i owym.

- O co chodziło z tym czarnym mercedesem?

- Fantazja Garretta. To równy chłop, ale muszę trzymać go w biurze.

- Niezła bryka, ten jaguar.

- Agencja nie najgorzej mnie traktuje. - Hickey wzruszył ramionami. - Zresztą używam tego cholernego jaguara tylko dla oficjalnych klientów i kiedy uganiam się za ciziami.

- W Waszyngtonie, który pamiętam, gabłota nie była potrzebna.

- Gdybym miał twój wygląd, stary, kupiłbym sobie toyotę. - Hickey pociągnął drinka i westchnął z rozkoszą. - Aaa... robią tu cholernie dobre martini. - Przebiegł oczami po sali, zatrzymał wzrok na Tomie i poważnym tonem powiedział: - Zmartwiła mnie wiadomość o twoim bracie. To musiało być okropne - patrzeć, jak marnuje się w ten sposób.

- Byłem z nim do końca. Dopiero jak zachorował, okazało się, jak jesteśmy sobie bliscy. Umarł trzymając mnie za rękę.

- To jednak coś znaczy. Bardzo wiele znaczy.

- Jack był utalentowanym kompozytorem, ale musiał robić wszystko po swojemu. Mogłem mu pomóc, ale on nigdy tego nie chciał.

- To nie twoja wina. Tak już bywa.

- Stało się, ale przecież dawniej rodzina była wszystkim.

- Nigdy jej nie miałem, więc nic o tym nie wiem - oświadczył Hickey i zapalił kolejną cygaretkę. - Tom - powiedział przez dym - niech mnie cholera, jeśli nadal nie wyglądasz jak młody bóg.

- Przestań pieprzyć. Wyglądam podle i wiesz o tym.

- Wielu chciałoby tak wyglądać. Pamiętasz moją drugą żonę, Dottie, tego wysokiego rudzielca z pupcią jak marzenie?

- Nie bardzo.

- Nie bardzo? Co to znaczy „nie bardzo”? Kiedy Dottie sunęła korytarzem Senatu, sprawy narodu szły w odstawkę.

Daj spokój, musisz ją pamiętać - taaki biust, cienka w talii i ta okrągła pupcia.

- Coś jakby pamiętam...

- W każdym razie pewnej nocy leżymy w łóżku, a Dottie mówi: „Ten twój przyjaciel, Tom Lawford, przypomina mi Gregory Pecka - bardzo seksy na swój powściągliwy sposób”. Właśnie skończyliśmy się kochać, a ona mówi o tobie. Nie bądź taki skromny. Dziewczyny zawsze kleiły się do ciebie.

- Ty zdziałałeś więcej przypadkiem niż ja celowo.

- Błąd. Nawet w tej cholernej dżungli skośnookie laotańskie cizie miały na ciebie chrapkę.

- Cóż, byliśmy egzotyczni... Biali mężczyźni spadający z nieba ze szwajcarskimi frankami i opium - i byliśmy młodzi.

- Taak... - westchnął Hickey. - Byliśmy młodzi. Czy zdajesz sobie sprawę, że wystarczy jeszcze osiem lat, by znaleźć się w następnym stuleciu?

- Nie myślałem o tym.

- To nie takie łatwe, Tom. Wierz mi. Kostucha ostro się zwija. - Zrobił pauzę. - Pamiętasz Alexa Nickela?

- Słyszałem, ale nigdy go nie spotkałem.

- Świetny agent, ale babiarz. Zginął uganijając się za spódniczką.

- Zginął?

- Tak... Alex stacjonował w Londynie. Boże Narodzenie osiemdziesiątego ósmego. Miał chrapkę na Holenderkę, modelkę z Nowego Jorku. Zadzwoiła i bajeruje go, że ma zarezerwowaną dla niego noc. - Hickey pociągnął martini. - Jest tuż przed świętami. Alex łapie popołudniowy samolot do Nowego Jorku, a ten wybucha nad Szkocją. Bomba terrorystów.

Tom pokręcił głową z niedowierzaniem. - Jezu Chryste...

- Kostucha to cwaniara - mruknął Hickey rozgniatając cygaretkę. Przez moment pa-

trzymał na Toma, później nachylił się nad stołem i powiedział ciszej: - Admirał ma coś dla ciebie.

Tom poczuł w piersiach delikatne łechtanie podniecenia.

- W jakiej sprawie?

- Nie wiem. Ale jak stary handlarz narkotyków kumpłowi, powiem ci - uważaj. Admirał to dziwny facet, tak jak jego zastępca, Manfredi.

- Powiedziałeś, że Agencja dba o ciebie...

- Jeśli chodzi o forszę, ale nie grają fair. Robię teraz robotę, która... - jego głos odpłynął.

- Która co?

- Nic. - Hickey wypił martini i ssał oliwkę. - Paskudna sprawa z Alexem. Musiałem wymyślić bzdurną historyjkę na usprawiedliwienie jego obecności w tym cholernym samolocie. Był żonaty.

- Zastanawiam się, z kim poszła tej nocy do łóżka holenderska modelka.

- Co za różnica?

- Jest różnica.

- Taa... Cóż, nie dla Alexa. - Hickey wstał i wskazał na dyplomatkę. - Zwróć na nią uwagę, stary. Muszę się odlać, pęcherz już nie taki, jak dawniej. Zamów jeszcze kolejkę i koszyczek mięczaków.

Przephychając się między zatłoczonymi stolikami, Hickey zniknął w korytarzu prowadzącym do toalety. Lawford zamówił drinki i mięczaki i patrzył, jak kelnerka przemyka do baru. Mecz jeszcze trwał, ale najbardziej zainteresowany nim kibic gdzieś zniknął. Ciemnowłosa modelka była pogrążona w rozmowie z pedałowatym fotografem. Tom zauważył, że kosztowny aparat wrócił do futerału.

Wytrząsnął z paczki jedną z cygaretek Hickeya i po krótkiej wewnętrznej walce zapalił. Zaciągając się głęboko zastanowił się, co admirał dla niego wymyślił i co właściwie próbował powiedzieć mu Hickey.

Kelnerka wywalczyła sobie drogę do stolika i podała drinki.

- Mięczaki będą za moment. - Uśmiechnęła się. - I niech pan powie koledze, że Jets właśnie zdobyli punkty.

Odwróciła się, upuściła tacę i zaczęła krzyczeć.

Z boku, we wnęce, stał, chwiejąc się lekko, Hickey. Rękami trzymał się za szyję. Krew sikała z jego podciętego gardła. Ubranie zdążyło nią już nasiąknąć, a jaskrawoczerwona plama rozmasała się na kafelkach za nim.

Do krzyków kelnerki przyłączył się chór wrzasków grozy. Panika ogarnęła wszystkich. Przewracano krzesła. W mgnieniu oka, przy dźwięku tłuczonego szkła, rozpierzchnął się tłum przy barze. Jedni pchali się do wyjścia, inni w szoku, krążyli po sali.

Hickey zrobił dwa kroki i rozciągnął się na stoliku, obryzgując krwią przerażonych gości. Kierownik sali stał przy telefonie. Słychać było okrzyki „Co się stało?” „Kogoś zadźgano!” Jakaś kobieta szlochała: „Dobry Boże... dobry Boże...”

Tom zauważył, że wśród całego tego chaosu olśniewająca modelka i jej pedałowaty towarzysz szli spokojnie w stronę drzwi. Ludzie potykali się i przewracali wpadając na siebie. Barman wskoczył na bar i wzywał do zachowania spokoju, ale jego głos tylko wzmógł histerię. Tom wziął dyplomatkę Hickeya i ruszył powoli w stronę zakrwawionego stolika, na którym z policzkiem przyciśniętym do blatu spoczywał jego przyjaciel.

Hickey miał otwarte oczy i skrzywione usta. Karmazynowy pęcherzyk utworzył się w miejscu zięjącej jamy na szyi. Przypominał rybę, którą wybebeszono, gdy jeszcze żyła. Zszokowani przygodni widzowie nie poruszyli się ani nie odezwali, kiedy Tom, delikatnie, zamknął zmarłemu oczy.

Rozdział trzeci

Idąc z opuszczoną głową, by osłonić się przed padającym śniegiem, Lawford przeszedł na drugą stronę Wisconsin Avenue przy M Street. Niósł dyplomatkę Hickeya. Zadziałał rutynowo, zgodnie z podręcznikiem: gdy ginie agent, zabierz jego rzeczy i wyjdź, aby uniknąć zeznawania. Odejdź i natychmiast zawiadom dyżurnego oficera.

Wszystko odbyło się szybko, bardzo szybko; akcja profesjonalisty. Tom żałował, że nie napomknął Hickeyowi o Arabie, zawodowemu zabójcy wystarczy kilka sekund, by znaleźć się za ofiarą, odchylić jej głowę i przeciąć żyłką tętnicę szyjną. Powinien był wspomnieć o dziwnym zainteresowaniu Araba nic nie znaczącym meczem. Dawniej coś by go tknęło, intuicyjnie odebrałby jakiś sygnał zapowiadający obecność mordercy.

Usłyszał nagle dźwięk syreny i pomyślał, że sanitariusze mogą sobie oszczędzić zachodu. Nic nie da się już zrobić dla Hickeya. Wydział Zabójstw dzielnicy Metro zajmie się tymczasowo sprawą, ale CIA upomni się o zwłoki agenta i przejmie opiekę nad jego rzeczami. Niewykluczone, że sama Agencja maczała palce w tym morderstwie. Admirał mógł wyrazić zgodę na „przeoczenie”. Ale dlaczego? Lojalność Hickeya była nienaganna. Nie, to przecież paranoja. A jednak... takie rzeczy się zdarzały.

Przenikliwie zimno wstrząsnęło Tomem od czubka głowy po palce stóp. Włosy miał

zupełnie mokre. Brnąc w śniegu myślał o wygranej w zakładzie o mecz, wygranej, która nigdy nie zostanie odebrana. Hickey umiał gromadzić dłużników. W obliczu jego śmierci także dawny, zaciągnięty w Laosie, dług Lawforda nabierał nowego znaczenia. Tom był winien zmarłemu parę odpowiedzi, ale musi myśleć i działać precyzyjnie. Przypomniawszy sobie olśniewającą modelkę. Jej stolik stał tak, że na pewno dokładnie widziała Hickeya podczas ostatnich, przerażających chwil jego życia, gdy zataczał się po sali, a krew przeciekała mu między palcami, jednak nie krzyknęła, nie zareagowała w żaden sposób. Spokojnie zebrała rzeczy i wyszła. Czy spodziewała się zabójstwa?

W Tomie zaczęła narastać głucha złość. I w tej chwili, w pograżonym w śniegu Georgetown, uświadomił sobie, że niezależnie od tego, dokąd poprowadzi ślad, jakiegokolwiek wiąże się z tym ryzyko, dług zostanie spłacony.

W świetle przedpokoju Larry Dutton pomyślał, że w ciągu ostatniej godziny Lawford postarzał się o dziesięciolecie. Przystojna twarz dziennikarza była ściągnięta i szara jak popiół. Pomógł mu zdjąć płaszcz i przyniósł ręcznik. Tom wytarł sobie głowę, ściągnął mokasy i mokre skarpetki. Siadł na najniższym stopniu schodów i rozcierał przemarznięte palce stóp.

- Kto dziś dyżuruje w Langley? - zapytał.

- Everett Stallings.

- Zadzwoń do niego. Powiedz, że Johnowi Hickeyowi podejrzięto gardło u Starke'a.

Wykrwawił się na śmierć dwadzieścia minut temu.

Olbrzym oniemiał. Potrzebował dłuższej chwili, by odzyskać mowę.

- Myślę, że to ty powinieneś porozmawiać ze Stallingsem. Tom odrzucił ręcznik Duttonowi i wstał.

- Rób, co ci każę. Niech Stallings powiadomi Steve'a Garretta, a gdy będziesz miał wolną chwilę, przydałyby mi się suche skarpetki i gorąca kawa. I muszę jakoś otworzyć tę teczkę.

Z dyplomatką pod pachą Tom przeszedł do gabinetu i stanął na chwilę przy kominku, żeby się ogrzać. Znieruchomiał patrząc na płomień i wydawało mu się, że słyszy niecierpliwy głos Hickeya: „Uratowałem cię z ognia w tamtym helikopterze, a ty pozwoliłeś mnie zabić”. Do oczu napłynęły mu łzy, gdy przechodził przez szeroki pokój, by położyć teczkę na biurku.

Wszedł Dutton niosąc szpikulec do lodu i młotek.

- Stallings chce z tobą natychmiast mówić - zakomunikował Tomowi.

- Później. Otwórzmy to.

- W porządku. Trzymaj mocno - powiedział Dutton wskazując na teczkę. - Muszę tylko wyłamać zaczepek.

Włożył ostrze szpikulca w otwór środkowego zamka i uderzył młotkiem w rączkę. Powtórzył to przy zamkach bocznych, aż odskoczyły.

- Zrobione.

- Dzięki. Bądź w pobliżu.

- Lepiej zadzwonię do Stallingsa.

Kiedy Dutton wyszedł, Tom otworzył niecierpliwie teczkę i popatrzył na jej zawartość: pistolet kaliber 45 w kaburze, puszkę cygaretek, zieloną okładkę na dokumenty, kasetę wideo i drugą - magnetofonową.

Zapalił jedną z cygaretek Hickeya, zaciągnął się i odłożył ją na popielniczkę ozdobioną podobizną Billa Caseya, dawno już nieżyjącego dyrektora CIA.

Pojedyncza kartka papieru w zielonej okładce była zleceniem pracy dla firmy Hickeya z datą 91/12/16. Zawierała następujący tekst:

KLIENT:

Lisa Gessler. Obywatelka Republiki Federalnej Niemiec. Paszport numer NR-G-6852063.

TEMAT:

Klientka zamawia śledzenie Heinricha Dietera Muellera, obywatela Niemiec Zachodnich. Klientka podejrzewa Muellera o szpiegostwo gospodarcze dotyczące tajemnic patentów na odlewy firmy Topf A.G., Wiesbaden, RFN. Mueller jest członkiem dyrekcji Topf. Klientka ma podstawy podejrzewać, że Mueller sprzedaje patenty Topf pewnym konkurencyjnym firmom amerykańskim.

Mueller powinien przylecieć na lotnisko międzynarodowe Dulles, Lufthansa lot numer 256 o 14.15 czasu wschodniego 91/12/20. Klientka dostarczyła aktualne zdjęcie Muellera.

KOMENTARZ:

Zadanie przyjęte. Płatność w markach zachodnioniemieckich.

W kieszeni dyplomatki Tom znalazł ziarnistą, czarno-białą fotografię. Mueller miał kanciastą szczękę, twarde spojrzenie i policzki poorly zmarszczkami.

Zaciągając się mocno dymem cygaretki, Tom usiadł wygodnie w fotelu i zamyślił się. Kim są: Heinrich Mueller? Lisa Gessler? Topf A.G.?

Wszedł Dutton z kawą i parą brązowych, wełnianych skarpetek.

- Dołałem do niej trochę brandy. Uważaj, gorące.

Tom wziął kubek i zapytał:

- Masz coś, żeby przesłuchać tę kasetę?

- Aha.

Dutton zbierał się już do wyjścia, kiedy z wahaniem powiedział:

- Zdaje się, że byłeś blisko z Hickeyem.

- Uratował mi życie. - Tom zamyślił się. - Dawno temu.

Olbrzym skinął lekko głową i wyszedł.

Tom włożył skarpetki i ponownie przyjrzał się fotografii Heinricha Muellera. Miał niejasne wrażenie, że skądś zna tę bezwzględną, teutońską twarz.

Wzmocniona przez brandy kawa rozgrzała go. Z premedytacją zapalił następną cygaretkę Hickeya. Heinrich Dieter Mueller wyglądał na liczącego sobie dość lat, by przeżyć powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy. Pozostawało pytanie, czy ma za sobą nazistowską przeszłość. Lisa Gessler to kolejna niewiadoma. W Niemczech Zachodnich nie brak prywatnych agencji detektywistycznych. Dlaczego więc *Fraulein* Gessler wynajęła do śledzenia Muellera firmę Hickeya? Niemiecki łącznik sugerował związki z CIA. Lisa Gessler mogła zwrócić się do Hickeya w imieniu Agencji. Zarzut szpiegostwa gospodarczego to prawdopodobnie jedynie przykrywką. Całą sprawę czuć na miłę operacją zorganizowaną przez Biuro Działań Tajnych Agencji. Bez wątpienia miała związek z zabójstwem Hickeya. Przypomniał sobie ostrożną uwagę przyjaciela o wykonywanym zadaniu i o tym, że Agencja nie gra fair.

Wrócił Dutton z małym magnetofonem Sony. Machnął ręką, by rozwiać obłok dymu, i włożył kasetę.

- Chcesz być sam?

- Nie. Zostań.

Włączył magnetofon i przewinęło się kilka stóp szarej rozbiegówki, zanim taśma wydała wysoki, elektroniczny dźwięk, po którym rozległ się głos Hickeya: *To strona pierwsza. Należy, poddać ją obróbce przez dławiki i laser wysokiej częstotliwości. Jakość jest podła, ale mam nadzieję, że da się coś zrozumieć. Stoję w korku ulicznym na Massachusetts Avenue. Śledzę limuzynę, którą można zidentyfikować na wideo. Jedzie nią Mueller z jakimś pakistańskim dyplomatą.*

Głos Hickeya zalał potok trzasków.

Dutton i Lawford z narastającym napięciem wsłuchiwali się w tę kakofonię, próbując wśród zakłóceń wyłapać jakieś wyraźniejsze słowa. Powolne obroty taśmy doprowadzały ich do szału. Tom zaciągnął się mocno cygaretką, łyknął kawy i poczuł, jak daje o sobie znać jego stary nerwoból. Nagle przez trzaski przebiło się słowo „Ardeny”. Tom kilkakrotnie wysłuchał tego fragmentu taśmy, zanim pozwolił, by przesuwiała się dalej.

Obserwując kręcące się rolki obaj mieli wrażenie, że duch Hickeya - jego zamknięty w kasecie głos - rozpaczliwie walczy, by zostać usłyszanym. Chrobotliwe dźwięki przerzedziły się i rozbrzmiało słowo „centrala”, po czym utonęło w trzaskach. Tom, upewniwszy się co do brzmienia usłyszanych głosek, ponownie wcisnął przycisk odtwarzania. Kakofonia trwała jeszcze jakiś czas, aż wreszcie ostatni obrót taśmy wypłuł słowo „Kadafi” - wyraźnie, stanowczo, tak że nie mogło być mowy o pomyłce. Kasetą dobiegła końca i Dutton wyjął ją z magnetofonu.

- Jezu Chryste - zawołał. - Niemcy, Pakistańczycy, „Ardeny”, „centrala” i „Kadafi”. Co to, do cholery, oznacza?

- Agencję. Czy zauważyłeś jakąś różnicę brzmienia dwóch pierwszych słów i słowa „Kadafi”?

- „Ardeny” i „centrala” były chyba jakby skrócone. Ucięte. „Kadafi” trwało dłużej.

Tom przytaknął skinieniem głowy.

- A teraz wideokaseta - zarządził.

Dutton włączył telewizor i magnetowid, ustawił kanał 3 i włożył kasetę. Oddając La-wfordowi pilota powiedział:

- Możesz zatrzymać klatkę i powiększyć obraz.

Po chwili na ekranie ukazała się czarno-biała karta danych:

DATA: 91/12/20 CZAS: 15.40 czasu wschodniego. TEMAT: Heinrich D. Mueller przybył Lufthansa - lot 256 - bezpośrednio z Frankfurtu. Rejs opóźniony o osiemdziesiąt pięć minut.

Karta danych zniknęła, a na ekranie pojawił się kolorowy obraz. Kamera wykonała zbliżenie i zatrzymała się na wysokim, chudym mężczyźnie ubranym w ciemny płaszcz, biały jedwabny szalik i czarny kapelusz z wywiniętym rondem. Blisko za nim siedł bagażowy, pchając wózek z dwiema walizkami. Obaj zbliżali się do kamery pod niewielkim kątem. Z układu zdjęć Tom wywnioskował, że Hickey zrobił je z wnętrza zaparkowanej furgonetki. Pomimo zaawansowanego wieku Mueller siedł wyprostowany i sprężystym krokiem.

Przy krawężniku czekała błyszcząca czarna limuzyna. Bagażnik był otwarty, a kierowca w uniformie stał na baczność przy tylnych drzwiczkach, gdy ładowano bagaż. Dał napiwek bagażowemu i siadł za kierownicą. Policjant regulujący ruch uliczny zatrzymał inne samochody, by przepuścić ruszającą od krawężnika limuzynę. Kamera zrobiła najazd na tylną tablicę rejestracyjną - czerwono-biało-niebieską z napisem „Dyplomatyczny”, z numerem „EP486” i z umieszczoną na dole informacją: „Wydane przez Departament Stanu USA.”

Ekran szcerniał na kilka sekund, a później w szerokim planie widać było, jak limuzyna

skręca na podjazd okazałego budynku. Mosiężna tabliczka na drzwiach nosiła napis: „Ambasada Islamskiej Republiki Pakistanu”. Nastąpiło długie ujęcie dobrze ubranego mężczyzny o arabskiej twarzy, który powitał Muellera przy drzwiach ambasady. Ujęcie nie trwało dłużej niż pięć sekund. Po cofnięciu taśmy Tom zatrzymał klatkę i powiększył mężczyznę w drzwiach.

- Zaznacz to do sfotografowania.

- Dobra.

- Możesz zrobić mi kopie tych taśm?

- Nie ma problemu - odparł Dutton i wyjął kasetę. Tom wrócił do biurka i przejrzał notatki: Lisa Gessler, H. D. Mueller, Topf A.G., ambasada Pakistanu, i dalej słowa: „Ardeny”, „centrala” i „Kadafi”.

Nie miał bladego pojęcia, jakie równanie tworzą te dane, ale nie wątpił ani przez chwilę, że Agencja była w to zamieszana. Dwa wnioski wydawały się oczywiste: sprawa była międzynarodowa i śmiertelnie niebezpieczna.

Sącząc zaprawioną brandy kawę, uważnie patrzył na zdjęcie Muellera. Nie dawało mu spokoju przeświadczenie, że gdzieś już widział tego człowieka. W prasie? W telewizji? Może miał związek z którymś z jego artykułów. Wiele lat temu Lawford przeprowadzał wywiad z Albertem Speerem, ministrem przemysłu Rzeszy, ale nie przypominał sobie niczego, co wiązałoby się z Muellerem.

Wszedł Dutton z dużą brunatną kopertą.

- To te kopie.

- Dzięki.

- Masz jakieś pomysły?

- Jeden lub dwa. - Tom włożył oryginały kaset do dyplomatki. - Spróbuj połączyć mnie ze Stallingsem - poprosił.

Dutton podszedł do telefonu i wystukał piętnastocyfrowy zakodowany numer.

- Jest Stallings - oznajmił Larry i oddał Lawfordowi słuchawkę.

- Przepraszam. Nie mogłem się wcześniej dodzwonić, ale... - zaczął Tom.

- Żadnych usprawiedliwień - przerwał Stallings. - Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc, zaangażowanie i profesjonalizm.

30

- Wyraźnie gadał o niczym. - To, że zabrałeś rzeczy Hickeya i zawiadomiłeś nas, było dokładnie zgodne z instrukcjami i miało zasadnicze znaczenie.

Everett Stallings siedział przy długim stole w sali konferencyjnej na trzecim piętrze

kwatery głównej CIA w Langley, w Wirginii. Obok niego, przez małe słuchawki podłączone do telefonu, przysłuchiwał się rozmowie Albert Manfredi, zastępca dyrektora Wydziału Akcji Tajnych. Stallings ciągnął swe pochwalne komentarze jeszcze około minuty, zanim Tom zapytał:

- Powiadomiłeś Steve'a Garretta?

- Natychmiast po telefonie. Zidentyfikował ciało dla wydziału zabójstw Metro, a potem przejęliśmy sprawę.

- Gdzie jest teraz Hickey?

- Przeprowadziliśmy kremację, a ponieważ nie ma krewnych, po prostu...

- Czekaj no - przerwał Tom. - Nie minęła jeszcze godzina, a ty chcesz mi wmówić, że jest już po wszystkim? Nie ma Hickeya i nigdy nie było? Nie istniał? Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść? To chcesz powiedzieć?

Stalowa oprawka okularów Stallingsa odbiła światło, a jego policzki nabiegły krwią. Manfredi ruchem ręki nakazał mu spokój. Stallings westchnął ciężko i ciepłym, przyjaznym tonem powiedział:

- Wiem, jak blisko byliście ze sobą, i jest...

- Gównu wiesz! - przerwał mu Tom z wściekłością. - Jesteś dyżurnym oficerem; dla ciebie agenci to nazwiska na ekranach komputerów. Skąd, do cholery, możesz wiedzieć, jak się czuję?

Dutton słuchał przerażony, modląc się, by Lawford opanował złość. Agent nie powinien robić sobie wroga z takiego biurokraty jak Stallings.

- Jest bardzo późno - powiedział pojednawczo Stallings. - Na pewno jesteś zmęczony. Zatrzymaj rzeczy osobiste Hickeya. Odpocznij. Jutro przyślemy po ciebie samochód. - Zrobił pauzę i zarzucił przynętę. - Chcę, żebyś wiedział, że Agencja nie miała nic wspólnego z ostatnim zadaniem Hickeya. Jak powiedziałem, wiem, że wy dwaj...

- Chyba uważasz mnie za idiotę! - krzyknął Tom. - Wiem, że to Agencja! Hickey był moim przyjacielem, więc nie pieprz mi tu głupot.

Manfredi przyłożył palec do warg, nakazując Stallingsowi ciszę.

- Czy nazwiska Lisa Gessler i Heinrich Mueller nic ci nie mówią? - sarknął Tom z irytacją. - Czy zachodniemiecka firma Topf A.G. nie brzmi znajomo? A co z Pakistanem? Kadafi? Nadal będziesz mi wmawiał, że to nie sprawa Agencji? Tylko spróbuj, a zadzwonię do kolegi, Eda Kramera z „Post”, i niech rozsądzą czytelnicy, jak chcesz.

Manfredi błyskawicznym ruchem ręki zakrył mikrofon słuchawki Stallingsa.

- Powiedz mu.

Głos Stallingsa stracił urok. Mówił chłodno i rzeczowo.

- Ostatnie zadanie Hickeya wyszło z Wydziału Departamentu Stanu. Ich żądanie przekazano do naszego biura i admirał osobiście je zaakceptował.

- To już brzmi prawdopodobnie - stwierdził spokojnie Tom. - Jadę do was i jestem cholernie głodny. To będzie długa noc, więc zamówcie jakąś pizzę, trochę kanapek i dużo kawy. Przygotujcie jednostkę telefaksów i inżynierów dźwięku - przywiozę kasety, wideo, i magnetofonową, które wymagają rzutu oka ekspertów. - Odłożył słuchawkę i spojrzał na Dutona.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby podwieźć mnie do Langley?

- Nie, bylebyś trzymał mnie z dala od tej sprawy.

- W porządku, Larry. Nie przejmuj się.

W sali konferencyjnej na trzecim piętrze Manfredi spojrzał na Stallingsa i rzucił krótko:

- Budzimy admirała. *i*

Rozdział czwarty

Wpuszczone w sufit lampy rzucały łagodne światło na salę konferencyjną. Panujące w niej napięcie i cisza przywodziły na myśl atmosferę poczekalni szpitalnej. Na stole wały się okruchy pizzy i kawałki kanapek, a aromat świeżo parzonej kawy mieszał się z odorem tytoniowego dymu.

Albert Manfredi, wpatrzony w kawałek zeszcłej pizzy, żuł niedopałek cygara. Everett Stallings ciągle przecierał szkła okularów w stalowej oprawce.

Lawford stał przy oknie i patrzył na sosny okalające kwaterę główną CIA w Langley. Wiedział, że cisza w dźwiękoszczelnej sali jest złudna. W istocie budynek tętnił życiem. W centrum komputerowym, w laboratoriach fotograficznych i sekcjach szyfrowych gromadzono i analizowano materiały wywiadowcze. Najnowocześniejsze urządzenia elektroniczne obsługiwane były przez wyspecjalizowanych, oddanych fachowców, z których część pracowała właśnie nad taśmami Hickeya. Fotografie Muellera przekazano telefaksem w celu identyfikacji naczelnikowi Policji Federalnej Niemiec Zachodnich w Wiesbaden, Hansowi Lehmannowi. Tą samą drogą przesłano numer paszportu Lisy Gessler oraz prośbę o informację o Topf A.G. Z taśmy wideo sfotografowano mężczyznę o arabskich rysach, który witał Muellera w drzwiach ambasady Pakistanu, i przekazano zdjęcie do Mossadu w Tel-Awii i banku komputerowego Interpolu w Brukseli. Taśma magnetofonowa trafiła do rąk inżynierów dźwięku,

k którzy mieli poddać ją przetworzeniu przez dławiki szumów i lasery wysokiej częstotliwości.

Wydarzenia towarzyszące zabójstwu Hickeya układały się w jakąś piekielną łami-główkę. Podczas ostatniej godziny tylko jedno stało się jasne: Tom Lawford, rzadko wyko-rzystywany, głęboko ukryty agent, nagle obdarzony został władzą. Wszystkie jego życzenia spełniano bez wahania i pytania o powód. Lawford był pewny, że mogła to sprawić jedynie interwencja admirała. Tylko on, jeśli uznał, że sytuacja jest wyjątkowa, mógł puścić w ruch tę kosztowną i skomplikowaną machinę.

Rozległ się dzwonek i Stallings nacisnął guzik otwierający drzwi. Wszedł umunduro-wany wartownik i kobieta o orientalnych rysach, która trzymała trzy czerwone foliowe teczki na dokumenty.

- Właśnie nadeszły - oznajmiła, wręczając je Manfrediemu.

Manfredi przesunął jedną z teczek po blacie stołu do Lawforda, a drugą podał Stal-lingsowi. W ciszy zaczęli czytać znajdujące się w nich kartki telefaksu.

Odpowiedź na prośbę Manfrediego: Fax CIA no. 61376. Zgodnie z prośbą treść tajna. 91(12/23. Fax nadany o 08.45 GMT. Wiesbaden, Republika Federalna Niemiec.

Sprawa: Heinrich Dieter Mueller:

Dokładny życiorys znajduje się w Departamencie Sprawiedliwości Stanów Zjednoczo-nych - Sekcja Specjalna. Poniżej skrót: H. D. Mueller - urodzony w Bremerhaven, Niemcy, 10/10/24. Obywatel Republiki Federalnej Niemiec - paszport numer NR-A-3399628 wydany we Frankfurcie 88/3/6. Ważny do 92/3/5.

Wicedyrektor firmy STS Aktiengesellschaft (Systemy Transportu Satelitarnego), 19 Friedrichstrasse, Berlin. Specjalista raketowy, jeden z tyjących konstruktorów broni V-1 i V-2 skupionych w zespole WWII Peenemiinde. Inni członkowie tego zespołu to: Rudolph, Brunner, Diehl i von Braun. Mueller pełnił funkcje oficera łącznikowego 43}3 z dowódcą SS Heinri-chem Himmlerem i zapewniał przymusową siłę roboczą dla zakładów montanowych V-2 w Nordhausen, gdzie zorganizował obóz koncentracyjny „Dora”. Traktowanie więźniów było brutalne, wiele tysięcy zginęło. W marcu 1945 von Braun wynegocjował poddanie się na-ukowców Siódmej Armii Amerykańskiej i natychmiastową rekrutację do prac nad amerykań-skim programem kosmicznym, co pozwoliło im uniknąć odpowiedzialności za zbrodnie wo-jenne. Operację tę oznaczono kryptonimem „Paperclip”. Mueller Został deportowany z USA w 1979, wrócił do Monachium i przyłączył się do grupy specjalistów raketowych STS pod nadzorem dr Fritza Kleisera. Alois Brunner i Walter Diehl również związali się z STS. W sprawie dalszych szczegółów skontaktujcie się z: Robert Stein, Departament Sprawiedliwości USA, Biuro Spraw Specjalnych. (Koniec części pierwszej)

Gessler to popularne w Niemczech nazwisko, jednakże nie posiadamy w rejestrze kobiety o tym nazwisku, która posiadałaby paszport numer NR-G-6852063. Podejrzewamy fałszerstwo dokumentów. (Koniec części drugiej)

34

Topf Werksfeschafft - huta oraz przedsiębiorstwo produkujące narzędzia maszynowe i wykrojniki, mieszczące się w Wiesbaden. Brak wyraźnego powiązania z STS lub Heinrichem Muellerem.

Zawsze do usług

Nieomal namacalną ciszę w pokoju przerwał brzęczyk przy drzwiach. Do sali konferencyjnej wszedł strażnik, a za nim siwowłosa kobieta z teczką w ręce. Zaczekała, aż skoncentrują na niej uwagę i powiedziała:

- Myślę, że będzie prościej, jeżeli *to* panom przeczytam. Manfredi skinał głową.

- Słowo, które brzmiało jak „Ardeny” zostało przycięte. Pełne słowo to „martenzyt”. Przeliteruję: martenzyt. Jest to rzadki stop stosowany przy produkcji broni atomowej. Słowo brzmiące jak „centrala” to „centryfuga”, literuję: centryfuga - czyli ultra wirówka. Wskazuje to na bardzo skomplikowaną metodę oddzielania izotopów plutonu z rud uranowych. Słowo „Kadafi” to faktycznie Kadafi. - Spojrzała na zebranych. - Myślę, że wszyscy wiemy, kto to taki.

Rozdział piąty

Dwaj żołnierze w charakterystycznych czerwonych beretach elitarnych Sił Specjalnych, weszli za generałem Dado Harelem przez iluminowaną Bramę Jafską na teren Starego Miasta. Trzymali palce na spustach karabinów, typu galil, a wzrokiem omiatali okolicę, od przesłoniętych żaluzjami okien po szczyty kopulastych dachów. Od trzech tysięcy lat Jerozolimie nie zaznała jeszcze błogosławieństwa pokoju.

Na żadnym innym kawałku ziemi nie przelewano tak długo tak różnej krwi. Tu legendy znaczyły więcej. Tu król Salomon wznosił Pierwszą Świątynię. Tutaj zmartwychwstał Syn Boży. Stąd Mahomet przeniósł się na uskrzydłonym koniu do siódmego nieba. Wywodzące się stąd idee Jeremiasza i Izajasza zmieniły sposób myślenia połowy świata. Stare Miasto króla Dawida było jak ponętna kurtyzana, której przychylność przemija, a której cenę opłaca się krwią.

W tej biblijnej enklawie Dado zawsze doznawał schizofrenicznego poczucia fascynacji i strachu. To właśnie tutaj poznał smak zwycięstwa i gorycz porażki. Podczas oblężenia

Starego Miasta przez Jordańczyków w maju 1948 roku, roznosił wiadomości po dzielnicy żydowskiej. Kryjąc się przed kulami i odłamkami, biegł od piwnicy do piwnicy, z jednego stanowiska dowodzenia do drugiego, przynosił po kilka pocisków, manierkę wody czy ampulkę morfiny. Dowódca Hagany powiedział, że ma piętnaście lat, ale tak naprawdę nie pamiętał ani swej daty urodzenia, ani kim byli jego rodzice. Mówił płynnie po niemiecku, lecz nie wiedział, od kogo nauczył się tego języka. Dado Harel był dzieckiem Holocaustu.

W marcu 1945 oddziały Drugiej Armii Brytyjskiej wyzwoliły obóz śmierci Bergen-Belsen. Wtedy to młody oficer znalazł zdziczałe, wychudłe na szkielet dziecko, które siedziało w rowie pełnym posypanych wapnem zwłok.

Z obozu dla uchodźców, gdzie troskliwie pielęgnowany Dado powrócił do zdrowia, wysłano go do obozu przejściowego na Cyprze. Czternaście miesięcy później przybył nielegalnie do Palestyny małą łodzią, która przybiła do brzegu w zatoczce koło Hajfy. Przybrawszy nazwisko zmarłego podczas tej podróży pasażera, zgłosił się do służby w żydowskich siłach obronnych, skąd odesłano go na front jerozolimski. Po miesiącach bezskutecznych walk wycieńczeni obrońcy opuścili dzielnicę żydowską, oddając ją zwycięskim wojskom jordańskim.

Pamiętał, że tego letniego dnia, kiedy wychodził z dymiących ruin synagogi, by opuścić Stare Miasto w szeregu pokonanych, była przepiękna pogoda. Jeruzalaim jeszcze raz naigrawało się ze swych ofiar.

W ciągu czterech dziesięcioleci, które nastąpiły po tym dniu, Dado wniósł się na sam szczyt hierarchii izraelskich sił zbrojnych. Przeżył pięć wojen i niezliczone tajne operacje, mimo to czuł pewien respekt przed tą starą enklawą - jak gdyby był tu intruzem, chwilowym gościem, którego obecność jest jedynie tolerowana.

Minąwszy w pierwszych kroplach deszczu wspaniałą katedrę Świętego Jakuba, Dado wszedł do Mea Szearim, dzielnicy ultraortodoksyjnej sekty żydowskiej. Brodaci mężczyźni, odziani w długie czarne płaszcze i tego samego koloru kapelusze o szerokich rondach, badawczo spoglądali na generała i jego dwóch żołnierzy.

Dado patrzył na nich ze smutnym lekceważeniem. Choć niektórzy byli pozostałymi przy życiu ofiarami gett Europy Wschodniej i nazistowskich obozów zagłady, nie chcieli uznać państwa Izrael i nie pozwalali, by ich synowie i córki służyli w armii. Obrzucali kamieniami zachowujących świeckość Żydów, którzy chodzili do kina w szabas, ale posiadali władzę polityczną znacznie przewyższającą tę, która wynikałaby z ich liczebności. O mało co nie udało im się przemienić demokracji w teokrację.

Ich psychiczne przetrwanie opierało się wyłącznie na wierze, że Jahwe ochroni ich i

zachowa, aż do radosnego dnia, gdy pojawi się Mesjasz i zaprowadzi wiernych do bram raju. Tylko wtedy ci święci mężowie uznają państwo Izrael.

Dado poszedł za grupą ortodoksów na wielki plac przy Zachodniej Ścianie. Reflektory oświetlały masywne pozostałości Drugiej Świątyni. Żołnierze patrolowali wysokie przedpiersie muru, by chronić kołyszających się, mruczających hymny wiernych.

Stojąc w głębi placu, Dado przeklinał ich w duchu. Nie potrafił zrozumieć tej niezłomnej wiary. Czy zapomnieli o magicznej sztuczce Jahwe z mydłem? Mydelko z Żydka po fenigu za kostkę, świeżo z Auschwitz - a może woli pani inny zapach, *Fraulein*? Z Treblinki? Ravensbruck? Dachau? Z jakiego niewyczerpanego źródła biorą tak niezachwianą wiarę, odporną na bieg historii? Czyż nie wiedzą, że Mesjasz już przybył - w 1941 roku? Nosił czarny mundur, nazywał się Eichmann i poprowadził dzieci Jahwe do bramy piekieł. A nad tą bramą wypisane były słowa: - *Arbeit macht frei* - praca czyni wolnym. Słowa te wryły się w duszę Dado, trwale jak numer wytatuowany na jego przedramieniu.

Generał patrzył, jak wierni kołyszają się w rytm odwiecznego metronomu i pomyślał, że 2500 mil stąd, w północno-wschodnim kącie Pakistanu, wirówki i izotopy plutonu wybijają rytm innego taktomierza. Mahometańska bomba atomowa jest już na taśmie, a gdzieś na Pustyni Libijskiej zbrodniarze z Peenemunde i Nordhausen instalują dla Kadafiego rakiety V-5. Nadal komuś w Nadrenii marzy się „ostateczne rozwiązanie”. Pakistańska bomba na szczycie nazistowskiej rakiety raz na zawsze zakończyłaby żywot ortodoksów i ich świętej ściany.

Dado poczuł, jak z wolna rośnie mu coś w gardle, dusi go i rozpala złością twarz. Atomowe słońce nie spadnie na ten plac, bez względu na koszty i ryzyko, jakie trzeba będzie ponieść, by temu zapobiec. On, dziecko piekielnego ognia, ochroni i zachowa wiernych. Już raz - w pamiętny dzień lipca 1967 - rozwalił Bramę Świętego Stefana i poprowadził atak, który wyzwolił to święte miejsce. A teraz przyszedł tu po to, by zobaczyć tych prawowiernych Żydów, by upewnić się, że nadal istnieją. Chociaż reprezentowali wszystko, czym gardził, ich obecność miała dla niego symboliczne znaczenie. Przetrwali diasporę, pogromy i na końcu magiczną sztuczkę Jahwe z mydłem. Dlatego będzie ich chronił. A oni będą się modlić i do końca czekać na Mesjasza.

Generał podniósł kołnierz zielonej kurtki, by osłonić się przed chłodnym deszczem i w eskorcie żołnierzy skierował się w stronę dzielnicy arabskiej.

Restauracja „Khalidi” jest klejnotem rodzinnym przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Jej klientelę stanowią zarówno Żydzi, jak i Arabowie. Pomiędzy walczącymi stronami istniało niepisane, ale przestrzegane porozumienie, że niezależnie od walki politycznej, nękającej dzielnicę muzułmańską Starego Miasta, lokal „Khalidi” ma być oszczędzony. Restaura-

cja słyęła z podawanego tam hummusu - gęstego sosu z włoskiego grochu oraz z wołowiny z rusztu i placków pita domowego wypieku. Było tam ciepło i czysto, a tuzin stolików nakrywano delikatnym lnem.

Zew Berger siedział z tyłu sali, odwrócony plecami do Many. Dwudzielne szkła opadły mu na koniec nosa, gdy czytał jerozolimski dziennik „Post”. Liczył sobie pięćdziesiąt dwa lata, ale jego dostojna postawa, melancholijne oczy, zapadłe policzki i siwe włosy sprawiały, że wyglądał starzej. Ów stypendysta Fundacji Rhodesa studiował religie Wschodu, był wybitnym lingwistą i wyznawcą dwóch sztuk - milczenia i cierpliwości. Piastował też od dziesięciu lat stanowisko szefa Mossadu - wywiadu izraelskiego.

Dolewając sobie wina zamówił jeszcze jedną porcję hummusu. Napięcie wywoływało u niego wilczy apetyt. Zbliżające się spotkanie z generałem Harelem wprawiło go w zdenerwowanie. Choć współpracował z Dado przy wielu trudnych operacjach wywiadowczych, ich stosunki cechował wzajemny brak zaufania. Powodowany strachem i ostrożnością Berger utrwalił sobie w pamięci dossier generała.

W październiku 1973 generał Harel dowodził południowym sektorem wzgórz Golan, gdy osiemset syryjskich czołgów T-72 wdarło się na odległość trzech kilometrów od mostu Benot Ya'akow, stanowiącego bramę do Galilei. Syn Dado, Dani, był w załodze jednego z dwunastu czołgów, jakie pozostały Izraelowi. Generał rozkazał, by okopały się i prowadziły samobójczą obronę. Dani zginął wraz z innymi, ale ich czołgi stępiły syryjską szpicę i ocaliły Galileę. Generał kochał Daniego całym sercem, ale nigdy nie wątpił w słuszność rozkazu.

Po śmierci Daniego, żona Dado, Avital, załamała się psychicznie i przystępując do sekty ultraortodoksyjnych Żydów, szukała rozgrzeszenia z wyimaginowanych grzechów. Dado natomiast nigdy nie patrzył za siebie; przechodził od jednej tajnej operacji do drugiej - planował, knuł, zwalczał przeciwników z nieubłaganą bezwzględnością żywego granatu.

Popijając wino Berger myślał, że Harel ulepiony jest z tej samej gliny, co ci, którzy tworzą junty wojskowe, i uświadomił sobie, że od 1983 coraz bardziej obawia się tajnych sił uderzeniowych generała.

Dostojny szef wywiadu urwał kawałek placka pita i zanurzył go w hummusie. Nagle ujrzał w drzwiach potężną postać Harela. Blond włosy przyprószała mu siwizna, ale ostre rysy pozostały nie zmienione, a błękitne oczy patrzyły czujnie i przenikliwie. Dado, ze swą aryjską urodą, mógłby służyć za model do plakatów rekrutujących do SS. Jedną z drobnych ironii losu, pomyślał Berger.

Generał usiadł naprzeciwko niego i zamówił koniak.

- Dobrze wyglądasz, Janusz - posłużył się przydomkiem Bergera. - Przepraszam za

spóźnienie. Musiałem odwiedzić Avital.

- Co u niej?

- Modli się za dusze Daniego i moją.

- Może powinienes pójść z nią do świątyni.

- To by było o jedną burleskę za dużo. Poza tym, wiem z dobrych źródeł, że Jahwe jest teraz w Wiedniu i popija herbatkę z Waldheimem.

- Och, Dado... daj spokój - zostaw wiernych ich Mesjaszowi. Jesteś w Jerozolimie: nadstaw drugi policzek.

Kelner postawił na stole butelkę Hennessy. Dado nalał sobie kieliszek i wypił jednym haustem.

- Mówiłeś, że są wiadomości od Eryki.

- Potwierdziła próbne odpalenie rakiety V-5, nadzorowane przez dr Aloisa Brunnera. Daliśmy już przeciek do prasy.

- A miejsce odpalenia? Berger pokręcił głową.

- Zna je tylko Kadafi i Kleiser, no może jeszcze szef wywiadu libijskiego. Nawet niemieccy specjaliści raketowi nie wiedzą, gdzie to jest. Latają przez pustynię nocą z Trypolisu. Ale może twój podstęp przyniesie jakieś efekty.

Berger rozejrzał się po sali i przesunął złożoną „Post” przez stolik. Dado przewracał strony, aż zobaczył ukrytą między nimi czarno-białą fotografię. Nalewając następny kieliszek koniaku, studiował zdjęcie, na którym Hickey i Lawford siedzieli przy stoliku w kafejce „U Starke’a”.

- Narda pstryknęła zdjęcie na moment przed zamordowaniem Hickeya - wyjaśnił Berger. - Zabójca był kontrolowany przez oficera libijskiego nazwiskiem Abu Nawaf Hasi. Manfredi przekazał nam faksem fotografię. Lawford wyszedł z knajpy z rzeczami Hickeya. Była wśród nich wideokaseta pokazująca, jak Hasi wita Muellera w drzwiach ambasady Pakistanu. Takie ujęcie to łut szczęścia i Lawford miał nosa, że kazał je powiększyć.

Dado puknął palcem w zdjęcie.

40

- Lawford niewiele się zmienił.

- Nie wiedziałem, że znasz go osobiście.

- Ty wszystko wiesz.

- Nieprawda, Dado.

- Nieomal prawda. - Harel uśmiechnął się, złożył gazetę i oddał ją Bergerowi. - Szef sztabu kazał mi go wpuścić na nasze stanowisko dowodzenia na Golanie w październiku

1973. Przyjechał w nocy ósmego, kiedy cała cholerna armia syryjska ześrodkowała się w Kuneitrze. Lawford był bardzo dzielny. Biegał z pozycji na pozycję pod ciężkim ostrzałem, gadał do magnetofonu, nagrywał bitwę. Po zawieszeniu broni spędziliśmy nieco czasu razem. Ten człowiek miał siłę, ale wydawało się, że brakuje mu ducha.

- Przejrzałem jego artykuły - powiedział Berger. - Nie zauważyłem w nich nic, co byłoby przychylne dla państwa Izrael.

- Dlatego świetnie nadaje się do tej roboty. Jest wiarygodny i publicznie neutralny. I, co najważniejsze, ma teraz motywację. Jego najlepszy przyjaciel został zamordowany i Lawford wkrótce przekona się, że potrzebuje naszej pomocy, by go pomścić. Uwierz mi, Janusz. Ten dziennikarz będzie kroplą, która przepełni dzban.

Rozdział szósty

Tom Lawford i zastępca prokuratora generalnego, Robert Stein, siedzieli w małej sali projekcyjnej na czwartym piętrze budynku Departamentu Sprawiedliwości. Stein był prokuratorem-weteranem, odpowiedzialnym za Biuro Spraw Specjalnych - biuro, które koledzy z Departamentu nazywali czule „koszem na śmieci”. Spędzał godziny pracy grzebiąc w świadectwach epoki nazistowskiego ludobójstwa, wyszukując zbrodniarzy wojennych, którzy zawdzięczali azył programowi kosmicznemu Stanów Zjednoczonych. Zgromadził pokaźne teczki dotyczące niemieckich specjalistów od rakiet i osobiście doprowadził do wydalenia Heinricha Dietera Muellera z USA.

Tylko przy rzadkich okazjach proszono Steina, by przekazał informacje osobom spoza Departamentu. Przestępcy wojenni nie byli tak popularni jak mafiosi czy kolumbijscy przywódcy gangów narkotykowych. Zainteresowanie ze strony wybitnego dziennikarza, Toma Lawforda, przyjął więc ze sporym entuzjazmem. Większą część przedpołudnia spędzili na oglądaniu kronik i filmów dokumentalnych dotyczących działalności konstruktorów, od chwili założenia ośrodka badań w Peenemunde, w Niemczech w 1936 roku. Treść filmów działała przytłaczająco - pracom rozwojowym i testowaniu rakiet V-1 i V-2 towarzyszyła męczeńska śmierć robotników przymusowych.

Stein przekroczył sześćdziesiątkę, ale poruszał się jak bokser, na palcach, stale w ruchu, gestykulując akcentował słowa.

- Ma ich pan tu. Mueller, Diehl, Rudolph, Brunner, von Braun - pionierzy V-2, pierwszej w świecie rakiety balistycznej, przed którą nie było obrony. Jednotonowa głowica spadała z nieba z trzykrotną prędkością dźwięku, siejąc spustoszenie w Londynie czy w Amsterda-

mie. - Stein przestał chodzić i zwrócił się twarzą do Lawforda. - Kiedy von Braun przeniósł operację z Peenemiinde do Nordhausen, Mueller założył obóz Dora w sąsiedztwie tuneli montażowych Nordhausen. W tunelach tych zginęło trzydzieści pięć tysięcy ludzi. Robotnik z Nordhausen nie miał prawa przeżyć. Nie mogło być świadków, którzy ujawniliby położenie tajnej podziemnej fabryki. Widział pan - ciała zwisają z dźwigów wprost przed biurem Mullera. Kiedy przydusiłem tego sukinsyna, zważył winę na szwadrony śmierci Himmlera. Nigdy nie wspomniano o tym, że Mueller, Brunner i von Braun byli wysokimi oficerami SS. To von Braun naciskał Himmlera o dalszych robotników przymusowych.

- O ile pamiętam, von Braun miał w Ameryce niezłą prasę - odparł Lawford.

- Był zbrodniarzem i dopadliśmy go - uciął Stein. - W siedemdziesiątym szóstym, tuż przed śmiercią, von Braun wypowiedział się przede mną w moim biurze. Mam to na taśmie. Przyznał, że warunki w Nordhausen były nie do opisania.

- Kto dał tym draniom prawo wjazdu do USA?

- Sekretarz wojny Patterson, sekretarz stanu Acheson oraz ważniejsi ludzie z Pentagonu babrali się w tym łajnie i nazwali to „Operacją Paperclip”. Dokumenty wymieniono, a w kilku przypadkach zniszczono. Biurokraci z Pentagonu wierzyli, że grupa von Brauna ma kluczowe znaczenie dla naszego przetrwania. W latach 1945-47 nie tylko przyjęto tych bydlaków, ale zapewniono im lukratywne kontrakty. Ludobójstwo dało się usprawiedliwić osiągnięciem naukowym. Dopiero po wystrzeleniu Apollo 11 w 1969 roku pozwolono mojej sekcji dobrać się do nich. Potrzebny był spacer człowieka po Księżycu, aby nas nawrócić.

Zadzwoił telefon. Stein podniósł słuchawkę i po chwili oddał ją Tomowi.

- To do pana.

- Kto mówi?

- Kobieta z wyraźnym południowym akcentem.

- Witam, panie Lawford. Tu Mary Jo Flannigan. - Mówiła z dziwnym akcentem, jakby każde zdanie kończyło się znakiem zapytania. - Jestem prywatną sekretarką admirała Dwinella. Admirał i zastępca dyrektora, Manfredi, chcieliby się z panem spotkać.

Rozdział siódmy

Okazały dom w stylu Tudorów, stanowiący własność admirała Clarka Dwinella, spoglądał ze szczytów wzgórza na piętnaście akrów ekskluzywnego przedmieścia Waszyngtonu, Kenwood. Pokryty śniegiem teren okalał las wysokich sosen, a przed intruzami chronił wymyślny system alarmowy i strażnicy pełniący wartę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Lawford i Manfredi usiedli w wyłożonym dębową boazerią gabinecie i czekali, aż admirał skończy rozmawiać przez telefon.

Dwinell miał sześćdziesiąt osiem lat, ale jego twarz była zadziwiająco gładka, a spojrzenie bystre i badawcze. Dzięki częstej grze w tenisa utrzymywał się w świetnej formie. Na pozór dobrotliwe, sympatyczne rysy ukrywały chłodną inteligencję i bezwzględność profesjonalnego zabójcy. Należał do amerykańskiej arystokracji, jego przodkowie znaleźli się w Bostonie uchodząc przed Brytyjczykami. Admirał był stypendystą Rhodesa, absolwentem Annapolis i dowodził grupą bojową na Pacyfiku podczas drugiej wojny światowej.

Przewodniczył zebraniu Szefów Połączonych Sztabów i odpowiadał za reorganizację aparatu wywiadowczego i podporządkowanie go jednemu, połączonemu dowództwu. Nigdy nie udzielał wywiadów prasie, uważał, że prawdziwi przywódcy powinni unikać rozgłosu. Amerykanie znali go słabo; pozostawał postacią zagadkową nawet dla członków rządu. Admirał odpowiadał tylko przed jednym człowiekiem - prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Przejmując osobistą kontrolę nad Sekcją Tajną, Dwinell zagłębił się w ciemny światek szpiegów i kontrwywiadu, tajnych kont bankowych, firm stanowiących jedynie atrapę, handlarzy bronią, zabójców, fałszerzy dokumentów, kryptografii, podsłuchu, skrzynek kontaktowych, przemytników broni i handlarzy narkotyków.

Lawford zawsze czuł się niepewnie w obecności admirała. W jego przyjaznych, szarych oczach dostrzegał coś złowieszczonego, podstępnego.

Admirał kończył rozmowę czarującym głosem:

- Może to przemyślisz, Charles... Absolutnie. Masz moje słowo. - Zrobił pauzę. - Kiedy tylko zechcesz.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na swego zastępcę.

- Senator z Północnej Dakoty.

Manfredi skinął głową, ale powstrzymał się od komentarza. Admirał wstał, podszedł do wielkiego balkonowego okna i zapatrzył się na odległe, pokryte śniegiem wzgórza.

- Opóźniłem spotkanie z tobą, dając ci czas na wizytę u Steina i zapoznanie się z częścią materiału stanowiącego tło tej sprawy. - Odwrócił się twarzą do Lawforda. - Jesteśmy tu, by omówić przyczyny zabójstwa Hickeya i rolę, jaką możesz odegrać nie tylko w pomszczeniu jego śmierci, ale też w zapobieżeniu atomowemu piekłu, które spali pół świata, a drugie pół uczyni nieprzydatnym do zamieszkania. To zadanie ważniejsze niż wszystko, co dotąd dla nas robiłeś. Te górnolotne słowa rozżłościły Toma.

- Proszę oszczędzić mi patriotycznej retoryki. - Jego głos był napięty, a słowa dosadne. - Ten chłam zadziałałby przed laty. Teraz już nie. Nie jestem tu, by służyć panu, krajowi

czy wolnemu światu. Gównu mnie obchodzi, czy cała planeta zdecyduje się zapaść w czarnej dziurze. Jestem tu, bo człowiek, który uratował mi życie - ryzykując swoim - został zarżnięty prawie na moich oczach. Mam ogromny dług i postaram się go spłacić. Więc niech pan przedstawi fakty i wyłączy z tego hymn państwowy.

Admirał wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym skinął głową.

- Rozumiem twój żal i złość oraz motyw. Zrobię, co będę mógł, by trzymać się faktów. - Ponownie zapalił fajkę, wydmuchnął obłok szaroniebieskiego dymu w kierunku sufitu i usiadł na skraju biurka. - Zidentyfikowaliśmy oficera, który zarządził zabójstwo Hickeya. To człowiek, który witał Muellera w drzwiach ambasady Pakistanu. Mossad posiada spore dossier na jego temat. Nazywa się Abu Hasi. Jest pułkownikiem kontrwywiadu libijskiego. Uważamy, że kazał usunąć Hickeya, by zapobiec dalszej inwigilacji Heinricha Muellera i jego związków z STS.

- Czym właściwie jest STS?

- Systemy Transportu Satelitarnego. To zachodnioniemiecka spółka założona przez dr Fritza Kleisera w 1979 roku. Grupa STS skonstruowała nową wersję starej nazistowskiej rakiety V-2 z okresu drugiej wojny światowej, oficjalnie, by wynieść na orbitę satelity meteorologiczne i telekomunikacyjne. Kleiser zatrudnił do współpracy kilku żyjących naukowców hitlerowskich oraz utalentowanych młodych fizyków i inżynierów. Otwarcie przyznaje, że Kadafi finansował STS i udostępnił poligon raketowy z obiektami operacyjnymi, gdzie na libijskiej Saharze. Najnowsze dane wywiadu sugerują, że prawdziwym celem STS nie jest wynoszenie na orbitę satelitów, lecz opracowanie V-5 jako balistycznej rakiety międzykontynentalnej, zdolnej do przenoszenia głowic jądrowych.

- Co na to władze zachodnioniemieckie?

- Niestety w zachodnioniemieckich przepisach wywozowych nic nie zabrania eksportu rakiet przeznaczonych do pokojowych badań przestrzeni kosmicznej.

- Ładne - sarkastycznie skomentował Lawford. - To samo mówili w 89 roku o eksporcie gazów trujących dla Kadafiego.

- Tylko na początku - wtrącił Manfredi. - Kiedy dostarczyliśmy dowodów, wkroczyli do akcji.

- Zaczęli działać, gdy wybuchł skandal - odparował Tom.

- Prawda, ale argumenty mieliśmy niepodważalne - powiedział Manfredi. - Zdechłe psy w okolicy fabryki. Nasz satelita KH-11 sfotografował ciała zdechłych dzikich psów pustynnych w pobliżu tego, co Kadafi nazywał zakładami farmaceutycznymi.

- Niestety w sprawie STS nasze dowody nie są ostateczne - wyjaśnił admirał. - Miał

miejsce przeciek do niemieckiej prasy, jak dotąd nie potwierdzony, o niedawnej pomyślnej próbie startu głęboko na Saharze. Starzejący się satelita Vela wykrył falę ciepłą, ale nie określił dokładnie miejsca jej pochodzenia. To wszystko wskazuje na podziemny silos. - Admirał przeszedł za biurko. - Jeżeli tak, to zabójstwo Hickeya potwierdzałoby, że działalność STS służy celom wojskowym i że Mossad ma rację, gdy mówi o powiązaniach Libii z Pakistanem w dziedzinie atomistyki. - Usiadł znużony. - Chyba stoimy w obliczu atomowego oblędu. Potrząsając głową z niedowierzaniem, Lawford powiedział:

- Nie rozumiem trybu warunkowego - tego „jeżeli” w pana analizie. Mueller podróżował z pakistańskim paszportem dyplomatycznym i w oczywisty sposób pozostawał pod opieką oficera wywiadu libijskiego. Kasetą Hickeya zawierała słowa „centryfuga” i „martenzyt” - elementy o podstawowym znaczeniu w produkcji broni jądrowej. Nie jest tajemnicą, że Pakistan posiada ogromną, sprawną atomową instalację wzbogacającą w Kahucie, w północno-wschodnim rejonie kraju. Przygotowywałem artykuł na ten temat dla „Timesa” dziesięć lat temu. Taśma Hickeya kończy się słowem Kadafi. Czy wobec tych faktów można wątpić, że Mossad ma rację - że istnieje jakieś porozumienie

Między tymi dwoma muzułmańskimi krajami? Kogo próbujecie osłaniać?

Prosiłeś mnie, żeby ci oszczędzić wymachiwania sztandarem. Teraz ja proszę, żebyś oszczędził mi pochopnych dziennikarskich wniosków. Pakistan jest swego rodzaju sojusznikiem na subkontynencie. Wspieraliśmy różne ich reżimy miliardami dolarów. Nie chcę, by Kongres przerwał tę pomoc. Poza tym wciąż jeszcze nikt nie udowodnił istnienia pakistańsko-libijskiego sojuszu atomowego. Wiemy tylko, że STS testuje między-kontynentalne rakiety balistyczne gdzieś na Saharze, i mamy materiały Mossadu o przypuszczalnej współpracy atomowej. - Admirał postukał w grubą, czerwoną teczkę. - Wszystko tu jest, możesz przestudiować w wolnej chwili. Ale sprowadza się to do jednego - w 1979 Kadafi zgodził się finansować pakistańskie Centrum Badań Jądrowych w Kahucie, co do dziś kosztowało go, według danych Mossadu, ponad pięć miliardów dolarów. W zamian ma otrzymać główce jądrowe, których produkcja ruszy niebawem.

- I które - dodał Lawford - zamontuje się na wykonanych przez STS rakietach dalekiego zasięgu.

- Zgadza się - przytaknął admirał.

- Jak szybko Pakistan jest w stanie przetestować bombę?

- Uważam, że test wydajności zerowej, próba laboratoryjna, jest tuż-tuż.

- Wydajności zerowej?

- Test przeprowadza się przy użyciu aparatów rentgenowskich typu Flash. To super-

nowoczesne, szwedzkie urządzenia, które w odstępach rzędu milionowych części sekundy wykonują zdjęcia rozszczepienia jąder w warunkach laboratoryjnych. Wiemy, że Pakistan nabył co najmniej jeden taki aparat.

- Mogą więc wypróbować bombę bez ryzyka wykrycia przez satelitę - zauważył Tom.

- Zgadza się. Żadnego promieniowania. Żadnej fali cieplnej.

- Mówimy - ciągnął admirał - o Kadamim dysponującym głowicami atomowymi i systemem przenoszenia. To zagrożenie dla naszej Szóstej Floty, Kanału Sueskiego i każdego większego miasta w Europie Zachodniej. Ale oczywiście zasadniczym celem jest Izrael.

- Sądzi pan, że Kadafi naprawdę może użyć tej bomby?

- Tak. To fanatyk. On nie ma problemów moralnych, tylko techniczne. Na tym zresztą polega jego siła.

- W przeszłości Izraelczycy nigdy nie wahali się działać. Z pewnością zaatakują libijską bazę raketową.

- Jeżeli uda im się zlokalizować ją na czas - odparł Manfredi.

- Jesteś nam potrzebny, Tom - powiedział cicho admirał.

- W czym?

- W zlokalizowaniu wyrzutni Libijczyków. Nie zapominaj, że te sukinsyny kazały zabić Hickeya.

- Ja? - zapytał Lawford z niedowierzaniem. - Jeżeli nie mogą ich znaleźć satelity i Mossad, to co ja mogę?

- Tak się składa, że masz wyjątkowe kwalifikacje do tego zadania - odparł admirał. - Otóż, dyrektor STS, dr Fritz Kleiser, jest stale atakowany przez europejskich dziennikarzy. Zarzucają mu, że buduje wyrzutnie rakiet ofensywnych, gdzieś na Pustyni Libijskiej, i nie przyjmują do wiadomości jego zaprzeczeń. Kleiser boi się zdemaskowania przed opinią publiczną i bardzo mu zależy na dobrej prasie. Zwłaszcza, że od czasu skandalu z gazami trującymi władze są uczulone na libijskie powiązania. Ostatnio, po doniesieniach o próbie rakiety V-5, przeprowadzonej przez jego współpracownika Aloisa Brunnera, STS znów znalazł się pod ostrzałem. Mamy podstawy przypuszczać, że Kleiser byłby wdzięczny za przychylny artykuł, napisany przez laureata Nagrody Pulitzera.

- Podstawy?

- Tak. Głęboko zakonspirowany agent Mossadu w STS twierdzi, że Kleiser chwyci przynętę, jeśli będzie dostatecznie smaczna.

- A gdyby nie chciał rozmawiać - dodał Manfredi - możesz go postraszyć, że w *Night-side* przeprowadzisz wywiady z ludźmi z jego otoczenia, na przykład: z byłymi nazistami,

których zatrudnia. Ale, oczywiście, decyzja, czy wystąpi w *Nightside*, należy wyłącznie do niego. Twoi koledzy z programu *Sześćdziesiąt Minut* nazywają to „pułapką”.

- To nie będzie konieczne - przerwał Manfrediemu admirał. - Po prostu sprzedamy mu artykuł prasowy - tekst i zdjęcia Toma Lawforda. Obiektywna prezentacja faktów, która za pośrednictwem Associated Press dotrze do miliarda czytelników na całym świecie i która powinna ostudzić atmosferę wokół libijskich kontaktów jego firmy. A ty, podsuwając mu artykuł jako marchewkę, rozpracujesz STS.

- Nagrał pan już wszystko, prawda?

- Słuchaj, Tom - powiedział pojednawczo admirał - jeżeli Mossad się nie myli, jeżeli Pakistan jest o krok od dostarczenia Kadafiemu głowic nuklearnych, pół świata może wyparować. Masz rację. Izraelczycy nie zamierzają siedzieć z założonymi rękoma i czekać na apokalipsę. Nawiazaliśmy kontakt z Kleiserem. Dostarczono mu kopie twoich ostatnich artykułów i wideo-kasety twoich występów w *Nightside*. Wie, że jesteś obiektywny i uczciwy. A kiedy się spotkacie, umocnisz go w przekonaniu, że chcesz przedstawić światu jego punkt widzenia.

- Wywiad z Kleiserem nie da nam lokalizacji wyrzutni V-5 w Libii.

- Myślę, że da. Gdy zdobędziesz zaufanie Kleisera, zażądasz wizyty w bazie w Libii. Bez tego twój artykuł nie będzie kompletny. A ponieważ utrzymuje, że jego operacja libijska związana jest wyłącznie z komercyjną eksploatacją kosmosu, jak mógłby odmówić? - Admirał wsparł się na oparciu fotela i wzruszył ramionami. - Oczywiście zagwarantujesz mu, że jeżeli będzie miał jakiegokolwiek zastrzeżenia, nie ujawnisz w artykule położenia poligonu. Ale musisz zobaczyć wyrzutnie na własne oczy. Każdy dziennikarz musi czasem dochować tajemnicy, jeśli informator tego wymaga. Kleiser o tym wie. Wierz mi, Tom, to zadziała.

- Hickey też panu wierzył?

- To mi się nie podoba! - warknął admirał. - Lubilem tego zwariowanego sukinsyna. I nie rzucam swoich ludzi na pożarcie!

Tom pomyślał, że reakcja admirała była za szybka, a złość niezbyt dla niego typowa.

Po pełnej napięcia pauzie admirał zapytał spokojnie:

- Wchodzisz w to, czy nie?

- Wchodzę. Wyłącznie z osobistych powodów. Admirał spojrzał na Manfrediego, który powiedział:

- To nie jest kowbojska operacja. Cały czas będziesz się poruszał po omacku.

- Wiem. Zrobię, co się da.

- To mi wystarczy - powiedział admirał. - Aha, zapomniałbym, napisanie artykułu zle-

ci ci Marco Bonini z Rzymu.

Tom pokręcił głową i westchnął:

- Pryska kolejne złudzenie. Marco Bonini... Myślałem, że jestem jedyny. Nie przypuszczałem, że ma pan w kieszeni szefa biura Associated Press. Ile wie?

- Dość, by grać z Kleiserem. Napiszesz artykuł, a Bonini rozpowszechni go. Skontaktował się już z Kleiserem w zwykły sposób. Cieszę się, że jesteś z nami, ale nie chcę niedomówień - to bardzo ryzykowne zadanie. Nie możesz sobie pozwolić na błąd. Gdyby Kleiser lub Libijczycy rozszyfrowali cię...

- Twoim jedynym wsparciem jest Mossad - dodał Manfredi. - Ale oni dbają o własne interesy.

- Kto jest moim łącznikiem z Mossadem?

Admirał kiwnął na Manfrediego, a ten podszedł do drzwi, otworzył je i zaprosił kogoś, kto czekał w korytarzu.

Wysoka, zgrabna dziewczyna o czarnych włosach i delikatnych rysach weszła do gabinetu. Lawford gapił się na nią oniemiały. Była uderzająco podobna do dziewczyny, którą widział u Starke'a tej nocy, gdy zamordowano Hickeya.

Rozdział ósmy

Siedzieli przy stoliku pod oknem na górnym piętrze restauracji „Chadwick”, czujnie obserwowani przez pracowników Agencji rozmieszczonych w strategicznych punktach lokalu. Narda Simone mówiła po angielsku z lekkim żydowskim akcentem. Światło świec zapalało topazowe prążki w jej brązowych oczach. Nie nosiła obrączki, ale Tom instynktownie wyczuwał, że nie jest samotna. Spojrzała przez okno na białe światła statków spacerowych i tęsknie westchnęła:

- Przypomina mi to nabrzeże w Hajfie.

- Nigdy tam nie byłem.

50

- To piękne miejsce. - Zapaliła papierosa i przez chwilę przyglądała mu się badawczo.
- Będę z panem szczerą. Są pewne rzeczy, o których nie mogłam mówić przy Manfredim i admirale. To przykre sprawy i gdyby to ode mnie zależało, nie rozmawialibyśmy na ten temat. Polecono mi jednak poinformować pana o pewnych faktach. To dla nas bardzo istotne.

- Dla nas?

- Państwa Izrael - powiedziała szybko i ciągnęła dalej: - Mój rząd doskonale wie o

trwającej od 1979 roku libijsko-pakistańskiej współpracy w dziedzinie atomistyki. Kiedy potwierdziły się pogłoski o zaangażowaniu nazistowskich specjalistów raketowych, sprawa ta otrzymała absolutny priorytet. Stale przekazywaliśmy waszej Agencji dane wskazujące na istnienie tej współpracy. Admirala Dwinella to interesowało, ale zachował neutralność.

- Mimo że chodziło o Kadafiego? Narda wzruszyła ramionami.

- Wydaje się nam, że udział Pakistanu w tej sprawie jest bardzo niewygodny dla waszych władz. Poza tym, jak tylko my, Izraelczycy, zaczynamy mówić o powiązaniach z nazistami, uważa się to za objaw paranoi. W każdym razie admirał zbywał dostarczane mu informacje, twierdząc, że brak nam przekonujących dowodów. Kiedy dowiedzieliśmy się o planowanej wizycie Muellera w Waszyngtonie, powiadomiliśmy Agencję.

- I admirał nagle bardzo zainteresował się sprawą?

- Cóż, mimo wszystko chodziło o deportowanego niemieckiego specjalistę raketowego, a jednocześnie znanego zbrodniarza wojennego, który wraca do USA z pakistańskim paszportem dyplomatycznym. Z kim chciał się spotkać? Do czego zmierzał? Agencji nadarzyła się pierwszorzędna okazja, by potwierdzić nasze obawy.

- Więc admirał zlecił firmie Hickeya prowadzenie obserwacji, a pani i Manfredi wymyśliliście do tego przykrywkę. Pani została Lisa Gessler i opowiedziała Hickeyowi bajeczkę o Muellerze, który sprzedaje tajemnice należące do Topf A.G.

- Szpiegostwo gospodarcze wydawało się odpowiednie jako pretekst.

- Dlaczego firma Topf?

Wzruszyła ramionami, tłącym się końcem papierosa nakreśliła krzyżyk w popielniczce i wreszcie z zadumą spojrzała na Lawforda.

- Wykorzystanie tej nazwy przemawiało do makabrycznego poczucia humoru mojego szefa. W Topf zaprojektowano i wykonano ogromne podwójne krematorium dla obozu Auschwitz. - Westchnęła. - Zakładam, że Hickeya powiadomiono o ogromnym ryzyku wiążącym się z tym zadaniem.

Tom poczuł, jak przenika go chłód.

- Manfredi mówił, że ryzyko Hickeya było minimalne.

- Według nas było śmiertelne - odparła zdecydowanie.

- Ostrzegałam Manfrediego, że Mueller jest chroniony przez libijskich morderców mieszkających w ambasadzie Pakistanu i każdy, kto próbowałby go śledzić, naraża się na wielkie niebezpieczeństwo.

- Czy sugeruje pani, że Manfredi nigdy nie powiedział o tym Hickeyowi?

- To oczywiste, że albo Manfredi przemilczał to, albo admirał... Próbowaliśmy osła-

niać Hickeya. Pojechaliśmy za nim do Starke'a, ale... To stało się bardzo szybko. Pana przyjaciół był przynęta. Podejrzewam, że admirał ostrzegł Pakistańczyków i ich libijskich siepaczy, że Mueller jest pod obserwacją. Zastawiono pułapkę i zabójstwo Hickeya oznacza...

- Że nie chcieli, by Mueller był śledzony - wtrącił Tom - a grupa STS Kleisera jest kluczowym elementem w libijsko-pakistańskim spisku atomowym. Żeby mieć dowód, wystawili Hickeya.

Skinęła głową. Tom sęczył wino. Widziała gniewne błyski w jego oczach i zaciśnięte usta.

- Dlaczego pani mi to mówi?

- Ma pan prawo wiedzieć. Wierzę, że będzie pan tak samo szczery z nami.

- To znaczy z kim konkretnie?

- Pracuję dla Mossadu, ale podlegam bezpośrednio generałowi Dado Harelowi. Wydaje mi się, że pan go zna.

- To było dawno. Straciłem bębenek w uchu podczas waszej wojny w październiku 1973.

- To nie była nasza wojna - zaprotestowała gwałtownie. - Zostaliśmy zaatakowani w najświętszy dla nas dzień przez Egipt, Syrię, Irak i Jordanię.

- Wiem. Byłem tam.

- Cóż, niektórzy mają krótką pamięć. Prowadzimy wojnę od prawie pięćdziesięciu lat i świat ciągle przedstawia nas jako potwory. Jaki inny kraj wygrał wszystkie wojny w swej historii i oddał wszystkie zwycięstwa?

- Może mi pani oszczędzić polityki. Nic mnie to wszystko nie obchodzi.

Gwałtowny podmuch wiatru zatrzęsł oknem wychodzącym na Potomac.

- Przepraszam.

- W porządku - westchnął. - Niech mi pani powie, jak się miewa generał?

- Dobrze - odpowiedziała z cieniem smutku w głosie. Teraz Tom wiedział już, do kogo należy ta kobieta.

- Muszę zadać panu jedno pytanie i mam nadzieję, że... - zawahała się. - Musimy wiedzieć, jak dalece jest pan gotów z nami współpracować.

- Polecono mi w pełni współdziałać z pani rządem w sprawie powiązań STS z Libią - odparł. - Jeżeli odkryję wyrzutnie, mam natychmiast poinformować waszych ludzi. Odnoszę wrażenie, że izraelski atak na libijskie cele wojskowe nie wywoła płaczu w Waszyngtonie.

- A co z Pakistanem?

- Tu sytuacja wygląda inaczej. Admirał chce danych o ich Centrum Badań Jądrowych w Kahucie, ale nie będzie tolerował izraelskiego ataku na Pakistan.

- Skąd ten pomysł? Nie mamy możliwości technicznych, by dokonać takiego uderzenia. Tam i z powrotem z Teł-Awiwu do Kahuty jest pięć tysięcy dwieście mil.

Tom pomyślał, że dziewczyna zna tę odległość trochę za dokładnie, ale wzruszył ramionami i odparł z uśmiechem:

- Ja pracuję tutaj. Pytała pani, więc odpowiadam. Sto procent współpracy w sprawie Libii. Ale jeżeli odkryję jakieś izraelskie plany uderzenia na Kahutę, natychmiast powiadomię o tym admirała.

- Doceniam pana szczerość.

Milczeli, gdy kelner podawał im obiad i ponownie napełniał kieliszki winem.

- Uwaga - ostrzegł - talerz jest gorący. *Bon appetit.*

- Proszę mówić - zachęcił Tom.

- Za chwilę. - Wypiła łyk wina i powiedziała: - Otrzyma pan bilet pierwszej klasy do Frankfurtu z połączeniem do Berlina. Cała trasa Pan Americanem. Przyleci pan w czwartek, 16 stycznia i pojedzie taksówką do hotelu Kempiański, gdzie czekać będzie na pana Niemka, Eryka Sperling. Ona jest pana „wtyczką”. Nie muszę chyba mówić, jak bardzo jesteśmy wdzięczni.

- Nie bądźcie. Nie robię tego dla Izraela.

- Pańskie motywy to pana sprawa. Chcę tylko dać do zrozumienia, że nie jest pan sam.

Rozdział dziewiąty

Volvo generała Dado Harela wspinało się na strome zbocze płaskowyżu Golan. Daleko w dole zieleniła się Galilea. Chłodny wiatr wpadający przez otwarte okna samochodu delikatnie rozwiewał włosy Nardy. Mimo zmęczenia po długim locie z Waszyngtonu, gdy tylko znalazła się w Teł-Awiwie, rozpoczęła pracę z Dado.

Volvo osiągnęło szczyt i z turkotem przejechało po drewnianych belkach mostu Benot Ya'akow. W pobliżu zardzewiała skorupa czołgu Sherman spoczywała na bryle marmuru, na której wyryto nazwiska żołnierzy izraelskich, poległych w walce z syryjską nawałą pancerną 7 października 1973. Wśród nich znajdowało się nazwisko Harel.

Jechali w milczeniu za wojskowym jeepem w kierunku odległej, pokrytej czapą śniegu góry Hermon. Jednopasmowa asfaltowa droga przecinała złote pola pszenicy, na zboczach pagórków pasły się stada owiec.

Nic po obu stronach drogi nie przypominało, że przez ten rolniczy region przetoczyła się największa bitwa pancerna od czasów drugiej wojny światowej. Linia demarkacyjna między Izraelem a Syrią przebiegała tylko dziesięć kilometrów dalej na północ, ale nie było już śladu po bazach wojskowych czy lotniskach.

Narda przez chwilę przyglądała się Dado. Jego niebieskie oczy zblakły i były podkrążone. Zaczął siwieć. Bóg wie, co planuje, co może się kryć w tym komputerowym umyśle. Kochała go, ale ich związek doprowadzał ją do rozpacz. Harela nawiedzały koszmary i nadal związany był nierozzerwalnie z żoną, Avital. Choć pogrążona w mistycyzmie, stanowiła żyjące ogniwo łączące go z Danim.

Narda zamknęła oczy i pomyślała, że Żydzi to naród zmarłych synów, utraconych racji i nie kończących się intryg. Zastanawiała się, co zostało z dawnych marzeń o Ziemi Obiecanej. Pokolenie jej ojca posadziło miliony drzew, zasypało bagna, zaorało kamieniste pola i zbudowało żydowskie państwo, które miało być światłem narodów. Ale ludzie ksiąg przemienili się w ludzi wojny. Okrażonych, obleganych, wyklętych i przeklinanych przez wszystkich.

Po śmierci brata w Libanie, Narda zgłosiła się na ochotnika do służby w Oddziale Sił Specjalnych Dado Harela i w następnych latach narażała się częściej niż żołnierze liniowi. Życie, talent i niezależność poświęciła działalności, która miała odrodzić marzenia przodków.

Z daleka dobiegł nagły, świdrujący w uszach dźwięk. Samotny odrzutowiec F-16 przeleciał trzydzieści stóp nad volvo. Na jego skrzydłach pomalowanych w piaskowo-zielone łaty maskujące widniała niebieska Gwiazda Dawida. Patrzyli, jak samolot łukiem unosi się, skręca ostro i oddala się na zachód w stronę Morza Śródziemnego.

- Te dzieciaki cały czas ćwiczą - powiedział Dado.

- Dobrze, ale dlaczego ćwiczą na nas? Harel wzruszył ramionami.

- Jak często mają okazję śmiertelnie nastraszyć generała? Radiotelefon w samochodzie wypuścił strumień hebrajskich słów nadawanych z kwatery głównej armii w Tel-Awivie. Narda podała ich pozycję: sześć kilometrów na wschód od druzyjskiej wioski Madjal Shams.

Prowadzący jeep nabrał prędkości i Dado także przyspieszył.

Na szczycie góry Hermon widać było wyraźnie siatkę anten i obracające się radary. Wymyślne urządzenia nasłuchowe skierowane były na Damazek leżący o czterdzieści mil na północ.

Zza ostrego zakrętu wyjechali na górską przełęcz i znaleźli się w Madjal Shams. Wzdłuż ulicy stały budynki z białego kamienia z mauretańskimi łukami i koronkowymi balkonami. Na ocienionych tarasach starcy w ciemnych garniturach i czerwonych fezach grali w

trik-traka.

Kobiety tłoczyły się przy straganach z owocami, a z odbiorników radiowych. płynęła rzewna arabska muzyka. Afisz na dużym namiocie kina „Azziz” reklamował stary film z Clintem Eastwoodem.

Druzowie są plemieniem rozrzuconym po całym Bliskim Wschodzie, niezwykle wiernym krajowi, w którym zamieszkali. Izraelscy Druzowie służyli we wszystkich rodzajach sił zbrojnych i wyróżnili się walcząc w pięciu wojnach.

Dado skręcił za prowadzącym jeepem w wąską, wysadzaną drzewami uliczkę, i zaparkował przed dwupiętrowym domem w kolorze ochry, należącym do naczelnika wioski.

Mężczyźni usiedli na orientalnym dywanie pośrodku kopuła watego salonu. Żona naczelnika i najstarsza córka podały hummus, smażone sardynki, rybę z rusztu, jagnięce kotlety i szpinak z czosnkiem.

Uczestniczyli w spotkaniu: generał Arik Carmi - szef Wywiadu i Planowania Strategicznego Lotnictwa, Zew Berger szef Mossadu, Matty Alon - szef Wywiadu Marynarki Wojennej, Uri Erez - dowódca komandosów morskich i generał Dado Harel. Miejsce - dom w druzyjskiej wiosce wybrano świadomie, żeby uniknąć wszędobylskiej prasy izraelskiej.

Zgodnie z obyczajem Narda zjadła lunch w przedsionku wraz z innymi kobietami z tego domu. Później dołączyła do mężczyzn w obszernym gabinecie, którego okna dawały wspaniały widok na Galileę.

Dado wyszedł na niewielki balkon i gestem przekazał żołnierzom w czerwonych беретach sygnał „dziesięć minut”. Wrócił do pokoju i stanął na środku.

56

- Tylko siedmiu ludzi wie cokolwiek o planowanej operacji - zaczął. - Premier, Zew Berger, Narda Simone, ja, dyrektor CIA admirał Dwinell, jego zastępca Albert Manfredi i amerykański dziennikarz Tom Lawford. - Po krótkiej przerwie kontynuował poważnym tonem. - To, co tu mówię, musi zostać między nami. Pamiętajcie wszyscy przeciek do prasy na dwanaście godzin przed wypadem na reaktor w Bagdadzie. Jedynie dzięki sprawności naszych pilotów uniknęliśmy wykrycia i klęski.

Nastąpiła chwila ciszy, zanim Berger zapytał:

- A Amerykanie? Co zrobimy, jeśli zdecydują się coś ujawnić?

- Ich wiedza ogranicza się do tej fazy działania, która ma na celu zlokalizowanie bazy rakiet niemieckich w Libii. Poza tym pamiętajcie, że misja składa się z dwóch operacji. Pierwsza - libijska - nosi kryptonim „Czerwona Pustynia”. Druga - pakistańska - nie ma jeszcze ani nazwy, ani planu. Wiadomo wam o związkach Libii z Pakistanem. Wkrótce głowice

nuklearne zostaną dostarczone Kadafiemu. Według profesora Newmana trzy bomby wielkości tych, które spadły na Hiroszimę, wystarczą, by zniszczyć nasz kraj. Dzięki Januszowi udało się nam wnikać do tak zwanych Systemów Transportu Satelitarnego doktora Kleisera. Mamy też agenta w pakistańskim centrum atomowym w Kahucie. Na współpracę Amerykanów możemy liczyć jedynie przy operacji libijskiej. Sprawa Pakistanu pozostaje otwarta.

Dado podszedł do biurka, zapalił papierosa i zwrócił się do szefa lotnictwa.

- Arik, musisz zacząć od zaraz szkolić chłopców do misji dalekiego zasięgu nad Libią. Chodzi o uderzenie na obozy szkolenia terrorystów w Sidi Barrani, nową fabrykę gazów trujących w Bin Gashir, wojskowe centrum dowodzenia w Trypolisie, rafinerie ropy, bazy czołgowe, lotniska i niewielki reaktor w Tajurze. Uri - zwrócił się do dowódcy morskich komandosów - przygotujesz lądowiska w Benghazi, trzeba zniszczyć centrum łączności przed atakiem lotniczym. - Następnie zwrócił się do szefa Wywiadu Marynarki Wojennej. - Matty, zapewnisz pomoc przy lądowaniach i późniejszym wycofaniu komandosów. Będzie nam potrzebny system wsparcia ogniowego z kutrów raketowych i statki z helikopterami ratunkowymi. Janusz dostarczy ogólnych danych wywiadowczych, w tym zdjęcia satelitarne. Narda będzie pełnić funkcję koordynatora planu. Całą operację należy przeprowadzić błyskawicznie. Będziecie mieli nie więcej niż piętnaście minut - w powietrzu, na morzu i na lądzie.

- Przygotowanie takiej misji i przeszkolenie ludzi kosztuje majątek - poskarżył się generał lotnictwa. - Nie mam finansów na taką operację.

- Narda dopilnuje przekazania wszystkich potrzebnych środków.

- To nie atak antyterrorystyczny - naciskał dalej Carmil.

- Mówisz o wielkiej operacji: różnorodnym zaopatrzeniu, unikaniu radarów, połączonym planowaniu logistycznym różnych rodzajów wojsk, tankowcach, miejscach ześrodkowań nad Morzem Śródziemnym, meteorologii, łączności ziemia-powietrze, elektronicznych stacjach zakłócających Hawkeye E-2 i E-3, zaplanowaniu tras w obie strony oraz czasu nad celem, możliwości przeciwwuderzenia i...

- Przestań, Arik - przerwał Dado. - Na razie proszę cię tylko o zrobienie wstępnego planu tej operacji. Kiedy będzie gotowy, spotkamy się, żeby uzgodnić szczegóły.

- Ile mam czasu?

- Tydzień.

- A co z wyrzutnią? Pustynia Libijska to nie Tel-Awiw. Musisz dokładnie określić miejsce.

- Znajdziemy je. Spotkamy się za siedem dni w Gabinetce Wojennym.

Wszyscy wstali, a głos zabrał Berger.

- Mam pytanie. Nawet jeżeli zlokalizujemy bazę raketową i ją rozbijemy, to czy nie będzie tak, jak gdybyśmy leczyli nowotwór za pomocą plastra z opatrunkiem?

W pokoju zapadła cisza.

- O co ci chodzi? - zapytał spokojnie Dado.

- Pakistan będzie nadal produkował głowice jądrowe, niezależnie od tego, co stanie się w Libii. Co im przeszkadza dać bombę o sile dwudziestu kiloton Syryjczykom? Albo Saudyjczykom? Albo Iranowi? Irakowi? A nawet Egipcjom? Uderzenie lotnicze na Libię da nam trochę czasu, ale to

Kahuta jest głową węża i tak długo, jak działa, zagrożony jest byt naszego narodu.

Generał Carmil z lotnictwa odezwał się, zanim Dado zdążył odpowiedzieć.

- Chcę, żebyście wszyscy zrozumieli, że atak lotniczy na północno-wschodni Pakistan przekracza możliwości naszych F-16 i F-15.

W zalanym słońcem pokoju zapanowała ponura cisza. Dado spojrzał na wpatrzonych w niego mężczyzn. Ci ludzie wytrzymali okrutny nacisk najnowszej historii, pięciu wojen, terroru bez końca. Ich odwaga i determinacja sprawiły, że ten niewielki naród przetrwał w morzu nienawiści. Nie byli ani politykami, ani poetami, ani filozofami. Byli wojskowymi, a takim ludziom mówi się wszystko, bez owijania w bawełnę.

- Masz rację, Janusz - przyznał Dado. - Kahuta jest głową węża. Ale w tej chwili mogę tylko powiedzieć to, że musicie pozostawić ten problem mnie. Skoncentrujcie się na Libii. Mamy rachunek do wyrównania z pułkownikiem Kadafim. To najbardziej tajna operacja z tych, jakie kiedykolwiek podejmowaliśmy. Nie będzie pisanych instrukcji. Narda dostarczy kody do rozmów telefonicznych.

Kiedy zebrani zaczęli się rozchodzić, Berger poprosił Dado na stronę.

- Mój agent w STS poinformował mnie, że Alois Brunner, niemiecki specjalista, który nadzorował start V-5, powrócił z Libii do Hamburga. Pomyślałem, że może Penelopa powinna złożyć mu wizytę.

- W porządku. Działaj, Janusz.

Gdy minęli most Benot Ya'akow i zjeżdżali serpentyną w kierunku wybrzeża Galilei, Narda powiedziała:

- Ten przewrotny sukinsyn, Berger, próbował się dowiedzieć, jak zamierzasz rozprawić się z Kahuta.

Dado odgarnął jej włosy z czoła i uśmiechnął się.

- Zapomnij o tym, Narda. Popatrz na Morze Martwe, na zmarszczki' ponad mieliznami. Tam Chrystus chodził po wodzie. On był prawdziwym zbawcą. Największym ze wszyst-

kich Żydów. Nauczył nas sztuki zmartwychwstania.

Rozdział dziesiąty

Alois Brunner stał w przedniej kabine zatłoczonego promu pasażerskiego, płynącego przez jezioro Alster ku przystani Uhlenhurst. Ciemnoszare zimowe niebo nad Hamburgiem nie psuło mu humoru. Współpasażerowie podziwiali jego opaleniznę, a starszawa sąsiadka wypytywała go, czy był na nartach w Austrii. Potwierdził. Następnie zainteresowała się zdrowiem jego chorowitej żony. Wyjaśnił, że *Frau* Brunner nadal jest w klinice w Szwajcarii, po czym przeprosił uprzejmie i wyszedł z kabiny.

Na pokładzie dziobowym zaciągnął się głęboko chłodnym powietrzem. Za długo był w Libii. Sahara to piekielne otoczenie: brudni Arabowie, skorpiony, muchy piaskowe, palący żar w ciągu dnia i chłodne noce. Po pomyślnym starcie V-5 poleciał z Trypolisu do Monachium i złożył raport Muellerowi. Niestety doktor Kleiser był w Berlinie i nie mógł osobiście przyjąć meldunku. Mściwa i agresywna prasa niemiecka znowu zaatakowała działania STS. Ktoś puścił farbę o pomyślnym starcie rakiety i chociaż doniesienie to nie zostało potwierdzone przez satelity, i tak sprawiło Kleiserowi kłopot. Departament Stanu USA skierował formalny protest do rządu w Bonn. Izraelczycy zachowali się zaskakująco spokojnie, ale mieli inne problemy do rozwiązania. Jeżeli da się utrzymać ciszę w tej sprawie przez następny miesiąc, Kadafi „wykończy to syjonistyczne państwo raz na zawsze. Inaczej zareagowali Rosjanie. Złożyli oświadczenie, że niemieckie rakiety balistyczne pogwałciły warunki kapitulacji 1945 roku. Chociaż rozwiązywanie tych problemów nie należało do zadań Brunnera, martwiły go nieprzychylnie komentarze prasy. Pocieszała go jednak myśl, że Kleiser jest wspaniałym propagandzistą i niewątpliwie poradzi sobie z negatywnymi opiniami o firmie.

Ogólnie biorąc, wszystko układało się dobrze pod wieloma względami. Brunner spędził noc ze swą dziewiętnastoletnią kochanką, studentką uniwersytetu hamburskiego. Finansował jej studia oraz różne zachcianki i nie oszukiwał się, że to jego umiejętności w zakresie sztuki miłosnej wpływają na dobry nastrój *Frau/ein* Kluge. Podlizywała mu się bezwstydnie, chwalać jego wygląd i opaleniznę. Dał jej złotą bransoletkę, którą kupił na bazarze w Trypolisie, a dziewczyna piszcziała z radości, obejmowała go i całowała - planowali „spędzić sobotni wieczór w operze.

Stukot silnika osłabł i konduktor zapowiedział „Uhlen-hurst”. Brunner schodził z promu z pierwszą grupą pasażerów, spieszył się, gdyż chciał uniknąć wścibskiej sąsiadki.

Idąc ulicą wzdłuż brzegu jeziora, Brunner jak zwykle patrzył z podziwem na odbudo-

wane z pietyzmem reprezentacyjne wille luksusowej dzielnicy, która w całości spłonęła po nalocie brytyjskim w listopadzie 1944. Otworzył niską bramkę budynku przy Schone Aussicht 38. Piętrowy dom, kupiony w 1962 roku, od tego czasu zyskał na wartości dziesięciokrotnie. Jego żona pielęgnowała ogród i dbała o kwiaty do chwili, gdy zapadła na śmiertelną chorobę, która uniemożliwiała jej jakikolwiek wysiłek fizyczny.

Tęga, siwa gospodyni przywitała go w drzwiach i oznajmiła, że paczka z Berlina, na którą czekał, została dostarczona przez posłańca i jest na biurku.

Gabinet Brunnera był zagracony, ale wygodny. Duże okno wychodziło na ulicę i jezioro. Popatrzył na gruby, obwiązany sznurkiem pakiet w beżowo-czerwonych kolorach STS leżący na biurku. Wiedział, że paczka zawiera rysunki techniczne dysz wydechowych. Naciśnął interkom i usłyszał głos gospodyni.

- *Ja, Herr Doktor?*

- *Tee, bitte.*

Brunner usiadł, przysunął paczkę i rozwiązał brązowy sznurek. W twarz buchnął mu jasnozłoty płomień. Jego ręce, wyrwane ze stawów, poleciały za okno. Fala uderzeniowa zmiotła ściany, a meble z sypialni na piętrze zwały się w płonące gruzy gabinetu.

Sympatyczna kobieta w średnim wieku, która siedziała za kierownicą półciężarówki zaparkowanej po przeciwnej stronie ulicy, zjadła ostatnią kanapkę z jajkiem, uruchomiła silnik i ruszyła od krawężnika.

Rozdział jedenasty

Samolot lecący z Frankfurtu do Berlina wylądował na lotnisku Tegel o 11.35. La-wford szybko odnalazł swą walizkę i przeszedł do kontroli celnej. Młody urzędnik rzucił po-bieżne spojrzenie na jego paszport i zwrócił go ze słowami; „Witamy w Berlinie”.

Wychodząc z budynku dworca lotniczego Tom odczuł ukąszenie zimnego powietrza. Tym razem, nie tak jak w Waszyngtonie, ubrany był stosownie do temperatury; miał buty na futrówce, wełniany sweter, gruby płaszcz z wielbłądziej wełny i papachę. Zatrzymał taksówkę, umieścił walizkę z przodu, obok kierowcy, i powiedział:

- Hotel Kempinski.

Rozsiadł się na miękkiej skórze, czując lekki zawrót głowy, objaw towarzyszący cho-robie lotniczej. Długi lot dał mu dość czasu na rozważania o wypadkach, jakie nastąpiły w Waszyngtonie. Myśl, że Hickey został wystawiony na przynętę, mroziła krew w żyłach, ale cóż, praktycyzm i pragmatyzm były podstawowymi zasadami w działaniu admirała. Teraz

Lawford nie był nic winien Agencji. Jedyne zobowiązania miał wobec Hickeya. Postara się przeniknąć sojusz nazistowsko-libijski i będzie współpracować z Izraelczykami dopóty, dopóki nie osiągnie swego celu.

Niebo nad Berlinem było ołowiane, a nieliczne płatki śniegu tańczyły na wietrze. Przejechali most nad jeziorem Havel i wjechali na sześciopasmową autostradę.

Tom znał to miasto, ponieważ wielokrotnie relacjonował stąd liczne rozgrywające się tu wydarzenia. Wolał część wschodnią od zachodniej. To, co ocalało z czasów przedwojennych, wspaniałe Muzeum Pergamońskie, Brama Brandenburska, Unter den Linden, Teatr Brechta i Weilla oraz ruiny starego hotelu Adlon, znajdowało się właśnie tutaj. Tam też stały niektóre spośród wielu niesławnych budynków Trzeciej Rzeszy: Kwatera Główna Luftwaffe, Ministerstwo Propagandy Rzeszy i niewinnie wyglądający budynek w musztardowym kolorze, który mieścił osławioną Sekcję Ludobójstwa IVB4.

Tom zauważył wetknięty za oparcie siedzenia numer „International Herald Tribune”, wyjął go, spojrzął na pierwszą stronę i nagle zainteresował się tym, co zobaczył. Fotografia z podpisem *Dr Alois Brunner* przedstawiała człowieka, którego rozerwał na kawałki wybuch, jaki nastąpił w jego mieszkaniu w Hamburgu. Policja podejrzewała lewacką grupę terrorystyczną. Towarzyszący zdjęciu artykuł informował, że Brunner był w przeszłości pracującym dla hitlerowców naukowcem, zajmującym się techniką raketową, a ostatnio pracownikiem zachodnioniemieckiego przedsiębiorstwa o nazwie Systemy Transportu Satelitarnego. Resztę artykułu stanowiło skrótowe przedstawienie STS i jego dyrektora naczelnego, doktora Fritza Kleisera. Tom zastanawiał się, kto zabił Brunnera i jaki to ma związek z jego misją, ale nie odczuwał sympatii dla zamordowanego. Przypomnił sobie ziarnisty film, na którym Brunner i Mueller w Nordhausen patrzą na ciała przymusowych robotników obracające się na drutach przywiązanych do ramienia dźwigu.

Taksówka skręciła w Fasanenstrasse i zatrzymała się przed hotelem Kempinski. Tom dał kierowcy duży napiwek i poszedł za portierem do recepcji. Szybko załatwił wszystkie formalności i wraz z zastępcą kierownika udał się do pokoju na piątym piętrze.

Niewielki apartament znajdował się na samym końcu korytarza. Okna wychodziły na Fasanenstrasse. Z salonu Tom widział trójramienną gwiazdę mercedesa obracającą się na dachu biurowca Europa Center. Podziękował zastępcy kierownika i zamknął drzwi, zadowolony, że wreszcie jest sam.

Zaczynał dokuczać mu ból u nasady szyi, promieniujący aż do lewej ręki. Wyjął z minibaru butelkę pilsnera, łyknął trzy aspiryny i popił piwem. Potem zaciągnął zasłony, rozebrał się, ściągnął kapę z podwójnego łóżka i wsunął się pod kołdrę.

Zamykając oczy myślał o ostatniej rozmowie z żoną. Powiedział jej, że wyjeżdża służbowo do Europy, i że gdyby czegoś potrzebowała, ma zadzwonić do jego kierownika działu. Klaudia była niezłą pisarką i zapowiadała się na świetną poetkę, ale nigdy nie wierzyła w swój talent. Tęsknił do niej i czuł bezcelowość próby ucieczki przed przeszłością. Co się do cholery z nimi stało? Przypomnił sobie stare hiszpańskie przysłowie: „W miłości upływa czas; z czasem odpływa miłość”.

Z wolna opuszczała go świadomość i ogarniała senność.

Twarze i obrazy przelatywały jak szybkie ujęcia na filmie; ciemne tunele Nordhausen, topaz w oczach Nardy Simone, przebiegły uśmiech admirała i zimne oczy Manfrediego, bokserские rysy Roberta Steina, kulejący czarny olbrzym, Larry Dutton, nękany wrzodem Steve Garrett, beznamiętny Arab - zabójca oglądający mecz, i Mueller, i Brunner. I Hickey z wybałuszonymi oczami, przyciskający dłonie do krwawiącej szyi. Wizje rozbłyskiwały i gasły; ciąg cieni sięgający wstecz do laotańskiej dżungli. Wreszcie, jakby litując się nad nim, zbladły i zniknęły. Pogrążył się w ciemnej pustce snu.

Rozdział dwunasty

Doktor Fritz Kleiser wyjrzał przez zaciemnione okno luksusowego apartamentu na najwyższym piętrze Europa Center. Mierzący ponad sześć stóp męczyzna atletycznej budowy zbliżał się już do sześćdziesiątki. Jego ciemne, zadumane oczy i nienaganne maniery należały do innych Niemiec - do Niemiec szlachty i pruskiej arystokracji. Nosił kosztowne ubrania i rzadko zmieniał kombinację złożoną z ciemnych garniturów szytych na Seville Row, lśniących włoskich butów, niebieskich koszul i jedwabnych krawatów w kasztanowym kolorze.

Od kiedy pamiętał, darzył uwielbieniem niemieckich naukowców raketowych, których geniusz dał światu technikę kosmiczną. Gdy rząd amerykański wydalil ich w 1980 roku, Kleiser skaperował paru do swej raczkującej w tym czasie firmy Systemy Transportu Satelitarnego. Wypuścił do publicznej sprzedaży akcje, zebrał miliony marek i zbudował montażownie raket w Monachium i Stuttgarcie.

Zaoferował korzystne kontrakty absolwentom Wydziału Techniki Kosmicznej Uniwersytetu w Monachium i uzupełnił młodą kadrą starzejące się grono naukowców-weteranów.

Wierzył, jako fizyk, że proste systemy napędowe raket V-1 i V-2 mogły być uzupełnione grupami współosiowych dopalaczy raketowych zdolnych do umieszczania na orbicie

satelitów komunikacyjnych i szpiegowskich za ułamek kosztów ponoszonych przy produkcji rakiet amerykańskich czy radzieckich. Choć napędzane paliwem ciekłym wymagały długiej procedury startowej, ulepszone V-5 mogły przenieść jednotonową głowicę nuklearną lub konwencjonalną na ponad tysiąc mil.

Kleiser znalazł zapalonych potencjalnych nabywców w Arabii Saudyjskiej, Iraku, Libii i Syrii oraz rozpoczął współpracę z pułkownikiem Kadafim. Libijski dyktator przekazał STS z góry blisko miliard dolarów i zapewnił poligon, wyposażoną bazę, podziemny silos i sterownię. Strumień dolarów Kadafiego umożliwił Kleiserowi zakup precyzyjnego sprzętu od potentatów niemieckiego przemysłu: Telefunkena, Siemens, Daimler-Benz i Mercka. Wszystkie materiały dostarczono do Libii za pośrednictwem firmy Blankurt-Becker A.G. z Zurychu.

Kleiser wiedział, że to pakistańskie głowice jądrowe zostaną umieszczone na V-5 i nie miał żadnych wątpliwości, dla kogo będą przeznaczone, ale apokaliptyczne konsekwencje nie miały znaczenia. Jeśli Kadafi otrzyma z Pakistanu głowice atomowe, firma STS nie będzie prawnie odpowiedzialna za niewłaściwe wykorzystanie V-5 przez klienta. Kleiser był biznesmenem, a nie moralistą, i miał niewiele szacunku dla Arabów czy Żydów. Chociaż uważał Hitlera za szaleńca, to jednak zgadzał się z nazistowską doktryną czystości rasowej. Gdyby jego rakiety startujące z Libii miały zniszczyć Izrael, to niech i tak będzie. Na pewno świata będzie lżej, gdy Arabowie i Żydzi wymordują się nawzajem.

Oczywiście próbował zachowywać pozory, że jego firma przeprowadza badania przestrzeni kosmicznej wyłącznie w celach pokojowych. Ale wobec codziennych informacji prasowych o niemieckim współudziale w budowie libijskich i irackich fabryk gazów trujących i broni biologicznej utrzymanie wersji niewinnych badań kosmicznych stawało się coraz trudniejsze. Prasa spowodowała wszczęcie postępowań przeciwko niektórym z jego kolegów w Imhausen Chemie, IBI Engineering i Ruchstoff Einfuhr. Dziennikarze prześcigali się w ujawnianiu skandalicznego łamania mało precyzyjnych niemieckich przepisów eksportowych przez wiele dotąd szanowanych firm przemysłowych. Nawet prawniczy „Der Spiegel” zadał pytanie dotyczące prawdziwych intencji STS w Libii. Choć sensacyjne nagłówki wynikały z plotek i pomówień, to stwarzały napięcie w zachodnioniemieckim rządzie. Na szczęście Stany Zjednoczone nie oskarżyły formalnie STS o jakiegokolwiek niewłaściwe postępowanie. Krajom Trzeciego Świata, nawet Libii, nie można było odmówić prawa do taniego systemu telekomunikacji satelitarnej. Pomimo to, w miarę zbliżania się terminu przekazania Libii pakistańskich głowic atomowych, ryzyko zdemaskowania akcji rosło.

Kleiser potrzebował czasu, miesiąca, góra sześciu tygodni, by osiągnąć swój cel.

Otrzyma ostatnią część wypłaty - siedemset milionów dolarów - od Kadafiego i będzie miał wystarczający kapitał, by stać się jednym z głównych potentatów przemysłu kosmicznego. Oczywiście, będzie utrzymywał, że nic nie wiedział o libijskim ataku atomowym na Izrael. Wojna nuklearna na Bliskim Wschodzie nikogo nie może zaskoczyć. Trudno będzie światu obciążyć winą STS. Wszystko, czego potrzebuje teraz, to czas i szczęście. Niedawny próbny start V-5 przeprowadzony przez Brunnera był doskonały w każdym szczególe, ale niestety gdzieś nastąpił przeciek informacji, nie potwierdzonych wprawdzie, ale mimo to wywołujących burzę protestów na łamach prasy światowej. A Brunner został brutalnie zamordowany w Hamburgu.

Kleiser bębnił palcami o blat biurka. Brunner... Mogło go załatwić KGB, CIA lub Mossad. Niewykluczone, że Abu Hasi, libijski oficer nadzoru, miał coś wspólnego ze śmiercią Brunnera. Przecież to Brunner przeprowadził test, nastąpił przeciek i Hasi podejrzewał STS. Hasi z zasady gardził wszystkimi ludźmi Zachodu, cierpiał na obsesję podejrzliwości i wszędzie widział wymyślonych wrogów. Wkrótce będzie musiał porozmawiać z Hasim. Trzeba kontrolować tych Arabów.

W każdym razie zabójstwo Brunnera było wyraźnym ostrzeżeniem. Będzie musiał przedsięwziąć natychmiastowe działania w celu zwiększenia bezpieczeństwa w montażowniach w Monachium i Stuttgarcie. Należy zachować spokój i porządek. Porządek to najczystsza forma sztuki. Najwymyślniejsze równania matematyczne wymagają porządku. W tym wypadku zależał on od właściwego odbioru społecznego. Klucz był we właściwym miejscu. Teraz trzeba go przekręcić. Nachylił się i wcisnął przycisk na konsoli łączności wewnętrznej.

- Tak?

- Czy Lawford przyjechał?

- Recepcja potwierdziła jego przyjazd.

- Zajmij się tym, Eryko.

Rozdział trzynasty

Lawford obudził się całkowicie otępiały i dopiero po chwili dotarło do niego, gdzie jest. Cyfrowy zegarek na stoliku nocnym wskazywał 20.26. Spał ponad osiem godzin i nadal czuł się zmęczony, ale ból w lewym ramieniu ustąpił.

Wstał, przeciągnął się i rozsunął zasłony. Trójramienny symbol mercedesa powoli obracał się na szczycie Europa Center. Po przeciwnej stronie ulicy mała odrestaurowana synagoga z podświetloną Gwiazdą Dawida stanowiła przyczynek do niemieckiego sumienia.

Ciemnobrązowy budynek zniszczyli faszystowscy oprawcy podczas Kryształowej Nocy w listopadzie 1938.

Tomowi nagle zrobiło się gorąco, przestawił więc regulator temperatury i usłyszał syk, gdy czujnik odcinał dopływ ciepła. Potrzebował świeżego powietrza i był głodny.

Ruch w holu był niewielki, a z baru dobiegały dźwięki fortepianu. Kilka eleganckich par kierowało się do sławnej restauracji „Kempiński”, ale Tom miał ochotę na posiłek w stylu amerykańskim, więc recepcjonista doradził mu „Pariser Cafe” na Meineckestrasse.

Kurfiirsterdamm tętniło nocnym życiem - alfonsi, obnośni sprzedawcy i handlarze haszyszu pracowali w bramach domów i kioskach w przejściach podziemnych. Migające pomarańczowe lampki reklamowały bary porno - „Mirelle”, „Triangle”, „Ilona” - a zadziwiająca seria neonowych postaci w wymyślnych układach zapalała się nad klubem „Adam i Ewa”.

„Pariser Cafe” okazała się restauracyjnym szklarniowym ogródkiem, ogrzewanym podczas zimy. Przy ciasno ustawionych stolikach siedział tłum ożywionych, młodych ludzi. Najnowszy przebój Whitney Houston rozbrzmiewał z głośników, wytwarzając intymną atmosferę.

Tom popił piwa, następnie zapalił papierosa łudząc się, że gdy tylko skończy zadanie, rzuci palenie na zawsze. Zauważył ładną parę przy sąsiednim stoliku. Trzymali się za ręce i wyglądali na bardzo sobą zajętych, ale dziewczyna od czasu do czasu spoglądała nieśmiało na Toma. Dzieciaki, pomyślał.

Muzyka zmieniła się z łagodnego rocka na romantyczną balladę Aznavoura i francuskie słowa piosenki przypomniały mu Klaudię i Paryż. Wiedział teraz, że początek kryzysu w ich małżeństwie nastąpił w lecie 1983, w ostatnich dniach sierpnia, gdy lekarz potwierdził, że Klaudia jest w ciąży. W tym samym tygodniu poleciał do Bejrutu.

Były to czasy, gdy porywanie dziennikarzy było w modzie. Ktoś doniósł ludziom z Hezbollah, że Lawford jest w mieście, a oni zastawili na niego pułapkę na Rue Verdun w muzulmańskim Zachodnim Bejrucie. Czarna ciężarówka wytoczyła się z przecznicy, skręciła w ulicę, którą jechał Lawford, i zablokowała drogę. Tom złapał AK-47 kierowcy i położył trupem trzech zamaskowanych terrorystów, gdy wyskakiwali ze swego samochodu. Radzieckim pistoletem maszynowym posługiwał się jak doskonały snajper dzięki wieloletniej praktyce w laotańskiej dżungli.

To było pół minuty piekła. Trzydzieści sekund gryzącego dymu, gwałtownych serii strzałów, ciał padających jak szmaciane kukły i pisku opon, gdy samochód objechał półciężarówkę i pognął przez Zieloną Linie ku bezpieczeństwu Bejrutu Wschodniego. Nadawane przez telewizję i publikowane w prasie sprawozdania o nieudanym porwaniu natychmiast

zrobiły z niego gwiazdę masowego przekazu, ale Liban kosztował go drogo. Klaudia straciła dziecko, a płomień, który ogrzewał ich małżeństwo przez lata, wygasł. Dla niej jego eskapada do Bejrutu była tą o jedną za wiele i Tom zawsze podejrzewał, że usunęła ciążę.

68

Rozgniółł papierosa i westchnął ciężko, zastanawiając się, czego właściwie szuka w tym nieszczęsnym mieście. Zemsty za Hickeya? Tak - ale było jeszcze coś ważniejszego. Musiał znaleźć nowy cel w życiu, zanim uczucie przygnębienia poniesie go w odludne miejsce, gdzie wszystko jest powtórzeniem.

Po obiedzie przeszedł szybko milę do Budapesterstrasse, zatrzymując się na moment przy legendarnym berlińskim zoo. Kilka lat temu napisał historię tego ogrodu. Berlińskie zoo stało się dziwacznym miejscem ostatniego, desperackiego oporu fanatycznych oddziałów SS, stawianego pięciu radzieckim dywizjom pancernym. Zawsze uderzał Toma ironiczny fakt, że tysiącletnia Rzesza Hitlera upadła w niesławie w ogrodzie zoologicznym.

Patrzył na ponure betonowe fronty budynków i dumał nad tą ostatnią bitwą - czołgi, rakiety, pociski, broń automatyczna, oszalałe zwierzęta i Wagnerowski *Zmierzch Bogów* rozbrzmiewający z głośników. Zadrżał w podmuchu ostrego, chłodnego powietrza i obiecując sobie, że odwiedzi to miejsce, poszedł dalej.

Jakieś dwadzieścia minut później znalazł się w okolicy Pótsdammer Platz. Przechodził obok majestatycznych fasad opuszczonych przedwojennych ambasad Włoch, Hiszpanii i Francji, których wnętrza wypaliły pociski. Ambasady mieściły się teraz w Bonn, a te upiorne relikty Berlina z *Belle Epoque* pozostawały nie zamieszkane przez blisko pięćdziesiąt lat. Jego dziennikarska dusza była zaintrygowana sekretami ukrytymi w zrujnowanych salonach.

Jęk syreny i migające niebieskie światło pędzącej furgonetki policyjnej wyrwały go z zamyślenia. Poza dudnieniem przejeżdżającego po estakadzie S-Bahnu, wokół panowała złowieszcza cisza. Przyspieszając kroku przeszedł przez słabo oświetlony bulwar i ruszył wzdłuż długiej linii opuszczonych domów mieszkalnych o zabitych deskami drzwiami i oknach. Nie było przechodniów, żadnych samochodów, żadnych oznak życia.

Jedynym dźwiękiem był odgłos jego własnych kroków, dudniących po bruku. Tom zaczął odczuwać narastający niepokój. Był nie uzbrojony, w obcym mieście, zajmował się śmiertelnie niebezpiecznym spiskiem i w swej głupocie zapuścił się na opuszczoną ziemię niczyją.

Pośpiesznie zawrócił w stronę Budapesterstrasse. Jego oddech parował w chłodnym powietrzu, kiedy prawie biegł w stronę poprzecznej ulicy przechodzącej pod estakadą S-Bahnu.

Był około dwustu stóp od rogu tej ulicy, gdy zobaczył powoli zbliżającego się ku niemu mercedesa z wygaszonymi światłami.

Usłyszał turkot nadjeżdżającego pociągu i odczuł pierwszy znak strachu.

To byli zawodowcy. Nie popełniali błędów. Hickeya załatwiono w sekundę. Ktokolwiek znajdował się w mercedesie, był na pewno uzbrojony w broń automatyczną. Poczekaj na przejeżdżający z hukiem pociąg. Hałas zagłuszy łoskot karabinu maszynowego.

Lawford spojrzał na pobliskie domy, ale ich drzwi były zabite deskami. Żadnego schronienia. Żadnego miejsca, gdzie można by uciec. Stukot jadącego estakadą pociągu nabierał mocy. Tomowi huczało w skroniach, a lodowate kropelki potu występowały na czoło i spływały po policzkach. Zaczął biec szybciej, ale było za późno.

Z piskiem trących o kostkę opon, zaciemniony mercedes skręcił gwałtownie, przejechał przez pas ruchu, wskoczył na chodnik i gwałtownie zatrzymał się przed Tomem. Pociąg dudnił wprost nad nimi.

Lawford zacisnął pięści i wyprężył ciało, oczekując na gorące uderzenie kul.

Ostre światła strzeliły mu prosto w twarz, oślepiając go i zatrzymując w miejscu. Drzwiczki samochodu otworzyły się i dwaj mężczyźni z wyciągniętymi pistoletami kazali mu podnieść ręce do góry.

- Paszport! - rozkazał większy z nich, noszący pozbawione oprawek okulary.

- Nie mam - wychrypiał Tom. - Zostawiłem w recepcji hotelu Kempinski.

- Obrócić się! Ręce na ścianę!

Chudy, żyłasty mężczyzna obmacał go od stóp do głów i wyciągnął portfel. Obaj następnicy spojrzeli na nowojorskie prawo jazdy oraz przezroczystą kopertę zawierającą kartę ubezpieczenia. Po otwarciu futeralika na wizytówki, chudy wyjął przepustkę Lawforda do CBS i zieloną kartę prasową Reutera. Podczas gdy większy z nich trzymał Lawforda na muszce, chudy wrócił do mercedesa i odbył dwie krótkie rozmowy przez telefon. Po chwili, która zdawała się trwać wiecznie, wrócił.

- To miejsce przelotu haszyszu ze Wschodu na Zachód. Co pan tu robi, panie Lawford?

- Wspominam - odparł Tom głupekowato.

- Proszę z nami. Podrzucimy pana do Kempinki. Pokój w hotelu jest bezpieczniejszym miejscem do wspomnień.

Rozdział czternasty

Centrum Badań Jądrowych w Kahucie rozłożyło się na pofałdowanych wzgórzach północno-wschodniego Pakistanu, dwadzieścia pięć kilometrów od dwumiasa Islamabad i Rawal-pindi. Pięć poziomów roboczych znajdowało się pod ziemią; widoczne były tylko kopała ochronna z betonu, instalacja filtrów powietrza, koszary i parking. Kompleks otaczał płot pod wysokim napięciem, zwieńczony warstwami drutu kolczastego. Wysokie wieże wartownicze wyposażone w potężne węglowe lampy łukowe oświetlały ogrodzenie. Spadochroniarze z elitarnej Trzeciej Brygady patrolowali obiekt. Strategicznie rozmieszczone rakiety ziemia-powietrze typu „Crotale” wycelowane były w niebo, a klucze amerykańskich myśliwców F-16 patrolowały obszar w kierunku wschodnim, w stronę Indii. Czołgi blokowały drogi prowadzące do Kalkuty. Wjazd do wioski zabroniony był pojazdom wojskowym i cywilnym, które nie posiadały przepustki ostemplowanej przez Szefa Bezpieczeństwa.

Dyrektorem Kahuty był wybitny metalurg pakistański, Farheed Shah. Shah poświęcił życie osiągnięciu jedyne go celu - konstrukcji pakistańskiej bomby jądrowej. Uważał Kahutę za symbol rodzącej się doskonałości naukowej Pakistanu i poruszał się po labiryncie korytarzy z niemal duchową radością, jak gdyby był kustoszem muzeum wypełnionego cudownymi skarbami. Był jeden wyjątek w jego oczarowaniu tym miejscem. Bał się poziomu piątego, gdzie pluton 239, najbardziej śmiertelny z pierwiastków, zmagazynowany był w ołowianych trumnach. Nazwany imieniem Boga Piekieł, służył jedynie do detonacji bomb jądrowych lub wodorowych i jego obecność zawsze wyprowadzała Shaha z równowagi. Najmniejszy wyciek śmiertelnego izotopu mógł uczynić całą prowincję północną miejscem nigdy już nie nadającym się do zamieszkania.

Shah z nerwowym drżeniem spoglądał na zegar hali maszyn piątego poziomu czekając, aż doktor Jamil Tughali skończy dokładne, lecz bezowocne badanie wykonanej w Szwecji maszyny rentgenowskiej Flash. Wielce skomplikowana, objęta najściślejszą tajemnicą maszyna była w stanie prowadzić obserwacje przez gruby pancerz stalowy i wykonywać w ułamku sekundy zdjęcia eksplozji spowodowanej reakcją jądrową.

Shah uważał Tughalego za rzadki klejnot, dar Allacha, geniusz zrodzony z prymitywnych rodziców w szarpanej rebelii plemiennej prowincji Beludżystan. To, że Tughali przezwyciężył nędzę, tragiczne dzieciństwo i został najwyżej cenionym członkiem zespołu fizyków atomowych w Kahucie, było zadziwiającym osiągnięciem. Shah traktował przystojnego, młodego fizyka jak swego - syna. Tughali udawał szacunek i podziw dla dostojnego dyrektora, ale naprawdę uważał go za życzliwego szefa, człowieka o umiarkowanych talentach naukowych, kompetentnego jedynie w sprawach organizacyjnych oraz szpiegostwa przemysłowego.

Shah był odpowiedzialny za przeszmuglowanie planów procedury wzbogacania uranu za pomocą wirówek gazowych ze ściśle tajnych zakładów NATO w Almelo w Holandii. Dyrektor współpracował też z Kadamim, by zapewnić ciągłość dostaw surowego uranu w formie wzbogaconej rudy, ale największym wyczynem w jego karierze było zdobycie maszyn rentgenowskich, których eksportu zabraniał rząd szwedzki. Niestety, tajemniczy przeciek do prasy zepsuł efekt tego zadziwiającego osiągnięcia. Gdy sprawa została potwierdzona, premier Szwecji zakazał producentowi wysłania instrukcji obsługi, bez których te najnowocześniejsze maszyny stawały się bezużyteczne.

Shah otarł kropelki potu z górnej wargi i przyglądał się, jak doktor Tukhali sprawdza obwody maszyny rentgenowskiej, a w końcu zrezygnowany macha ręką w geście poddania.

- To bez sensu. Mój zespół pracuje nad tym od miesiący. Może mając więcej czasu... - Głos Tukhalego umilkł.

- Wkrótce będziemy mieli te instrukcje, chłopcze.

- Przepraszam pana, ale słyszę to już prawie dwa lata.

- Ale nie ode mnie. - Shah uśmiechnął się. - Chodź, przewietrzmy się.

Wychodząc z hali maszyn przeszli obok wyłożonych miedzią pomieszczeń, pełnych złowieszczych ołowianych trumien, zawierających śmiertcionośny izotop plutonu 239.

Gdy zbliżali się do windy, Shah powiedział:

- Nigdy nie zapomnę dnia, w którym te maszyny przybyły do doków w Karaczi. Prezydent Zia gratulował mi osobiście. Oczywiście nie mogliśmy spodziewać się, że Szwedzi zatrzymają instrukcje. Ale - ciągnął czekając, aż otworzą się drzwi windy - wszystko jest możliwe, gdy zachowa się cierpliwość.

Wysiedli z windy na poziomie pierwszym i poszli wzdłuż reaktora do hali, w której ubrani na białe technicy obsługiwali komputerowe banki danych.

Wspinając się spiralnymi stalowymi schodami, wyszli na platformę obserwacyjną.

Rozciągający się przed nimi widok był podniecający.

Reaktor wznosił się na dwieście stóp w górę ku ochronnej kopule. Pręty paliwa uranowego, ustawione z idealną symetrią, zanurzone były w ciężkiej wodzie koloru selera. Warstwa toru otaczała rdzeń reaktora, zwiększając nieustanne bombardowanie neutronowe wzbogacające uran. Pompy o wielkiej mocy przepychały radioaktywną wodę kilometrami rur z najwyższej jakości stali, połączonymi z tysiącami obracających się wirówek gazowych.

Wielka hala reaktora zawsze przypominała Tukhalemu laboratorium z literatury science fiction, gdzie kipiało alchemią zagłady.

Teoretycznie zakład mógł produkować trzysta kilo wzbogaconego uranu rocznie, dość

by zmontować dwadzieścia bomb wielkości tej, jaka spadła na Hiroszimę, ale w praktyce Kahuta dawała mniej niż pięćdziesiąt kilo uranu przydatnego do broni atomowej. Tylko wirówki, których obracające się elementy wykonano ze specjalnie utwardzonego martenzytu, działały przez dłuższy czas.

- Szkoda - skomentował Shah. - Nigdy nie byliśmy w stanie produkować z pełną wydajnością. - Po krótkiej przerwie dodał: - Ale mimo trudności poczyniliśmy ogromny postęp.

- Tak, pozostał nam tylko test - powiedział poważnie Tukhali.

- Chodź, napijemy się herbaty.

- Przepraszam pana, ale nie mam czasu. Jestem dziś wieczorem umówiony w Pindi.

- A więc baw się dobrze, chłopcze. Odprowadzę cię do samochodu.

- To niekonieczne.

- A jednak nalegam. - Shah uśmiechnął się. - Potrzebuję świeżego powietrza i muszę z tobą omówić pewną poufną sprawę. Sprawę o wielkiej wadze.

Dwadzieścia mil na zachód od Kalkuty, w starej dzielnicy Rawalpindi, klub „Makasiqor” stanowił świecką oazę w tym niezwykle surowym państwie islamu. Prywatna restauracja była zarezerwowana dla elity władzy Pakistanu.

Salim Bashira siedział przy stoliku ustawionym w niszy jednej ze ścian. Wypił schłodzoną rosyjską wódkę i spojrzał na zegarek marki „Patek Philippe” - 20.45. Doktor Tukhali spóźnił się i Bashira był zaniepokojony. Znakomity młody fizyk był zwykle punktualny. Oczy Bashiry o ciężkich powiekach zwięzły się, gdy wpatrywał się w półciemność. Skinął na kelnera, który podszedł pospiesznie. Bashira zamówił kolejną wódkę, chleb naan, peklowane na słodko ogórki i chili.

Salim Bashira urodził się w Bombaju z rodziców pochodzenia perskiego. Ojciec działał w firmie importowo-eksportowej i wcześniej zorientował się, że jego syn ma genialne zdolności do złożonych i intrygujących spraw handlu zagranicznego. Młody Bashira wybijał się na Uniwersytecie w Bombaju i ukończył studia w Oksfordzie. Później wrócił do Bombaju i przejął interesy starzejącego się ojca.

Po śmierci rodziców, w 1947 roku, sprzedał firmę i przeniósł się do Karaczi w Pakistanie, gdzie w bardzo krótkim czasie zbudował imperium żeglugowe rozciągające się na cały świat. Jego flotylla frachtowców i tankowców pływała pod flagami Panamy, Cypru i Liberii, wykorzystując łagodne przepisy podatkowe” tych krajów, a sieć agentów okrętowych łączyła cztery kontynenty.

Fama głosiła, że majątek Bashiry zbliżał się do miliarda dolarów. Był właścicielem najlepszych nieruchomości w Rawalpindi i Lahaur, a jego domem była wspaniała willa na

ekskluzywnym przedmieściu Karaczi, Clifton. Urządzane przez niego wystawne przyjęcia skupiały wpływowych ludzi z kręgów wojskowych i rządowych. Przez lata wyświadczył państwu wiele przysług; cały sprzęt potrzebny Karmcie i maszyny rentgenowskie Flash przeszmyglowano i przewieziono z Ameryki Północnej i Europy Zachodniej na jego statkach. Współpracował z dyrektorem Farheedem Shahem i ojcem pakistańskiego programu atomowego, doktorem I. Q. Khanem.

Większość pakistańskich zbiorów opium wartości ośmiu miliardów dolarów wysyłano statkami Bashiry z Karaczi do Palermo, gdzie po przerobieniu na heroinę transportowano je dalej do Amsterdamu. Bashira nigdy nie miał udziału w zyskach z handlu opium. Potrącając jedynie koszty własne, przekazywał całość zysku odpowiednim urzędnikom rządowym. Swojej wielkoduszności zawdzięczał łatwy dostęp do struktur władzy państwowej.

Kelner postawił na stoliku talerz przystawek i kolejny kieliszek schłodzonej wódki. Bashira ugryzł kawałek chili, łyknął wódki i zakąsił peklowanymi na słodko ogórkami. Żując chleb naan myślał, że przez te wszystkie lata osiągnął wiele, ale nic nie stanowiło takiego wyzwania, nic nie było tak niebezpieczne i nie dawało takiej satysfakcji, jak tajemnica, której strzegł przez większość swego dorosłego życia. Salim Bashira był izraelskim agentem. Jego matka była Żydówką i wpoila mu starożytną wiarę zapisaną na świętych zwojach Tory. Na łożu śmierci zaprzysięgła go, że służyć będzie tym, którzy przeżyli Holocaust, i że zrobi wszystko, co w jego mocy, by zachować państwo Izrael.

W kwietniu 1954, podczas podróży do Hamburga, zaaranżował spotkanie z Konsulem Generalnym Izraela i zaoferował Mossadowi swe usługi. Przez te wszystkie lata przekazywał do Jerozolimy dane wywiadowcze o wielkim znaczeniu. To Bashira zaalarmował Mossad, gdy jeden z jego statków przewoził szwedzkie maszyny rentgenowskie Flash. Przecieki do prasy, który później nastąpił i presja na rząd szwedzki, by nie dostarczać instrukcji obsługi, były bezpośrednim wynikiem informacji pochodzącej od niego.

Po raz pierwszy spotkał doktora Tukhalego na przyjęciu w domu dyrektora Shaha. Młody fizyk wypił zbyt dużo palmowego wina i dopadł go w kącie. Mówił ze złością o bezwzględności rządu w tłumieniu rebelii społeczności Beludżystanu. Bashira nie sondował i nie naciskał, jednak zaoferował pomoc w odbudowie zniszczonej wioski, gdzie urodził się Tikhali.

Wkrótce odwiedził zrujnowaną osadę i załatwił formalności związane z jej odbudową oraz zorganizowaniem ogromnie potrzebnego szpitala.

Kilka miesięcy później zaprosił Tukhalego na sobotnio-niedzielne przyjęcie w swej nadmorskiej willi. Zbliżała się trzecia nad ranem, gdy Bashira zaproponował swemu pijanemu

gościowi spacer brzegiem morza. Zręcznie kierując rozmowę na tematy polityczne, skomentował brak wolności i szans dla nieszczęsnych mieszkańców Beludżystanu i innych okręgów plemiennych. Jego słowa wyzwoliły w Tukhalim falę tłumionej nienawiści i frustracji. Ujawnił, że często myślał o sabotażu w pakistańskiej pokazowej instalacji atomowej, lecz uznał sprawę za niemożliwą do przeprowadzenia. Wszędzie byli umundurowani strażnicy i informatorzy. Zbrojna rewolucja była jedyną formą działania, ale musiała się zrodzić wśród ludzi, i potrzebne były pieniądze. Przebiegły potentat żeglugowy wyczuł, że rewolucyjnemu zapalowi młodego fizyka towarzyszy żądza bogactwa i zaryzykował. Oświadczył, że pewne zainteresowane kręgi gotowe są za-

76 płacić wiele pieniędzy za informacje dotyczące ośrodka jądrowego w Kahucie.

Sześć tygodni później otworzył dla Tukhalego rachunek na numer w Bank of Alfin w Luksemburgu. Po każdym spotkaniu dostarczał mu aktualny wyciąg bankowy i utrzymywał pozory, że to wszystko dla Sprawy.

- Przepraszam za spóźnienie.

Głos Tukhalego nadbiegał z cienia i zaskoczył Bashirę. Wstał jednak szybko i uściśnął mu rękę.

- Siadaj, proszę, Jamil. Martwiłem się o ciebie.

- Muszę wymienić samochód. Całą drogę jechałem na niskim biegu.

- Wstyd. Kup sobie nowy, pokryję koszty. Ale nic rzucającego się w oczy. Toyotę albo fiata. - Bashira skinął na kelnera, który szybko podszedł do ich stolika. - Co dla ciebie?

- Mrożoną herbatę z absyntem.

Kelner odszedł i Tukhali zapalił amerykańskiego papierosa. Zaciągnął się mocno, po czym nachylił się nad stolikiem. Jego czarne jak sadza oczy błyszczały z podniecenia, a wysokie kości policzkowe i długi, cienki nos przypominały maskę faraona.

- Dyrektor Shah przyjeżdża do hotelu Madelaine w Paryżu w przyszły czwartek. W trakcie weekendu szwedzki agent przekaże mu instrukcje maszyny Flash.

- Zapewniam cię, Jamil - cicho powiedział Bashira - że ta informacja przekształci się w pokaźny dodatek do twego konta.

- Wszelkie ryzyko podejmuję dla Sprawy.

- Bez wątpienia - zgodził się Bashira.

- Czas ucieka - powiedział Tukhali. - Kadafi tylko czeka na dostawę naszych głowic.

Na użytek siedzących przy pobliskich stolikach Bashira roześmiał się, jak gdyby Tukhali powiedział coś niezmiernie zabawnego, i wciąż uśmiechając się zapytał:

- Ile mamy czasu?

- Gdy tylko dostaniemy instrukcje, możemy przeprowadzić test o wydajności zerowej prawie natychmiast.

- Czy głowice nie mogą być wysłane bez testu?

- Oczywiście, ale bez testu nie ma gwarancji detonacji. Gdybyś był Kadafim, to przyjąłbyś nie sprawdzone głowice?

- Takie porównanie nie jest na miejscu. Kadafl jest mistykiem, tak jak Hitler. Tacy ludzie są nie do rozgryzienia i zdolni do wszystkiego.

Rozdział piętnasty

Centrum Dowodzenia wkopane jest głęboko pod powierzchnię Kwatery” Głównej Izraelskich Sił Obrony w centralnej części Tel-Awiwu. Podczas odprawy prowadzonej przez generała Arika Carmila światła w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu były przyciemnione. Szef Wywiadu Lotnictwa stał przed ekranem projekcyjnym, na którym wyświetlano przetworzone przez komputer zdjęcia różnych celów w Libii. Zdjęcia pochodziły z pamięci wielkiego komputera Yuval-15, nazwanego tak na cześć jego konstruktora, doktora Yuwala Newmana, dyrektora firmy Technion. Młody oficer przydzielony do Wydziału Operacji Specjalnych obsługiwał komputer. Siedząca obok niego Narda Simone robiła notatki. Generał Dado Harel, który uważnie przysłuchiwał się odprawie, opierał się o ścianę i popijał kawę.

Fotograficzne informacje o celach, o których mówił Carmil, zebrane zostały przez noktowizyjne „trutnie” wystrzeliwane z izraelskich statków obserwacyjnych, rozmieszczonych u wybrzeży Libii. Następnie film przenoszono na taśmę magnetyczną i sprowadzano do postaci równań algorytmicznych, które przekazywano - do komputera tłumaczącego język Algol na obrazy graficzne. Carmil wskazywał cele strategiczne wzdłuż wybrzeża Libii od Trypolisu do Benghazi i pola naftowe Al Kufra.

Jego słowa były precyzyjne, oszczędne i typowe dla doświadczonego pilota bojowego, wyszkolonego, by wypowiadać słowa podczas lotu z dwukrotną prędkością dźwięku.

78

Wymizerowany, ciemnooki szef lotnictwa zakończył ogólnymi uwagami o profilu misji i stanie przygotowań z uwzględnieniem planu bitwy w miejscach ataków różnych sił zbrojnych.

- Możemy być gotowi za trzy tygodnie - powiedział. - Potrzebna jest nam tylko lokalizacja wyrzutni V-5. Film z celami nadmorskimi przeniesiono do symulatorów lotu. Moi dowódcy już latają na symulowane misje bojowe. Wkrótce będą znać każdy budynek, każde

drzewo i basen od Trypolisu do Benghazi.

- Spójrzmy na Kahutę - powiedział Dado do operatora komputera.

Natychmiast na wielkim ekranie pojawiła się komputerowa mapa. Obraz uwzględniający krzywiznę ziemi pokazywał dwie trasy dolotowe z Izraela do Pakistanu. Trasa wiodąca nad lądem przecinała Jordanię, Irak, Iran i Pakistan. Trasa nad wodą prowadziła z portu Ejlat na południe nad Morzem Czerwonym do Zatoki Adeńskiej i na wschód nad Morzem Arabskim do wybrzeża Pakistanu w pobliżu portu Karaczi.

- Jak widzicie - powiedział Carmil - odległość i przeszkody są ogromne, a położenie Kahuty w północno-wschodnim zakątku kraju komplikuje sprawę. - Kontynuował pomagając sobie wskaźnikiem. - Trasa nad lądem nie wchodzi w grę. Nasze grupy samolotów atakujących i samolot cysterna musiałyby wdrzeć się w przestrzeń powietrzną i teren kontrolowany systemami radarowymi Jordanii, Iraku, Iranu i w końcu Pakistanu. Odległość tam i z powrotem wynosi pięć tysięcy dwieście mil nad terytorium wroga, a jej pokonanie wymagałoby czterokrotnego spotkania z samolotami cysternami.

- Czemu cztery razy?

- Nawet przy zastosowaniu zbiorników paliwa wydłużających zasięg, odrzucanych zbiorników i niewielkiego obciążenia bombami nasze F-15 i F-16 musiałyby dotankować dwa razy podczas lotu w każdą stronę nad terenem najeżonym radarami i raketami. To niemożliwe, Dado.

- A trasa nad wodą?

- Podobnie. Gdyby siły uderzeniowe opuściły Negew i leciały na południe do Zatoki Adeńskiej i dalej w stronę

Morza Arabskiego, to pierwszy odcinek jest wciśnięty pomiędzy egipskie i syryjskie radary, i nawet gdyby jakimś cudem siły atakujące i ich wsparcie nie zostały wykryte, pozostałoby jeszcze przelecieć tysiąc mil nad całą przekątną Pakistanu z północy na południe, by dolecieć tu, do Kahuty. - Wskaźnik pokazał czerwony punkt poniżej Rawalpindi-Islamabad. - Grupa samolotów znalazłaby się na skraju Indii i Związku Radzieckiego.

- Daj mi Kahutę i okolice - powiedział Carmil do oficera przy komputerze.

Elektroniczna mapa rozplynęła się i pojawiła znowu w innej formie, ukazując w szczegółach kwadrat północnego Pakistanu.

- Atak na Kahutę z Indii byłby dziecinną igraszką - ciągnął Carmil. - To tylko osiem minut lotu z indyjskiej bazy w Amritsarze. Dwadzieścia sekund - nad celem i islamska bomba należałaby do przeszłości. Gdybyśmy mogli wystartować z jakiegokolwiek bazy w Indiach na zachód do Delhi, sprawa byłaby prosta.

- Indie będą współpracować tylko w sprawach wywiadu - rzekł Dado. - Trzykrotnie odmówili współpracy w przeprowadzeniu ataku lotniczego.

- W takim razie - Carmil wzruszył ramionami - Kahuta jest zagrożeniem, z którym musimy spróbować żyć.

- Skoncentrujcie się na Libii - rozkazał Dado. - Zostawcie Pakistan mnie.

Mężczyźni podali sobie ręce, a generał Carmil powiedział:

- Zakładam, że premier wie, co się dzieje.

- Nie myślisz chyba, że organizowałbym przedsięwzięcie na taką skalę na własną rękę?

- Myślę. A ty byś to zrobił. - Carmil uśmiechnął się i zaczął zbierać się do wyjścia, ale stanął i dorzucił:

- Jeden z moich dowódców skrzydeł, as, doskonały pilot, twierdzi, że widział lwa w Arawie.

Carmil nie był człowiekiem opowiadającym błyskotliwe dowcipy, a jego agatowoczarne oczy były poważne.:- Lwa? - zapytał Dado z niedowierzaniem.

- Yoni odbywał rutynowy lot, kiedy zobaczył lwa na równinie Wadi el-Araba.

80

- Od czasu starożytnego Judy, kiedy Rzymianie przywozili je na igrzyska, w Ziemi Świętej nie było lwów.

- Yoni przysięga, że widział afrykańskiego lwa o wielkiej, ciemnej grzywie.

- Gdy się siedzi w kabinie F-16, cienie i kształty nabierają dziwnych form - powiedział Dado. - Ale w ziemi obiecanej, kto wie? Może Yoni widział ostatniego lwa Judy.

- Może - skinął głową Carmil.

Dado i Narda wjechali windą na poziom ziemi i gdy przechodzili przez dziedziniec kwatery głównej, Narda zasypywała generała lawiną spraw proceduralnych, którymi należało się jeszcze zająć. Dado kompetentnie odpowiadał na jej pytania. Zawsze podziwiała bezmiar złożonych informacji, jakimi dysponował.

Odprowadził Nardę do jeepa, prowadzonego przez Druza w zielonym berecie, a gdy wsiadła, powiedział:

- Przekaż Zichroniemu, żeby za dziesięć dni zorganizował spotkanie wszystkich wydziałów. A potem...

- Dobrze wiem, co robić - powiedziała przerywając mu. - Uważaj z Bergerem.

Nic w nisko sklepionym pokoju nie wskazywało, że jest to gabinet szefa izraelskiego wywiadu. Było tam kilka podniszczonych szaf na dokumenty, podniszczona skórzana sofa,

cztery rozkładane krzesła i dwa brudne okna wychodzące na lądowisko helikopterów. Jedy-
nym nowoczesnym urządzeniem był telefon o aerodynamicznych kształtach, spoczywający na
dębowym biurku popalonym papierosami.

Jak zwykle niechlujnie wyglądający Berger chrupał bułkę między pociągnięciami pa-
pierosa.

- Wyglądasz na zmęczonego, przyjacielu - powiedział Berger.

- To światło.

Berger wskazał na stos raportów na biurku.

- Wojna trwa. Pięciu partyzantów z OWP zginęło, próci

ując nielegalnie wdrzeć się na nasz teren od strony mor; koło Nahariji. Inna trzy-
osobowa grupa przeszła z Zachodnieg Brzegu i ostrzelała autobus pełen turystów. A z Egipci
z którym podobno zawarliśmy pokój, wystrzelono szei pocisków z katuszy na Beer Szewa.
Natomiast na granic Libanu złapano czterech zabójców.

Zaprezentowany przez Bergera przegląd nieustających ataków' terrorystycznych był
subtelna naganą dla Dado za zaaprobow; nie przekazania Gazy i części Zachodniego Brzegu
OWP.

- Jest źle - dodał Berger. - Włazą ze wszystkich stron.

- Niech włazą. Niech robią, co najgorsze. Terrorysi jednoczą naród.

Berger ze znużeniem potarł ręką twarz.

- Nie można traktować nieustającego terroru jako politya nej abstrakcji. Upoważniono
mnie do podjęcia kontrataków\ na przywódców terrorystów, a ta twoja operacja „Czerwon Pustynia” wysysa moje środki.

Dado pochylił się nad biurkiem i napiętym ze zmęczeni głosem oświadczył:

- Nie interesują mnie terroryści i ich sowieckie pukawk; Za chwilę słońce może spaść
na nasze ulice. Profesor Newmai stwierdził, że Tel-Awiw można zniszczyć jedną taką bomb
jak ta, która spadła na Hiroszimę. Sześćset tysięcy ludzi wyparowałyby w kilka sekund. A jak
uczy historia, nikt si< tym nie przejmie. Jedywym zmarłym Żydem, którym kiedykol wiek
zainteresował się świat, był Jezus Chrystus. Zrozun mnie, Janusz, nikt nie przeszkodzi w tej
operacji.

Oczy generała były lodowatobłękitne i groźne. Berger zda sobie sprawę, że posunął
się za daleko. Jego źródła potwier dziły, że premier rzeczywiście zgodził się na „Czerwon;
Pustynię”. Ale niejasne było, czy zgoda ta rozciągała się n; plany Dado w stosunku do Kahu-
ty. Zapalając kolejnegc papierosa, powiedział:

- Zawsze robiłem dla ciebie, co mogłem. Dlaczego traktujesz mnie jak przeciwnika?

- Jestem zmęczony, Janusz... Weźmy się do roboty. Berger otworzył grubą teczkę i zaczął czytać służbowym, oficjalnym tonem.

- Farheed Shah, dyrektor Centrum Badań Jądrowych w Kahucie, przyjeżdża do hotelu Madelaine w Paryżu w czwartek, dwudziestego. - Spojrzał na Dado. - To, że wybrał Madelaine jest dla nas korzystne. W przeszłości sami używaliśmy tego hotelu. Jest to mały, prywatny, dyskretny paryski hotelik, położony w spokojnym miejscu. Trzy piętra z dwunastoma apartamentami. Większość z nich to własność osób prywatnych, które wykorzystują je dla schadzek. - Berger czytał dalej. - W którymś momencie podczas weekendu szwedzki przemysłowiec odwiedzi Shaha i dostarczy mi instrukcje do maszyn Flash za trzy miliony franków szwajcarskich. - Berger zamknął teczkę. - To informacja od Salima Bashiry. Uważam ją za absolutnie pewną.

Dado znał Bashirę. Spotkali się w Londynie latem 1983. Bashira dostarczył dokumenty, ujawniające zakup przez Arabię Saudyjską chińskich rakiet dalekiego zasięgu CSS-2. Również on przekazał dowody istnienia syryjskiej fabryki gazów trujących w Tibrisku. Pakistański magnat żeglugowy sprawował się świetnie, podejmował wielkie ryzyko osobiste i w światowej siatce agentów Bergera był klasycznym przykładem poświęcenia i profesjonalizmu. Dado nie dowierzał Bergerowi, podziwiał jednak szefa wywiadu za doskonałą organizację.

- Musimy uniemożliwić przekazanie tych instrukcji - powiedział Dado wstając. - Trzeba działać szybko. Czy Penelopa wróciła z Hamburga?

- Tak.

- Chcę, żeby zorganizowała Paryż razem z Kishonem.

- Nie mogę dać ci Kishona.

- Czemu nie?

- Został zastrzelony w Nikozji.

- Kiedy?

- Miesiąc temu. Jak wiesz, nigdy nie rozgłasza się informacji o śmierci agenta. Moi ludzie nie są honorowani pogrzebami wojskowymi, transmitowanymi przez telewizję.

Berger wyglądał teraz bardzo staro i Dado przez moment mu współczuł.

Zadrzały szyby w oknach i pokój wypełnił hałas wirnika helikoptera. Berger odczekał, aż hałas umilknie, i powiedział:

- Mogę ci dać Bena Landaua. Pracowałeś z nim w przeszłości.

- Tak. W Bejrucie w 1978. Zdjęliśmy Ali Hasana, ostatniego z tych, którzy przygotowali zamach podczas olimpiady w Monachium. Penelopa odegrała kluczową rolę, ale Landau

był dobry. Bardzo dobry.

- Więc nadaje się do Paryża? Dado przytaknął.

- Masz jakieś wiadomości od Eryki? - zapytał.

- Sprawa wygląda obiecująco. Doktor Kleiser oczekuje z niecierpliwością na spotkanie z Lawfordem. Eliminacja Brunnera pomogła go przekonać.

- A co z Heinrichem Muellerem?

- To inna sprawa. Brunner był nieostrożny, zapatrzony w nastoletnią studentkę. Z Muellerem będzie trudniej.

- Musi zostać załatwiony - nalegał Dado. - Żyje za długo i zbyt zamożnie.

Berger znał historię Muellera, głównego dostawcy niewolników żydowskich, którzy zginęli w tunelach montażowni rakiet V-2 w Nordhausen.

- Pozwól, że zastanowię się nad Muellerem - powiedział.

- Ty zorganizujesz Paryż?

- Oczywiście. Obawiam się, że chcesz jechać...

- Kiedy wszystko będzie ustawione.

- Jeżeli uniemożliwimy przekazanie tych instrukcji, zyskamy trochę czasu, ale musimy znaleźć tę bazę w Libii, i to szybko.

- Znajdziemy - odparł Dado z pewnością. - Lawford wykona zadanie.

Berger wstał i podali sobie ręce.

- Mógłbyś mi pomóc w czymś, co nie wiąże się z „Czerwoną Pustynią” - powiedział Dado.

- Tak?

- Niech Bashira wykombinuje frachtowiec, stare pudło rejestrowane w Panamie, ale silniki muszą być niezawodne. Ma mieć ze dwadzieścia tysięcy ton wyporności. I po ostatnim rejsie, Bashira musi zorganizować jego zniknięcie.

Sowie oczy Bergera rozblęły, a drobiny popiołu z papierosa spadły mu na wymiętą koszulę.

- Uważaj z papierosami, Janusz. Podpalisz kiedyś biuro.

84

Berger spoglądał przez okno, jak Bell Ranger rozgrzewa się na lądowisku i zobaczył, że Dado wsiadł do helikoptera. Łopaty głównego wirnika przyspieszyły, wściekle bijąc powietrze, maszyna uniosła się, nabrała wysokości i odfrunęła ostro na północ. Berger patrzył za helikopterem, aż stał się punkcikiem na niebie. Dokąd leci generał? Z kim będzie knuł? Gdzie uderzy? Do jakich granic apokalipsy doprowadzi nas to dziecko pieców? Dado cieszył się

zaufaniem premiera, a to czyniło go wybitnie niebezpiecznym. Berger pokręcił głową z niedowierzaniem. Premier jest rozsądnym człowiekiem, ale okrutna prawda historyczna wykazywała, że rozsądny umysł nie potrafi zrozumieć fanatyzmu. Dado jest legendą, a fioletowe cyfry wytatuowane na jego przedramieniu są rachunkiem wykutym w piekle - tym samym piekle, z którego wyłoniło się państwo Izrael. Po pięćdziesięciu latach nieprzerwanej wojny, narodowy odbiór fanatyzmu stępił się; w poszukiwaniu bezpieczeństwa ekstremalne ideologie przyjmowano za normalne. Generała uważano za symbol siły w obliczu nie kończącej się wrogości. Berger westchnął ciężko, myśląc, że gdyby Niemcy nie stworzyli Dado, to wykreowaliby go Arabowie. I czy mu się *to* podoba, czy nie, on Berger, szachista, zmęczony intelektualista, jest częścią nieubłaganej siły zmierzającej do Armageddonu.

Rozdział szesnasty

Tom Lawford zwiększył temperaturę wody, aż skóra u nasady szyi zaczęła go palić. Ostry strumień z prysznica skierowany był na punkt, z którego rozchodził się artretyczny ból. Minęło sześć dni od spotkania z oślepiającymi światłami pod estakadą S-Bahnu, a Eryka Sperling nadal się z nim nie skontaktowała. Zakręcił kurki, wyszedł spod prysznica i wpatrywał się w swe odbicie w lustrze. Ciemne kręgi otaczały jego szare oczy, a siateczka zmarszczek zagnieżdżyła się w ich kącikach. Nie odczuwał faustowskiej potrzeby wiecznej młodości, ale nieubłagana ręka czasu wyciskała swoje piętno cholernie szybko. Przeglądając się w lustrze, pomyślał, jak bardzo jest bezbronny: działa w obcym kraju bez oficjalnego poparcia, grzebie w sprawach dotyczących nazistowskiej przeszłości. Naukowcy z Nordhausen byli ludźmi pozbawionymi sumienia, opętanymi zżerającą ich techniczną arogancją. Gdyby im to odpowiadało, zabiliby go bez zastanowienia. Gdy nakładał na twarz pianę do golenia, starał się znaleźć pocieszenie w słowach, które na pożegnanie wypowiedziała Narda Simone: „Chcę ci powiedzieć, że nie jesteś sam”.

Ogolił się, umył zęby, połknął dwie witaminy C i włożył szlafrok.

Wszedł do salonu i rozsunał zasłony. Było już prawie południe, a kolor nieba zapowiadał dalsze opady śniegu. Piesi poruszali się szybko, z pochylonymi głowami, chroniąc się przed kłującym wiatrem. Leżące przy krawężnikach przyzmy brudnego śniegu krystalizowały się w bryły czarnego lodu. Trudno było uwierzyć, że to smętne, przedzielone murem miasto było kiedyś kulturalnym centrum Europy. Ostro zadzwonił telefon.

- Pan Lawford?

- Tak.

- Mówi Eryka Sperling. Czy może się pan ze mną spotkać w barze „Bristol” za piętnaście minut?

Bar „Bristol” zaczynał napępniać się niemieckimi biznesmenami i zagranicznymi turystami, którzy mieli ochotę wypić przed obiadem drinka w eleganckiej sali. Na twarzy klezmera widniał głupawy uśmieszek, gdy grał przeróbkę przeboju *Moonglow*.

Lawford trzymał w rękach ostro przyprawioną „Krwawą Mary” i oglądał panoramę sali, odbitą w długim lustrze nad barem, jego myśli skupiały się na tajemniczej Eryce Sperling. Musiała być silną osobowością, skoro pracowała dla Kleisera i jednocześnie jako agent Mossadu. Prawdopodobnie wprowadzono ją do STS przed wielu laty i obecnie była poza wszelkim podejrzeniem. Ale ludzie profesji *Fraulein* Sperling nie cieszyli się długowiecznością. Popatrzył na swojego drinka i zakołysał idealnie wykrojonymi kostkami lodu.

- Pan Lawford?

Była wysoka i szczupła, z rzucającymi iskry niebieskoszarymi oczami, a niemiecki akcent nadawał jej głosowi pewnego powabu. Wydatne kości policzkowe opadały symetryczną krzywizną ku pełnym ustom, a kosmyki prostych blond włosów okalały podłużną twarz. Lawford skinął głową i uśmiechnął się:

- Proszę, niech pani siada.

Z gracją usadowiła się na stołku barowym i zamówiła wódkę z martini. Tom poczuł łagodny zapach znanych mu, drogich perfum, podczas gdy jej oczy taksowały go odważnie.

- Czy coś nie tak? - zapytał uprzejmie. Potrząsnęła delikatnie głową.

- Nie. Po prostu wygląda pan o wiele lepiej, niż się spodziewałam. - Zrobiła krótką pauzę i ściszyła głos. - Aha, powiedziałam Kleiserowi, że aktualnie kończy pan artykuł o odrodzeniu kina niemieckiego.

- Dlaczego? Wje, że tu jestem.

- Potrzebujemy trochę czasu, zanim zaprowadzę pana do niego.

- Czasu na co?

- Zdaje się, że Agencja nazywa to „odprawą”.

- Jak wytłumaczy się pani Kleiserowi ze spędzonego ze mną czasu?

- Nie ma nic do tłumaczenia. Prosił mnie, żebym pana wybadala, zaprzyjaźniła się. - Przerwała na moment. - Tak to się chyba nazywa.

Barman podał jej drinka, a ona podniosła kieliszek.

- *Cbeers*.

- *Cheers*: Skinął głową.

- Musiał się pan nudzić, siedząc beczynn timer w tym piekielnym mieście.

- Nie całkiem.

- Ach, spotkał pan jakąś kobietę?

- Nie... żadnych kobiet. - Popił „Krwawej Mary” i opowiedział jej o incydencie pod estakadą S-Bahnu.

- Handel narkotykami w Berlinie rozwinął się na ogromną skalę i przybiera brutalne formy. Miał pan szczęście, że zatrzymała pana policja.

- Muszę przyznać, że przez sekundę czy dwie widziałem rekina.

- Rekina?

- Amerykańskie określenie niebezpieczeństwa. Dlaczego potrzeba było pani tyle czasu, żeby się ze mną skontaktować?

- Mamy do czynienia z bardzo ostrożnymi ludźmi. Cała operacja STS znajduje się pod ochroną libijskiego kontrwywiadu. Od chwili skandalu z gazami trującymi w 1989, Kaddafi zachowuje się paranoicznie w kontaktach z firmami europejskimi, szczególnie STS. Mamy libijskiego oficera kontroli, który jest na stałe przydzielony do nadzoru naszego bezpieczeństwa.

- Czy on nazywa się Abu Hasi?

- Tak... skąd pan wie? - Wydawała się zaskoczona.

- Wszystko wskazuje na to, że jako oficer kontroli, w Waszyngtonie kazał zamordować mojego przyjaciela.

Nie powiedziała „przykro mi” ani nawet nie westchnęła. Przeszła nad tym do porządku i powiedziała:

- Kiedy Kleiser zgodził się na proponowany wywiad, kazał mi przejrzeć wszystkie pana ostatnie artykuły. Nie pozwolono mi skontaktować się z panem do późnego wieczora we wtorek.

- Czy ta obsesja na punkcie bezpieczeństwa rozciąga się na wszystkich pracowników STS?

- O czym pan mówi?

- Czytałem gdzieś, że jeden z kolegów Kleisera, człowiek o nazwisku Brunner, miał fatalny wypadek w Hamburgu.

- Właśnie nagła śmierć Brunnera przekonała Kleisera do udzielenia panu wywiadu.

Pianista grał piękną wersję *Memory*.

Eryka Sperling otworzyła torebkę i wyjęła paczkę papierosów Gauloise. Palcami dotknęła jego dłoni, gdy przysunął zapaloną zapałkę do papierosa. Tajemniczy, zmysłowy prąd przebiegł między ich rękoma.

- Co pan robił włócząc się wśród ruin przedwojennych ambasad o północy? - zapytała.

88

- To przez niezdrową ciekawość. Przed laty przeprowadziłem wywiad z Albertem Speerem i zainteresowałem się Trzecią Rzeszą. Zastanawiałem się, co spowodowało, że kulturalny, cywilizowany naród poszedł za wariatem w niepamięć.

- To nie takie skomplikowane. Jesteśmy narodem, który co jakiś czas wraca do swych prymitywnych, barbarzyńskich korzeni. Mimo wszystko w ostatnich stu taktach *Gotterdammerung* można przeczuć Oświęcim.

- Nigdy tego nie dostrzegłem, ale przecież nie jestem wielbicielem Wagnera i Niemcem.

- Cóż, musi mi pan po prostu uwierzyć. Jestem Niemką. Czystą. *Herrenpo/k*. Doktor Goebbels uznałby mnie za doskonałą Aryjkę.

- Ale pracuje pani dla Mossadu?

- Tak.

- Dlaczego?

- Czy to ważne?

- Jestem w pani rękach. Chciałbym wiedzieć.

- Coś się panu pomieszało. To moje życie jest w pana rękach, więc nie mogę pozwolić, żeby się pan potknął na jakiejś sytuacji, o której nic pan nie wie.

- Niech pani posłucha. Siedzę zadekowany w tym mieście cmentarzu i czekam na pani telefon. Teraz, możliwe, że jest pani lepiej poinformowana, ale niech nie traktuje mnie pani, jakbym był cholernym, mieszkającym wszystko Amerykaninem. Widziałem rekina częściej niż raz. Niech pani po prostu będzie miła, *Fraukin Sperling*.

- Eryko. - Uśmiechnęła się do niego. - Przepraszam, jeśli pana obraziłam. Ale proszę mi wierzyć, że kiedy powiem to panu, żadne z nas nie może sobie pozwolić na najmniejszy błąd. - Rozgniotła papierosa i powiedziała: - Gra toczy się o blisko miliard dolarów dla Kleisera i jego grupy STS w Libii. Więc nie ma nic świętego. Wszystkiego i wszystkich można się pozbyć. Ma pan do odegrania ważną rolę i jeżeli powiedzie się panu, może uda się zlokalizować tę bazę. Teraz proszę podpisać rachunek. Musimy iść.

- Dokąd?

- Wynajęłam drugi pokój na pana nazwisko. Jest pewna obawa, że w pana apartamencie założono podsłuch. Zamówi pan jakiś lunch i zaczniemy powtórkę. Będę odgrywać doktora Kleisera, a pan cynicznego, ale obiektywnego amerykańskiego dziennikarza.

Rozdział siedemnasty

Narda Simone wyszła z metra i stanęła w jasnym świetle zimowego dnia. Odczuwała głęboką sympatię do Paryża. To miasto było unikatowym bastionem piękna architektury, które w większości zdołało się oprzeć wszechwładnemu panowaniu pudełek ze stali i szkła. W Paryżu można było sobie nadal wyobrazić życie przed dwoma wielkimi wojnami.

Przeszła przez Pont de la Concorde, zatrzymując się na moment, by popatrzeć na mężczyzn łowiących ryby wzdłuż brzegów niemrawo płynącej Sekwany.

Oszklona *bateau mouches* przepłynęła pod mostem i małe dziecko stojące na dziobie pomachało do niej ręką. Narda odpowiedziała takim samym gestem, myśląc o tym, jak łatwo przypomnieć kobiecie o zegarze biologicznym. Ma jeszcze czas. Dwadzieścia osiem lat. Ale Dado oświadczył, że nie mógłby nigdy więcej unieść ciężaru wychowywania dziecka. Rozumiała go. Żaden mężczyzna nie powinien cierpieć bólu grzebania własnego syna. Poza tym jest jeszcze Avital - piękna zjawa, która wycofała się w bezkresną otchłań ortodoksyjnej sekty Hakala. I mogła tylko zgadywać, jakie nocne zjawy nawiedzają Dado w koszmarach oblewających go potem.

Jej sytuacja była prawdopodobnie beznadziejna, ale dawno już spaliła za sobą mosty i nauczyła się akceptować tymczasowy charakter ich związku. Jej życie było odbiciem życia narodu, któremu służyła. Była ofiarą nie kończących się intryg, utraconych marzeń i cmentarzy wypełnionych rodakami. Dokonywała nie dających się opisać czynów w imię bezpieczeństwa narodowego. I te akty przemocy, a czasami poniżające misje wypaliły dziurę w jej duszy. W miarę upływu lat z coraz większą desperacją potrzebowała moralnego wsparcia.

90

A w Dado znalazła duchową opokę. Był jej kochankiem, religią, Sprawą. Więc przyjmowała ten związek takim, jaki był, smakując rzadkie chwile piękna i miłości.

Gdy wchodziła do ogrodów Tuileries, podmuch wiatru zgarnął zwiędłe liście na czubki jej butów. Nianie popychały dziecinne wózeczki, a dzieci biegały po twardych alejkach. Zakochani spacerowali, obojętni na zimno, joggerzy biegali wokół parku wydychając obłoki pary. Grupa dumnych, starych mężczyzn w zniszczonych czarnych płaszczach udekorowanych medalami z pierwszej wojny światowej wspominała dawno zapomniane bitwy swych ziomków. Nikt z obecnych w parku ludzi nie przejawiał zainteresowania olśniewającą dziewczyną z Izraela.

Dado siedział na ławce w pobliżu opustoszałego muzeum Jeu de Paume i czytał gaze-

tę. Podeszła do niego dyskretnie i zapytała o drogę do hotelu Ritz. Dado po francusku opisał jej drogę, ale wyglądała na zdezorientowaną. Złożył więc gazetę i zaproponował, że ją tam zaprowadzi.

Gdy wyszli z parku i znaleźli się bezpiecznie poza zasięgiem podsłuchu, Narda przeszła na angielski.

- Farheed Shah jest w apartamencie 347. Penelopa i Landau w 332. Szwed nazywa się Olaf Nilsen. Jego przybycie zapowiedziano na osiemnastą.

Następnie powiedziała, że paryski agent Bergera przekupił recepcjonistę w hotelu Madelaine i w telefonie Shaha zamontowano podsłuch.

- A ochrona?

- Libijczyk odpowiedzialny za bezpieczeństwo pozostaje w pokoju Shaha. Jednego człowieka ustawił w holu, drugiego po przeciwnej stronie ulicy od wejścia do hotelu, w alejce przy Rue Boccador.

- A policja?

- Zmotoryzowany patrol przejeżdża co dwie godziny, o nieparzystej.

Gdy zbliżali się do Place de la Concorde, zapytał:

- Którą masz godzinę?

- Druga piętnaście.

Nastawił swój zegarek tak, by oba wskazywały dokładnie ten sam czas.

- To musi się odbyć szybko. Bardzo szybko - powiedział. Uśmiechnęła się, jak gdyby dziękowała mu za pokazanie drogi.

- Nie jestem nowicjuską w tych sprawach. Odwróciła się gwałtownie i przeszła przez wspaniały plac, będący świadkiem szlachetnej rewolucji, która zwariowała.

Idąc w przeciwnym kierunku, Dado skierował się w stronę Pont Alexandre i Lewego Brzegu. Pójdzie do „Selectu”, wypije brandy i popatrzy na studentów i piękne dziewczyny. Pomyśli o czasach, kiedy mieszkali w Paryżu, a on uczęszczał na podyplomowe kursy w Akademii Wojskowej St. Cyr. Bar „Select” był dobrym miejscem, by wspominać przez godzinę czy dwie, zanim zacznie się zabijanie.

Pośród spokojnej elegancji apartamentu na drugim piętrze Farheed Shah sączył Dom Perignon i łyżką nakładał irański kawior na trójkątne grzanki. Dyrektor zakładów atomowych Kahuty nie mógł powstrzymać się-w takim momencie od napawania się luksusem. Mały prywatny hotel był idealnym miejscem do, załatwiania interesów, a po miesiącach czekania, planowania, rozczarowań i zdrady, dostanie wreszcie do rąk instrukcje maszyn rentgenowskich Flash.

Doktor Tukhali natychmiast przeprowadzi wybuch testowy i wkrótce potem pierwsze głowice nuklearne zostaną przekazane Kadafiemu.

Rozgniał smakowite kuleczki kawioru na języku, splukiwał je szampanem i z przyjemnością myślał, że niedługo będzie odbierał najwyższe cywilne odznaczenie Pakistanu za zaszczytną służbę.

Libijski szef obstawy Shaha, Anwar Kaladi, stał przy wychodzącym na ulicę oknie salonu i spoglądał przez lornetkę na podczerwień na krzyżujące się alejki. Jego obserwator znajdował się na posterunku, po przeciwnej stronie ulicy. Drugi goryl miał dyżur w holu. Kaladi wyciągnął antenę radiotelefonu i szybko sprawdził swój zespół. Nadał hasło *Habibi* i otrzymał w odpowiedzi odzew *Shukran*, co oznaczało, że wszystko jest w porządku.

Kaladi zapalił papierosa i dmuchnął dymem na szybę.

92

Chciał, żeby Szwed wreszcie przyszedł i żeby jego zadanie dobiegło końca. Nienawidził tej akcji od momentu jej rozpoczęcia w Waszyngtonie, gdy Hasi kazał mu podciąć gardło pewnemu Amerykaninowi w knajpie w Georgetown. Nie miał nic przeciwko gorylowaniu Niemcom z STS, ale gardził Pakistańczykami. Uważał Pakistan za kraj bękartów, wspierany amerykańskimi datkami, kraj, który przegrał wszystkie wojny, jakie prowadził, z wyjątkiem kampanii terroru przeciw własnym obywatelom z prowincji Beludżystan. Fakt, że czyści ludzie pustyni w Libii potrzebowali pomocy Pakistanu w zdobyciu bomby, był dla Kaladiego uwłaczający, ale unicestwienie państwa syjonistów to polityczna konieczność spełniająca aspiracje islamu. Kaladi nie rozumiał technicznego znaczenia instrukcji, które miał przynieść Szwed, wiedział tylko, że mają ogromne znaczenie dla ukończenia produkcji bomby.

Shah napełnił kieliszek szampanem i spojrzał na oszronioną butelkę akwawity, czekając na Olafa Nillsena. Podtrzymywał kontakty z Nillsenem przez prawie dwa lata, zanim zdołał go przekonać do przemylenia tajnych instrukcji. W końcu trzy miliony franków szwajcarskich pomogły przełamać opory nie kwapiącego się do interesu szwedzkiego naukowca.

Shah otworzył dyplomatkę zawierającą starannie poukładane paczki szwajcarskich franków i powiedział:

- Popatrz, Anwar, jak piękne są pieniądze.

Kaladi skinął od niechcienia głową, ale pozostał przy oknie, wpatrując się w ciemną ulicę przez szparę w zasłonach.

- Odpręż się, przyjacielu. Wypij kieliszek szampana. - Shah natychmiast zorientował się, że popełnił błąd. Kaladi był wiernym fundamentalistą islamskim, napoje alkoholowe były dla niego bezwzględnie wzbronione. - Chciałem powiedzieć - dodał natychmiast - żebyś coś

zjadł, przeszedł się po świeżym powietrzu. Tu nie mamy kłopotów.

- Pozbędzie się mnie pan po przekazaniu materiałów. - Kaladi mówił z nie ukrywaną pogardą. - Może pan sobie wtedy mieć tyle dziwek, ile pan tylko zechce.

Libijczyk nawiązywał do pięknej i drogiej francuskiej prostytutki ze zbioru Madame Nicole. Shah kupował usługi szczególnie atrakcyjnej ciemnowłosej dziewczyny, której Kaladi nie dowierzał. Dziewczyna mówiła biegle po francusku, ale z dziwnym obcym akcentem. Przez radiotelefon Kaladi ponownie sprawdził swój zespół. Szwed powinien nadejść łąda chwila.

Pełniąca nocny dyżur pokojówka przepchnęła ciężki wózek przez korytarz i zapukała do pokoju 332. Krępy mężczyzna w dwudzielnych okularach otworzył drzwi i uśmiechnął się do niej przyjaźnie. Gdy pokojowa weszła do środka, Landau kopniakiem zamknął drzwi, zacisnął rękę na jej ustach i zawołał:

- Penelopa!

Blondynka w średnim wieku, o miłym wyglądzie, ubrana w identyczny jak pokojowa mundurek, wyszła z sypialni, przeszła przez salon i wprawnie zakleiła taśmą usta pokojowej. Później związała jej ręce na plecach, cały czas mówiąc spokojnie po francusku do przerażonej kobiety i przekonując ją, że jeżeli zachowa spokój, to nic się jej nie stanie. Landau wyjął z walizki dziwnie wyglądający pistolet maszynowy uzi kaliber 9 mm i szybkim ruchem nakręcił na lufę tłumik w kształcie rury. Penelopa wzięła uzi z obciętą kolbą, wyszła na korytarz i schowała go pod ręcznikami na wierzchu wózka.

Po przeciwnej niż hotel stronie ulicy Saudicj Karim przytupywał nogami z powodu przejmującego zimna. Stał na posterunku od ponad godziny. Szwed właśnie wszedł do hotelu i zgodnie z planem za pięć minut Karim opuści swój posterunek, i dołączy do kolegi stojącego w holu.

Spoglądając w stronę rogu ulicy, Karim zauważył atrakcyjną młodą kobietę popychającą dziecięcy wózek wzdłuż Rue Marot. Szła w jego stronę i gdy podeszła bliżej, Karim mógł ją podziwiać otwarcie. Narda uśmiechnęła się do niego, zrobiła uwagę na temat zimna i wystrzeliła krótką serię z pistoletu automatycznego Ingram Mac-10 z tłumikiem. Pozbawione rdzenia pociski trafiły Karima w pierś i rozerwały się wewnątrz. Siła uderzenia uniosła jego ciało z ziemi i rzuciła o ścianę, po której osunął się w rosnącą kałużę krwi. Narda szybko odciągnęła ciało w alejkę i wepchnęła je za pojemniki na śmiecie. Następnie cisnęła wózek w ciemną alejkę.

Uspokoiła oddech, wyszła na Rue Marot i swobodnym krokiem przeszła do zaparkowanego samochodu simka. Otworzyła drzwiczki, usiadła za kierownicą i włączyła silnik. Po

chwili zobaczyła Dado, który szedł sprężyć się w kierunku wejścia dla personelu hotelu Madeleine.

W salonie apartamentu Farheed Shah wznosił szklanekę szampana i wygłosił toast skierowany do barczystego Szweda. Odpowiadając na toast, Nillsen powiedział *prosil* i wypił kieliszek akwawity.

Część instrukcji maszyn rentgenowskich Flash leżała na stoliku do kawy w stosach ponumerowanych kolejno wydruków. Reszta pozostawała w otwartej walizce.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Kaladi obrócił się od okna, przeszedł przez salon i spojrział przez wizjer na pełniącą nocny dyżur pokojówkę.

W małym pustym holu libijski goryl spojrział znad gazety na mężczyznę o wyglądzie profesora w dwudzielnych okularach, który wyszedł z samoobsługowej windy i podszedł do recepcji. Po krótkiej wymianie zdań ze starszawym recepcjonistą Landau obrócił się, jak gdyby zamierzał wejść do baru, przypomniał sobie, że bar jest zamknięty, wyciągnął z kieszeni papierosa i zaczął szukać zapalek. Nie znajdując ich podszedł do Libijczyka i uprzejmie poprosił go o ogień. Gdy ten wsadził rękę do kieszeni, Landau wypalił z pistoletu kaliber 22 z tłumikiem w jego czoło. Mała dziurka pojawiła się między oczami Libijczyka, a karmazynowa piana trysnęła na wzorzystą tapetę. Widząc, jak obryzgany krwią człowiek osuwa się na podłogę, przerażony recepcjonista wyszedł zza lady, ale Landau ruchem ręki nakazał mu tam wrócić.

Kaladi otworzy! drzwi, dopiero gdy pokojowa zadzwoniła po raz drugi. Wykorzystując łamany francuski i język gestów, próbował wytłumaczyć jej, że pora nie jest najlepsza na ślanie łóżek i zmianę ręczników. Niewzruszona tym pokojowa protestowała żywo potokiem francuskiego, domagając się, by ją wpuszczono, bo nie może wrócić później, jej obowiązki są wyraźnie określone. Musi sprzątać pokój po pokoju. Musi przestrzegać porządku ustalonego przez kierownictwo.

Olaf Nillsen i Farheed Shah byli zaskoczeni, gdy Kaladi trzasnął drzwiami przed nosem pokojowej. Wykorzystując swój klucz, nieustępliwa kobieta otworzyła drzwi i głośno wyrażała swe niezadowolenie.

- Na Boga, Kaladi, ta kobieta pobudzi umarłych. Wpuść ją i skończmy z tym - powiedział Shah.

Kaladi cofnął się niechętnie i pokojowa weszła z naręczem grubych białych ręczników i świeżych poszewek na poduszki.

Shah i Nillsen zajęli się rysunkami.

Kaladi wrócił do okna i wyjrzał na ulicę.

Po chwili Penelopa wyszła z sypialni, wycelowała uzi w Kaladiego i oddała krótką serię, jego twarz zmieniła się w krwawą miazgę, zanim padł na stolik z telefonem. Teraz skierowała uzi na Nillsena i Shaha. Strumień pocisków poszarpał obu, jak gdyby byli z papieru. Opuszczając dymiący pistolet przeszła szybko przez pokój i otworzyła drzwi.

Popychając przed sobą wózek, Dado wszedł do pokoju Shaha i zamknął drzwi. Klękając obok wózka, otworzył drzwiczki i wyjął zwój przewodów elektrycznych, detonator i kulkę plastikowego materiału wybuchowego. Przeszedł przez ciała Shaha i Nillsena i założył przewody do walizki zawierającej instrukcje. Penelopa zdjęła mundurek pokojowej oraz siwą perukę i wygładziła wełnianą spódnicę.

- Szybko! Ruszaj się! - warknął Dado. - Zabierz pieniądze!

Na dole, w holu, Landau przykuł starszawego recepcjonistę kajdankami do rury ogrzewania za ladą recepcji. Później przeciągnął ciało Libijczyka i rzucił je pod nogi starszaka. Kładąc palec na ustach, nakazał śmiertelnie pobladłemu recepcjoniście milczenie.

Siedząc za kierownicą simki, Narda zobaczyła, jak Penelopa wychodzi z hotelu Madeleine. Włączyła bieg, ruszyła i zatrzymała się przed wejściem.

96

Penelopa rzuciła dyplomatkę pełną franków szwajcarskich na tył samochodu i usiadła obok Nardy. Narda ruszyła ostro i skręciła w Avenue Montaigne.

Dado wyszedł z hotelu i poszedł Rue Marot w stronę pobliskiej stacji metra na Place de l'Alma.

Chwilę później Ben Landau wyszedł bocznym wyjściem i poszedł w kierunku Rue Boccador.

Taksówka, którą Nilsen zamówił na 18.30, zatrzymała się przed wejściem do Madeleine. Kierowca wysiadł i natychmiast padł na ziemię, rzucony falą uderzeniową ogłuszającego wybuchu. Trzydzieści stóp ściany hotelu wyleciało w powietrze. Rozdzwoniły się uruchomione siłą wybuchu alarmy w prywatnych mieszkaniach wzdłuż Rue Marot.

W ciągu zaledwie kilku minut cały obszar został otoczony przez motocykle i wozy patrolowe policji metropolitarnej. Oficerom wywiadu pracującym dla Deuxieme Bureau potrzeba było prawie godziny, by dojechać na miejsce i rozpocząć żmudną pracę przesiewania gruzów.

Rozdział osiemnasty

Włączając i wyłączając długie światła Eryka Sperling pędziła BMW szeroką ulicą

równoległą do berlińskiego muru.

- Po co ten pośpiech? - zapytał Lawford.

- Kleiser uważa, że punktualność jest dowodem na uporządkowany sposób myślenia.

Nie ma cierpliwości dla spóźnialskich.

Przez większą część ostatnich dwóch dni wprowadzała go w historię prywatnego życia Kleisera i tło organizacyjne STS.

Podczas odpraw chodziła jak zniecierpliwiony żrebak, rzucając włosami i gestykulując szczupłymi palcami. Zatrzymywała się, odwracała. Patrzyła na niego, by coś zaakcentować. Zadawała pytania oderwane od tematu i pełniła rolę inkwizytora. Zapach powabnych perfum pozostawał w powietrzu na długo po jej wyjściu i Tom zaczął budować różne nadzieje wokół apodyktycznej *Fraulein* Sperling. Czasami, gdy odpowiedział na jakieś pytanie zbyt szybko, bez zastanowienia, robiła zjadliwe uwagi. W pewnym momencie zaczął na nią krzyknąć z niepokromioną złością i zażądał, by zachowywała się uprzejmie. Wtedy odpowiedziała mu:

- Uprzejmość jest luksusem. Mnie interesuje pozostanie przy życiu.

Kontynuowała bezwzględny atak do momentu, gdy nabrała pewności, że da sobie radę w każdej sytuacji, jaką może stworzyć Fritz Kleiser.

- Cokolwiek pan zrobi, proszę go nie traktować z góry. On potrzebuje pana bardziej niż pan jego.

Zredukowała bieg, dwukrotnie wciskając sprzęgło i wyprzedziła ciężarówkę w momencie, gdy światła nadjeżdżającego z przeciwka samochodu przemknęły obok. Zwymyślała kierowcę ciężarówki, używając amerykańskich przekleństw. Skręcili w Heerstrasse i wjechali do ośnieżonego lasu Grunewald. Spoglądając na Lawforda, powiedziała:

- Niech pan pamięta, że ojciec Kleisera był członkiem inicjatywnej grupy naukowców zajmujących się raketami w Peenemiinde, związanym ze starym Kameradeschaft SS, co czyni Fritza Kleisera honorowym...

- Jestem przygotowany - przerwał Tom. - - Będzie mi pani musiała zaufać. Przeprowadzałem wywiady z wieloma przebiegłymi ludźmi.

Na rozwidleniu skręciła w prawo i pojechała jednopasmową drogą, wijącą się wzdłuż brzegu jeziora Havel.

- Niechętnie panu o tym mówiłam, bo wydawało mi się to bez znaczenia. Ale Kleiser ma pewną słabość, o której może warto wspomnieć, jego upodobania seksualne są dziwne. Żeby osiągnąć zadowolenie, potrzebuje opium i przedstawienia dwóch kochających się ze sobą dziewczyn.

- Skąd pani wie?

- Jakie to ma znaczenie? - Wzruszyła ramionami. Droga kończyła się wysoką dwuczęściową bramą ze stalowej kratownicy, uzupełnioną kamerami telewizyjnymi na obrotowych podstawach. Eryka otworzyła okienko, wychyliła się i nacisnęła przycisk domofonu.

- *Ja?*

- *Fraulein Sperling.*

Po chwili brama się otworzyła.

Ubrany w granatowy blezer i błękitny golf, doktor Fritz Kleiser stał przy oknie i przyglądał się, jak światła BMW przebijają przez sosny w dole drogi. Popijał brandy i palił cygarętkę. Za nim, w ogromnym kamiennym kominku, trzeszczał ogień.

Gabinet obstawiony był oprawnymi w skórę wydaniem dzieł Goethego, Stendhala, Dickensa, Turgieniewa i Baudelaire'a. Jedną ze ścian pokrywał flamandzki gobelin w doskonałym stanie. Kilka obrazów Breugla ozdabiało przeciwległą ścianę. Meble wykonane z ciemnego dębu były ciężkie i bogato zdobione. Podobnie jak Kleiser, sklepiony arystokratyczny gabinet wyglądał jak przeniesiony z czasów cesarskich Niemiec.

Na górze, w oświetlonej łagodnym światłem ozdobionej lustrami sypialni, wyposażonej w kilka monitorów telewizyjnych, czekały na niego dwie szwajcarskie dziewczyny. Wiedział, że Eryka dobrała je za pośrednictwem agencji modelek prowadzonej przez *Fraulein Hauser*, ale nigdy nie zadawał pytań. To Eryka zajmowała się szczegółami, opium i ulubionymi porno filmami na wideo.

Korzystając z aparatu na przepięknie intarsjowanym biurku, zatelefonował do Heinricha Muellera w Monachium. Od czasu do czasu starszy potrzebował wsparcia. Służbistość tego weterana techniki raketowej nigdy nie przestawała go zadziwiać.

- *Ja?* - Głos Muellera był ochryply ze starości.

- Dobry wieczór, drogi doktorze - powiedział ciepło Kleiser.

- Dobry wieczór, *Herr Oberst.*

Morderca z Nordhausen - człowiek, który rozpętał terror na niebie nad Londynem pół wieku temu - zwraca się do niego przez „Oberst”, Zwierzchniku.

- Mam się za chwilę spotkać z amerykańskim dziennikarzem. Wszystko wydaje się iść dobrze.

- Przychylny artykuł w prasie światowej byłby na czasie - zgodził się Mueller, ale dodał nerwowo: - Ułagodzenie prasy nie jest rzeczą prostą, zbierają się nad nami niebezpieczne chmury. Martwi mnie zabójstwo Farheeda Shaha w Paryżu.

- Paryski incydent to nie pana zmartwienie. Niech się pan skoncentruje na pracy. Tam-

te problemy niech pan zostawi mnie - odpowiedział Kleiser i nagle zdecydował się zakończyć rozmowę.

- *Aufwidersehen, Herr Doktor.*

Odłożył słuchawkę z nadzieją, że Mueller i jego koledzy zachowają spokój, pomimo tragicznego zabójstwa Farheed Shaha w Paryżu. Nie lubił karcieć Muellera, ale musiał utrzymywać dyscyplinę. Zbliżali się przecież do uwieńczenia dziesięciu lat pracy. Walter Diehl wrócił właśnie z bazy w Libii i nadzoruje montaż V-5 w zakładach w Monachium. Nerwowość Muellera jest zaraźliwa i może stać się niebezpieczna. Staruszek potrzebuje chyba wacacji.

Kleiser ruchem ręki zamieszał koniak w kieliszku i w skupieniu przyglądał się flamandzkiemu gobelinowi, ale jego myśli skupiły się na niedawnym zamachu terrorystycznym w Paryżu. Zabójstwo Shaha spowodowało, że Pakistan nadal nie ma dostępu do instrukcji maszyn Flash i będzie zmuszony wypróbować detonator atomowy w terenie, co zwiększa ryzyko wykrycia. Zastanawiał się, czy paryska akcja była dziełem Mossadu. Wątpił w *to*. Brakowało jej zwykłego porządku i dyskrecji izraelskich oddziałów antyterrorystycznych. To musiała być operacja albo Tajnej Służby Indii, albo, co bardziej prawdopodobne, KGB. Rada Najwyższa złożyła oficjalny protest przeciwko zaangażowaniu STS w Libii, skierowany do zachodnioniemieckiego rządu.

Teraz największe znaczenie miało zjednanie sobie dziennikarskich umiejętności Lawforda. Otworzy przed tym zdobywającym nagrody dziennikarzem wszystkie drzwi. Niech napisze swój artykuł. Niech odwiedzi poligon. Należy przekonać świat, że STS jest rzeczywiście pokojowym przedsiębiorstwem komercyjnym.

Kamerdyner wprowadził Erykę Sperling i Toma Lawforda do zwieńczonego sklepieniem gabinetu. Choć Tom widział zdjęcia Kleisera, natychmiast zwrócił uwagę na wojskową postawę i surowe, arystokratyczne rysy gospodarza.

- Zostaw nas samych, Eryko - powiedział krótko Kleiser. Kiedy wyszła, jego głos nabrał sympatycznego ciepła.

- Ma pan ochotę na koniak, panie Lawford?

- Chętnie.

Kleiser napełnił kieliszek.

- Eryka reprezentuje urodę północy, Hannover. *Herrenvolk*. To trudna do uchwycenia uroda. *Skol!*

- - *Cheers.*

- Proszę usiąść - powiedział Kleiser, wskazując na sofę.

- Ma pan stąd niezły widok na jezioro - zauważył Tom.

- Po przeciwnej stronie - Kleiser wskazał na drugi brzeg jeziora Havel - jest willa, w której Heydrich poprowadził Konferencję Wanasee na temat „Ostatecznego Rozwiązania” w styczniu czterdziestego drugiego.

- Czy przeszkadza to panu?

- W jaki sposób?

- Cóż, można by powiedzieć, że dokonany przez Niemców Holocaust narodził się w tamtej willi.

- Tak... Obecność tej willi czasami sprawia, że zastanawiam się nad tym brzemieniem w skutki spotkania. Nie chodzi mi o Żydów. To może zabrzmieć ironicznie, ale zastanawiam się nad niemiecką psychiką i monstualną siłą, jaką posiada mój naród... Byłem oczywiście dość młody w tamtym okresie, ale do dziś nie rozumiem, dlaczego wybrano niemieckich Żydów. Mimo wszystko stanowili przecież lojalny i przedsiębiorczy składnik społeczeństwa niemieckiego. To było okropne nadużycie władzy.

- Termin „nadużycie” nie bardzo pokrywa się z pojęciem „ludobójstwo”.

- Nie usprawiedliwiam Holocaustu. Wprost przeciwnie, uważam, że jest plamą na narodzie, która nigdy nie zniknie. Ale należy pamiętać, że w latach dwudziestych i trzydziestych Niemcy były krajem przegranym, poszukującym zbawcy. Hitler był psychopata, ale rozumiał plemienną siłę niemieckiej mitologii. Obudził naszych prastarych bogów ognia i lodu. Wskrzesał teorię Naczcłowieka i przemówił do najbrutalniejszego i najciemniejszego elementu społeczeństwa, i w końcu on i jego banda dali radę zepsuć cały naród.

- Na kogo zrzuci pan odpowiedzialność za obecne zepsucie?

- Obawiam się, że nie rozumiem pytania.

- Nie jest ono takie trudne. Nie mówię o niemieckich grzechach przeszłości. Mówię o grzechach dnia dzisiejszego. Pana koledzy wybudowali ogromne fabryki gazów trujących w Libii i Iraku. W osiemdziesiątym siódmym dyktator Iraku zagazował pięć tysięcy Kurdów wraz z dziesiątkami tysięcy żołnierzy irańskich. Ten zabójczy gaz został dostarczony przez zachodniemieckie przedsiębiorstwa. Libia również stosowała gazy trujące w tłącej się wojnie pomiędzy Kadafim a Czadem. To wydarzenia dnia dzisiejszego. Konsorcja niemieckie zaopatrują kraje Trzeciego Świata w broń chemiczną i biologiczną. Teraz nie ma Hitlera, którego dałoby się obciążyć odpowiedzialnością moralną.

Kleiser przyglądał się przez moment Lawfordowi, po czym na jego ustach pojawił się sarkastyczny uśmiezek.

- Zachowuje się pan zgodnie z krążącą o panu opinią cynika.

- Obiektywny cynizm jest ryzykiem zawodowym, ale nie jest tak niebezpieczny, jak produkcja gazów trujących czy rakiet dalekiego zasięgu.

- Nie podoba mi się zaliczenie mnie do grona sprowadzonych na złą drogę i żądnych szybkiego zysku spekulantów. Nigdy nie wykorzystywałem mojej firmy w sposób niehonorowy.

- Nie powiedziałem, że pan to robił. Przykro mi, jeżeli odniósł pan takie wrażenie.

- Wspomniał pan o rakietach dalekiego zasięgu, czy też mi się wydawało?

- Wspomniałem, ale jedynie w kontekście teoretycznej dyskusji.

W pokoju zapadła cisza, przerywana trzaskiem ognia w kominku, i Tom zastanawiał się, czy nie posunął się za daleko. Wreszcie Kleiser wstał i zaczął przechadzać się po orientalnym dywanie.

- Znam prawie każdy liczący się artykuł napisany przez pana w ciągu ubiegłej dekady. Oglądałem też fragmenty programu *Nightside*. Dlatego odwlekałem nasze spotkanie. Nie dbam o to, co myśli pan o Niemczech, przeszłych czy obecnych. Chcę tylko być pewny, że nie ma pan fałszywych poglądów czy uprzedzeń co do działalności mojej firmy w Libii.

- Przyjąłem to zadanie, gdyż wzbudziło moje zainteresowanie - odpowiedział Tom. - Nigdy nie napiszę niczego, poza prawdą, taką jak ją widzę. Nie podpisuję się pod teorią, że Niemcy to zbrojeńcy, urodzeni zbrodniarze. Mogę być trudnym odbiorcą, ale wydrukuję to, co zobaczę i usłyszę. Ma pan na to moje słowo.

Kleiser spoglądał na Toma przez dłuższą chwilę.

- Chcę pokazać panu całe moje przedsięwzięcie. Wszystko. Żadnych zakazanych zakamarków, jak się to mówi.

- W tym i wyrzutnię?

- Ach - roześmiał się Kleiser. - Przechodzi pan wprost do sedna sprawy.

- Pan jest zajęty. I ja też jestem zajęty. Po co tracić czas? Wyrzutnia jest kluczową sprawą dla artykułu.

- Dlaczego?

- Pańskie działania w Libii przerażają wielu ludzi i właśnie ten strach mnie interesuje. Do czego, do cholery, pan zmierza, doktorze?

- Jestem człowiekiem interesów, nic więcej.

- Mam taką nadzieję. Bo będę kopał ostro i nie przedstawię do wydania artykułu, jeśli uznam go za niekompletny. Nie robię tego nigdy. Ale mogę dać panu słowo, że poza zapisem znajdują się te wszystkie sprawy, które uzgodnimy między sobą, zanim zacznę.

- Doceniam pańską szczerą, ale nie ma żadnych ograniczeń. Ma pan swobodę, bv

pisać i fotografować dokładnie to, co pan zobaczy. Wyrzutnie, ulepszone V-5, montownię w Monachium, zakład silników w Stuttgarcie, cokolwiek pan sobie życzy. V-5 zaprojektowano dla wyniesienia na orbitę satelitów komunikacyjnych. Budujemy międzynarodowe przedsiębiorstwo raketowe, które będzie obsługiwać Trzeci Świat, i mam nadzieję, stanie się Federalnym Ekspresem Kosmosu.

- Czy twierdzi pan, że V-5 nie posiada zastosowań wojskowych?

Wszystko ma zastosowania wojskowe. Można powiedzieć, że telefon ma zastosowanie wojskowe. Można użyć ciężarówki do przewozu mleka lub silnego środka wybuchowego. Można wziąć pióro i napisać równanie o śmiertelnych skutkach lub też można wziąć to samo pióro i napisać wspaniały wiersz.

- Czy jednak Libia nie jest niebezpiecznym wyborem na partnera w Trzecim Świecie? Rakiety dalekiego zasięgu są znacznie groźniejsze niż telefon czy wieczne pióro. Przyzna pan, że, łagodnie mówiąc, Kaddafi to niezrównoważony mistyk, człowiek zdolny do niemal wszelkich irracjonalnych zachowań.

- Dla jednych jest mistykiem, dla innych rewolucjonistą.- Wzruszył ramionami Kleiser. - Jeszcze koniaku?

- Nie, dziękuję.

- Jest może setka ludzi, którzy rządzą światem. Nie jestem jednym z nich - powiedział Kleiser i łyknął koniaku.

- Nasze zamiary w Libii są pokojowe. STS jest prywatną firmą komercyjną. Jest to skromny pierwszy krok w stronę rynków Trzeciego Świata. Naszym pragnieniem jest wyposażać zacofane technicznie kraje w możliwości skorzystania z nowoczesnej telekomunikacji przez wystrzelenie niedrogich satelitów. Dzięki temu powinniśmy uzyskać skromne dochody.

- Ale musi pan sobie zdawać sprawę z pogłosek o współpracy Libii z Pakistanem. Pogłoski te wskazują na to, że Pakistan dostarczy Kadafiemu głowice nuklearne. A głowice te zostaną założone i wystrzelone na dostarczonych przez pana firmę rakietach V-5.

- Cieszę się, że użył pan słowa „pogłoski”. Ponieważ właśnie są to tylko pogłoski. Nie jestem zainteresowany tym, aby zrobić z Libii supermocarstwo. Ale przyjmę pieniądze od Watykanu, Kremla czy saudyjskiej rodziny królewskiej, aby kontynuować pracę. Jak pan zobaczy, nasze V-5 są prymitywem w porównaniu z raketami na paliwo stałe, należącymi do supermocarstw. Rakietą na paliwo stałe nie wymaga skomplikowanej procedury odliczania, wystarczy tylko przycisnąć guzik. Nie zajmuję się międzykontynentalnymi raketami balistycznymi. Samo budowanie rakiet nie daje pieniędzy. Mnie interesuje badanie przestrzeni kosmicznej.

- Pana ojciec i jego koledzy: Mueller, Diehl, von Braun i zmarły niedawno Alois Brunner, zabili tysiące ludzi rozwijając naukę.

- Zostawmy sprawy filozoficznych nieporozumień na inną okazję, panie Lawford. Moralność w znacznej mierze znajduje się w rękach zdobywców. Jedynym krajem w historii, który zrzucił bombę atomową, jest pański, i to nie raz, a dwa, w znacznym stopniu dla eksperymentu na pokonanym wrogu. Myślę, że zgodzi się pan ze mną, że technika i moralność wzajemnie się niestety wykluczają. - Kleiser zrobił przerwę i powiedział: - Wiem, że był pan w Izraelu. Czytałem pana wywiad z października 1973 z izraelskim generałem o nazwisku Harel. Czytałem też pana artykuły o przewodniczącym Arafacie i Abu Nidalu, Castro i mafiosach z kartelu kokainowego w Medellin. Doszedłem do wniosku, że w każdym wypadku wykazał pan bezinteresowną uczciwość. Tej cechy brakuje niestety niemieckiej prasie. Nie uważam tych, którzy głoszą prawdę, za szerzących zamęt. Gardzę propagandzistami i poszukiwaczami sensacji. Szanuję obiektywne dziennikarstwo i właśnie o to proszę - o obiektywizm.

- To mogę panu obiecać.

- Może pan napisać i myśleć, co się panu podoba, ale proszę pamiętać te słowa: Wierzę, że pokój zostanie osiągnięty dopiero wtedy, gdy będziemy żyć w świecie pozbawionym tajemnic, a satelity wyeliminują tajemnice kosmosu.

Tom pomyślał, że Eryka nie doceniła uroku i przebiegłości Kleisera. Świetnie potrafił sprzedać swój towar.

- STS znajduje się w czołówce firm zajmujących się pokojową techniką kosmiczną - ciągnął Kleiser. - A pan, panie Lawford, ma jedyną w swym rodzaju szansę uspokoić międzynarodowe obawy co do działań mojego przedsiębiorstwa. Przyznam uczciwie, że potrzebuję pana pomocy i nic nie będę przed panem ukrywał.

- Doceniam pana zaufanie i mogę zapewnić, że jeżeli uzyskam istotne fakty, mój artykuł ukaże się we wszystkich ważniejszych środkach masowego przekazu na świecie. Ale nie jestem propagandzistą. Wszystko zależy od faktów i nie przepuszczę przez sito prawdy o działaniach STS w Libii.

- I tak powinno być - zgodził się Kleiser.

Nacisnął przycisk na konsoli domofonu.

- Myślę, że się rozumiemy. Przepraszam, że nie zapraszam pana na obiad, ale muszę zająć się niespodziewanymi sprawami.

- Zanim pójdę, czy może mi pan coś powiedzieć o Aloisie Brunnerze?

- Ach... biedny Brunner. - Kleiser pokiwał głową ze smutkiem. - Był starym człowiekiem chorym z miłości. Według mnie jego śmierć nie wiązała się z jego pozycją w STS. Gdy

mężczyzna uprawia zakazane zabawy z nastolatką, sam prosi się o kłopoty, rodzice się wściekają, byli chłopcy. To niebezpieczne sprawy.

- Nie łączy pan śmierci Brunnera z niedawnym zamachem terrorystycznym w Paryżu?

- Paryżu? - Oczy Kleisera rozszerzyły się.

- Z zabójstwem Farheed Shaha, dyrektora pakistańskich zakładów jądrowych w Kahucie.

- Te sprawy nie mają nic wspólnego z STS. Powinien pan o tym porozmawiać z przedstawicielem Indii lub Rosjanami. Oni mają powody, by obawiać się pakistańskiego programu atomowego.

Otworzyły się drzwi i weszła Eryka.

- Skończyliśmy interesy - zwrócił się do niej Kleiser, - Czemu by nie zabrać naszego przyjaciela z Ameryki do tej wspaniałej restauracji na Perlbergerstrasse? Czy lub? pan kuchnię węgierską, panie Lawford?

- Nie przypominam sobie, że bym jej kiedyś próbował.

Głos Kleisera był ciepły i przyjazny, gdy odprowadzał ich do przedpokoju.

W życiu należy spróbować wszystkiego, przynajmniej raz. Zgadzasz się, Eryko?

- Całkowicie.

- Taak. Widzi pan, *Fraulein* Sperling jest rzadkim przypadkiem kobiety szczerzej. Lojalnej. Oddanej. I prawie zawsze się ze mną zgadza - dodał, całując ją w policzek.

Tom zaczekał, aż znajdą się w drzwiach, by zadać ostatnie pytanie.

- Jak mógłbym załatwić sobie wizytę w tunelach Nordhausen?

Uśmiech Kleisera zniknął.

106

- Co wspólnego z pana artykułem ma Nordhausen?

- Nordhausen i sąsiadujący z nim obóz koncentracyjny Dora mają podstawowe znaczenie dla naszego artykułu. Historia STS zaczyna się w Nordhausen.

- Przecież może pan zobaczyć te rzeczy w starych kronikach filmowych.

- Widziałem. Chcę zobaczyć te tunele na własne oczy.

- To może okazać się niemożliwe. Tunele mogły zostać zamknięte i...

- Zajmę się tym - wtrąciła Eryka i dodała szybko: - Pana goście czekają.

Kleiser wyciągnął rękę i Tom ją uściskał.

- Dobiliśmy targu, panie Lawford. Ma pan moje słowo. Całe nasze przedsięwzięcie jest dla pana otwarte. Kiedy wróci pan z Nordhausen, Eryka załatwi panu wizytę w naszych zakładach montażowych silników i rakiet w Monachium i Stuttgarcie - a na koniec odwie-

dzimy wyrzutnię. - Kleiser uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że węgierska kuchnia przypadnie panu do gustu.

Leżące na ogromnym łóżku dwie Szwajcarczki oglądały film porno na dużym ekranie telewizyjnym. Obie były bardzo młode. Jedna była blondynką o delikatnych rysach, druga wyglądała przeciętnie, miała duże smutne oczy i kształtne nogi. Obie ubrane były w formalne frakowe koszule, czarne muszki i... nic poza tym. Kleiser siedział naprzeciw nich, patrzył ciekawie i palił fajkę wypełnioną opium. Blondynka odwróciła się od telewizora i mocno pocałowała dziewczynę o ciemnych włosach. Rozwiązała jej muszkę, rozpięła koszulę i zaczęła pieszczoty. Ciemnowłosa dziewczyna jęknęła i przycisnęła mocno do piersi głowę blondynki. Kleiser poczuł, jak odpływa w zmysłowy sen, ale przez ułamek sekundy pomyślał, jaki bezbronny staje się w takich chwilach. Te dziewczyny mogłyby być kimkolwiek - dokładnie. Kimkolwiek.

Węgierska restauracja była mała i zatłoczona elegancko ubranymi berlińczykami z wyższych sfer. Wyśmienite, pikantne potrawy podawano z mocnym czerwonym winem. Eryka skrytykowała pewne szczegóły rozmowy Toma z Kleiserem.

- Wystarczy - westchnął Tom. - Czy nigdy nie przyjmuje pani słowa „tak” za odpowiedź? Facet powiedział, że otwiera drzwi.

- Nie powinien pan wspominać o Nordhausen.

- Czemu nie?

- Wszystko, co wiąże się z nazistowską przeszłością, jest dla niego alarmujące. A jednak... - Popiła wina. - Myślę, że w sumie dał pan sobie niezłe radę. Rano będę miała pewność.

- Jakim sposobem?

- Jedna z dziewczyn, z którymi zabawia się teraz Kleiser, przekaże mi informacje.

- Jest pani naprawdę niezła.

- Nie. Jestem niczym. Mój ojciec był kimś. Ale to długa i smutna historia. - Wypiła duszkiem resztę wina i ponownie napelniła kieliszek. - Może pan powiedzieć, że ufam panu, ponieważ się upijam. Ale niech pan nie wierzy ani przez moment, że Fritz Kleiser rzeczywiście zabierze pana tam, gdzie są wyrzutnie. Chociaż, jeśli do tego czasu rakiety będą gotowe i uzbrojone, lokalizacja nie będzie już miała znaczenia.

Poprosiła kelnera o rachunek.

- Po co ten pośpiech?

- Jestem bardzo zmęczona. I czuję się pijana. Odwiezie mnie pan do domu, prawda?

Zagadkowy, subtelny, zmysłowy ton był obecny w jej słowach od chwili pierwszego spotkania.

- Jest pan bardzo przystojny - powiedziała - jak na mężczyznę w tak zaawansowanym wieku.

Jej jasne włosy połyskiwały w świetle świec, a oczy rzucały obiecujące iskierki.

- Jak pani myśli, ile mam lat?

108

- Ma pan ich dość, by zapłacić rachunek i zabrać mnie do domu.

Ostre, zimne powietrze działało orzeźwiająco, gdy szli ulicą i wsiadali do BMW. Tom potrzebował czasu, by zaznajomić się z deską rozdzielczą. Eryka kręciła gałkami radia, w końcu złapała jakąś stację.

- Rozgłośnia Amerykańskich Sił Zbrojnych - wyjaśniła. - O tej porze grają amerykański jazz.

Tom płynnie, zmieniał biegi, gdy ruszyli w stronę Charlottenburga, reprezentacyjnej dzielnicy w sektorze brytyjskim, niedaleko od-parku Tiergarten. Jedwabisty głos Elli Fitzgerald popłynął w stereo z głośników i rozbrzmiała piękna piosenka *Jak długo to już trwa*.

- To jest to, co Amerykanie nazywają chwytające za serce, prawda?

Tom skinął głową.

- Myślę, że wielu ludzi zakochało się i odkochało przy jej dźwiękach.

- A ty? Kogo przestałeś kochać?

- Na to pytanie nie ma odpowiedzi.

- Dlaczego?

- Nie da się zapamiętać, jak i dlaczego pewne uczucia odchodzą i umierają. Łapię się na tym, że poświęcam na to zbyt wiele czasu. To paskudna sprawa.

- Tak, nie ma sensu rozpamiętywanie zdarzeń, których nie da się odmienić.

Poprowadziła go pokrytą śniegiem ulicą zabudowaną domami.

- Mój dom jest tam. Zaparkuj gdzieś, jeśli znajdziesz kawałek miejsca.

Szedł za nią po zniszczonych drewnianych schodach i podziwiał jej ładne nogi. Nagle potknęła się i poleciała w tył. Złapał ją i przytrzymał przez chwilę, zanim się uśmiechnęła.

- Chodzę po tych schodach tyle lat, ale nigdy przedtem mi się to nie przytrafiło.

- To wina gulaszu.

- Tak, oczywiście, gulaszu.

W mieszkaniu włączyła stereo i nalała czerwonego wina w dwa kryształowe kielichy.

- Zdejmij marynarkę. Rozpręż się. Za moment wracam.

- Gdzie trzymasz papierosy?

- Za tobą na półce.

Zapalił papierosa, przyciemnił światło i biorąc kielich, podszedł do okna. Joan Jett śpiewała dziecinną piosenkę o niepotrzebnej miłości.

Tom dmuchnął dymem na szybę i pomyślał o Eryce i obiecującym błysku, który tańczył w jej oczach. Była niewiadomą ukrytą za tajemnicami rządzącymi jej uczuciami. Ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że ta niezwykle pociągająca kobieta go uwodziła.

Eryka spojrzała na swoje odbicie w lustrze w łazience. Może to napięcie i czerwone wino, może godziny, które spędziła z nim na przygotowaniach, a może to, że nie spała z mężczyzną od długiego czasu. Wszystko to, i coś jeszcze. Byli do siebie podobni, nękani wspomnieniami i przeoczonymi szansami. Wypalali się. Wiedziała o nim wszystko. Mossad był bardzo dokładny.

Szczotkowała włosy gwałtownie i mocno, aż lśniły, dotknęła szyi czubkiem palca umoczonego w perfumach i wyszła.

Gdy wchodziła do pokoju, Tom odwrócił się od okna i powiedział:

- Urocze mieszkanko.

Podeszła do niego. Miała rozpaloną twarz, a oczy rzucały wyzwanie.

- Jak na Berlin jest dość miłe - powiedziała. - Jest blisko Tiergarten i...

Pocałował ją delikatnie, raz, drugi, ich usta dotykały się lekko. Wtulili się w niego, a on objął ją rękoma. Siła ich pasji niosła ze sobą utratę rozumu i panowania. Była dla niego obiecującym wyzwaniem i kochali się, aż nie pozostało już żadnych tajemnic.

110

Rozdział dziewiętnasty

Helikopter Bell Ranger koloru piaskowego kierował się na północ, wzdłuż spienionego wybrzeża Morza Śródziemnego. Daleko w dole cienie łopat wirnika przesuwwały się wzdłuż ruin Cezarei z czasów Heroda. Pożegnali linię brzegową nad Akką i skręcili w głąb lądu, przelatując nad zielono-złotym dywanem pól uprawnych.

Pilot zachowywał kamienną twarz, a jego oczy były nieprzeniknione, gdy sprawdzał wskaźniki i instrumenty, dokonywał nieznacznych korekt kursu ze względu na ostry zachodni wiatr. Dado pociągnął go za rękaw i wskazał w dół na rozłożoną pod nimi bazę lotniczą Hadery, gdzie samoloty F-16 i F-15 oraz helikoptery Huey stały pod siatkami maskującymi. Widzieli przejeżdżające po płycie cysterny i ekipy serwisowe pracujące przy samolotach C-130. Rakiety ziemia-powietrze typu Hawk otaczały bazę, a ogromna parabola radaru obracała się na szczycie wieży kontrolnej.

Radziecki satelita Sojuz-TM-6 codziennie przelatuje nad bazą Hadery, a wykonane przez niego fotografie przekazywane są wywiadowi syryjskiemu. Północna baza lotnicza stała się pierwszoplanowym celem wstępnego ataku w następnej wojnie, i fakt ten cieszył szefa izraelskiego lotnictwa Arika Carmila, ponieważ Hadera była złudzeniem. Poza ludźmi, samochodami i sporadycznymi lądowaniami, i startami odrzutowców nic nie było prawdziwe. Hadera istniała wyłącznie dla radzieckiego satelity. Rzeczywiste centrum dowodzenia północnej grupy lotnictwa nie było widoczne z powietrza. Kamuflaż odgrywał zasadniczą rolę w strategii wojskowej Izraela.

Bell Ranger uniósł się nad górą Karmel, odsłaniając wspaniały widok na górskie miasto z pastelowymi domkami i wysadzonymi palmami ulicami, które opadały łagodnie ku morzu. Po krótkiej rozmowie z kontrolą naziemną lądowiska helikopterów w ośrodku Technion pilot nabral wysokość i skierował się na wschód w kierunku kompleksu budynków ze szkła i stali rozłożonych na zboczu wzgórza.

W kilka minut później wylądowali w samym centrum lądowiska na zapleczu budynku administracyjnego Technionu.

Dado wysiadł. Powitał go łysiejący mężczyzna średniego wzrostu o figlarnych rysach i żywych, wesołych oczach.

Doktor Yuval Newman był jednym z założycieli Technionu. Instytut badawczo-rozwojowy zatrudniał najbardziej utalentowane umysły społeczeństwa. Specjalnością Newmana była fizyka nuklearna, ale był też pionierem zaawansowanych studiów nad elektronicznymi mikroprocesorami nadprzewodzącymi, co umożliwiło stworzenie superkomputera Yuval-15. Ostatnio skierował swe zainteresowania na dziedzinę laserów atomowych.

Podali sobie ręce.

- Chodź, Dado. Zarezerwowałem najlepszy stolik.

Taras ogrodu wychodził na morze i w oddali widzieli sylwetkę amerykańskiego lotnikowca w bazie morskiej Hajfy. Ciemnoskóra Jemenka podała im kawę i słodkie bułeczki.

- Zauważyłem w prasie, że odwiedziłeś Paryż - powiedział Newman. - Utrata instrukcji zmusi Pakistan do przeprowadzenia otwartego testu.

- Z drugiej strony - zauważył Dado - Kadafi może przyjąć głowice i podjąć ryzyko, że zdetonują.

- Może... - Z oczu Newmana nagle zniknęła radość, a pojawił się w nich cień zadumy.

- Przepuściłem przez komputer zagadnienie, które mi podsunąłeś. To bardzo ryzykowne.

- Ale możliwe?

- Pytanie jest relatywne; oczywiście, że to możliwe, ale cena mogłaby być zbyt wyso-

ka. Mówię o cenie politycznej. Gdyby ośmiusetmegawatowy reaktor doznał poważnych uszkodzeń strukturalnych, można się spodziewać opadu radioaktywnego dziesięciokrotnie większego niż po wypadku w Czarnobylu. Istnieje też problem plutonu w Kahucie. - Newman Zamilkł i westchnął. - Gdyby otworzyły się sarkofagi składowanego tam plutonu, mamy powtora na wolności. Pluton jest najbardziej śmiertcionośny ze wszystkich izotopów. Zabiłby każdą istotę żywą - człowieka, zwierzę czy roślinę - w promieniu dwudziestu pięciu kilometrów. To miejsce, jak i otaczający je obszar, stałoby się niezdatne do zamieszkania na zawsze. - Newman znowu przerwał i napił się kawy. - Jednak istnieje możliwość - podkreślam, możliwość - by przeprowadzić całą operację z minimalnym zagrożeniem życia. Musielibyśmy wiedzieć dokładnie, na jakiej głębokości zdetonować ładunek oraz znać ciśnienie na centymetr kwadratowy betonu oddzielającego poszczególne poziomy. A ponieważ reaktor w Kahucie wymaga okresowego wyłączania dla wymiany paliwa, warto byłoby wiedzieć, kiedy rdzeń będzie zimny.

- A co z plutonem?

- Implozja musi być tak obliczona, by spowodować opadnięcie kopuły na reaktor. Niższe poziomy otworzą się jak most zwodzony i zbiornik ciężkiej wody zagotuje się, wybuchnie i spowoduje powódź zalewającą dolne poziomy, co w jakiś sposób opieczętuje sarkofagi z plutonem.

- Jakie jest przypuszczalne zagrożenie dla Islamabadu i Rawalpindi?

- Minimalne. Oba te miasta są o dwadzieścia pięć mil pod wiatr od Kahuty. Ale - Newman wzruszył ramionami - jeżeli nastąpi wyciek plutonu, cała północna prowincja nie będzie nadawała się do zamieszkania.

Dado wyprostował długie nogi i powiedział:

- Wracajmy.

Gdy zbliżali się do lądowiska, Dado zapytał:

- Jakie są twoje wnioski, Yuval?

- Wierzę, że da się to zrobić. Ale wszystko wymaga precyzyjnego planowania. Absolutnej tajemnicy. Bezbłędного wywiadu. I perfekcyjnego wykonania. Mimo wszystko podjęcie te; decyzji jest ogromnie ryzykowne. Niespodziewane sytuacje, pogoda, prądy, błędy nawigacji, awaria techniczna. To, co Heisenberg nazwał „Zasadą nieokreśloności”.

- A jeszcze, poza ryzykiem - przypomniał Dado Newmanów - atak na Kahutę musi mieć wszelkie pozory tragicznego wypadku.

- Jeżeli nam się uda, i dopisze nam szczęście, tak będzie. Zniszczenie Kahuty zostanie przypisane nie dającemu się przewidzieć okrucieństwu sił natury. Północno-wschodnie obrze-

że Pakistanu leży na tektonicznym uskoku. Katastrofalne trzęsienie ziemi obróciło w ruinę miasta w Afganistanie i Indiach kilka lat temu, a w osiemdziesiątym ósmym zniszczyło Armenię. A poza prawami przyrody, wypadki w zakładach atomowych nie są rzadkością. Katastrofy atomowe przydarzyły się w Ameryce, Wielkiej Brytanii, Francji, Włoszech, Szwecji i Rosji. Więc dlaczego nie Kahuta? Nikt nie jest zabezpieczony przed niebezpieczeństwem, jakie niesie technika jądrowa. Gdy zatrzymali się na lądowisku, Newman westchnął:

- Powiedziałem ci wszystko, Dado, ale jednak myślę, że to desperackie przedsięwzięcie.

- Mimo to jesteś ze mną? Newman przytaknął.

- Wierzę w słowa fanatyków. Wiem, że chcą nas zniszczyć.

- W pewnym momencie będę potrzebował twego wsparcia przy rozmowach z premierem.

- Masz je. Zakładam, że rozmawiałeś z Bergerem o statku?

- Przed Paryżem.

- I?

- Pracuje nad tym. Ile czasu będziesz potrzebować, gdy już go dostaniesz?

- Trzy tygodnie. Ale jeżeli nie zlokalizujesz tej bazy w Libii, los Kahuty stanie się problemem akademickim. Przystaniemy istnieć.

Dado przytaknął.

- Znajdziemy ją.

Uścisnęli sobie ręce.

- Gdzie teraz?

- Lunch z wodzem Beduinów.

Newman uśmiechnął się, a jego wesołe oczy zabłyśły.

- Tylko w tym piekielnym kraju człowiek po spotkaniu przy kawie z fizykiem atomowym może iść na lunch z wodzem Beduinów w ciągu mniej niż pół godziny.

Profesor Newman przez chwilę jeszcze obserwował, jak mały, dwuosobowy helikopter unosi się, nabiera wysokości i ostro skręca na południowy wschód.

114

Brązowo-białe namioty z kozłej skóry stały w cieniu wapiennych skał na skraju pustyni. W oddali, na wschodzie, majaczyły wzgórza Jordanii w kolorze błota. Od północy Morze Martwe połyskiwało jak ogromne odbijające światło lustro. Ustawione w rzędzie wielbłądy pluły w odruchu protestu, gdy uwijający się między nimi Beduini obiadowy wali je skrzykami.

We wnętrzu wodzowskiego namiotu Dado i szejk Oweidi siedzieli na pięknym plemiennym dywanie, który zakrywał klepisko. Z poranej zmarszczkami twarzy Oweidego spoglądały czarne oczy, błyszczące i czujne.

Dado podziwiał niezłomne przywiązanie Beduinów do wolności. Oparli się naporowi obcych kultur, nie dopuszczając na pustynię „cywilizacji” otaczającego ich świata. Plemię Awasi przestrzegało niepisanego starożytnego kodeksu, który rządził ich życiem od pięciu tysięcy lat. Ich prawo sprowadzało się do jednego nakazu: Bez honoru nie warto żyć.

Zgodnie ze zwyczajem generał i szejk jedli ryż z baraniną, nabierając potrawę prawymi rękami z głębokiego kociołka, i popijali mocnym palmowym winem. Po głównym daniu kobiety o twarzach zakrytych kwefami przyniosły misy z wodą o różanym zapachu, którą mężczyźni obmyli ręce.

Oweidi miał do spłacenia izraelskiemu generałowi dawny dług wdzięczności. Po odaniu Synaju Egipcjom Izrael został zmuszony do budowy nowych baz lotniczych na terenach pustyni Negew, które należały do Beduinów. Istniało zagrożenie, że plemię Awasi zostanie wysiedlone z tych ziem, i wówczas Dado interweniował w południowym dowództwie wojskowym, by od lat lojalnym wobec państwa ludziom Oweidego pozwolono zostać na pustyni, a także by mogli korzystać z opieki lekarskiej w szpitalu w pobliskiej miejscowości Heze-wa.

Szejk był zachwycony, że nadarza się okazja do spłacenia honorowego długu.

Podczas deseru, na który składały się słodkie ciasteczka i mocna kawa, Oweidi wręczył Dado list polecający do wodza plemienia Tauregów w Libii.

- Mój brat, szejk Saleh, widział ogień na niebie.
- Rozumiem, że ta przysługa może okazać się zbyteczna.
- Tak, ale modlę się, by była potrzebna. Cóż więcej może zrobić mężczyzna, niż odwdzięczyć się przyjacielowi za uprzejmość.

Przed namiotem Oweidi ucałował Dado w oba policzki i pobłogosławił:

- Niech Bóg cię wspomaga.
- Zgodnie ze swą wolą - odpowiedział generał. Helikopter uniósł się, wzbijając tuman wirującego piasku.

Zwierzęta zabeczały nerwowo, kobiety zakryły twarze, a stary wódz patrzył za znikającą latającą maszyną, dopóki nie zmniejszyła się do rozmiarów małego ptaka.

Jasne zimowe słońce świeciło z nieskończonego, lazurowego nieba i oświetlało kopuły i wieże Jerozolimy. Wykuszone okno gabinetu premiera, dawało wspaniały panoramiczny widok na nowe i stare miasto, i dalej. na ciemne wzgórza Judei. Obecny premier w październiku

niku 1973 służył w owianej legendą Siódmej Brygadzie pod dowództwem Dado i obaj mężczyźni uważali się za towarzyszy broni. Gdy byli sami, protokół związany z urzędem nie obowiązywał żadnego z nich.

Po wysłuchaniu założeń operacji „Czerwona Pustynia” i planów zniszczenia Kahuty, przedstawionych przez generała, premier wstał i podszedł do okna.

- Nadal nie masz lokalizacji wyrzutni w Libii.

- Będę ją miał.

Premier odwrócił się od okna.

- A jeżeli nie?

- Uderzymy i tak. Planujemy zaatakować całe wybrzeże Libii.

- Ale jak powstrzymasz wystrzelenie V-5?

- Jeżeli „Czerwona Pustynia” zawiedzie, jesteśmy zgubieni. Ale Kahuta również przestanie istnieć.

- W sumie, uderzenie na Libię jest przykrywką do ataku na Kahutę?

- Dokładnie.

Premier skrzywił się lekko.

116

- Jeżeli chodzi o Libię, to nie mamy problemów politycznych z Waszyngtonem, chociaż Europejczycy przyłączą się do reszty ONZ i nas potępią. Niech tak będzie. Pakistan to inna sprawa. Od śmierci Zia Waszyngton przymyka oczy na ich program nuklearny. Uderzenie na Kahutę może być politycznym samobójstwem.

- Nie mamy wyboru, Zvikah - Dado użył przydomku premiera. - Bezczyńność jest pewnym samobójstwem. Pakistan zaopatrzy Kadafiego w broń masowego rażenia. Gdybyśmy nie zniszczyli reaktora w Bagdadzie w osiemdziesiątym pierwszym, Sadam Hussein nie zadawałby sobie trudu stosowania gazów trujących w wojnie z Iranem. Zrzuciłby bombę atomową. Nasz atak na reaktor Osirak prawdopodobnie uratował pięć milionów Irańczyków przed spłonieniem w atomowym ogniu.

Premier nalał do szklanki gęstego białego płynu z karafki i wypił go, lekko się krzywiąc.

- Maślanka. To, co nie udało się Arabom, dali radę zrobić Żydzi. Ta posada wyzarła mi dziurę w żołądku. - Otarł serwetką wargi. - A więc Newman wierzy, że jest szansa załatwić Kahutę tak, żeby wyglądało to na kolejny wypadek w instalacjach atomowych.

- Z zastrzeżeniami.

- Tak, oczywiście. Prawo Heisenberga. Newman nigdy nie przestaje cytować Prawa

Heisenberga - westchnął. - Powiedz mi, co do cholery robiłeś w Paryżu?

- To była skomplikowana operacja. Trzymałem się w tle.

- Dobrze wiem, co nazywasz „tłem”. - Premier spojrzał uważnie na swojego byłego dowódcę i pomyślał, że niektórzy ludzie jadą na dzikim koniu aż do grobu. - Informuj mnie o wszystkim, Dado - powiedział w końcu.

„Cafe Firenze” znajduje się w bocznej ulicy ruchliwego centrum handlowego Zachodniej Jerozolimy. Ulubione miejsce studentów pobliskiego uniwersytetu słynęło z pizzy i wspaniałego zbioru nagrań włoskich oper. Tylko turyści starali się o stoliki na powietrzu i przyglądali się przechodniom. Lokalna klientela siadywała w środku, rozmawiała i słuchała Pucciniego.

Berger, który usadowił się przy stoliku w końcu sali plecami do ściany, od razu zauważył wchodzącego Dado i przez moment zazdrościł mu aryjskiego wyglądu.

- Ach, Dado. - Uśmiechnął się, zdejmując okulary. - Zdążyłeś na pizzę.

- Dziękuję, nie. Zjadłem lunch na pustyni.

- Jak się miewa szejk Oweidi?

- To człowiek, który dotrzymuje danego słowa.

- Błado wyglądasz.

- To światło - powiedział Dado i zamówił włoskie piwo. Patrząc, jak Berger pożera okazały kawał pizzy z serem, zastanawiał się, czy przypadkiem język szefa wywiadu nie jest ze stali.

- Uważaj, Janusz, to gorące.

- Ostudzę się winem - odpowiedział Berger, łykając chianti.

- Gratulacje. Paryż wypadł doskonale - pochwalił generał.

Berger otarł usta serwetką.

- Miałeś dwoje moich najlepszych ludzi.

- Penelopa jest świetna - odparł Dado z podziwem. - Ma pięćdziesiąt siedem lat, a jest nieustraszona. Posługiwała się uzi jedną ręką niczym komandos.

Etiopka, która podała piwo, była czarna jak węgiel i miała drobne, delikatne rysy. Po hebrajsku, z zastosowaniem biblijnej gramatyki spytała Dado, czy życzy sobie czegoś jeszcze.

Pokręcił głową i podziękował uprzejmie. Gdy odeszła, wypił piwo i zwrócił się do Bergera - Opowiedz mi o Berlinie.

- Lawford spotkał się z Kleiserem. Wygląda na to, że drzwi STS są dla niego otwarte.

- Włącznie z poligonem?

- Eryka mówi, że tak.

- Mam list od szejka Oweidi dla Eryki. Czy możesz załatwić doręczenie?

- Oczywiście.

- Jak?

- W zwykły sposób, przez zaufanego kuriera. Od lat nie mamy problemów z utrzymaniem kontaktu. Zostaw to mnie.

118

- Gdy Abu Hasi zajmuje się sprawą, Eryka może być pod obserwacją.

- List zostanie doręczony, Dado. Możesz spać spokojnie. Obaj rozmówcy zamilkli, gdy dwie atrakcyjne blondynki usiadły przy sąsiednim stoliku. Dziewczyny walczyły z hebrajskim i rosyjskim, ale w końcu zdołały zamówić cappuccino u etiopskiej kelnerki.

- Moskwa przybyła do Jerozolimy - zauważył Berger.

- Za mało. To silni ludzie. Chciałbym mieć dziesięć dywizji radzieckich imigrantów, ale ich rodzice wolą jechać do Ameryki.

- Któż może ich za to winić? Izrael nie może konkurować z amerykańskim bogactwem.

- Okropnie się wymieszaliśmy - jak Amerykanie. Czarni, biali, Słowianie, Jemeńczycy, świeccy, religijni, urodzeni na miejscu kibucnicy, osadnicy w jarmułkach uzbrojeni w uzi. Jesteśmy zagubionym plemieniem, Janusz, narodem szaleńców, spalonych przez historię. - Dado zawiesił głos. - Jeden z pilotów Carmila twierdzi, że widział lwa w Wadi el-Araba.

- Piloci mają halucynacje w skutek przeciążenia.

- Ten pilot leciał wolno.

- Może widział lwa górskiego. Jest ich jeszcze kilka w Arawie.

- Może - powiedział Dado. Dopił piwo, kciukiem potarł półkolistą bliznę na prawym policzku i zapytał mimochodem: - Masz jakieś wieści od Bashiry?

- Jest na etapie kupowania dwudziestoletniego greckiego frachtowca.

- A co ze zniknięciem statku?

- Bashira przekaże dokładne instrukcje, kiedy pozna szczegóły podróży. - Berger przerwał i potrząsnął głową. - Posłuchaj, jak ta kobieta śpiewa.

Wspaniała aria sopranu z *Madame Butterfly* wypełniła kafejkę. Nawet plotkujące Rosjanki przerwały rozmowę, żeby posłuchać.

- Włoski zespół operowy ma wystąpić w Cezarei tego lata - skomentował Berger.

- Musimy zrobić wszystko, żeby w ogóle było lato - odpowiedział Dado. - Będę potrzebował albo zdjęć wnętrza Kahuty, albo dokładnych rysunków w skali.

- To trudne zadanie. Mamy oddanego człowieka w Kahucie, ale po naszej akcji w Pa-

ryżu kontrwywiad pakistański będzie szczególnie uważny.

- Zorientuj się, co można zrobić. Te zdjęcia potrzebne są Newmanowi. Muszę też wiedzieć, kiedy reaktor będzie zimny.

- W porządku. - Berger skinął głową. Dado popił piwa i zapytał:

- Masz coś na Muellera?

- W przyszłym tygodniu będzie uczestniczył w zjeździe SS Kameradeschaft w wiosce koło Salzburga. Ostro piją, świętując stare zbrodnie. Mueller może być nieostrożny. Zastanawiam się, czy nie posłać Penelopy i Landaua do Salzburga. - Berger przerwał i postanowił zaryzykować: - Powiedz mi, Dado, w jaki sposób zamierzasz zniszczyć Kahutę?

- Z ogromnym trudem - westchnął Dado i wstał. - Dziękuję za piwo, Janusz.

Jedna z Rosjanek popatrzyła na wychodzącego generała i oświadczyła:

- Najlepsi są ci starsi. Zdecydowałam się na romans z moim profesorem biologii.

Nie mogąc się powstrzymać, Berger odwrócił się do dziewcząt, uśmiechnął i powiedział doskonałym rosyjskim: - To jedna z metod zapewnienia sobie pozytywnej oceny.

Dado patrzył na krwistoczerwony zachód słońca z tarasu swego domu w Jafie. Orzeźwiająca bryza niosła z sobą piżmowy zapach Afryki i wydawała się należeć do innej pory roku. Piętrowy dom generała został odrestaurowany i przywrócono mu oryginalny mauretański wygląd.

Obracając w palcach liście geranium, Dado myślał o Avital, o tym, jak kochała ten ogród, i o zachwycie w jej oczach na widok kwitnącej róży. Nie widział jej od tygodni i to go martwiło. Będzie musiał wyrwać ją z grona ortodoksów. Nie może pozwolić jej na życie w wiecznej pokucie, ale w tej chwili nic nie da się zrobić. Jego myśli skupiały się wokół szczegółów operacji „Czerwona Pustynia” i nadal nie rozwiązanej sprawy operacji Kahuta.

120

- Wspaniały zachód słońca - wykrzyknęła Narda, wychodząc na taras. - Mówią, że piękno to ostatnie schronienie tych, którzy nie mają już nadziei.

- Kto mówi?

- Nie pamiętam - westchnęła. - Powiedz mi, Dado, czy to zabijanie kiedyś się skończy?

- Nigdy. Ono weszło w nawyk jak zbieranie znaczków. My zabijamy ich. Oni nas. Wszystko trwa zbyt długo. Nie ma w tym złości. To się po prostu robi.

Smugi światła księżyca przenikały przez żaluzje, malując paski zebry na ich ciałach. Kochała się z nim z desperacką przekorą, jak gdyby rzucała wyzwanie rzeczywistości niezdolnej do przebaczeń.

Patrzył na nią, jak oddycha teraz spokojnie z jedwabistymi czarnymi włosami udrapowanymi wokół twarzy w kształcie serca. Lekki wiaterek przemknął przez pokój unosząc zapach jej perfum, a Dado rozmyślał o ironicznym zrzączeniu losu, które związało ich ze sobą.

Spotkali się wiosną 1981, między wojnami, na wypielegnowanym Trawniku Pamięci. Grób jej brata znajdował się w tym samym rzędzie, co grób jego syna Daniego. Zobaczył, jak leży na szarej kamiennej płycie, i postawił ją na nogi. Przytuliła się do niego, a jego koszula w kolorze khaki przesiąkła łzami. I od tej chwili stała się jednym z jego żołnierzy. Dzielili z sobą mary, nocne rozkosze i ciemne wspomnienia.

Rozdział dwudziesty

BMW przejechało między bryłami betonowych krzyżaków, ustawionych w literę S, i przetoczyło się przez białą linię do wschodniej części Checkpoint Charlie. Eryka błysnęła swym najmiłszym uśmiechem skierowanym do wschodnioniemieckiego oficera paszportowego. Niewzruszony jej urokiem warknął: „Paszporty!”, podała mu więc dwa dokumenty i list noszący pieczęć Niemieckiej Republiki Demokratycznej i podpis ministra turystyki. Treść listu nakazywała całej Policji Ludowej współpracę z *Herr* Lawfordem w czasie jego podróży samochodem z Berlina do Nordhausen.

Szef biura Reutersa w Berlinie Wschodnim załatwił Lawfordowi spotkanie z ministrem Kladenem. Tom wyjaśnił, że opis Nordhausen ma być częścią reportażu, jaki przygotowuje na temat raketowej grupy STS Kleisera. Wschodnioniemiecki minister zgodził się, że czas, żeby ktoś z Zachodu ujawnił kryminalną działalność byłych nazistowskich specjalistów raketowych.

Po uważnym przestudiowaniu oficer ostemplował paszporty i doradził Eryce, by pojechała wjazdem na autostradę od strony Poczdamu.

Mknęli na południe drogą 97 przez dwie godziny, po czym skręcili z autostrady do Magdeburga i zatrzymali się w przydrożnej kafejce..

- Czy nie powinniśmy jechać dalej? - zapytał Tom. - Nasza przepustka ważna jest tylko dwanaście godzin.

- Mamy czas. Jesteśmy bardzo blisko Nordhausen.

W kawiarni było kilku kierowców ciężarówek i parę osób podróżujących samochodami. Niektórzy z nich czytali gazety, inni rozmawiali przyciszonymi głosami.

- Czemu oni wszyscy szepczą? - zapytał Tom.

- Na Wschodzie tak jest zawsze - odparła Eryka popijając kawę. - Denerwująco cicho. Aż chce się wyć. Spójrz na nich - dodała - patrz na nas jak na przybyszów z innego świata.

- Zastanawiają się, co Miss Niemiec Wschodnich robi z podstarzałym amerykańskim turystą. Siedząc obok ciebie muszę wyglądać jak starorzymskie ruiny.

- Jak na rzymskie miny jesteś jeszcze niezły. Nie dobry, Ale niezły.

- Chcesz powiedzieć odpowiedni dla ciebie?

- Chcę powiedzieć niezły. Jedziemy.

Ogrzewanie przegnało z samochodu wilgotny chłód i zapach Perfum Eryki rozszedł się w ciepłym powietrzu. Jednopasmowa boczna szosa wspinała się stopniowo w kierunku dalekich gór pokrytych czapami śniegu, a strzępy porannej mgły snuły się jeszcze w rowach i koleinach.

- Minister powiedział, że obóz Dora stał się muzeum pamięci, a większość tuneli jest od lat zamknięta. Co spodziewasz się znaleźć? - spytała Eryka.

- Nie wiem, ale muszę to zobaczyć. Poza tym chcę, żeby Kleiser zrozumiał, że uważam Nordhausen za ważną część artykułu i że nie zamierzam niczego ukrywać.

- Czego?

- Faktu, że dwaj z żyjących morderców z Nordhausen, Mueller i Diehl, są obecnie pracownikami STS.

Przejechali przez niewielką, zabudowaną czerwonymi domkami wioskę Weigen i minęli znak „Nordhausen - 8 km”.

- Spójrz! - krzyknęła Eryka, wskazując drewnianą barierę na drodze.

- Co to jest?

- Punkt kontrolny Policji Ludowej.

Zmieniła bieg, zwolniła i zatrzymała się przy drewnianej barykadzie.. Policjant w mundurze i towarzyszący mu mężczyzna w średnim wieku o miłym wyglądzie podeszli do maski samochodu. Rozmawiali przez chwilę, zanim cywil podszedł do drzwi od strony pasażera.

- Pan Lawford?

- Tak.

- Nazywam się Dieter Eckers. Pracuję w Ministerstwie Turystyki. - Pokazał czerwono-czarno-żółtą legitymację. - Minister Kladen wybrał mnie na pańskiego przewodnika po Nordhausen.

Eckers usiadł na tylnym siedzeniu i przywitał się z Eryką po niemiecku. Następnie wskazał rozwidlenie dróg, do którego się zbliżali, i powiedział:

- Proszę skrócić w prawo na asfalt.

Boczna polna droga biegła między bezlistnymi drzewami, a przygruntowa mgła wisiała nad zaoranymi na zimę polami.

- Na tej drodze w kwietniu 1945 miała miejsce zacięta dwudniowa bitwa między amerykańską Pierwszą Armią a brygadą Waffen SS. Po obu stronach było wiele ofiar.

Niektórych pochowano przy drodze. Widzą państwo kamienie nagrobne.

Droga skręciła ostro w prawo i wiała się pomiędzy gołymi wzgórzami przez dalsze pięć mil, aż skończyła się u podnóża szarej góry.

Grupa niskich drewnianych baraków rozłożyła się na płaskowyżu przylegającym do góry. Wieże wartownicze wznosiły się nad ogrodzeniem z drutu kolczastego otaczającym baraki, a w środku obozu komin z czerwonej cegły znaczył miejsce, gdzie znajdowało się krematorium. Około stu jardów od obozu granitowe schody prowadziły w górę do żelaznej kraty w zboczu. Dwaj policjanci w szarych płaszczach i futrzanych czapkach pilnowali wejścia.

Korzystając z Nikona o automatycznym przesuwie filmu, Tom szybko wykonał serię zdjęć z różnych pozycji, fotografując cały ponury kompleks.

- Tu widzi pan obóz Dora - powiedział Eckers. - Między rokiem czterdziestym trzecim a czterdziestym piątym przez tę bramę przeszło sześćdziesiąt tysięcy robotników przymusowych. Czterdzieści tysięcy zmarło i zostało poddanych kremacji.

Tom pamiętał to wszystko z archiwalnej kroniki filmowej, którą widział, ale film nie był w stanie przekazać tak straszliwej rzeczywistości.

- Czy chciałby pan wejść do obozu? - zapytał Eckers.

- Nie. Mamy mało czasu. - Tom pokiwał głową.

- Dobrze. Proszę za mną i proszę uważać, schody są podniszczone.

Eryka okręciła szyję długim kaszmirowym szalikiem, a Tom podniósł kołnierz płaszcza. Pochylając głowy przed ostrym wiatrem poszli po granitowych schodach ku wejściu do tunelu. Policjanci otworzyli stalowe drzwi. Odór rozkładu i gryzącego amoniaku wydobył się z wejścia. Policjanci wyciągnęli silne latarki i weszli w ciemny otwór tunelu. - Musimy chwilę poczekać - powiedział Eckers i odwrócił się, wskazując w stronę wejścia do obozu Dora. - Tam, obok bramy, znajdowało się biuro Heinricha Muellera. Tam też stał duży dźwig. Sześćdziesięciu więźniów naraz zaczepiano za szyję na umocowanych do niego drutach. Później powoli podnoszono ramię dźwigu i wszystkich wieszano. To byli nie tylko Żydzi. Wśród nich znajdowało się wielu schwytych francuskich techników zmuszonych do służby przez SS.

Eryka patrzyła w dół, na zmrożone błoto. Tom nie powiedział nic, ale pamiętał dobrze

ten fragment kroniki. Pamiętał również zdjęcia roześmianych Muellera i von Brauna, gdy przyglądali się, jak powieszono ofiary szaleńczo pedałują nogami w powietrzu, dopóki nie wyzwoli ich śmierć.

Z tunelu wyszedł policjant i skinął głową na Eckersa.

- Proszę za mną.

Seria wypukłych lamp rzucała niesamowite światło na coś, co wyglądało jak ogromna granitowa katedra wysoka na osiemdziesiąt stóp i szeroka na sześćdziesiąt. Szyny wąskotorowej kolejki ciągnęły się wzdłuż tunelu. Pozostał na nich pojedynczy wagonik platforma.

- Było ponad trzydzieści tuneli - wyjaśnił Eckers - a tu mieściła się główna hala montażu rakiet. To jedyny nie zamknięty tunel.

Wykorzystując lampę błyskową i całkowicie otwartą przysłonę, Tom wykonał kilka zdjęć platformy.

- Smród amoniaku pochodzi ze znajdującej się poniżej starej kopalni - ciągnął Eckers. - Nawet w wilgotnym chłodzie amoniak przeżerał płuca więźniów. Można sobie tylko wyobrazić, jak tu było, gdy w letnie upały setki ludzi pracowały w tym tunelu bez świeżego powietrza. Musieli pchać takie metalowe platformy pięćset jardów do komory wewnętrznej, gdzie na rakiety zakładano głowice bojowe.

Gdy szli za Eckersem w stronę ciemności, zapalił się kolejny rząd świateł.

- Ten tunel został wykuty ręcznie w ścianie góry za pomocą kilofów. Urobek wynoszony był na zewnątrz w workach na plecach więźniów.

Czując niemożność wypowiedzenia nawet jednego słowa, szli w ciszy w głąb ciemnej, śmierdzącej nazistowskiej przeszłości.

- Więźniowie pracowali na dwunastogodzinnych zmianach, a karmiono ich racjami, na które składały się dwie kromki chleba i miska zupy dziennie, - Głos Eckersa odbijał się echem od granitowych ścian. - Wyliczono, że każdy robotnik przeżyje sześć miesięcy. Nie było toalet, żadnej pomocy medycznej. Pracowali i umierali. Oporni popełniali akty sabotażu, co oznaczało natychmiastową śmierć na dźwigu. Zmontowano tu dwa tysiące rakiet V-2. Wystrzelono tysiąc pięćset. Alianci przechwycili pozostałe rakiety wraz z kryminalistami, którzy je budowali.

- Czy możemy zostać na moment sami? - zapytał Tom.

- Tak... Tak, oczywiście. Ale proszę nie wychodzić poza krąg świateł - ostrzegł Eckers. - Mamy tu wiele przecinających się tuneli. Można się łatwo zgubić.

Tom, idąc wzdłuż stalowych torów, zagłębił się w tunel. Eryka posuwała się za nim. Jej buty skrzypiały na kamieniach leżących na ziemi. Nagły powiew chłodnego, śmierdzącego

powietrza wydostał się z jakiegoś ukrytego pęknięcia i przyniósł ze sobą piszczące głosy szczurów.

W upiornych ciemnościach czuli obecność duchów - strażników z SS bijących półnagich więźniów - i zgrzyt stali o stal, i jęki ludzi wyglądających jak żywe szkielety, ostatkiem sił dźwigających worki wypełnione kamiennym gruzem w okropnym upale lata. Stali w milczeniu przez dłuższą chwilę, starając się pojąć to, co tu zaszło. Fakt, że ten śmierdzący tunel był bramą ery kosmicznej i że z tego obmierzłego granitowego grobowca, człowiek postawił pierwszy krok w stronę Księżyca wykraczał poza ludzką zdolność rozumienia.

Wracali boczną drogą w przytłaczającej ciszy, dręczeni w myślach przez duchy grobowych tuneli Nordhausen.

Zanim w Magdeburgu dojechali do autostrady, było już ciemno. Eryka zapłaciła za przejazd, nacisnęła mocno na pedał gazu swojego BMW i popędzili wzdłuż długiego sznura radzieckich ciężarówek wojskowych.

126

Tom patrzył, jak wskazówka szybkościomierza przesuwają się z sektora bursztynowego na czerwony i drga na 180 kilometrach.

- Jedziesz ponad sto mil na godzinę - ostrzegł. - Po co ten pośpiech?

- Potrzebuję drinka i łazienki.

- Przy tej prędkości zrobisz błąd i nie będziesz potrzebować już niczego.

- Przepraszam... - westchnęła. - Przepraszam. Zmniejszyła nacisk na pedał gazu i jechali przez piętnaście minut z umiarkowaną prędkością, aż zajechali pod restaurację i stację benzynową w Tucheim.

Eryka poszła do toalety, a Tom zamówił dwa podwójne koniaki. Barman nalał drinki i zapytał:

- Amerykanin?

Tom skinął głową.

- Ale ta pani jest Niemką, prawda?

Angielski barmana był niepewny, ale zbyt dobry jak na człowieka pracującego w przydrożnym zajeździe. Tom domyślił się, że facet pracuje jako szpicel dla wschodniemieckiej tajnej policji.

- Pani jest Szwajcarką - odparł.

- *Ja... Ja.* - Barman uśmiechnął się porozumiewawczo. - *Die ganze welt ist Schweizer.*

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Cały świat to Szwajcarzy. To nic. Taki żart.

Eryka wróciła do salki i Tom zaniósł drinki do stolika przy oknie.

Światła przejeżdżających samochodów świeciły jej w oczy, gdy patrzyła na sznur aut pędzących autostradą na północ. Wypiła łyk koniaku i chrapliwym, gardłowym głosem powiedziała:

- Mój ojciec uczestniczył w horrorze Nordhausen. - Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła dym w kierunku sufitu. - Był wybitnym chemikiem. Właśnie otrzymał doktorat na Uniwersytecie w Hanowerze, gdy przydzielono go do badań nad V-2 jako specjalistę od paliw płynnych.

- Który to był rok?

- Lato 1943. Miał wtedy zaledwie dwadzieścia dwa lata.

Tani, w Nordhausen, mój ojciec po raz pierwszy spotkał ojca Fritza Kleisera. Miał coś wspólnego z napędem raketowym. W każdym razie, gdy Rzesza upadła, mój ojciec uciekł do Szwajcarii.

- Przed kim? Wzruszyła ramionami.

- Amerykanami... Brytyjczykami... Rosjanami. Ojciec nie był dość ważny, by mogli uważać go za cenną zdobycz jak von.Brauna, ale znaczył wystarczająco mało, by oskarżyć go o zbrodnie wojenne. Kiedy alianci przyhołubili już prawdziwych zbrodniarzy, potrzebowali kozłów ofiarnych. - Za-palonym końcem papierosa zrobiła krzyżyk w popielniczce. - Przed powrotem do Hanoweru, gdzie poznał moją matkę, ojciec przebywał przez pięć lat w Zurychu.

- Czy spotkał jeszcze kiedyś ojca Kleisera?

- Parę razy. Obaj pracowali dla I.G. Farben. - Zgasła papierosa. - Mojego ojca wkrótce zwolniono.

- Dlaczego?

- Załamał się. Krzyczał przez sen. W ciągu dnia nagle wybuchał płaczem. Przebywał w różnych szpitalach psychiatrycznych. A w końcu włożył sobie pistolet w usta. Ja go znalazłam. - Wypiła do końca koniak. - Kiedy miałam dość lat, by to zrozumieć, matka opowiedziała mi o Nordhausen i zagładzie Żydów. Od tego dnia uczyłam się wszystkiego o Rzeszy Hitlera i „ostatecznym rozwiązaniu”. Gdy skończyłam piętnaście lat, spędziłam lato w Izraelu i pracowałam w kibucu. Zaprzyjaźniłam się z izraelską dziewczyną, której rodzice okazali mi wiele uczucia. Wracałam tam każdego lata.

- Pokuta za ojca?

- Może. - Wzruszyła ramionami. - Za ojca, za siebie, za Niemcy. Nie wiem. W każdym razie, któregoś lata do kibucu przyjechała pewna kobieta i poprosiła mnie o spotkanie.

Była z Mossadu.

- I umieszczono cię jako dobrze zakonspirowanego agenta w STS.

- To nie było trudne. Przecież Fritz Kleiser znał moją rodzinę. Powiedział mi, żebym się z nim skontaktowała, gdy skończę uniwersytet. Przyrzekł, że zawsze będzie u niego miejsce dla mnie. Resztę znasz.

128

- O Boże, wizyta w tym tunelu musiała być dla ciebie piekłem. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Zawsze chciałam to zobaczyć. Bez ciebie nie pojechałabym, nie mogłabym tego znieść. Teraz musiałam to zrobić.

- Czy twoja matka jeszcze żyje?

- Mieszka w Hanowerze. - Eryka skinęła głową.

- A co się stało z ojcem Kleisera?

- Zmarł spokojnie we śnie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Tom prowadził samochód przez ostatni odcinek trasy do Berlina.

Zimna masa syberyjskiego powietrza pokryła miasto i wstrząsani chłodem przechodnie zbijali się w grupki na przystankach.

- Za rogiem skręć w lewo - powiedziała Eryka - i jedź ulicą do kanału.

- Dokąd się udajemy?

- Zdecydowałam się zabrać cię na kolację.

Mijali szacowne kamienice, które stały wzdłuż lewego brzegu kanału.

- Co tam się stało? - zapytał Tom, wskazując na sylwetkę opuszczonego domu po przeciwnej stronie.

- Bomby zapalające. Mówią, że rozpętała się tu burza ogniowa. Piekło. Ta strona ocalała jedynie cudem. Zwolnij i zaparkuj gdzie się da.

- Nie widzę żadnych restauracji.

- To prywatny dom, który stał się wspaniałym lokalem - wyjaśniła. - Bardzo starym i bardzo sławnym. Ulubionym przez elitę od czasów Republiki Weimarskiej. Mówią, że Marlena Dietrich wypila tu swój pierwszy kieliszek szampana.

Właścicielką jest Magda Reimeck. Nie jest już młoda, ale nadal prowadzi interes.

Ostre ukąszenie arktycznego powietrza zaparło im dech, gdy szli szybko w stronę

dwupiętrowego rozświetlonego domu.

Kierownik sali ciepło powitał Erykę. Wytłumaczyła mu, że podjęła decyzję w ostatniej chwili i przeprosiła, że wcześniej nie zarezerwowała stolika. Następnie poszli do niewielkiej windy i pojechali na trzecie piętro.

Łagodnie oświetlony, wyłożony dębem pokój był zatłoczony. Języki rosyjski i węgierski mieszały się z niemieckim. Louis Armstrong grał *West End Blues*. Oświetlone świecami stoły nakryte były delikatnymi obrusami, zastawione srebrnymi nakryciami i kryształowymi kieliszkami.

Posadzono ich przy stoliku, skąd mieli widok na kanał. Bez pytania kelner podał im zmrożoną polską wódkę i puszkę rosyjskiego kawioru.

- Patrz - powiedziała Eryka, wskazując na kanał.

Holownik przecinał atramentową wodę, rozsiewając ogniki żółtej poświaty „księżycą. Smuzki białego dymu wybiegały z komina i unosiły się w rozgwieżdżoną niebieskoczarną noc, po czym nieruchomiały zmrożone zimnem.

- Można by to oprawić w ramki - powiedział Tom i uniósł kieliszek. - *Cheers*.

- *Cheers* - odparła, gdy stuknęli się kieliszkami. Czysta mocna wódka uderzyła im do głowy.

- Naprawdę mogłabyś być Miss Niemiec Wschodnich.

- Z tym zakrzywionym nosem?

- Zakrzywionym?

- O tutaj - dotknęła palcem małej nierówności.

- Szczególnie z twoim zakrzywionym nosem. - Uśmiechnął się.

Zamówili więcej wódki i opowiadał jej o Hickeyu i Laosie.

- A twoja rodzina? - zapytała. - To znaczy twoje małżeństwo.

Wpatrywał się w krople wódki na kostkach lodu. - Moje małżeństwo wchodzi w nową fazę.

- To dobrze czy źle?

- Prawdopodobnie dobrze.

130

- Wiem od Mossadu, że niedawno zmarł twój brat bliźniak.

- Sześć miesięcy temu - przytaknął Tom. - Zmarł na AIDS. Miał długi, namiętny romans z aktorką na pół etatu, która stała się etatową narkomanką. Trafiała na pechową igłę i zaraziła ich oboje.

- Tak mi przykro - szepnęła.

- Byliśmy bliźniakami, ale nie łączyły nas uczucia tak silne, jak powinny. Zawsze go kochałem, ale nigdy nie dałem mu tego odczuć - do chwili, aż potwór go dopadł. Tak robię. Często tak robię.

- Co robisz?

- Kocham ludzi i trzymam to w tajemnicy.

- Nie musisz przysyłać mi wiadomości. To się wie, kiedy jest się kochanym.

- Tak jest tylko ze zwierzętami. Miałem kotkę, która mnie kochała i dawała mi to odczuć. Wchodziłem do pokoju i słyszałem, jak mruczy. - Nalał kolejną wódkę i wzruszył ramionami. - Kto do cholery zna się na tym. Teraz wiem o sobie mniej, niż wiedziałem przed laty. Boże. Bierze mnie. Będziesz musiała przewieźć nas przez Checkpoint Charlie.

- Dlaczego przypuszczasz, że jestem trzeźwa?

- Wystarczy, że uśmiechniesz się do tych głupków. Muzyka zmieniła się, teraz Benny Goodman grał *Here's That Rainy Day*.

- Czemu grają tu amerykański jazz?

- To tradycja. Nawet przywódcy Rzeszy tolerowali amerykański jazz, gdy jadali u Magdy.

Zamówili kielbaski cielęce z rusztu i butelkę szampana Laurent Perrier.

Nagła cisza zapanowała wśród gości, gdy dostojna siwowłosa dama przeszła przez salę.

- Za chwilę spotkasz legendę - powiedziała Eryka. Twarz Magdy Reimeck porwana była zmarszczkami starości, ale duże ciemne oczy pozostały młode. Roztaczała wokół siebie aurę dostojności, jaka otacza ponadczasowe sławy. Eryka dokonała prezentacji i *Fraulein* Reimeck zdecydowała się spędzić chwilę przy ich stoliku.

- Co sprowadza pana na Wschód, panie Lawford? - spytała.

- Odwiedziliśmy Nordhausen.

- Nordhausen... Nordhausen. - Stara dama powtarzała tę nazwę ze zdziwieniem, jak gdyby odnosiła się do zapadłej wsi, w Tybecie.

- To dość blisko Lipska - podpowiedziała Eryka.

- Ach, tak... rolnicza okolica.

- Od Eryki dowiedziałem się, że otworzyła pani ten lokal w latach dwudziestych - powiedział Tom.

- Mój ojciec go otworzył. Byłam dzieckiem, ale zachowałam żywe wspomnienia z tamtych dni. Dietrich, Fritz Lang; Emil Jannings, Kurt Weill, Brecht, George Grosz. Obsługiwaliśmy książąt i księżne. W latach trzydziestych zjawili się baronowie handlu. Ci, którzy

sprawowali władzę w Europie. Wszyscy przychodzili tutaj. W tamtych czasach Berlin był podniecającym miastem. Ale gdy ten histeryczny Austriak doszedł do władzy ze swymi narkomanami i łotrami... - Otrząsnęła, się. - Zostaliśmy skazani na zagładę. A jednak kto mógł przypuszczać, że to wszystko zakończy się w płomieniach? W marcu 1945 wielki nalot aliancki wywołał burzę ognia, która przetoczyła się przez miasto. Wyszłam na dach i patrzyłam, jak płonie Berlin. Odczuwałam w tym wszystkim smutną wielkość. Byłam jeszcze młodą kobietą, ale tamtej nocy zrozumiałam znaczenie zemsty - westchnęła. - My berlińczycy mówimy: *Berlin hat verstanden und so habe ich.*

- Berlin się ostał, i ja też - przetłumaczyła Eryka.

- Jak przetrwała pani radziecką okupację?

Fraulein Reimeck uśmiechnęła się.

- Niektórzy wymachiwali białymi flagami. Ja machnęłam pieniędzmi. - Ucałowała Erykę w policzek i wstała. - Przekaż pozdrowienia matce. Było mi przyjemnie poznać pana, panie Lawford.

Pomimo szczypiącego mrozu postanowili przejść się wzdłuż kanału. Cienka powłoczka lodu zaczęła tworzyć się na wodzie jak biały lukier na ciemnym cieście. Światło księżyca przetkało przez nisko zawieszony chmury malując ich twarze światłocieniami. Ich oddech parował i wydarzenia dnia wydawały się odległe.

- Trudno sobie wyobrazić to miasto w płomieniach.

- *Fraulein* Reimeck przyjmuje bardzo nacjonalistyczny, ograniczony punkt widzenia na bombardowanie - odpowiedział Tom. - Ale wydaje mi się, że dla niej zniszczenie Berlina mogło być czymś wyjątkowym.

- Jej punkt obserwacji może jest ograniczony, ale ona wie, jak przetrwać.

- Z pewnością - zgodził się Tom.

Eryka oparła się o balustradę i wpatrywała się w zamarzającą wodę. Tom objął ją i przyciągnął do siebie.

- Chyba wpakowałem się z tobą w kłopoty, dziewczyno. - Patrzył na nią przez chwilę, po czym mocno pocałował.

Przeszli przez brukowaną ulicę w momencie, gdy zza rogu wyjechał policyjny samochód z włączonymi niebieskimi, mrugającymi światłami i wyjąca syreną.

- To patrol narkotykowy - wyjaśniła Eryka. - Robią nalot na Turków handlujących haszyszem.

Bez przeszkód przejechali przez Checkpoint Charlie i dotarli do mieszkania Eryki w niespełna piętnaście minut.

Od razu poszli do sypialni. Objęli się i rzeczywistość odpłynęła, gdy ich usta zetknęły się, a namiętność zawładnęła ciałami. Bez słów zdjęli ubrania. Jej oczy wpatrzyły się w jego twarz, gdy wyciągnęła się na łóżku.

Jego usta badały delikatną linię jej kości policzkowych i miękką krzywiznę warg. Pieścił małe, twarde piersi, przesuwał ustami po płaskim brzuchu i wcięciu talii.

Czując na sobie wzrok dziewczyny, wcisnął się ustami w jej rdzeń. Rozłożyła szeroko nogi i rytmicznie poruszała biodrami. Stracił całkowicie poczucie czasu i miejsca, świadomy jedynie pulsującego, obezwładniającego zmysłowego ciepła, które rozchodziło się po jego ciele.

Z jej ust wydobył się jęk. Wygięła biodra w górę, wstrząsnęły nią dreszcze i wbiła się paznokciami w jego ramiona. Zagryzła usta i wyprężyła ciało w łuk, aż zaczęła krzyczeć wstrząsana długą serią orgazmów.

Tom przesunął się wyżej i wszedł w nią. Całował jej oczy, wargi, szyję i przesiąkł słodkim zapachem perfum.

- Nie ruszaj się - szepnęła. - Jeszcze nie.

Przez moment leżeli spokojnie, związani ze sobą, aż gwałtowne, narastające pożądanie zmusiło ich, by zaczęli się poruszać. Owinęła go nogami w pasie i kołysali się razem z narastającą furią. Byli jak para spoconych, zadyszanych dzikusów odprawiających zmysłowy egzorcyzm duchów w szalonej afirmacji życia.

Głowa Eryki spoczywała na jego ramieniu, a przenikająca przez zasłony księżycowa poświata tworzyła aureolę wokół jej blond włosów. Wzięli prysznic i przygotowali dwie wysokie szklanki wódki z tonikiem. Z głośników płynęły przeróbki starych szlagierów Rodgersa i Harta w wykonaniu Billy Taylor.

- Wiesz - powiedziała - tamtej nocy to było dla mnie po raz pierwszy od miesiący. Byłam zbyt agresywna. Chciałam, żeby to się stało szybko. Nie było... tak jak teraz. Zapomniałam, jak to może być. - Podparła się na poduszkach i pociągnęła drinka. - Ostatnio miałam tylko jeden romans, z młodym studentem berlińskiego uniwersytetu. Odpowiadało nam. Rozśmieszał mnie i dzięki niemu czułam, że żyję, i na moment zapomniałam o rzeczywistości i mojej sytuacji. Ale więcej sobie wyobrażałam, niż faktycznie w tym było. - Zrobiła przerwę. - Wiedziałam dokładnie, kiedy to się skończyło. Byliśmy tutaj. W tym łóżku. Było bardzo późno. On spał zwinięty w kłębek. Wydał usta jak dziecko i w tym momencie zdałam sobie sprawę, że jest po wszystkim. Zawsze tak mi się układało. Wiem, w którym momencie coś się zaczyna i kiedy się kończy.

- Taka jasność wiąże się z jednością celu, popychającego nas do działania - rzekł Tom.

- Obsesje mają swój sposób oświetlania wszystkiego, co je otacza.

- Można by wiele powiedzieć o obsesjach.

- Płacisz cenę, tak jak ja. Kiedy byłem dzieckiem, które dopiero co skończyło szkołę, miałem jedną obsesję. Chciałem uczestniczyć w czymś wielkim. Może byłem nawet cholerycznym patriotą. I wszystko to osiągnąłem. Ale coś się stało, coś ze mnie uszło. Myślę, że to zaczęło się tego ranka w dżungli, gdy Hickey uratował mi życie. Zdałem sobie sprawę, że ryzykujemy życie w napisanym przez kogoś obłąkańczym scenariuszu. Sprzedawaliśmy narkotyki i dowoziliśmy broń dla prymitywnych ludzi, skazując ich na śmierć w wojnie, której nawet my nie rozumieliśmy. Później gonilem za tematami do artykułów podpisanych własnym nazwiskiem, biegałem po świecie rejestrując terror. Zdobywałem nagrody, ale zagubiłem swoją osobowość. Nic mnie nie ruszało. Widziałem życie przez obiektyw. Ludzie, których kochałem, otrzymywali okrucieństwa uczucia, porywy chwilowego zainteresowania; Klaudia, mój brat...

- Tom potrząsnął smutnie głową i zapalił papierosa.

- Proszę, daj pociągnąć.

Wyciągnął papierosa ku jej wargom i patrzył, jak jego gorący koniec rozjarza się, gdy zaciągała się dymem.

- Patrzenie, jak umiera brat bliźniak, musi przypominać spoglądanie na własną śmierć - powiedziała.

- Próbowałem wszystkiego, żeby utrzymać go przy życiu. Nie chciałem pozwolić mu umrzeć. Wykorzystałem wszystkie moje znajomości, żeby zdobyć dla niego niedostępne w sprzedaży narkotyki. Zabrałem go do Karolinska Institut w Sztokholmie i do najbardziej zaawansowanego ośrodka, leczenia AIDS w Paryżu, a w końcu do Sloan-Kettering w Nowym Jorku. Gonilem czas, by nadrobić ogromne zaległości w naszych stosunkach. Ale pod pewnym względem masz rację. Byłem obserwatorem, patrzyłem i próbowałem zrozumieć własną śmierć. Kiedy Jack umarł, zwróciłem swą uwagę na Klaudię, co było kolejnym wybuchem uczucia. Ale nie mogłem określić naszych wzajemnych powiązań. Wyzbyłem się celów, prawdy. Jak do cholery mogłem spodziewać się, że uda mi się utrzymać nasze małżeństwo? Wykorzystywałem ją i przeszłość, żeby iść dalej. A ironia polega na tym, że kiedy znajdowałem się w najniższym punkcie, osiągnąłem szczyty sukcesów zawodowych. Byłem całkowicie zagubiony i sławny. Ludzie zazdrościli mi, podziwiali mnie, stawiali za przykład. A ja snułem się jak w kafkowskich koszmarach.

- A teraz?

- Jest inaczej. Zmieniło się. Nie jestem pewien dlaczego. Może to Hickey... może ty... może tunele w Nordhausen. Może... - westchnął. - Może to po prostu rekin.

Objęła go ramieniem za szyję, przyciągnęła do siebie i szepnęła:

- To jest właściwy moment, Tom. Skorzystajmy z niego. Ale, dla dobra nas obojga, nie róbnymy sobie zbyt wielkich nadziei.

Dzwonek telefonu poderwał ich oboje. Po czterech sygnałach Etyka podniosła słuchawkę.

- Rozumiem - rzuciła po kilku sekundach i odłożyła słuchawkę. - Zapomniałam ci powiedzieć - zwróciła się do Toma - że jutro podczas lotu do Monachium, podejdzie do mnie przyjaciółka. Bardzo atrakcyjna dziewczyna, znana modelka. Nazywa się Elke Hauser. Przekaze mi list, który muszę doręczyć komuś w Trypolisie.

- Kim jest ta Elke Hauser?

- Kurierem Mossadu i starą przyjaciółką. Jej agencja modelek dostarcza dziewczyny na opiumowe zabawy Kleisera.

- Ładne kwiatki. Ale przecież, jeżeli jest znana i jest starą przyjaciółką, po co zabawy z filmów płaszczka i szpady w samolocie?

- Poinstruowano mnie, żeby zachować szczególną ostrożność. Od chwili gdy wypuściłam historię o teście rakiet V-5, libijski oficer kontroli wziął wszystkich ważniejszych pracowników STS pod obserwację. Muszę zakładać, że jestem śledzona przez ludzi Hasiego.

- Mówisz o kimś, z kim chciałbym spędzić kilka minut.

- Nie możesz go ruszyć. Hasi jest na liście celów Mossadu od lat, ale nie mogą go dopaść, chociaż dysponują środkami, o których ty możesz tylko marzyć.

- Czasami sytuacja się zmienia. Każdy robi błędy.

- Nawet o tym nie myśl. Musisz odłożyć na bok emocje. Zagrasz neutralnego, obiektywnego dziennikarza. Możliwość, że napiszesz odpowiedni artykuł, jest naszą polisą ubezpieczeniową na życie.

Rozdział dwudziesty drugi

- Miałaś rację mówiąc o *Fraulein* Hauser - powiedział Tom. - Jest nie tylko atrakcyjna. Przekazała list jak magik pokazujący sztuczkę ze znikającą monetą.

Eryka ścisnęła rękę Toma i szepnęła:

- Uważaj przy tym kierowcy. Nie przypuszczam, żeby znał angielski, ale nie jestem pewna. Nigdy przedtem go nie widziałam.

Limuzyna STS przetoczyła się pod Łukiem Pamięci i wjechała na Marienplatz w sercu

Monachium. Padał lekki śnieg i stoliki na chodnikach zabrano do wnętrza kawiarni.

Eryka pociągnęła Toma za rękaw płaszcza:

- Widzisz ten ciemny, dwupiętrowy budynek?

- Piwiarnię?

- Tutaj Hitler wygłosił swoje pierwsze liczące się przemówienie polityczne w 1923.

Zgromadził tłum bezrobotnych Bawarczyków z klasy średniej i wysmagał ich do obłędu.

- Jeżeli już mówimy o supermanie z warstwy średniej, powiedz mi coś o Walterze Diehlu.

- On i Mueller są ostatnimi naukowcami starej linii zatrudnionymi przez Kleisera. I jak większość żyjących nazistów, Diehl ma napady złości; jest wysoko ceniony jako specjalista z dziedziny rakiet. Zapytaj w NASA. Diehl pracował nad Saturnem 5.

Minęli most Ludwigsbrücke i jechali dalej jeszcze trzy mile, zanim skręcili w drugorzędną drogę, która wspinała się serią zakrętów do żelaznej bramy. Piętrowy budynek ze szkła z zakrytymi przejściami łączył się z innym budynkiem przypominającym hangar. Na parkingu stały drogie samochody i jedna ogromna platforma.

Walter Diehl był łysiejącym mężczyzną po siedemdziesiątce o przygarbionych ramionach. Miał delikatne, prawie kobiece rysy, a jego nerwowe oczy bez przerwy błędziły po pokoju. Krój jego źle uszytego ciemnoniebieskiego garnituru należał do innej epoki. Biurko było zagracone, a meble w gabinecie zniszczone i marnie dobrane. Tom pomyślał, że wszystko wokół Diehla wygląda na wynajęte, a on sam robi wrażenie człowieka, który ma zawsze spakowane walizki. Trudno było uwierzyć, że ten niechlujny relikwinię minionych czasów był główną figurą w grupie inicjatywnej pracującej nad V-2 w Peenemünde i Nordhausen.

Diehl ucałował Erykę w oba policzki i uściśnął dłoń Lawforda.

- Cieszę się, że mógł pan przyjechać do Monachium, panie Lawford.

- Nie przepuściłbym takiej okazji.

Diehl poczęstował Toma papierosem.

- Nie, dziękuję. Staram się rzucić.

- Ja próbuję całe życie, bez skutku.

- W twoim wieku, Walter - zauważyła dziewczyna - to już nie ma znaczenia.

- Wprost przeciwnie. Im jest się starszym, tym bardziej ceni się życie. Nie wiem, czy wyraziłem się poprawnie. Mój angielski jest...

- Pana angielski jest doskonały, panie Diehl - powiedział Lawford.

- Cóż, mieszkałem przez wiele lat w Ameryce. Pracowałem dla NASA w Fairchild Aviation. Trzeba się było nauczyć angielskiego. - Przerwał. - Doktor Kleiser mówił mi, że

zamierza pan napisać głęboki analityczny artykuł o STS.

- Tak.

- Mam nadzieję, że przychylny dla nas.

- Jestem dziennikarzem, panie Diehl, a nie propagandzistą.

- Oczywiście.

- Kiedy oprowadzi nas pan po zakładzie, chciałbym porozmawiać z pana kolegą, Heinrichem Muellerem.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Mueller jest na wakacjach w Innsbrucku. Może po powrocie z Libii da się coś zaaranżować. Proszę za mną. Wiem, że pragnie się pan zapoznać z naszymi zakładami montażowymi.

Wskazując na Nikona, Tom zapytał:

- Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeżeli zrobię kilka zdjęć?

138

- Otrzymałem bardzo wyraźne instrukcje - odpowiedział Diehl. - Może pan fotografować, co pan zechce, i zadawać wszelkie pytania, na jakie ma pan ochotę.

Poszli za starszym panem długim korytarzem, który przebiegał równoległe do dużej sali, gdzie kobiety i mężczyźni pochylali się z uwagą nad deskami kreślarskimi.

Na końcu holu Diehl otworzył stalowe drzwi i weszli do ogromnego zakładu montażowego w kształcie hangaru. Zawieszane pod sufitem świetlówki kąpały całe pomieszczenie w ostrym, jaskrawym świetle.

W środku zakładu znajdowały się platformy, na których technicy montowali korpusy rakiet. Platformy poruszały się po stalowych szynach dokładnie tak, jak zardzewiałe żelazne wózki w tunelu Nordhausen. W odrębnej sekcji specjaliści od komputerów wpatrywali się w bładozielone ekrany.

Automatyczny Nikon z charakterystycznym sykiem wykonywał serię ujęć.

Diehl przeprowadzał ich przez różne stadia montażu do zagrody, w której technicy podłączali różnokolorowe przewody do stożka na szczycie rakiety.

- Przy budowie V-5 wykorzystano ponad sto sześćdziesiąt patentów - wyjaśnił Diehl - chociaż muszę przyznać, że podstawy techniczne nie różnią się od starej V-2.

- Technika może być stara - zauważył Tom - ale dla mnie te stożki wyglądają śmiercionośnie.

- Mogą przypominać głowice bojowe, ale zapewniam pana, że zostały zaprojektowane wyłącznie w celu wyniesienia na orbitę satelity komunikacyjnego.

- A więc V-5 nie ma żadnych zastosowań militarnych?

- Absolutnie nie. V-5 jest rakieta na paliwo ciekłe w formie mieszaniny stężonego kwasu azotowego i zwykłego oleju napędowego. Nasza procedura startowa jest długotrwała i skomplikowana, a zatem niezbyt przydatna do celów wojskowych.

- Więc po co te wszystkie tajemnice?

- Żyjemy w świecie współzawodnictwa. Rosjanie zajmują się satelitami komercyjnymi, tak jak Francuzi, Japończycy i Amerykanie. Musimy podejmować środki ostrożności.

- A baza w Libii?

- Pieniądze i przestrzeń. V-5 może być przetestowana na ziemi, ale wcześniej czy później, tak jak każda inna raketa, musi zostać odpalona nad poligonem. Pułkownik Kadafi zapewnia teren i obiekty.

- W zamian za co?

- Za wprowadzenie Libii w interes satelitarny. Doktor Kleiser musiał pokonać wiele oporów politycznych.

- Oporów politycznych... - Tom uśmiechnął się drwiąco: - Robicie interesy z najbardziej niebezpiecznym dyktatorem na świecie, którego zachowania nie sposób przewidzieć.

Odpowiedź Diehla była spokojna, natychmiastowa i zgodna z linią przedsiębiorstwa.

- Jesteśmy konsorcjum naukowców zaangażowanych w przedsięwzięcie komercyjne. Naszym celem jest umieszczenie dwóch ton opłaconego ładunku na orbicie geostacjonarnej wynoszącej trzysta kilometrów. Mamy nadzieję zapewnić krajom Trzeciego Świata komunikację satelitarną po rozsądnych cenach. Pana insynuacje dotyczące tajemnych celów są całkowicie bezpodstawne.

- Może napijemy się kawy? - zapytała Eryka, żeby rozładować napięcie.

Stołówka była ciemnym pokojem o nisko zawieszonym suficie z małą kuchenką i tuzinem stolików z blatami ze sztucznego tworzywa. Tęga kobieta podała im kawę. Diehl zapalił papierosa i powiedział:

- Nie chcę stwarzać panu osobistych problemów, panie Lawford, ale powinno być dla pana oczywiste, że to nie jest wielka operacja. W ciągu roku montujemy może ze trzydzieści rakiet, co praktycznie nie liczy się dla celów wojskowych.

- To zależy od tego, co kto rozumie przez cele wojskowe. Stożki na czubie V-5 nie różnią się od głowic bojowych zdolnych pomieścić bombę jądrową.

- W kategoriach nauk badawczych wszystko należy uważać za możliwe - odparł krótko Diehl. - Pięćdziesiąt lat temu niemiecka technika zaszokowała świat. Nasze V-2 dolatywały dwieście pięćdziesiąt mil do celu. Opracowaliśmy pierwsze w świecie rakiety ziemia-powietrze naprowadzane termicznie. Lataliśmy pierwszym w świecie myśliwcem odrzuto-

wym. Opracowaliśmy pierwszy lotniczy tunel aerodynamiczny. Pomimo niesamowitych trudności i głupoty nazistowskiej hierarchii my, naukowcy, tworzyliśmy cuda.

- Nie ma wątpliwości co do potęgi niemieckiej techniki, ale w znacznym stopniu opierała się ona na wykorzystaniu niewolniczej siły roboczej.

- Obawiam się, panie Lawford, że wykraczamy poza problemy techniki.

- Czy zaprzecza pan temu, że te cuda techniki, które pan przedstawił, osiągnięto przy użyciu niewolniczej pracy?

- W dokumentach historycznych zarejestrowano, że robotnicy Nordhausen byli rekrutowani z obozów koncentracyjnych i że umieszczano ich w obozie Dora. Ten program naboru zainicjowali Rudolph i von Braun poprzez sekcje SS Himmlera. Ja nie brałem w tym udziału. Podobnie Mueller czy ktokolwiek z obecnych współpracowników STS. Byliśmy członkami zespołu naukowego wysłanego do Nordhausen. Wykonywaliśmy swoje zadania. Nie byliśmy przestępcami.

- Mój ojciec uważał, że był przestępcą - skontrowała Eryka.

- Twój ojciec sam wywołał u siebie zaburzenia, i to bezpodstawnie. Był naiwny politycznie. Nigdy nie rozumiał w pełni naszej sytuacji. W czterdziestym trzecim Nordhausen i program V-2 stanowiły ostatnią deskę ratunku dla narodu niemieckiego. Nic innego się nie liczyło. Wykonywaliśmy rozkazy. Nic więcej!

- Gówno prawda - warknął Tom. - Widziałem film.

- Film! Jaki film?

- Niemiecki film dokumentalny, który pokazuje pana, Muellera i Rudolpha, jak przyglądacie się masowemu wieszaniu w Nordhausen.

Ptasie oczka Diehla zwężyły się i twarz mu poczerwieniała.

- *Ich wiegere nicht, diese Unterhaltung weiter zu fahren!*

- *Aber der Mann tut ja nur seine pflicht* - odpowiedziała Eryka, po czym odwróciła się do Toma i przetłumaczyła: -

Oświadczył, że odmawia kontynuowania tej rozmowy. Ja powiedziałam mu, że po prostu wykonujesz swoją pracę.

- Zgadza się - przytaknął Tom. - Po prostu wykonuję rozkazy. Korzenie STS sięgają daleko wstecz. To są pytania, które muszę zadać. Proszę nie traktować ich osobiście, panie Diehl.

- Rozumiem, że zajmuje się pan obecnymi działaniami STS w Libii, a nie sprawami, które dotyczą nazistowskiej przeszłości.

- Dla mnie te sprawy są nierozzerwalne.

- Ale dla pana rządu nie były - odpowiedział chytrze Diehl. - Wasi eksperci wojskowi traktowali nas po królewsku. Pentagon zaoferował nam lukratywne kontrakty, a Departament Stanu zaprosił do Ameryki. Nikt nie wspominał o zbrodniach wojennych. My, którzy przetrwaliśmy Peenemunde i Nordhausen, umożliwiliśmy największy propagandowy sukces Kennedy'ego. Wysłaliśmy Amerykanina na Księżyc. Byliśmy młodymi ludźmi z obsesją lotów kosmicznych. Nie byliśmy potworami. Jak pan dobrze wie, panie Lawford, każda wojna pociąga za sobą ofiary. - Diehl zgasił papierosa i wstał. - Mój kolega Mueller wraca jutro z wakacji. Może będzie mógł pokazać panu zakłady silnikowe w Stuttgarcie. Teraz, jeżeli mi państwo wybaczą, muszę wracać do pracy.

Rozdział dwudziesty trzeci

Heinrich Mueller, w drodze powrotnej ze spotkania byłych członków SS, postanowił zatrzymać się w Innsbrucku. To alpejskie uzdrowisko znajduje się jedynie trzy godziny jazdy od Monachium i w razie jakichś problemów w zakładach montażowych w Stuttgarcie wiedzieli, gdzie go szukać.

Spędził miły wieczór na uniwersytecie ze swym dawnym kolegą, profesorem Rolfem Mannheimem. Po lekkim lunchu w stołówce wydziału wędrowali po terenie uniwersytetu i rozmawiali o dawnych czasach. Mannheim wspominał wakacje letnie 1935 roku na Festiwalu Sztuki w Innsbrucku. W tym czasie obaj należeli do hitlerowskiego ruchu narodowosocjalistycznego i prawie sześćdziesiąt lat później nadal cenili sobie dogmaty Trzeciej Rzeszy. Przyczyn klęski wojennej doszukiwali się w przebiegłości międzynarodowego żydostwa. Naród niemiecki walczył wspaniale w nierównej walce i zwycięzcom nie trzeba było wiele czasu, by docenić poświęcenie Niemiec.

Natychmiast po wojnie alianci zaopiekowali się Niemcami i odbudowali kraj. Ostatnio amerykański prezydent złożył wieniec pod Kolumną Zwycięstwa w Berlinie. Pokolenie niemieckiej młodzieży, które zginęło w drugiej wojnie światowej, zostało uhonorowane przez wcześniejszych zwycięzców.

Niebo zaczynało ciemnieć, gdy Mueller opuścił budynek administracyjny i przeszedł przez pokryte śniegiem miasteczko uniwersyteckie. Jego wychudzona sylwetka nie pasowała do wyglądu studentów w najmodniejszych strojach narciarskich i lustrzanych okularach. Zauważył wysoką, pełną życia dziewczynę o ciężkich, kasztanowych włosach opadających na ramiona i przez moment myślał o pewnej młodej kobiecie, z którą spędził weekend w Innsbrucku wiele lat temu.

Skręcając w Karlsruhestasse podziwiał majestatyczne Alpy, których szczyty niby pokryte śmietaną górowały nad wioską.

Nagle zamigotały światła sklepów i staromodne latarnie uliczne zaświeciły miękkim światłem w zapadającym mroku.

Mueller poczuł chłód, wszedł do „Cafe Winkler” i zamówił gorący grog rumowy. Popularna kawiarnia była zatłoczona młodymi ludźmi. Porozstawiali narty pod ścianami i siedząc przy stolikach, strzelali palcami w rytm amerykańskiej muzyki rockowej.

Mueller patrzył zafascynowany, jak jedna z dziewcząt zlizywała powoli, kusząco krem z ciastka. Czuł budzące się w nim pożądanie i zdecydował się nie wracać do Schoenfelderhaus. Zamiast tego zabierze *Fraulein* Beckmann na kolację. Atrakcyjna księgowa STS jest na wakacjach w Innsbrucku, a kiedyś przecież niewinnie flirtowali. Tak. Czemuż by nie? Nie trzeba wpadać w paranoję na punkcie bezpieczeństwa. Pojedzie tramwajem do hotelu *Fraulein* Beckmann. Mężczyzna powinien korzystać z okazji, większości ludzi trzeba całego życia, by pojąć tę oczywistą regułę.

Ruszył śmiało, ponaglany rozkosznym poczuciem czekającej go przygody. Jego libijscy goryle będą niezadowoleni, ale niech im tam. Był zakłopotany, gdy widywano go z arabskimi podludźmi. Fakt, że takie godne pozazdroszczenia bogactwo w formie ropy przypadło w udziale brudnym, semickim muzułmanom, był godny pożałowania. Libijczycy nie mogli chronić go lepiej niż biednego Brunnera. Mueller czerpał swą pewność jedynie z mauzera w kaburze pod pachą. Poleganie na samym sobie zapewnia człowiekowi długowieczność i dobrobyt.

Minął kolumnę Świętej Anny, przeszedł przez brukowany plac na przystanek tramwajowy i czekał cierpliwie w grupie hałaśliwych turystów. Zauważył drobną kobietkę, która zdawała się ginać w zbyt dużym futrze z norek. Jej towarzysz ubrany był w austriacki strój myśliwski. Rozbawiony kontrastem garderoby tej pary, nie dostrzegł blondynki w średnim wieku z plastikową torebką, która stała kilka stóp za nim.

W chwili gdy czerwono-żółty tramwaj zbliżał się do nich, blondynka wyjęła specjalnie zaostrzony szpikulec do lodu i wbiła ostry jak igła koniec w podstawę jego kręgosłupa. Mueller spadł z wysepki i zniknął pod kołami tramwaju.

Penelopa słyszała krzyki ludzi, gdy przechodziła przez plac i wsiadała do czekającego na nią opla, którego prowadził Landau.

Rozdział dwudziesty czwarty

Zbliżała się północ, gdy Fritz Kleiser skończył rozmowę z Diehlem. Poinformował go o śmierci Muellera, ale zataił nieco jej okoliczności mówiąc, że Mueller poślizgnął się na oblodzonym krawężniku i wpadł pod nadjeżdżający tramwaj. Wyjaśnił, że był to bezsensowny, tragiczny koniec wielkiego człowieka, i dodał, że jego pamięć zostanie uczczona przez pomyslnie doprowadzenie do końca przedsięwzięcia w Libii. Walter Diehl będzie obecnie nadzorował wystrzelenie V-5.

Kiedy minął szok wywołany tą wiadomością, Diehl opisał swe spotkanie z Lawfordem. Kleiser rozwiał wątpliwości starszaka wywołane zainteresowaniem amerykańskiego dziennikarza Nordhausen i przypomniał mu, że naprawdę liczy się tylko przekonanie Lawforda do obecnej działalności STS. W rozmowie z Diehlem Kleiser wykazał dużo cierpliwości i sprytu i zanim odłożył słuchawkę, starszek był zdecydowany doprowadzić do końca swą świętą misję w imieniu wszystkich zmarłych współtowarzyszy. Pojedzie do Libii i zrobi wszystko, by wystrzelenie V-5 odbyło się zgodnie z planem.

Kleiser skończył rozmowę, nalał sobie brandy, rozparł się w fotelu i patrzył uważnie na trzeszczące w ogromnym kominku płomienie. Wydarzenia toczyły się teraz impetem własnej bezwładności. Będzie musiał trzymać ster mocno w rękach.

Agresywne podejście Lawforda do Diehla upewniło go, że Amerykanin nie pobłaża STS z jakichś ukrytych powodów, ale podchodzi do tematu poważnie, w sposób obiektywny i profesjonalny. Jakiegokolwiek inne zachowanie ze strony asa dziennikarstwa byłoby podejrzane.

Później Kleiser skierował swe myśli na Muellera. Policja odkryła niewielką dziurkę u podstawy jego kręgosłupa. Mossad. Bez wątpienia. Cóż, nieważne. Czas gra na jego korzyść. Pakistan zdecydował się przetestować bombę w terenie i zaryzykować konsekwencje polityczne. Po przetestowaniu, głowica zostanie przewieziona do Libii. Do odpalenia pozostało już tylko kilka tygodni.

Zabrzączał dzwonek na konsoli interkomu i Kleiser przycisnął guzik.

- *Ja?*

- Abu Hasi.

Żyłasty Libijczyk o twarzy jastrzębia wszedł do gabinetu i położył na biurku Kleisera trzy czarno-białe fotografie Eryki z atrakcyjną brunetką.

- Oto młoda kobieta, z którą *Fraulein* Sperling jadła lunch - Hasi wskazał na jedno ze zdjęć - w restauracji „Europa” w dniu, kiedy przeprowadzono test V-5. Zdjęcie obu kobiet podczas spaceru przez pasaż handlowy wykonano tego wieczora, gdy zamordowano Brunnera. Ta fotografia, najnowsza, także pokazuje tę dziewczynę po przylocie do Monachium tym

samym samolotem co *Fraulein* Sperling i Lawford.

- I co z tego? - zapytał Kleiser z nie ukrywanym zniecierpliwieniem.

- Według mnie ta kobieta jest kurierem albo Mossadu, albo wywiadu niemieckiego BND.

- A skąd wyciągnąłeś takie wnioski?

- Rozpoznaliśmy tę kobietę jako Elke Hauser. Urodziła się w Holandii. Zamieszkuje w Zurychu i podróżuje po całej Europie. Według mnie jest kurierem.

- Czyim?

- Już mówiłem. Albo Mossadu, albo BND.

Kleiser wstał, ponownie zapalił cygaro i spokojnym, ale szyderczym głosem powiedział:

- A czemu nie włączysz w to jeszcze CIA, KGB, Chińczyków, Kubańczyków i Bułgarów? - Zamilkł na chwilę, po czym jego głos przybrał zimne tony. - Rozczarowujesz mnie, Hasi. Znam tę kobietę. Przypadkowo jest dość znaną modelką. Nie ma w niej nic tajemniczego. Spotykałem się z nią na gruncie towarzyskim. Prowadzona przez nią agencja modelek mieści się w moim biurówcu. Elke Hauser i *Fraulein* Sperling studiowały razem na Uniwersytecie w Hanowerze i przypadkiem są starymi przyjaciółkami.

- Nie znajduje pan nic dziwnego w zbieżności ich spotkań?

- Uważam twoje podejrzenia i prowadzenie inwigilacji moich kluczowych pracowników za wtrącanie się w nie swoje sprawy i działania dla nich obraźliwe. Przychodzisz tu z absurdalnymi zarzutami i spodziewasz się, że poświęcę czas i uwagę na bezpodstawne wymysły?

Hasi milczał, gdy Kleiser podszedł do okna wychodzącego na zamrznięte jezioro.

- Podobno jesteś doświadczonym zawodowcem - powiedział Kleiser, stojąc plecami do rozmówcy. - Alois Brunner został zamordowany we własnym domu. Farheed Shaha i Szweda zamordowano w paryskim hotelu. A teraz Mueller został zadżgany i wepchnięty pod koła tramwaju. - Odwrócił się twarzą do Hasiego. - Tyle o zapewnianiu przez ciebie bezpieczeństwa.

- Nie zajmowałem się osobiście Brunnerem. Przyjmuję na siebie odpowiedzialność za Paryż. Powierzyłem to zadanie jednemu z moich najlepszych oficerów, ale żadna operacja nie jest całkowicie pewna. Jeśli chodzi o Muellera, to zostawił on swoich opiekunów i poszedł w miasto sam. Są granice tego, co da się zrobić. Muszę też podkreślić, że nigdy nie zgadzałem się w pełni na plątanie się tego amerykańskiego dziennikarza. Z mojego punktu widzenia, jego obecność zwiększa nasze problemy zachowania bezpieczeństwa.

- Twój rząd planuje spopielić Tel-Awiw i Hajfę. Moja firma musi pozostać na rynku po tym kataklizmie. Obraz, jaki stworzymy teraz o sobie w świecie, ma zasadnicze znaczenie. Jeżeli pokierujemy Lawfordem odpowiednio, stanie się instrumentem polityki przedsiębiorstwa. Mogę ci przypomnieć, że twój przywódca, a mój dobry przyjaciel, pułkownik Kaddafi pozwolił, by trzeciorzędny dziennikarz amerykańskiej telewizji przeprowadzał z nim wywiad na wiele delikatnych tematów. Artykuł Lawforda zamaskuje nie tylko oblicze STS, ale również działania Libii w Pakistanie.

- Przyznam, że nie mam powodów, by podejrzewać Lawforda. Jest po prostu jeszcze jednym facetem, któremu trzeba poświęcić uwagę. Martwi mnie *Fraulein* Sperling. Ktoś z STS wyniósł sprawę testu V-5, przeprowadzonego przez Brunnera. Ilu ludzi tu, w Berlinie, znało rezultaty tego samego dnia?

- Może trzech lub czterech.

- W tym Eryka Sperling?

- Mogłem jej o tym wspomnieć.

- A ona mogła przekazać tę informację Elke Hauser, która z kolei dostarczyła ją albo Mossadowi, albo BND. Chcę pana zgody na przesłuchanie *Fraulein* Sperling.

- Nie zrobisz nic takiego - odpowiedział zdecydowanie Kleiser. - Ty odpowiadasz przed Allahem, a ja przed światem. Eryka Sperling nie będzie poddana żadnemu przesłuchaniu. Zostanie na swoim miejscu bez śladu podejrzeń. Chcę, żeby towarzyszyła Lawfordowi do Trypolis. Kiedy jego artykuł ukaże się w prasie światowej, i dopiero wtedy, możesz ją przesłuchiwać.

- Będzie zbyt późno. Zostaniemy skompromitowani.

- Jak? Przez kogo? Zastanów się, co mówisz. Znana modelka jest kurierem, a jej przyjaciółka, Eryka, którą znam od dziecka, agentką Mossadu; wszystko dlatego zaś, że spotkały się kilka razy i leciały jednym samolotem. Nie przyszło ci do głowy, że Eryka chciała przedstawić Lawforda przyjaciółce? Przecież jest mężczyzną i to od jakiegoś czasu samotnym.

- Niezupełnie. Spędził kilka nocy w mieszkaniu *Fraulein* Sperling.

- Co dowodzi tylko tego, że Lawford jest tym, za kogo się podaje. Zawodowy agent nigdy nie zaangażowałby się w romans ze współpracownicą w tej samej sprawie. Dla mnie twoje podejrzenia opierają się na pozbawionym sensu rozumowaniu. Nie zrobimy nic, dopóki Lawford nie zakończy artykułu.

- Obawiam się, że muszę nalegać.

- Nie masz prawa na nic nalegać! - ryknął Kleiser. - Będziesz robił dokładnie to, co ci każę. Nie będę tolerował żadnych dalszych samowolnych działań z twojej strony. Jeżeli się

nie podporządkujesz, będę musiał porozmawiać o tym z pułkownikiem Kadafim. Czy zamierzasz przeszkodzić w starcie V-5? Czy chcesz podjąć takie ryzyko? Odpowiedz mi, Hasi!

Hasi zamilkł. Kleiser miał wszystkie asy w ręku. Pułkownik Kadafi darzył Niemca całkowitym zaufaniem. Libijski wywiad wielokrotnie sprawdzał życiorys Kleisera. Znajdował się pod stałą obserwacją i nie można było zaprzeczyć, że jest całkowicie oddany libijskiemu programowi rakietowemu. Kleiser cieszył się też zaufaniem szefa kontrwywiadu pakistańskiego Ayuba Murraniego. Rozsądniej było z nim nie zadzierać - na razie. - Otrzymałem wyrażne rozkazy - powiedział Hasi. - Mam panu służyć i zapewnić bezpieczeństwo. Nie chcę się kłócić. Oczywiście zastosuję się do pańskich decyzji. Ma pan na to moje słowo. Nie podejmę żadnych działań przeciwko *Fraulein* Sperling.

Cenię twoje starania o bezpieczeństwo - powiedział Kleiser pojednawczym tonem. - Miejmy nadzieję, że za kilka tygodni cała sprawa będzie bez znaczenia, bo nie będzie ani Mossadu, ani Izraela.

- *Allah Inshallah* - powiedział Hasi i wyszedł.

Kleiser patrzył na fotografię intrygującej Elke Hauser. Była dobrą modelką, niezłym przedsiębiorcą i doskonałą stręczycielką. Prowadzona przez nią agencja modelek dostarczała wielu młodych, pomysłowych dziewczyn. Mógł spokojnie założyć, że nie jest jedynym klientem *Fraulein* Hauser. Kierowała bardzo lukratywnym, ale nielegalnym przedsiębiorstwem. Nigdy nie zaangażowałyby się we współpracę ani z policją federalną, ani BND. Agencja modelek panny Hauser nie była przykrywką działalności wywiadowczej, lecz zasłoną dla nielegalnych transakcji seksualnych.

Oskarżeniom Hasiego brakowało podstaw i logiki. Jego podejrzania były niczym więcej jak tylko eklektycznym, błędnym rozumowaniem fanatyka. Umiejętności Libijczyka ograniczały się do tortur i morderstwa. Cóż, na razie był tylko jeden punkt zainteresowania - artykuł amerykańskiego dziennikarza.

W tej chwili Lawford zwiedza zakłady silnikowe w Stuttgarcie. Eryka powiedziała, że skończył pisać pierwszą część artykułu. Czas publikacji został doskonale zaplanowany. Gdy Lawford poda, że baza operacyjna w Libii ma charakter ściśle komercyjny, trudno będzie zachodnim mocarstwom podejrzewać STS. Cały Bliski Wschód może pójść z dymem, a on, Kleiser, pozostanie poza podejrzaniem... neutralnym... niewinnym widzem.

Jeżeli Kadafi jakimś sposobem zdobył głowicę nuklearną i zamontował ją na V-5, to nie jest to problem Kleisera. Dostawca nie odpowiada za niewłaściwe wykorzystanie przez klienta dostarczonego produktu.

Kleiser nacisnął przycisk interkomu i poprosił sekretarkę, żeby powiadomiła wywiad

libijski, że przyleci z Amerykaninem, Tomem Lawfordem, we czwartek.

Rozdział dwudziesty piąty

Trzy tysiące mil na południe od Bombaju i trzy tysiące pięćset mi] na wschód od Kapsztadu pakistański statek badawczy kołysał się na falach pustego, bezkresnego Oceanu Indyjskiego.

Wysoki, wytworny ojciec chrestny pakistańskiej bomby atomowej, doktor I.Q. Khan, skierował lornetkę na podczerwień w stronę horyzontu. Pierwsze promienie wschodzącego słońca rozjaśniały szare niebo, więc kontury barki i wieży detonacyjnej były wyraźnie widoczne. Dwa niszczyciele, które przyholowały barkę i zakotwiczyły ją na miejscu wybuchu, pruły jak na skrzydłach do bazy w Karaczi.

Doktor Jamil Tukhali, młody fizyk, a zarazem protegowany zmarłego Shaha, stojąc obok Khana na mostku statku, opuścił lornetkę, sprawdził zegarek i powiedział:

- Szesnaście minut.

Khan przytaknął ruchem głowy.

- Duch naszego zamęczonego kolegi Farheeda Shaha daje się niemal fizycznie wyczuć wśród nas.

- Według mnie, instrukcje maszyn Flash nie miały znaczenia. Powinniśmy przeprowadzić test w terenie miesiąc temu.

- To nie takie proste, mój drogi Tukhali. Test laboratoryjny o wydajności zerowej utrzymałby w tajemnicy fakt, że nasz arsenał jądrowy jest gotów. Teraz ryzykujemy wykrycie przez amerykańskie i radzieckie satelity. Skutki polityczne mogą być bardziej niebezpieczne niż opad radioaktywny. Do tej pory udało się nam utrzymać mit o pokojowym rozwoju badań atomowych.

- To musi być dla pana wielki dzień. Zostało już tylko kilka minut do spełnienia marzenia dwudziestu lat.

- Wkrótce się przekonamy.

Spoglądając w górę zobaczyli mrugające czerwone światełko na szczycie ogona samolotu patrolowego Orion C-3, wyposażonego w generator promieni magnetycznych wysokiej częstotliwości, który miał zdetonować bombę.

W sterówce kapitan nakazał korektę prędkości. Radiotelegrafista, który obsługiwał nadajnik ultrakrótkofalowy, przyciszonym głosem mówił do pilota krążącego nad nimi Orio-

na.

150

Pochylony nad fluorescencyjnym ekranem operator radaru przyglądał się zielonej linii na monitorze, która bez przerwy kontrolowała okolicę w promieniu pięćdziesięciu mil. Operator sonaru nadawał podwodne promienie, które strzegły ich przed patrolującymi łodziami podwodnymi.

Zwracając się do radiotelegrafisty, Khan powiedział:

- Skieruj pilota do punktu detonacji i każ mu utrzymywać wysokość dziesięciu tysięcy stóp.

Wiadomość została przekazana, ale pilot zażądał rozmowy z Khanem.

- Tak, kapitanie - powiedział Khan.

- Czy będziemy bezpieczni na wysokości zaledwie dziesięciu tysięcy stóp?

- Nie zamierzamy wysadzić w powietrze Oceanu Indyjskiego - odparł doktor. - To tylko detonator. Nasz wybuch da znaczny błysk świetlny, ale energia wybuchu będzie mniejsza niż 0,02 kilotony. Promieniowanie będzie nieznaczne, pierścienie fali uderzeniowej rozedają się poziomo, a nie pionowo. Niech się pan nie boi, kapitanie, tylko ciesz się. Pana kamery zarejestrują narodziny islamskiej bomby atomowej. - Khan przerwał. - Sprawdźmy czas. U mnie zostało siedem minut i trzydzieści sekund do detonacji.

- Sprawdzone - odpowiedział pilot i skręcił ostro, kierując się w stronę odległej barki.

- Amerykański satelita KH-11 przeleciał nad naszą pozycją geograficzną trzydzieści pięć minut temu - powiedział kapitan statku.

- Tego nigdy nie można być pewnym - ostrzegł Khan. - Orbity tego typu satelitów są często zmieniane. W razie czego jednak supermocarstwa będą mogły oskarżyć kilka państw o spowodowanie wybuchu w tym rejonie. Mamy możliwości, by wszystkiemu zaprzeczyć w sposób dla nich do przyjęcia. Oddajmy nasze myśli, nasze serca, cichej modlitwie.

Po chwili w odbiorniku zatrzeszczał głos pilota.

- Dwie minuty do detonacji.

Wychodząc na pomost nawigacyjny, Khan i Tukhali skierowali lornetki wyposażone w filtry światła w stronę odległego konturu barki.

- Minuta! - dudnił głos pilota przez zewnętrzny głośnik połączony ze wzmacniaczem.

- Pułkownik Kadafi będzie wkrótce miał swoje główce bojowe - napomknął Tukhali.

- Dziwne, że to jemu przypadło wyzwalanie krajów arabskich.

- Sfinansował nas, chłopcze - odparł Khan. - Niech więc jemu przypadnie chwała.

- Piętnaście sekund! - Głos pilota niósł się złowieszczo po mostku.

W sterówce technicy zakładali na oczy ciemne okulary z filtrem podczerwieni i wychodzili na skrzydło mostka.

- Detonacja! - krzyknął pilot. - Wszystkie kamery start! Start urządzeń telemetrycznych! Pięć. Cztery. Trzy. Promień częstotliwości wypuszczony. Dwa, jeden, zero!

Ogromny, oślepiający, żółty błysk zapalił morze na całym horyzoncie, po czym zmienił się w ognisty czerwony krąg. Jak nagły wschód słońca błyszczał jasno, następnie przygasł i ponownie rozbłysnął na kilka sekund, aż zaczął znikać i zgasł.

Z rykiem gromu fala uderzeniowa przetoczyła się po wodzie i rzuciła stojących na mostku o ścianę sterówki.

Pomimo malejących, niosących wiatr fal uderzeniowych Khan i Tukhali padli sobie w ramiona. Kapitan otworzył butelkę pianistego szampana.

- Allah wybaczy nam to uchybienie - uśmiechnął się i każdy z mężczyzn wypił z butelki.

- Panowie, Pakistan jest supermocarstwem - powiedział radośnie Khan. - Wypełniliśmy nasze święte posłannictwo.

- Niech Bóg da Farheed Shahowi należne mu honorowe miejsce w raju - powiedział Tukhali z namaszczeniem. Jednak myślał już, jak i kiedy poinformuje Salima Bashirę o tym, co zaszło. Eksperyment uwieńczony powodzeniem oznaczał, że głowice zostaną wysłane do Libii trzynastego marca lub parę dni później, gdy reaktor Kahuty będzie wyłączony.

152

Rozdział dwudziesty szósty

Jaskrawy błysk uszedł uwadze wędrującego po orbicie KH-11, najnowocześniejszego ze wszystkich amerykańskich satelitów szpiegowskich. Złośliwość losu spowodowała jednak, że detonację wykrył przestarzały satelita Vela, którego czujniki podczerwieni zarejestrowały intensywność światła.

Technicy z bazy lotniczej Edwards przeanalizowali dane telemetryczne z Veli i doszli do wniosku, że na południowych obszarach Oceanu Indyjskiego nastąpił wybuch nuklearny o małej mocy.

Obudzono sekretarza stanu Harolda Lukensa i natychmiast poinformowano prezydenta o eksplozji. W pośpiechu odbyła się narada w sali odpraw kryzysowych Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Mead w Marylandzie.

Wokół stołu zasiedli: szef sztabu, generał Ray Martens, dyrektor CIA admirał Clark

Dwinell, sekretarz obrony Walter Gilford i dyrektor Ośrodka Badań Jądrowych w Los Alamos, doktor Carlton Summers.

Sekretarz stanu Lukens przywołał zebranych do porządku i zwrócił się do nich precyzyjnie wyważonymi słowami:

- Analiza ilościowa umieszcza wybuch na Oceanie Indyjskim, czterysta mil morskich na południe od Wysp Księcia Edwarda i w przybliżeniu trzy tysiące mil morskich na wschód od Kapsztadu. Prezydent oczekuje na nasze wnioski. Rosjanie, Chińczycy, Indie i wszyscy sojusznicy z NATO prowadzą analizy na podstawie naszych wstępnych danych. Ten wybuch odbił się echem po całym świecie, a konsekwencje polityczne są oczywiste. Indie oskarżyły już oficjalnie Pakistan. Spodziewamy się, że Rosjanie zrobią lada moment to samo.

- Sukinsyny, sami się o to prosili - warknął szef sztabu.

- Nie spieszymy się z ocenami - ostrzegł Lukens. - Nie możemy wykluczyć Afryki Południowej ani Izraela.

Sekretarz obrony potrząsnął głową.

- Izraelczycy już dawno przeprowadzili test laserowy o wydajności zerowej. Południowi Afrykańczycy nie zadawali by sobie trudu holowania barki przez tysiące mil po Oceanie Indyjskim, mając do dyspozycji pustkowia Kalahari, gdzie można przeprowadzić test podziemny. Wszystko wskazuje na Pakistan.

- Nie działajmy pochopnie - znów ostrzegł Lukens. - Pakistan jest swego rodzaju sojusznikiem na subkontynencie. Musimy zrobić wszystko, co się da, by chronić go pod względem politycznym.

Z kolei do dyskusji włączył się admirał Dwinell i przemówił chłodnym, oficjalnym tonem.

- Nie jesteśmy tu, żeby dyskutować o sprawach geopolitycznych. Mamy określić, kto wywołał wybuch, i muszę zgodzić się z generałem Martensem. Wiemy, że Pakistan pracuje nad potencjałem broni nuklearnej od siedemdziesiątego drugiego roku. Ośrodek Kahuty został sfinansowany przez Kadafiego. Wszyscy, jak tu siedzicie, z wyjątkiem doktora Summersa, zdajecie sobie sprawę ze współpracy w dziedzinie atomistyki pomiędzy Libią i Pakistanem. Kilka tygodni temu dyrektor Kahuty, doktor Farheed Shah, i pewien szwedzki biznesmen, Olaf Nilsen, zostali zastrzeleni w Paryżu, a ich apartament hotelowy uległ zniszczeniu. Agenci francuskiego wywiadu zidentyfikowali wśród gruzu resztki instrukcji maszyn rentgenowskich Flash.

- Co to oznacza? - zapytał Lukens.

- Proszę o wyjaśnienia doktora Summersa.

Wysoki, powściągliwy fizyk jądrowy mówił spokojnie z kliniczną precyzją, jak gdyby stawiał diagnozę choremu.

- Utrata instrukcji uniemożliwiła Pakistanowi przeprowadzenie testowego wybuchu w warunkach laboratoryjnych. Taki test wymaga wymyślnej sekwencji istotnych działań do zainicjowania reakcji łańcuchowej wewnątrz głowicy. Maszyna Flash fotografuje ten proces w laboratorium. Przy braku maszyny konieczne jest przeprowadzenie otwartego wybuchu w terenie. Oczywiście jest, że Pakistańczycy zostali zmuszeni do przeprowadzenia takiego testu. Ryzyko wykrycia zostało zminimalizowane przez dobór miejsca, ale po zapoznaniu się z danymi, zgadzam się z admirałem, że Pakistan jest logicznym podejrzanym.

Lukens zmęczonym ruchem przetarł oczy dłonią.

Boże, to postawi prezydenta w cholernie trudnej sytuacji. Jak możemy prosić Kongres o miliardy dolarów na pomoc dla Pakistanu, gdy przeprowadza się tam eksperymenty z bronią jądrową?

Na moment zapadła cisza, którą przerwał sekretarz obrony Gilford.

- Mieliśmy doniesienia, że gdzieś na tym obszarze znajdują się radzieckie łodzie podwodne klasy Echo II. Może któraś z nich miała wypadek, wybuchła na morzu?

- Wypadek na atomowej łodzi podwodnej spowodowałby stopienie się reaktora, a nie wybuch atomowy - wyjaśnił doktor Summers. - Poza tym, gdyby tak się stało, nasze samoloty szpiegowskie SR-71 i statki na powierzchni wykryłyby ogromną masę radioaktywnych odpadów w tym rejonie.

- Czy czujniki Veli mogły źle zadziałać? - zapytał Lukens. - Przecież ten satelita jest na orbicie od bardzo dawna i jego wyposażenie nie jest nawet w przybliżeniu tak nowoczesne jak na KH-11.

Admirał Dwinell pokręcił głową.

- Może Vela starzeje się, ale dotąd nigdy nie zawiódł. Jego czujniki zidentyfikowały prawidłowo trzydzieści pięć wybuchów atomowych.

- Cóż, obawiam się, że musimy się z tym pogodzić - westchnął Lukens. - Powiem prezydentowi, że zgodnie z naszą wspólną opinią wszystko wskazuje na Pakistan, ale nadal analizujemy dane i może trzeba będzie tygodni lub nawet miesięcy, żeby wyciągnąć ostateczne wnioski.

- Chwileczkę - powiedział szef sztabu Martens, zwracając się do doktora Summersa. - Czy taki błysk mógłby być wynikiem zjawiska naturalnego, na przykład wybuchu podwodnego wulkanu?

Summers zaprzeczył.

- Żadne pojedyncze zjawisko w przyrodzie nie mogłoby spowodować intensywności i gwałtowności błysku światła zarejestrowanego przez czujniki Veli. Poza tym fale wstrząsowe mówią bardzo wiele. Zwykle test atomowy odpowiada dziesięciu kilotonom energii wybuchu. Bomba użyta w Hiroszynie miała dwadzieścia kiloton. Ten test dał mniej niż jedną kilotonę. To niezawodny znak, że dokonano wybuchu detonatora. Producenci bomby chcieli być pewni działania detonatora przed montażem głowic bojowych.

- Mogę wam powiedzieć, panowie - wtrącił admirał. - Mieliśmy informacje, że Pakistan jest o krok od skonstruowania serii głowic bojowych.

- Ale, jak wiemy, nie posiadają raketowego systemu ich przenoszenia - odparł sekretarz obrony Gilford.

- To nieprawda - sprzeciwił się Martens. - Przekazaliśmy im dwieście samolotów F-16 z zaczepami do bomb, umożliwiającymi przenoszenie również bomb atomowych.

- Ale F-16 mają ograniczony zasięg - upierał się Gilford. - Uzbrojony w broń atomową Pakistan stwarza zagrożenie jedynie dla Indii.

- Lub Związku Radzieckiego - dodał Martens.

- W porządku - przyznał Lukens - ale zgodnie z tym, co nam wiadomo, Pakistan nie posiada rakiet balistycznych klasy międzykontynentalnej.

- Nie. Ale ma je Kadafi - zauważył złowieszczo admirał.

Przy stole zapadła cisza i wszyscy wpatrywali się w admirała Dwinella, który przedstawił szczegóły libijskiego przedsięwzięcia STS.

- Wyjaśnijmy to sobie wyraźnie, Clarke - powiedział generał Martens. - Chcesz nam powiedzieć, że Pakistan zapewni Kadafiemu głowice bojowe, które zostaną zamontowane na rakietach balistycznych V-5.

- Zgadza się.

- Ponieważ nie mam nic do dodania w sprawach politycznych - powiedział doktor Summers wstając - chciałbym wrócić do hotelu i trochę się przespać. Jestem piesko zmęczony, oczywiście pozostanę w Waszyngtonie do momentu nadejścia dodatkowych raportów z samolotów SR-71.

- Dziękuję, doktorze - powiedział Lukens. - To bardzo uprzejmie z pana strony, że przyjechał pan tak szybko.

Admirał poczekał, aż zamknęły się drzwi, i zwrócił się do pozostałej w sali grupy.

Chciałbym, żebyście wszyscy zdali sobie sprawę z tego, że Izrael nie da się oszukać. Na potrzeby opinii społecznej chcemy wskazywać różnych winowajców: Afrykę Południową, Koreę Północną, Brazylię czy nawet Argentynę. Nieomal każdy mógł odholować barkę na

głębiny południowego Oceanu Indyjskiego i przeprowadzić test o małej mocy. Ale to nie oszuka Izraela. Mają agenta wewnątrz Kahuty i swoich ludzi w wywiadzie Pakistanu. Sądzę, że to Mossad zlikwidował Farheed Shaha i Nillsena w Paryżu.

- Czy sugerujesz, że Izrael planuje atak na Kahutę? - zapytał Lukens.

- Nie mają środków technicznych. Trasa z Teł-Awiwu do Kahuty i z powrotem przekracza pięć tysięcy mil. Ale sabotaż można przeprowadzić wszędzie. Myślę, że pamiętacie skład amunicji w Islamabadzie, który wyleciał w powietrze w osiemdziesiątym ósmym, a Islamabad jest tylko o dwadzieścia pięć mil od Kahuty.

- Ale, Clarke - wtrącił sekretarz obrony Gilford - zapewniałeś nas, że wprowadziłeś agenta do Mossadu, człowieka, który będzie w stanie ostrzec nas na wypadek, gdyby Izrael planował atak na Kahutę. Zakładam, że to nadal aktualne.

- Mamy w Berlinie człowieka, który został wprowadzony do Mossadu. Ale pracuje w bardzo szczególnych warunkach - admirał wzruszył ramionami.

- To niedomówienia - powiedział zirytowanym głosem Lukens.

- Nie, Haroldzie. Nasz człowiek w Berlinie nie jest doświadczonym agentem, tylko głęboko ukrytym współpracownikiem, który z samej definicji jest rzadko wykorzystywany. Jednak, według mnie, miał predyspozycje i motywację do przeprowadzenia tej operacji. Ale, mówiąc szczerze, może mu się nie udać. I może nie przeżyć. W znacznym stopniu zależy to od jego talentu, intuicji i współpracowników z Mossadu.

- Przepraszam, admirale, ale coś mi się tu nie podoba. Co właściwie chce nam pan powiedzieć?

- Radzę wam nie przyjmować zachowania Izraela za pewnik. Mamy na nich znaczny wpływ polityczny, ale kiedy występuje zagrożenie ich istnienia, nie do przewidzenia są granice tego, co zrobią, żeby przetrwać. Wykorzystają wszelką dostępną im broń. Możecie być tego pewni. - Przerwał na chwilę. - Na twoim miejscu, Haroldzie, przygotowałbym prezydenta na pożar i możliwość atomowej zagłady, która może objąć cały Bliski Wschód i subkontynent azjatycki. Stoimy na krawędzi atomowej otchłani.

Księga II

Rozdział dwudziesty siódmy

Modląc się w duchu, by jego żona przestała wreszcie piec ciasta, Zew Berger zmiotł okruchy piernika z blatu biurka. Ta kobieta nie jest cukiernikiem. Jest znakomitą pianistką, ale zdecydowanie „nie cukiernikiem. Berger zapalił pierwszego tego ranka papierosa i zaproponował Nardzie szklankę herbaty.

- Dziękuję, nie - powiedziała, potrząsając głową. Berger zanurzył kostkę cukru w gorącym napoju, po czym zaczął ją ssać.

- Więc, moja. śliczna, jak leci? Nie widziałem cię od Paryża.

- W Paryżu było zimno.

- Tak. Mogę to sobie wyobrazić.

- Zastrzeliłam młodego agenta libijskiego. Był właściwie chłopcem. Strzeliłam do niego w momencie, gdy się do mnie uśmiechnął. - Przygryzła dolną wargę. - W Paryżu było bardzo zimno.

Bergerowi, gdy patrzył na nią, przyszła do głowy tragiczna myśl: *Co zrobiliśmy z naszymi dziećmi?*

- Jesteś pewna, jeśli chodzi o herbatę? - spytał zachrypłym głosem.

Skinęła głową i odrzuciła w tył długie, błyszczące włosy.

- Mam wiadomości od Bashiry. Lepiej zrób notatki.

Narda wyjęła z torebki długopis i notes, który położyła na kolanach.

Berger wstał i chodząc po pokoju, mówił:

- Przeprowadzona przez Pakistan próba jądrowa spowodowała ocieplenie uczuć rządu Indii do naszego kraju.

158

Wyznaczyli Pandita Sinde do pracy z Bashirą. W tych dniach spotkają się w Karaczi lub gdzieś w pobliżu. Statek, którego potrzebuje Dado, zostanie zakupiony przez indyjskiego agenta w Amsterdamie. Dado musi załatwić załogę i suchy dok w Ejlacie. Czas ucieka, a...

- Chwileczkę! - przerwała mu Narda. - Zwolnij. Nie jestem do cholery sekretarką!

Zdumiony jej nagłym wybuchem złości, Berger zapytał:

- Coś nie tak?

- Przepraszam... jestem zmęczona.

Berger poczuł przyływ współczucia dla tej dziewczyny. Wypełniała tajne misje, które doprowadzały ją do kresu ludzkiej wytrzymałości, a nie umiała uporządkować własnego życia osobistego. Była beznadziejnie zakochana w Dado, który przecież nigdy nie porzuci Avital.

Trzymając długopis nad notatnikiem, rzuciła:

- Przepraszam. Mów dalej.

- Bashira upewnił się, że reaktor w Kahucie będzie wyłączony między trzynastym a dwudziestym pierwszym marca, gdyż trzeba wymienić zużyte pręty paliwowe.

- To za niecałe dwa tygodnie - odpowiedziała nerwowo. - Co z fotografiami wnętrza Kahuty?

- Bashira zdaje sobie sprawę z tego, jak pilna jest ta sprawa, i zrobi, co się tylko da, ale nie mogę go naciskać. Pakistańska безпеka jest w pełnej gotowości. To wszystko, co mam.

Narda wrzuciła notes do torebki i zdjęła nogę z nogi.

- Aha... jest jeszcze jedna sprawa - dodał Berger. - Powiedz Dado, że list szejka Owe-idi został doręczony Eryce.

- Martwię się o nią. Im bardziej Eryka i Lawford zbliżają się do Libii, tym większe ryzyko.

- Nawet jeśli Kleiser podejrzewa cokolwiek, to i tak nie zrobi nic przeciw niej, dopóki Lawford nie skończy artykułu. Gdyby coś się stało Eryce, Kleiser straci Lawforda.

- Musisz zapewnić jej ochronę - nalegała Narda. Berger przesunął okulary na czubek głowy i powiedział:

- Zostaw to mnie.

- Dziękuję, Zew. - Po chwili milczenia dodała: - Przy okazji Dado prosił, żeby pogratulować ci zorganizowania wypadku Muellera.

- Był nieostrożny, a, my mieliśmy szczęście. - Berger okrążył biurko i wziął Nardę za rękę. - Weź sobie wolny weekend. Pojedź do Ejlatu na kilka dni. Poopalaj się. Popływaj.

Narda podeszła do brudnego okna i wyszeptwała:

- Z kim mam popływać?

Kiedy wyszła, Berger siadł za biurkiem pochłonięty tą samą ponurą myślą: Co zrobiliśmy z naszymi dziećmi? Ukradliśmy im młodość i uczyniliśmy ich ślepymi na piękno. Staliśmy się narodem spadochroniarzy i wróżbitów, trzymających się z uporem prastarych mitów. Nasi piloci widzą afrykańskie lwy na pustyni. Zgubiliśmy drogę, starając się podołać szaleństwu wiecznej nienawiści.

Westchnął, jego pokolenie dawno porzuciło młdzieńczy idealizm. Mogli tylko z nadzieją czekać na starość i w cierpieniu przeżywać śmierć romantyzmu. Ale młodzi dźwigali ciężar nie spełnionego marzenia. Teraz było za późno, żeby się wycofać, za późno na nowe rozwiązania. Została tylko jedna droga - przetrwać za wszelką cenę.

Generał wszedł do Starej Jerozolimy przez Bramę Damascęską. Helikopter przywiózł go z morskiej kwatery głównej w Hajfie. Od czwartej rano był już na morzu iw powietrzu. Pracował bez wytchnienia od pakistańskiej próby atomowej i przyspieszał bieg obu operacji: ataku na Libię i na Kahutę.

Dado przeszedł przez ulicę Chain i wszedł do ortodoksyjnej dzielnicy Mea Szearim. Dwaj żołnierze w purpurowych beretach szli za nim, zachowując przepisową odległość dwudziestu pięciu kroków - po jednym z każdej strony wąskiej Wicy. Ich palce spoczywały na spustach karabinów automatycznych, wzrok wędrował po oknach i dachach. Dado spojrzął za siebie i pomyślał: Dobre, dzielne chłopaki. Jego chłopaki. Najlepsi. Dani też był najlepszy, i tysiące tych, którzy zginęli w nie kończących się wojnach. Cała wspaniałość techniki ze wszystkich laboratoriów i centrów komputerowych nie mogła zastąpić wartości jednego żołnierza.

160

Wiosenne słońce przygrzewało, więc rozpiął zamek kurtki i podwinął rękawy koszuli. Drobne fioletowe cyfry na przedramieniu przywołały powracający obraz z najczarniejszych snów. To była twarz... twarz kobiety, o cerze i oczach tego samego koloru co jego. Czy podświadomie starał się stworzyć obraz matki? A może siostry? Jakie to miało teraz znaczenie? Sny są jak dym. Dym z komina.

Po przeciwnej stronie ulicy otworzyły się drzwi świątyni. Zakończyły się popołudniowe modlitwy i wierni w czarnych garniturach i czarnych futrzanych czapkach wyszli na jasno oświetloną ulicę. Za nimi podążały kobiety w płaszczach do kostek, z długimi rękawami.

Avital wyszła ze świątyni i przez moment stała w bezruchu, próbując przyzwyczaić oczy do światła. Dado pokiwał smutnie głową, patrząc na tę kobietę niegdyś bezgranicznie piękną, teraz bladą i wychudzoną, o twarzy ich zmarłego syna. Przechodząc przez ulicę, lawirował między rozgadanyimi ortodoksami, aż wreszcie ujął Avital delikatnie za rękę.

- Długo czekasz? - zapytała.

- Nie.

- Święty człowiek i jego dzieci pojechali do Aszkelon. Chodź ze mną do domu. Przygotuję ci lunch.

Postawiła przed nim omlet, kromki świeżo upieczonego chleba i naląła dwie szklanki mleka. Przez chwilę jedli w ciszy, aż wreszcie Avital powiedziała:

- Byłam u proroka z Kabała. Miał wizję. Widział cię, jak biegniesz z Torą. Święte zwoje płonęły. Jerozolima stała w ogniu, ale ty uratowałeś zwoje. Prorok widział to bardzo wyraźnie.

- Nie ma proroków, Avital.

- Eliasz nadejdzie i przywoła z grobów wszystkie zmarłe dzieci.

- Eliasz nie przyjdzie. Nikt nie zmartwychwstanie. Nie Darii. Nikt.

- Nie. Nie... To zostało zapisane, Dado. Przyjdzie Mesjasz i otworzy wrota raj.

- Mesjasz przyjdzie, gdy nie będzie już potrzebny.

- Nie wolno ci zanosić swego gniewu do Boga. Tylko miłość, Dado... tylko miłość... i pomyśl o tym, zostałeś wybrany, pobłogosławiony. Uratujesz to miasto i święte zwoje Tory. Prorok miał wizję.

Dado walnął pięścią w stół, a jego oczy płonęły.

- Prorok jest oszustem! Fałszywym prorokiem! W 1948 widziałem żołnierza, który wybiegał z synagogi z płonąca Torą. Wiedziałaś o tym i prawdopodobnie opowiedziałaś temu mistykowi.

- Eliasz pobłogosławi Izrael i zmarłe dzieci zmartwychwstaną. Tak jak zapisano, Dado. Tak...

Dado postawił ją na nogi i przytulił do siebie. - Chcę, żebyś opuściła to miejsce.

Miała szeroko otwarte oczy płonące wewnętrznym ogniem. - Czy pójdziesz ze mną do świątyni?. - Nie.

- Musisz, Dado. Pewnego dnia będziesz musiał albo zwoje się spalą.

- Tak, wiem - powiedział łagodnie, jak gdyby uspokajał dziecko.

- Kocham cię - powiedziała Avital. - Modlę się za twoją duszę i za Daniego. Modlę się o twoje nawrócenie.

Dado ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

Ogromne fale rozbijały się o falochron i gejzery morskiej wody rozpryskiwały się po nabrzeżu.

Siedzieli na zamkniętym tarasie restauracji „Jafa”. Paru żołnierzy i kilka rodzin z okolicy z przyjemnością jadło ryby Świętego Piotra z rusztu, które łowi się codziennie w Morzu Galilejskim.

Kelner podał zakąski składające się ze smażonych sardynek i wędzonego dorsza, a następnie otworzył drugą butelkę wina Ashkelon i napełnił kieliszki.

- Po co przyniósł te cholerne sardynki? - zapytała gniewnie Narda.

- To zwyczaj - wzruszył ramionami Dado. - Nie musisz ich jeść.

162

- Gdzie do cholery jest Zichroni?

- Człowiek pracuje dzień i noc. Przyjdzie. Za dużo pijesz.

- Wyglądasz okropnie, Dado.

- Mówisz jak Berger. Tyle, że on mówi, że nie wyglądam dobrze.

- A ty zawsze odpowiadasz, że to wina światła - odpowiedziała, dolewając sobie wina.

- Ostrożnie z winem, Narda.

- Dlaczego? Mam ochotę się napić. Czy, żeby pić, potrzebuję twojej zgody?

- Co się do cholery z tobą dzieje?

- Nic. Nic się nie dzieje.

Daleko na morzu zobaczyli przesuwające się światła łodzi patrolowych, strzegących wybrzeża między Tel-Awivem a Hajfą przed przenikaniem terrorystów z morza.

- O co chodzi? - zapytał Dado.

- Myślałam o tym Libijczyku. Uśmiechnął się na moment przed tym, jak go zabiłam.

- Jakie to do cholery ma znaczenie? Był tam, żeby chronić Farheed Shaha.

- Wiem - westchnęła. - Ale był młody i uśmiechnął się. - Obróciła w palcach nóżkę kieliszka i zgasiła papierosa. - Naprawdę powinieneś pójść z Avital do świątyni. Czego się boisz? Kiedyś broniłeś tej świątyni.

- To była twierdza, a nie świątynia.

- A co z proroctwem?

- Niby co?

- Nie jesteś ciekawy? Mam na myśli płonące miasto. Ty biegniesz ze zwojami Tory. To dopiero wizja.

- To nie wizja. Avital zna to wydarzenie bardzo dobrze. Prawdopodobnie opowiedziała je prorokowi. To było w czterdziestym ósmym. Żołnierz wybiegł ze świątyni z płonącej Torą.

- Co się z nim stało?

- Zastrzelono go. Próbowaliśmy wyciągnąć jego ciało spod jordańskiego czołgu. Kolumna pancerna przedarła się przez nasze linie. Kilka godzin później rabin wynegocjował kapitulację dzielnicy żydowskiej. Gdyby żołnierz pozwolił spalić się Torze, żyłby nadal.

- Dla ortodoksów Tora jest ważniejsza niż życie.

- I tu niespodzianka. Ten żołnierz nie był ortodoksem. Nie był religijny. Ocalał z po-

wstania w Treblince. Był twardy. Wyszedł z piwnicy i zobaczył palące się zwoje. Zdołał dotrzeć do Bramy Damasceńskiej, zanim padł.

- Ale czy to nie dziwne, że prorok zobaczył swą wizję i powiedział Avital, że to ty niosłeś Torę?

- Mistycy wykorzystują skołataną umysł. Powinno się im zakazać uprawiania czarów.

- To przynosi Avital ulgę. Czym się niepokoić? jej potrzebne jest leczenie.

- Możesz powiedzieć to samo o całym tym kraju.

Oczy Dado pojaśniały, gdy zobaczył chudego mężczyznę o smutnych oczach, który podszedł do nich. Adam Zichroni usiadł obok Nardy i nalał sobie kieliszek wina. Wypił łyk i powiedział:

- Ach, świetne wino.

- Okropne - odparła Narda.

- Ona woli zagraniczne wina - szybko wtrącił Dado.

- Co ty wiesz o tym, co wolę?

- Jest lekko podpita.

- Upijam się. I to nie twój pieprzony interes. Zichroni wiercił się nerwowo na krześle.

- Przepraszam - powiedziała Narda i wstała. - Muszę się odlać. To te wielbłądzie szczyny, które nazywacie winem. Patrzyli obaj, jak idzie sztywno w stronę toalety.

- Co się z nią dzieje? - zapytał Zichroni.

- Musiała zabić libijskiego zamachowca. Był młody, uśmiechnął się do niej.

- Ona się wypala, Dado.

- To silna dziewczyna. Wydobrzeje. A teraz powiedz mi, jak leci?

- Szef lotnictwa Carmil, komandosi morscy Mattiego oraz nasi chłopcy pod dowództwem Barzaniego są doskonale przygotowani do wypadu na Libię. „Czerwona Pustynia” będzie składać się z pięciu grup, każda o sile skrzydła. Jedna z nich zajmie się wyrzutnią na pustyni. Oczywiście wielkie znaczenie mają dane o celu.

- Będziemy je mieć.

Zichroni zapalił papierosa i wypił łyk wina.

164

- Jakie ramy czasowe?

- Pomiędzy 13 a 21 marca. Mamy do wyboru dziewięć dni. Oba ataki, na Libię i Pakistan, muszą być blisko siebie.

- Jakie jest hasło operacji w Kahucie?

- Nie ma żadnego. Nadal nie jesteśmy pewni, czy to się da zrobić. Wszystko zależy od dokładnych danych wywiadu i geniuszu Yuwała Newmana.

- A co ze statkiem?

- Jest w przygotowaniu.

- Czy mamy się szykować na jego przyjęcie? Dado skinął głową.

- Profesor Newman osobiście dobierze specjalistów. Ale możesz zarezerwować miejsce w Ejlacie na dwudziestotysięczny frachtowiec.

- Jordańczycy obserwują Ejlat.

- Niech patrzą. Prace będą prowadzone w tylnej ładowni.

- Czy Berger potwierdził pakistańską próbę?

- Jeden z jego agentów był świadkiem detonacji.

- A Newman?

- Pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę ze swoimi najlepszymi ludźmi.

Narda wróciła i Zichroni wstał.

- Proszę, siadaj - powiedziała Narda.

- Muszę iść - odpowiedział Zichroni i pocałował ją w policzek.

- Nie zjesz nic? - zapytał Dado.

- W domu. Nie widziałem syna od dwóch tygodni. Nie wyglądasz dobrze, Dado.

- To światło - rzekła Narda.

Księżycowa poświata przeciekała przez żaluzje, a uderzenia rozbijających się o brzeg fal niosły echem po pokoju. Ręka Nardy spoczywała na ramieniu Dado. Słyszała, jak oddycha. Od czasu do czasu poruszał się przez sen, a z jego ust wyrzywały się ciche jęki. Nagle rzucił się na łóżku i podskoczy! wymachując rękoma, jak gdyby próbował złapać coś, co zniknęło. Miał szeroko otwarte oczy, po czole ściekały mu kropelki potu. Potrzebował chwili, by złapać oddech.

- Zobaczyłem twarz. Twarz kobiety. Mówiła do mnie po niemiecku, ale nie słyszałem słów. Staliśmy w wielkim tłumie mężczyzn, kobiet, dzieci, niemowląt, kotów, psów, walizek. Słychać było nadjeżdżający pociąg. Wszędzie chmury pary. Ładzie ruszyli. Rozległy się krzyki. Ręka kobiety wysunęła się z mojej i zniknęła w obłoku pary. Krzyki zamilkły. Byłem w magazynie pełnym butów, włosów i lalek. Otworzyły się drzwi i w oślepiającym świetle pojawiła się ciemna sylwetka w mundurze SS. To był komendant krematorium. Byłem jedynym, który pozostał, więc przyszedł do mnie. Ale jego twarz... - Pierś Dado uniosła się, gdy wzdychał. - Jego twarz była twarzą nieżywego żołnierza, który uratował Torę. Z jego oczu płynęły krwawe łzy i ściekały po policzkach. Wyciągnął do mnie rękę. I wtedy wszystko wy-

buchło płomieniem, buty, włosy, lalki, i staliśmy pośród płomieni, i znowu zaczęły się krzyki; były bardzo blisko.

Narda objęła go ramieniem i poczuła zimny pot, który spływał po jego skórze.

- To nic, tylko obrazy z przeszłości. To się skończyło.

- To się nie skończyło - powiedział Dado spokojnie. - To się nigdy nie skończy.

Rozdział dwudziesty ósmy

Ośmiobok przeszklonej restauracji stał na urwisku nad piaskami plaży Gadani. Salim Bashira podejmował lunchem swego kolegę z Indii, Pandita Sinde. Ten drobny Hindus o kościstej, ostrej twarzy i cerze koloru kawy był doświadczanym agentem żeglugowym i wysokiej rangi oficerem Centralnego Biura Wywiadu Indii.

Obaj mężczyźni jedli smaczne danie z krewetek i krabów smażonych saute w oleju musztardowym, przyprawionych czosnkiem i ostrym chili.

Gadani leży dwadzieścia pięć mil na wschód od pakistańskiego miasta portowego Karaczi i choć błogosła-

166 wieństwem tego miejsca jest rozległa piaszczysta plaża, to znajduje się ona poza zasięgiem pływaków i plażowiczów. Piaszczyste łachy służą za cmentarzysko statków oceanicznych i magazyn złomu dla pieców pobliskiej państwowej huty. Nadbrzeżną restaurację wypełniali inżynierowie budownictwa okrętowego i osoby pełniące kierownicze funkcje w stalowni Gadani.

Pandit Sinde słyszał o Gadani, ale nie był przygotowany na widok, który ujrzał. Dwudziestotysięcznik osadzono na plaży i mocowano linami zaczepionymi do wyciągarek. Jak smutny, bezbronny Goliat, statek przechylał się na lewą burtę, gdy ciżba półnagich robotników uzbrojonych w palniki do cięcia metalu, ciężkie młoty, przecinaki do śrub, śrubokręty i łomy rzuciła się na niego, rozdierając go po kawałku na części. Ludzie z plemienia Pathan pracowali ręcznie, zdejmowali wielkie śruby i wyjmowali wał napędowy, spuszczaoli olej z silników i z łodzi ratunkowych, wymontowywali kompasy, krzesła, łazienki, ozdoby, poręcze, rury i kable.

- Za sześć dni po tym statku nie zostanie nawet śladu - powiedział Bashira, ocierając serwetką usta. - Wszystko zostanie strawione.

Sinde zobaczył snop iskier z palników, gdy spawacze, uwieszeni wysoko na stalowej linie dźwigu, wycinali otwór w nadbudówce. Następnie w szparę włożono wielki hak i liny naprężyły się. Trzeszczący, jękliwy odgłos rozdieranego na kawałki kadłuba przebijał się

przez otwarte okna restauracji do jej wnętrza. Obdarci robotnicy, którzy stali przy relingu, spadli dwadzieścia stóp w dół na mulisty brzeg, gdy olbrzymi kawał nadbudówki zaczął się odrywać.

- Mój Boże - szepnął Sinda. - Ci ludzie. Ile może być warta taka praca?

- Czasami życie. To są ludzie z plemienia Pathan zamieszkujący na północy. Przyjeżdżają tysiąc mil, żeby zarobić dwadzieścia dolarów na tydzień, pracując po dwanaście godzin dziennie. Wielu zostaje kalekami, niektórzy ponoszą śmierć - Bashira wzruszył ramionami. - Pęka lina albo spada kawałek metalu. Można tu siedzieć przy lunchu i oglądać, jak statek dosłownie znika w oczach.

- Ale gdzie tu zysk?

- Kilku inwestorów kupuje przestarzały statek lub całkiem nowy, który uległ uszkodzeniu. Jeżeli doświadczony pilot portowy zdoła wprowadzić statek do Gadani, wykorzystując przyływ, trochę mocy i niemałe umiejętności, umieszcza go na tej łasze. Dwudziestoletni statek można nabyć po około sto dolarów za tonę. Złomowanie nie kosztuje prawie nic, a cena złomu wynosi trzysta dolarów za tonę, co daje zysk przekraczający dwieście procent.

- Gdzie mieszkają te mrówki?

- Tuż za wzniesieniem są chaty z gliny, kartonów i drewna wyrzuconego przez morze.

Kelner podał na deser miękki ser zanurzony w syropie cukrowym i małe filiżaneczki gęstej czarnej kawy przyprawionej cynamonem.

Kiedy odszedł, Bashira zdjął zaciemnione na zielono okulary i odezwał się ściszym głosem, niedbale czyszcząc szkła.

- Nasi przyjaciele potrzebują zdjęć Kahuty wykonanych przez radzieckiego satelitę Sojuz-TM-6. Zdjęcia z kamer tego satelity dają obraz kompleksu Kahuty o zerowej rozdzielczości. A ponieważ stosunki Indii ze Związkiem Radzieckim są bardzo dobre, prośba ta nie powinna w realizacji nastroczać trudności.

- Uważaj ją za spełnioną - cicho odparł Sinda. - Jak i komu mam dostarczyć zdjęcia?

- Kiedy będziesz je miał?

- Za dzień lub dwa.

- Zadzwoń do mnie z Moskwy - powiedział Bashira i poprosił o rachunek. - Nie chcę cię poganiać, ale jestem umówiony w Karaczi, a ty musisz złapać samolot o trzeciej.

- Po co przyjechaliśmy taki kawał na lunch?

- Ponieważ potrzebuję statku identycznego jak ten wyrzucony na plażę wieloryb.

- Kiedy?

- Statek musi wpłynąć za czterdzieści osiem godzin do Ejlatu w Izraelu.

Siedząc obok swego kierowcy-goryla, Bashira spoglądał na nędzę przedmieść Karaczi przez przydymione szyby swego jaguara. Ulice były brudne i zatłoczone przez wielbłądy, wozy ciągnięte przez osły, toyoty i autobusy wypuszczające kłęby śmierdzących spalin. Kierowcy polegali bardziej na klaksonach niż na hamulcach. Ignorowano światła, a piesi przechodzili przez ulice, jakby świadomie szukali śmierci. Zebracy, alfonsi i handlarze narkotyków otwarcie pracowali na rogach ulic. Miasto zostało opuszczone przez policję i rządili nim baronowie od narkotyków i fanatyczne bractwo muzułmańskie.

Karaczi było ogromną metropolią pozbawioną wygód cywilizowanego życia. Śmiecie tworzyły w uliczkach wysokie pryzmy, ścieki przelewały się przez rynsztoki, nawalała elektryczność i brakowało wody. Bardzo bogaci mieszkańcy z eleganckiego przedmieścia Clifton wynajmowali własną policję, mieli swoje źródła prądu i wody oraz prywatnych śmieciarzy. Bashira pomyślał, że stolica kraju, Islamabad, położona o tysiąc mil na północ, mogłaby równie dobrze znajdować się na Księżycu. Karaczi trwało przy życiu dzięki opium i wściekłości.

Jaguar skręcił na rondo przy hotelu Farroq położonym przy Zaibun-Nisa Road. Bashira dał szczodry napiwek portierowi, a kierowcy kazał zostać przy samochodzie.

Idąc potrząsał smutno głową na myśl o marionetkowym prezydencie wojskowym, Ghazim, i jego planach ożywienia gospodarki kraju. Ten nadęty, pompatyczny kogut uzbroił kraj po zęby i prowadził chytrą grę z Amerykanami, którzy dostarczali mu broń. Gdyby nie handel opium i ciągła pomoc finansowa Kadafiego, kraj szybko by zbankrutował. Prezydent Ghazi i popierający go wojskowi wydawali miliony dolarów na zakłady atomowe w Kahucie, podczas gdy głód i nędza doprowadzały ludzi do szaleństwa. Pakistańczycy niczym nie różnili się od obywateli Indii, Filipin, Hondurasu czy Etiopii. Supermocarstwa dostarczały broń i pieniądze drobnym złodziejaszkom, żeby mogli rządzić głodnymi ludźmi.

Kawiarnia „Kongori” była ciemna i przypominała jaskinię. Obłoki kadzidła unosiły się ku połyskującym mosiężnym lampom, a orientalne dywany zaścierały podłogę. Opium palono tu otwarcie, można też było dostać napoje alkoholowe. „Kongori” była własnością jednego z generałów i bosa narkotykowej mafii, więc nikt nie pragnął zakłócać panującej tu intymnej atmosfery.

Przedarłszy się przez półmrok, Bashira usiadł naprzeciw doktora Tukhalego i skinął na kelnera w czerwonym fezie, który przyjął zamówienie na whisky Scotch Bella. Potem rozejrzał się uważnie, przekazał młodemu fizykowi wyciąg z tajnego konta bankowego w Luksemburgu.

- Twój stan posiadania robi wrażenie. Moi przyjaciele byli bardzo wdzięczni za informacje o wyłączeniu reaktora. Szybko stajesz się zamożnym młodym człowiekiem.

- Pieniądze nie są dla mnie.

- Tak, tak. Wiem... dla Sprawy.

- Wybuchnie wojna domowa - powiedział poważnie Tukhali.

- Co do tego, chłopcze, nie mam wątpliwości. Na ulicach czuć rewolucję. - Bashira nachylił się nad stolikiem. - Moi przyjaciele potrzebują zdjęć wewnętrznych instalacji Kahuty. Coś związanego z ciśnieniem na całe kwadratowe stropów na parterze.

- Zrobienie zdjęć jest niemożliwe. Od czasu zabójstwa dyrektora Shaha przedsięwzięto wyjątkowe środki bezpieczeństwa.

- Wystarczą rysunki w skali.

- Tym mogę się zająć. - Tukhali skinął głową. - Mogę utrwalić plany na mikrofilmie, ale potrzebuję specjalnego aparatu fotograficznego.

- Dostaniesz go.

Kelner podał szkocką z wodą sodową w wysokiej szklance i odszedł.

- Twoje zdrowie, chłopcze - Bashira wznosił toast.

Tukhali odstawił szklankę z winem palmowym i rozglądał się po obszernej sali, starając się przebić wzrokiem ciemność. Upewniwszy się, że Bashira nie jest obserwowany, pochylił się nad stołem i rzekł cicho:

- Jest oczywiste, że cokolwiek planują twoi przyjaciele w sprawie Kahuty, muszą to zrobić między 13 a 21 marca, gdy reaktor będzie zimny. Chcę, żebyś mnie stąd wydobył.

Bashira zdawał sobie sprawę, że Tukhali martwi się nie tyle o osobiste bezpieczeństwo, ile o gotówkę zgromadzoną na koncie w Luksemburgu. Młody fizyk chciał się wreszcie dorwać do pieniędzy.

- Chcę jechać do Ameryki i zostać tam, aż przyjdzie dogodna chwila do powrotu.

- Rozumiem i gwarantuję sto tysięcy dolarów za doręczenie planów Kahuty.

- Plany będą kosztować ćwierć miliona.

Bashira był zaskoczony otwartością jego żądania. Do tej pory Tukhali ukrywał swą chciwość za rewolucyjną retoryką.

- W porządku. Załatwię sprawę pieniędzy. Ale musisz dostarczyć te plany szybko. Zostały nam już tylko dwa tygodnie na przygotowania.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Błyszczący odrzutowiec Lear opuścił włoską przestrzeń powietrzną na południe od Ischii i zszedł na piętnaście tysięcy stóp nad Morzem Śródziemnym, zaczynając ostatni etap

lotu do Trypolis. Podczas wizyty w kokpicie Eryka uważnie przyglądała się drugiemu pilotowi, gdy wprowadzał nowy kurs do minikomputera i samolot automatycznie skręcił na południowy zachód.

We wnętrzu luksusowo wyposażonej kabiny Tom Lawford i Fritz Kleiser siedzieli naprzeciw siebie - Kleiser rozmawiał przez telefon, a Tom przeglądał ręcznie spisane notatki.

Po chwili Kleiser odłożył słuchawkę i uśmiechnął się wskazując na kartki Toma.

- Wygląda na to, że robota się posunęła.

- Staram się poprawić konstrukcję.

- Od czego chce pan zacząć artykuł?

- Nordhausen.

- Ach... przeszłość. Co tak fascynuje pisarzy w przeszłości?

- To nie sprawa fascynacji. Nordhausen wydaje się logicznym punktem wyjścia.

- Cóż, pan jest ekspertem. Kiedy zamierza pan złożyć artykuł do publikacji?

- Skończę w Berlinie i złożę go w Rzymie. Kleiser wyglądał na zaskoczonego.

- Dlaczego w Rzymie?

- Do napisania tego artykułu zaangażował mnie szef biura Associated Press w Rzymie, Marco Bonini.

- Tak, oczywiście, Bonini. To on skontaktował się ze mną w sprawie tego artykułu.

- Jest moim dobrym przyjacielem - dodał Tom - i może uda się załatwić umieszczenie tekstu w sobotnio-niedzielnym wydaniu w Europie i Północnej Ameryce.

- To robi wrażenie.

- Tego typu miejsca w gazetach nie można po prostu kupić.

W rzeczywistości podróż do Rzymu nie miała nic wspólnego ani z szefem biura, ani z artykułem. Berger polecił wcześniej, by Tom znalazł jakąś wymówkę, która pozwoli mu przenieść się z Berlina do Rzymu.

- Kiedy zamierza pan wyjechać?

- Wydaje mi się, że następnego dnia po powrocie do Berlina.

Lawford pozbiierał notatki i schował je do tekturowej teczki. Następnie wyjął Nikona i poprosił Kleisera, by pozował mu do zdjęcia. Przenosząc się w stronę ogona i używając szerokokątnego obiektywu wykonał osiem ujęć. Później chowając aparat stwierdził:

- Uchwycenie pana w takim otoczeniu to bardzo ciekawe zdjęcie. Wydawcy lubią umieszczać takie fotografie.

- Och, niech pan poczeka, aż będzie pan miał okazję zobaczyć bazę raketową - powiedział Kleiser. - Już sama pustynia jest marzeniem dla fotografa. Posępna, ale wspaniała.

Eryka wróciła z kabiny pilotów.

- Czy któryś z was zauważył, jak łagodnie obniżyliśmy lot? - Uśmiechnęła się i zapięła pasy. - Ja byłam za sterami.

- Widzi pan - Kleiser zwrócił się do Toma - ta kobieta jest obdarzona wieloma talentami. Zginąłbym bez niej.

172

Samolot skręcił ostro i promień światła zaświecił Kleiserowi prosto w oczy. Zasłonił okienko i oświadczył:

- Widać już brzeg Libii.

Spoglądając w iluminator Tom zobaczył zarys wybrzeża. - Jutro o tej porze będzie pan już po zwiedzaniu wyrzutni - powiedział Kleiser.

Koła samolotu dotknęły lekko pasa startowego, a jego dwa silniki ryknęły w momencie odwrócenia ciągu. Błyszczący odrzutowiec zwolnił, skręcił ostro w prawo i pokołował w kierunku człowieka z obsługi, który machał do nich podniesionymi rękoma. W pobliżu kierowca w uniformie opierał się o czarnego citroena, a dwaj oficerowie armii libijskiej z jednostki wywiadu Al Mathaba stali przy piaskowym mercedesie.

Kleiser zebrał rzeczy osobiste i wyjaśnił Tomowi:

- Kierowca zawiezie was do hotelu. Ma pan wolny czas na zakupy, zwiedzanie i na cokolwiek ma pan ochotę. Jutro, za piętnaście szosta, musicie być gotowi do wyjazdu z hotelu. Nie będę wam towarzyszył przy kolacji, ale Eryka zna miasto i mówi płynnie po arabsku. Na pewno dobrze się panem zajmie.

Przez okno citroena zobaczyli flotyllę tankowców i frachtowców zakotwiczonych na redzie Trypolisu w oczekiwaniu na wolne miejsce w porcie. W oddali, na zachodzie, nad kominami zakładów petrochemicznych płonęły pomarańczowe ognie, a długie ramiona dźwignów budowlanych górowały nad nie wykończonymi wieżowcami wzdłuż brzegu.

Szeroka, dwupasmowa autostrada urywała się nagle na rondzie, z którego rozchodziły się jednopasmowe ulice. Kierowca powiedział coś po arabsku, a Eryka udzieliła odpowiedzi.

- Mówi, że autostrada jest jak Libia - wyjaśniła. - Niedokończona.

Po przejechaniu ronda znaleźli się w korku ulicznym tuż za odrapaną ciężarówką, która wyrzucała kłęby czarnego dymu z rury wydechowej.

- Nie cierpię tego miasta - westchnęła Eryka.

- Dobrze je znasz?

- Wystarczająco dobrze. Pełniłam rolę przewodnika niektórych z gości Kleisera. Aha, przy okazji. Uważaj w hotelu. W pokojach jest podsłuch, a obsługa to pracownicy Centralne-

go Komitetu Antyimperialistycznego, którzy donoszą tajnej policji.

Mijali ciężarówki wypełnione nie ogolonymi żołnierzami o zapadłych oczach, aż wreszcie wjechali na Stare Miasto od ulicy Al Mamun. Długie kolejki kobiet w różnych strojach - dzinsach, spódnicach, długich tradycyjnych sukniach - stały przed supermarketami. Uliczni handlarze sprzedawali suszone ryby i daktyle, a z tranzystorowych radioodbiorników płynęły dźwięki melancholijnej, piskliwej arabskiej muzyki. Nastoletnie dziewczyny w połowych mundurach i białych rękawiczkach kierowały ruchem. Mężczyźni w czarnych galabijach i czerwonych fezach grali w kawiarniach w trik-traka. Wszędzie porozlepiane były plakaty przedstawiające pułkownika Kadafiego w lustrzanych okularach i szamerowanej złotem wojskowej czapce. Prawą dłoń miał uniesioną i zaciśniętą w pięść, pod portretem zaś widniał jakiś slogan zapisany zielonymi arabskimi literami.

- Co to znaczy? - zapytał Tom.

- Dawniej napis brzmiał: „Rewolucja na zawsze”. Ten jest nowy. To cytat z jednego z przemówień Kadafiego: „Zginę jak zwykły żołnierz wyzwajając Galileę”.

- Cóż było już pięć wojen między Arabami a Izraelem - zauważył Tom. - Do tej pory Kadafi zdołał uniknąć ich wszystkich.

- Ostrożnie - ostrzegła Eryka wskazując na kierowcę.

Okna zajmowanych przez nich apartamentów na piątym piętrze wychodziły na morze, a bezpośrednio pod nimi rozciągał się zielony, otoczony palmami ogród ze wspinałym, W tej chwili pustym basenem, wyłożonym kafelkami.

174

Patrząc, jak słońce pograża się w morzu, Tom poczuł artretyczny ból rozchodzący się od nasady szyi do lewej ręki. Wziął dwie tabletki kodeiny i empiryn, co wywołało efekt pobudzający i spowodowało strumień introspektywnych myśli. Dumał nad genialnością przedsięwzięcia STS Libia-Pakistan. Rakiety V-5 można wystrzelić na Tel-Awiv bez zdradzenia atakujących. Przypuszczenie, że ktokolwiek wyposaży Kadafiego w głowice nuklearne i balistyczne rakiety trans kontynentalne do ich przenoszenia, było całkowicie sprzeczne z logiką. Kadafi mógł zaprzeczyć, że w jakikolwiek sposób był zaangażowany w całą sprawę, wystarczyło zasugerować, że jakaś samobójcza grupa terrorystyczna przemyciła bombę do Tel-Awivu i ją zdetonowała. Bomby atomowe mieszczące się w walizce były znane i sprawdzone. Oskarżycielski palec można też było skierować na rządzących dyktatorów Syrii, Iranu i Iraku, z których każdy pragnął unicestwić Izrael. Posiadanie bomby atomowej przestało być wyłącznością supermocarstw.

Tom czuł się tak, jakby płynął na grzbiecie fali wywołanej wybuchem atomowym w

kierunku Armageddonu. Gdyby jakimś cudem Izrael przetrwał pierwszy atak, termojądrowa zagłada mogła osiągnąć każdej ze stolic państw arabskich od Rijadu po Teheran. Pół świata mogło po prostu wyparować, a pozostała przy życiu druga połowa stanęłaby w obliczu zagrożenia wywołanego opadem radioaktywnym, który zniszczyłby całe środowisko naturalne, zbiory, zasoby wodne, zwierzęta hodowlane. Ludzkość stoczyłaby się w nuklearną przepaść.

Rosnący księżyc wędrował po ciemnobłękitnym niebie i trwająca od wieków precyzja zjawisk przyrody przerwała apokaliptyczne wizje Toma. Zapalił papierosa i patrzył, jak łagodna morska bryza porywa strzępy dymu. Jest czas, pomyślał, jest jeszcze czas.

Po chwili Eryka dołączyła do niego na tarasie. Zmieniła spodnie na oficjalną, klasyczną czarną suknię. Spięła jasne włosy, a na szyi zawiesiła sznur pereł. Ponętny aromat jej perfum roznosił się na wietrze.

- Zwolniłam kierowcę - powiedziała. - Przyjedzie po nas o piątej czterdzieści pięć. Jędziemy do oazy Abu Najayim.

- Do wyrzutni?

- Na to wygląda.

- Jak to daleko?

- Około dwieście mil na południe. Kleiser leci tam helikopterem dziś wieczorem.

Nagle zadrzała, więc Tom objął ją ramieniem.

- Co się stało?

- Czuję się, jakbym była pod szkłem. Elke Hauser również sądzi, że jest śledzona. Możliwe, że Hasi mnie rozpracował.

- Kleiser nie ma powodów, żeby cię podejrzewać.

- Ale nie on sprawuje władzę nad tajnymi służbami Libii.

Po kolacji w małej nadmorskiej restauracji pojechali taksówką na bazar Suk Al Jinnah. Ignorując propozycje nabycia whisky i narkotyków, szli pajęczynowym labiryntem uliczek wywołującym klaustrofobię. Nad starożytną dzielnicą wisiała mgiełka dymu.

- Jesteś pewna, że wiesz, dokąd idziesz? - zapytał Tom.

- List zawiera dokładny adres. Ulica Al Hamra numer 67. To powinno być gdzieś tu...

- Doszli do skrzyżowania uliczek. - Na tym rogu.

Ale to nie było tam. Gdy wracali tą samą drogą, którą przyszli, zobaczyli numery 67-74 wymalowane nad łukiem arkady. Pod numerem 67 znajdował się sklep z biżuterią, a nazwisko właściciela, Abbas Jalloud, wypisane było złotymi literami na drzwiach. Wystawa olśniewała bogactwem złotego filigranu i półszlachetnych kamieni.

Jalloud, przystojny mężczyzna o jasnoniebieskich oczach i obfitej grzywie kruczo-

czarnych włosów, był Tauregiem z plemienia Awassi. Delikatne linie plemiennych blizn przecinały jego twarz nad kośćmi policzkowymi.

- *Salaam Alakum* - powitał ich Jalloud.

- *Salaam Alakum* - odpowiedziała Eryka.

Jalloud spojrział na ulicę, gdzie dwaj mężczyźni grali w domino, i szepnął:

- Mówmy lepiej po angielsku.

- Chcemy z mężem kupić wisiołek dla naszej córki - powiedziała Eryka.

- Złoty wisiołek?

- Tak.

- Pełne złoto czy filigran?

- To szczególnie wisiołek. Mam tu opis. - Podała mu list, który otrzymała od Elke Hauser.

- Momencik - powiedział Jalloud i wyszedł na zaplecze.

Przed sklepem, po przeciwnej stronie ulicy Al Hamra, stała furgonetka toyoty, należąca do libijskiego kontrwywiadu. Abu Hasi, siedzący na miejscu pasażera, ustawił boczne lustro tak, by mieć nieograniczony widok na arkadę. Jalloud wrócił z zaplecza i oddał list Eryce.

- Muszę zamówić ten drobiazg. Gdzie będę mógł państwa znaleźć?

- W Abu Najayim.

- Zrobimy co w naszej mocy, żeby zdobyć to, czego państwo potrzebują.

- Dziękujemy.

Tom wypatrzył ładny drobiazg w gablocie i spytał:

- Czy mogę zobaczyć ten łańcuszek?

- Oczywiście. Wyrób brazylijski - wyjaśnił Jalloud. - Po portugalsku nazywa się to „figa”, zaciśnięta pięść z wystającym kciukiem podobno przynosi szczęście.

- Ile kosztuje?

- Oficjalna cena wynosi trzysta pięćdziesiąt dolarów, ale dla pana jest za darmo.

- Nie. Naprawdę muszę zapłacić.

- Już pan zapłacił.

- W jaki sposób?

- Pozwalając mi na okazanie pomocy.

Rozdział trzydziesty

Rozgrzane do białości słońce świeciło na czystym, błękitnym niebie, tylko nad odległymi szczytami gór przesuwwały się kremowe, puszyste cumulusy. Klimatyzowany citroen z przyciemnionymi oknami mknął czarną wstęgą asfaltu przez piaszczyste bezdroża.

Kierowca odsunął szybę oddzielającą go od pasażerów i łamanym angielskim powiedział:

- Posterunek wojskowy - blisko - skrzyżowanie do Abu Najayim. Proszę dokumenty.

Podali mu paszporty i specjalne wizy podpisane przez szefa biura kontrwywiadu.

Tom wskazał na pofalowane wydmy w odcieniu różu i rzekł z zadumą:

- Kleiser miał rację. Pustynia jest wspaniała.

- I niebezpieczna - dodała Eryka. - Sahara rozciąga się od Czadu przez Libię po Sudan i Egipt. Połowę uprawnych ziem w Afryce pochłonęła pustynia. - Zamilkła i przymrużyła oczy. - Popatrz tam. - Wskazała na szczyt słupa telefonicznego wystający nad wysoką wydymę.

Citroen zwolnił i podskoczył na wyschniętych zwłokach długiej żmii rogatej.

- Paskudztwo - Eryka skrzywiła nos. - Punkt kontrolny - oznajmił kierowca.

Radziecki czołg T-72 blokował drogę, przy której rozbito kilka oliwkowozielonych namiotów. Grupa żołnierzy o wyglądzie obdartusów rozłożyła się w cieniu czołgu.

Oficer w lustrzanych okularach kazał im się zatrzymać, przejrzał dokumenty, nachylił się do okna i powiedział coś wolno po arabsku do Eryki.

- Chce, żebyśmy wysiedli na chwilę - przetłumaczyła.

Kontrast pomiędzy chłodem klimatyzowanego wnętrza samochodu a żarem jak w piekle na zewnątrz był obezwładniający. Tom podniósł kołnierz marynarki safari i włożył australijski kapelusz używany w buszu. Żołnierze uśmiechnęli się złośliwie i szeptem skomentowali zachowanie ludzi z Zachodu. Oficer rozkazał Tomowi i Eryce opróżnić kieszenie, po czym obszukał ich szybko i sprawnie. Następnie warknął coś do żołnierzy i jeden z nich ruszył się, by pokazać drogę w cień namiotu. Kierowca podniósł maskę, otworzył bagażnik i żołnierze przystąpili do pracy. Kilku przyklęknięto przy samochodzie i zdjęło z kół kołpaki, pozostali w środku wozu podnosili dywaniki i przeszukiwali siedzenia. Oficer i jego adiutant sprawdzali bagażnik i jego zawartość.

178

- Czego oni szukają? - zapytał Tom idąc do namiotu.

- Specjalnych nadajników radiowych, kamer, sprzętu nagrywającego - odpowiedziała Eryka. - Posterunek oznacza początek strefy zmilitaryzowanej.

Wewnątrz namiotu wskazano im prowizoryczną toaletę i umywalnię, a jeden z żołnierzy zaproponował butelki coca coli z lodu. Eryka zrewanżowała się paczką papierosów Gauloise.

- *Shikran, shikran.* - Młody żołnierz uśmiechnął się dziękując.

Do namiotu wszedł oficer i tym razem jego świdrujące czarne oczy patrzyły przyjaźnie. Zwrócił dokumenty i miękki głosem wypowiedział parę słów do Eryki.

- Dziękuję nam za cierpliwość i przeprasza za kłopot - przetłumaczyła.

Gdy samochód mijął posterunek, kapitan zasalutował.

Z dużą prędkością przejechali następne dwadzieścia kilometrów, następnie zwolnili i skręcili w podrzędną drogę, która biegła równolegle do głębokiego koryta wyschniętej rzeki.

- Każ mu się zatrzymać - rzucił Tom.

- O co chodzi?

- Po prostu powiedz mu, żeby stanął i trochę cofnął. Eryka powtórzyła życzenie Toma i kierowca zatrzymał samochód, a potem zaczął powoli cofać.

- Zatrzymaj. Dokładnie tu.

Tom otworzył drzwiczki, by wysiąść, ale kierowca zaczął głośno protestować.

- Mówi, że jesteśmy w strefie zmilitaryzowanej i nie wolno wysiadać - wyjaśniła Eryka.

Tom opuścił szybę i pokazał spieczoną drogę, która przecinała koryto wyschniętej rzeki. Szerokie na sześć stóp odciski bieżników wyraźnie utrwaliły się w spękanym piasku.

- Pamiętasz ten ogromny ciągnik w montażowni STS w Monachium? - zapytał.

Eryka skinęła głową.

- Zapytaj, czy to, co prowadzi przez wadi, jest przejezdną drogą.

Eryka przez chwilę rozmawiała z kierowcą, po czym przetłumaczyła Tomowi uzyskane informacje.

- To szlak karawan Tauregów. Kierowcy wydaje się, że te ślady pozostały po manewrach czołgów.

- Żaden czołg na świecie nie ma takich szerokich gąsienic. Czy on wie, dokąd prowadzi ta droga?

- To szlak wielbłądów do Jarmah, daleko na południu. Tom zakręcił szybę. Kierowca włączył bieg i samochód ruszył.

Minęli duże skupisko chat z cegieł wypiekanych z błota, ale na wielu dachach sterczały anteny telewizyjne. Beduini w niebieskich szatach z białymi chustami wokół ust gapili się na przejeżdżającego citroena. We wsi był różowy meczet o połączonych kopułach i wysmu-

kłych minaretach, a ze wszystkich stron. spoglądały na nich plakaty Kadafiego w lustrzanych okularach.

Przy wyjeździe z wioski droga rozszerzyła się do czterech pasów i wyglądało na to, że świeżo położono nawierzchnię. Przemknęli obok złomowiska ciężarówek, samochodów, beczek po paliwie i drewnianych skrzyń z rosyjskimi oznakowaniami. Trzydzieści minut później zobaczyli głębokie koryto wyschniętej rzeki, w którym pod siatką maskującą ukryto rakiety ziemia-powietrze typu SAM-5.

- Czego mogą tu pilnować? - zapytał Tom. Eryka wzruszyła ramionami.

- Wydaje mi się, że Kadafi czuje się pewniej wiedząc, że ma rakiety na pustyni.

Nagle, niczym fatamorgana, pojawiła się przed nimi plama okolona palmami daktylowymi.

- Oaza. Abu Najayim - powiedział kierowca.

Kałuże turkusowej wody poiły akacje i drzewka pomarańczowe. Ubrane na czarno kobiety o zasłoniętych twarzach niosły na głowach dzbany wody, mężczyźni w burnusach zajmowali się pobekującymi wielbłędami, a dzieci pilnujące stad owiec wspinały się na palmy, żeby ściąć gałęzie dojrzałych daktyli.

Na południowym skraju oazy zaczynała się baza raketowa.

180

Namioty i prowizoryczne domki ustawiono w pobliżu gaju pomarańczowego. Nierówny pas startowy, wymodelowany w głębokim korycie wyschniętej rzeki, przecinał wysokie wydmy. Dwa radzieckie helikoptery MI-8 z zielonymi znakami lotnictwa libijskiego stały w cieniu siatek maskujących. Wysoka na sześćdziesiąt stóp wieża nośna podtrzymywała raketę V-5 w pozycji pionowej.

Citroen okrążył oazę i zatrzymał się w cieniu palm daktylowych.

Tom i Eryka weszli do dużego namiotu, w którym kobiety o zakrytych twarzach podawały jedzenie niemieckim technikom i libijskim żołnierzom.

Powitał ich roześmiany Fritz Kleiser w stroju safari i starej czapce Afrika Corps.

- Witamy w Abu Najayim - zawołał. - Zdążyliście na przekąskę.

Podano zimny sok pomarańczowy i lekki lunch złożony z koziego sera, placków pita i jajeczniczy. Kleiser pytał o hotel, podróż przez pustynię i przeproszał, że nie mógł im towarzyszyć poprzedniego wieczora.

Po lunchu obwiózł ich jeepem po obozie. Prezentował wszystko powoli, dając czas na robienie notatek, i od czasu do czasu zatrzymywał samochód, by umożliwić Tomowi wykonanie serii zdjęć.

- Niczego nam tu nie brakuje - mówił. - Mamy lekarza, dentystę, nauczyciela, kino i wideokasety z najnowszymi filmami z Europy i Stanów. Jesteśmy tak samo wystarczalni, jak pracownicy wielkich platform wiertniczych na Morzu Północnym, ale o wiele bezpieczniejsi. Ludzie przebywają tu sześć miesięcy, po czym wracają do Niemiec.

- Zastanawiam się, jakim sposobem zdobywacie wysoko kwalifikowany personel techniczny do pracy w tych warunkach.

- Mamy pieniądze.

- Jesteś też dla nich jak ojciec, Fritz - dodała Eryka.

- Wydaje mi się, że to prawda. Ci młodzi, utalentowani ludzie byli kuszeni przez gigantów zachodnioniemieckiego przemysłu, a jednak wybrali STS. Przy mnie mają swobodę prowadzenia badań, poza tym pustynia uczy życia i przyjaźni.

- Przypuszczam, że po kilku tygodniach przypiekania skóry przez słońce i obcowania z muszkami piaskowymi nawet Berlin wydaje się wspaniały - skomentował Tom.

- Może, ale jak pan widzi, nie czuje się tu nastroju depresji. Proszę za mną. Jesteśmy gotowi do przeprowadzenia próby pełnego ciągu silników.

Kleiser wjechał jeepem na wysoki grzbiet górujący nad obozem i skierował lornetkę na V-5 ustawioną na platformie startowej.

- Lepiej zatkajcie sobie uszy - powiedział, wręczając im kawałki waty.

Poczuli silną falę ciepła, zanim złowróżbny grzmot przetoczył się przez pustynię i dotarł do nich. Język jasnego, bezdymnego, pomarańczowego płomienia wystrzelił z podstawy rakiety. Fale wstrząsowe szarpały ich ubraniami i kęsały w oczy. Próba trwała osiemnaście sekund, po czym jasny płomień i huk ustały. Kleiser opuścił lornetkę.

- To wszystko - oświadczył z dumą. - Doskonała próba. Kombinacja paliwa płynnego jest naszym własnym patentem - kwas azotowy i olej napędowy.

- Kiedy nastąpi start?

- Gdy tylko dostaniemy oficjalną zgodę. Nie mogę się tego doczekać, tak jak opinia publiczna nie może doczekać się pana artykułu. Czas, żeby supermocarstwa uznały, że STS jest firmą komercyjną.

Wsiedli do jeepa, Kleiser włączył niski bieg i powiedział:

- Nie obchodzi mnie zupełnie, co napisze pan o Nordhausen i przeszłości. Interesuje mnie teraźniejszość i przyszłość. Czy widział pan tu cokolwiek o przeznaczeniu wojskowym?

- Nie.

- Czy ktokolwiek próbował ukryć coś przed panem?

Tom potrząsnął głową.

- Dotrzymał pan słowa.

Słońce zachodziło, gdy zbliżali się do trzech dużych, płóciennych namiotów.

- Ten z lewej należy do pana - wskazał Kleiser. - Służący, który czeka w środku, jest do pańskich usług. Eryka i ja musimy zająć się kilkoma sprawami. Obiad zostanie podany w stołówce krótko po zachodzie słońca. Proszę się nie krępować, jeżeli będzie pan miał ochotę powłóczyć się po okolicy, porozmawiać z kimś, wziąć prysznic czy odpocząć. Ale trzeba uważać. Noc zapada tu szybko i bez ostrzeżenia. Pustynia ochładza się gwałtownie, więc radzę ubrać się odpowiednio. I niech pan włoży długie buty ze względu na węże. W nocy na powierzchni wychodzą żmije i skorpiony.

Stojąc pod prysznicem i chłodząc skórę źródlaną wodą, Tom pomyślał, że Kleiser istotnie dotrzymał słowa. Całość działań STS została przedstawiona w szczegółach. Nawet domniemany wypadek Muellera nie wpłynął na ten proces. Dręczyło go jednak uczucie, że czegoś brakowało, czegoś związanego z próbą silnika raketowego. Namydlił się i odtwarzając w myślach eksperyment, szperał w zakamarkach pamięci, by wyłowić ten szczegół, który nie dawał mu spokoju. Bez rezultatu. Ogolił się, włożył skórzaną kurtkę i wyszedł z namiotu.

Kleiser miał rację. Noc zapadała bardzo szybko. Zachodnia bryza nasilała się, a niebo połyskiwało gwiazdami. Punktiki świateł mrugały w różnych stronach obozu, jak gdyby rój robaczek świętojańskich opanował bazę.

Tom spojrzął na gaj palmowy i zauważył snujący się w blasku światełek dym z paleńsk. Odwrócił się obojętnie, by ruszyć w wędrówkę po obozie, i nagle stanął jak wryty. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w podświetlony dym, jak gdyby doznał objawienia. To, co go gnębiło w rozważaniach o próbie silników rakiety, nagle stało się oczywiste i przestawało budzić wątpliwości. Silniki V-5 nie dawały dymu podczas zapłonu. Był świadkiem wielu startów rakiet kosmicznych i prób raketowych, ale żadna z nich nie odbyła się bez dymu.

Zapiął kurtkę i poszedł w stronę platformy startowej V-5, po której uwijali się technicy majstrujący przy przewodach paliwa.

Zbliżał się do wyrzutni, mimo to wciąż nie wyczuwał zapachu paliwa. Jakiegokolwiek paliwa. I nie było dymu. A przecież widział płomienie i słyszał ryk silników. Spojrzął na wiązkę rur biegnących spod ziemi w górę do współosiowych silników i natychmiast pojął prosty ale bardzo pomysłowy charakter sztuczki zastosowanej przez Kleisera. Płomyczek pilotowy zapalił potężny strumień pozbawionego zapachu gazu ziemnego, spalającego się bez dymu. Próba silników była wspaniałym efektem technicznym i... diabelskim trikiem.

Po zejściu z płyty Tom szedł wolno między otwartymi namiotami. Zaglądał do ich wnętrza i zauważył jedynie podręczne torby, jakie bierze się ze sobą na jedną noc.

Następnie udał się do baraku, w którym znajdowała się wysoka sterta drewnianych skrzyń z niemieckimi znakami. Najwyraźniej skrzynie te od dawna nie były ruszane, gdyż oplatała je wielką, misterna pajęczyna. Tom popchnął stos ręką i skrzynie runęły na ziemię. Wszystkie były puste - a więc kolejna mistyfikacja.

W szkole dla niemieckich dzieci obejrzał rysunki zwierząt, statków, lalek i dziwnych twarzy. Na żadnym nie było rakiety. Jeżeli dzieci mieszkałyby tu przez sześć miesięcy, na jednym z nich z pewnością by się pojawiła.

Przy obiedzie Lawford nie wspomniał słowem o swych spostrzeżeniach i w jego zachowaniu w stosunku do Kleisera nie zaszła żadna zmiana, był przyjazny i bezpośredni. Dopiero przy kawie i słodkich ciasteczkach jak gdyby od niechcienia poruszył sprawę braku zbiorników paliwa. Zamyślane oczy Kleisera zwiężyły się, ale udzielił zręcznej odpowiedzi na to pytanie.

- Zbiorniki znajdują się za ogrodzeniem na szczycie wydmy. Paliwo prowadzi się podziemnymi przewodami prosto na płytę wyrzutni.

Po kilku kieliszkach brandy Kleiser ożywił się i przeszedł do natarcia. Mówił o swych osiągnięciach i doskonałości niemieckiej techniki, a w pewnym momencie wstał i wznosił toast za swoich współpracowników, co spotkało się z ogólnym aplauzem.

Po deserze wyjaśnił, że nie będzie wracał do Berlina następnego dnia rano, ale jeszcze tej nocy poleci helikopterem do Trypolis.

Po strzemiennym Tom i Eryka odprowadzili go na pas startowy. Kleiser uściskał dłoń Toma i wsiadł do radzieckiego helikoptera.

184

Kiedy migające czerwone światło helikoptera MI-8 zniknęło na północy, Tom i Eryka poszli przez obóz w kierunku wysokiej wydmy. Po drodze Tom opowiadał o wynikach swego rekonesansu; nieobecności dymu przy zapłonie i braku woni paliwa na wyrzutni, pajęczynie na pustych skrzyniach, przywiezionych rysunkach dzieci i skromnych torbach podróżnych. Nie było też prądnic.

- Czy chcesz powiedzieć, że to wszystko jest tylko fałszywą scenografią? - zapytała z niedowierzaniem.

- Może przeprowadza się tu próby silników, ale miejsce jest zbyt otwarte i prowizorycznie zagospodarowane jak na wyrzutnię. Chcę zobaczyć te zbiorniki paliwa za ogrodzeniem.

Wspinając się na wysoką wydnię, patrzyli na tajemnicze, oświetlone przez księżyc piękno pofalowanej pustyni. Wirujący piasek odrywał się od szczytów wydmy jak rozpryski fal

morskich, a wyschnięte koryta rzek wiły się przez bezdroża jak głębokie doliny. Pustynia wyglądała jak ogromne sfałdowane morze, które zamarzło w nieskończoności wszechświata.

- Boże, jak tu pięknie - szepnęła Eryka.

Stali cicho, zahipnotyzowani bezkresną przestrzenią skąpaną w świetle księżyca.

Nagle wiatr zmienił kierunek i przyniósł ze sobą odległe, żalosne wycie.

- Szakale - powiedziała Eryka. - Czasami idą za karawanami Beduinów.

Tom spojrział na drugą stronę szerokiego wadi, na ogrodzony płotem teren i widoczne pośrodku zaokrąglone wierzchołki zbiorników paliw wkopanych w ziemię.

- Daj mi znać, gdyby ktokolwiek nadchodził od strony obozu - poprosił i zsunął się po zboczu. Przemierzył dno wadi i zaczął wspinać się na wydnię. Chwyając się kęp tamaryszku, wdrapał się na szczyt okopu.

Wałący się płot z siatki otaczał grupę dysków wystających na kilka stóp nad ziemią. Mogły być pokrywami zbiorników paliwa. Nad całą zagrodą unosił się charakterystyczny ostry zapach ropy.

Tom przecisnął się przez dziurę w siatce i uklęknął u podstawy wystającego dysku, chwycił za rączkę i pociągnął.

Wiekło ustąpiło i potężny odór oleju napędowego uniósł się nad otworem. Tom zdjął kurtkę, podwinął rękaw koszuli i zanurzył prawą rękę w czarnym oleistym płynie. Gęste paliwo sięgało mu do łokcia, gdy palcami dotknął metalowego dna. „Zbiorniki” miały tylko dwie stopy głębokości i wystarczyło kilka kanistrów paliwa, żeby je wypełnić po wlew. Tom szybko przechodził od pokrywy do pokrywy. Rezultat był taki sam, tylko dwa zbiorniki były puste do metalowego dna - poza tym nigdzie śladu zapachu kwasu azotowego, podstawowego składnika paliwa do rakiet V-5.

Tom zszedł do głębokiego okopu wyschniętego koryta rzeki i wspiął się na sąsiednią wydnię, gdzie czekała Eryka. Łapiąc oddech powiedział:

- Sama fikcja. Dwie stopy ropy i dno. To całe miejsce to oszustwo. Przygotowali próbę specjalnie dla mnie. Miałas rację. Kleiser nigdy nie zamierzał pokazać mi wyrzutni.

- Udało mu się mnie oszukać.

- Pozostaje pytanie, gdzie do cholery jest prawdziwa wyrzutnia?

- Co powiesz o śladach opon, na które natknęliśmy się po drodze?

- Zgaduję, że zostały po ciągniku holującym rakiety V-5 wyposażonym w gaśnice czołgowe.

Powiał wiatr i wycie szakali znów się zbliżyło.

- Może uda nam się zawęzić krąg możliwości - rzekła Eryka. - Widzieliśmy ślady oko-

ło czterdziestu kilometrów na południe od posterunku wojskowego.

Tom skinął głową. - KH-11 mogłoby przeczesać okolicę. Ale jeżeli to podziemny si-
los... - przerwał zaskoczony pobekiwaniem zwierząt.

Na szczycie sąsiedniej wydmy w blasku księżyca grupa Tauregów w niebieskich sza-
tach siedziała na wielbłądach. Białe turbany ze szparami na oczy zakrywały im twarze. Kolby
strzelb spoczywały na siodłach, a lufy celowały w niebo. Rozciągnięci w szereg byli jak wizja
z *Baśni Tysiąca i Jednej Nocy*.

Wielbłądy uspokoiły się, a wiatr po raz kolejny przyniósł skowyt szakali. Przywódca
grupy krzyknął *Asfal!* i jego wielbłąd pokornie ugiął nogi i usiadł. W asyście dwóch ludzi,
przywódca Tauregów ruszył w stronę Toma i Eryki. Jego oczy świeciły w bieli płótna.

- *Salaamat*.

- *Marhaba* - odpowiedziała Eryka.

- *Ana akh ash-shaikh oweidi Ana asb Jalloud*. - Mówił ze spokojną władczością, ro-
biąc długie przerwy między zdaniami. - *Mahal awamid alnaar fissama huwa Jarmah. Yakhta-
fi an-nar nahwa ash-sharq ind al-kufra*. - Ukłonił się. - *Salaam Alakum*.

- *Salaam. Gayid har*. - Eryka odwzajemniła ukłon. Przywódca i dwaj towarzyszący
mu ludzie odeszli w stronę szeregu Tauregów i wsiedli na wielbłądy. Popędzając wierzchow-
ce palcatami do szybkiego truchtu, zniknęli w ruchomym pejzażu pustyni jak cienie duchów
w powiewnych szatach.

- Przepraszam, ale nie mogłam mu przerywać. Mają bardzo surowe obyczaje, więc i
tak musiał się sporo nagiąć, żeby w ogóle rozmawiać z kobietą. To brat szejka Oweidi, przy-
wódcy izraelskich Beduinów, który napisał tamten list. Rozmawiał z jubilerem, panem Jal-
loudem. Twierdzi, że widział słupy ognia na niebie w Jarmah.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Jubiler, Abbas Jalloud, leżał nagi, rozkrzyżowany na mokrej marmurowej płycie.
Przewody elektryczne zostały podłączone do jego genitaliów. Technik obsługiwał regulator
napięcia, a drugi mężczyzna wetknął kawałek drewna między zęby Jallouda.

Hasi ześlizgnął się z wysokiego stołka, przeszedł przez pokój przesłuchań i otworzył
okno. Szary świt ogarniał ulicę Al Jumaa. Przesłuchanie trwało już kilka godzin, ale Jalloud,
jak wszyscy Beduini, był twardy i dumny. Libijczyk wyczuwał pierwsze oznaki załamania i
pomyślał, że w ciągu godziny złamie tego beduińskiego sukinsyna.

Odetchnąwszy kilka razy świeżym powietrzem wrócił na

Stolek i dał znak technikowi, by przekręcił regulator napięcia. Jalloud wrzasnął i szarpnął przytrzymujące go pasy. Jego twarz była kredowobiała, a kruczoczarne włosy stały dęba. Obniżono napięcie i ciało Jallouda opadło na marmurowe płyty. Pomocnik wyjął drewno z zębów torturowanego. Hasi zbliżył usta do jego ucha.

- Nie złamałeś prawa. Nie zrobiłeś nic złego. Zostaniesz natychmiast zwolniony. Powiedz mi tylko coś o liście, który dała ci ta Niemka. Do kogo był zaadresowany?

Jalloud zachował milczenie. Jego wargi były sine, piersi ciężko unosiły się i opadały.

- W porządku - powiedział spokojnie Hasi. - Spróbujemy znowu.

Brodaty technik podłączył przewody do brodawek na piersiach Jallouda i wpuścił mu dwa przewody w uszy. Ponownie wsadzono mu w zęby kawał drewna i do maksimum zwiększono napięcie. Jalloud krzyknął, jego ciałem wstrząsnął upiorny dreszcz, przewrócił oczyma i opadł bezwładnie na marmur posadzki.

- Obudź go - rozkazał Hasi.

Technik wbił strzykawkę wypełnioną kofeiną w ramię ofiary. Jalloud zatrząsał powiekami i otworzył oczy.

- Wiesz, gdzie jesteś - zapytał Hasi. Jalloud kiwnął głową.

- Czy masz mi coś do powiedzenia?

Oczy Beduina pobiegły w stronę technika przy regulatorze napięcia.

- Zostaniesz natychmiast zwolniony - zapewnił go Hasi.

- List... - dyszał Jalloud - list był skierowany... do... szejka Al Hataba.

- Co zawierał?

- Mówił, że ten kto go doręczy... może prosić o pomoc. - Jaką pomoc?

- Nie wiem.

Uderzenie prądu spowodowało, że jego ciało znów podskoczyło. Prąd przechodził przez brodawki piersi, genitalia i bębunki uszu w czterosekundowych cyklach. Stracił przytomność. Zaaplikowano mu resztę kofeiny ze strzykawki i po kilku chwilach otworzył przekrwione oczy.

- O jaką pomoc prosiła dziewczyna? - zapytał Hasi.

- Jechała... jechała do... Abu Najajim i... chciała zobaczyć miejsce, gdzie pojawia się ogień na niebie.

- Kto wysłał ten list?

- Szejk Oweidi.

- Z jakiego plemienia?

- Awassi.

- Gdzie mieszkają Awassi?

- W Izraelu.

Przy swoim biurku Hasi pił mocną czarną kawę i próbował pozbierać myśli. Wiedział, że Tauregowie poruszają się swobodnie od oazy do oazy i niewątpliwie widzieli próbne odpalenie V-5. Jeżeli przywódca Tauregów spotkał się z tą Sperling, wszystko może być stracone. Może uniemożliwić start samolotu Kleisera, ale wtedy zatrzyma również tamtych dwoje. Musi zachować ostrożność.

Doktor Kleiser zostaje w Trypolisie na konferencji. To nie pora na wyprowadzanie Niemca z równowagi, poza tym wszystkie dowody uznano by za sfabrykowane. Gdyby tylko mógł dostać tę Niemkę w swe ręce na kilka minut...

Zapałił papierosa, zadzwonił do sekcji łączności i zamówił miejsce w samolocie Libijskich Linii Lotniczych do Frankfurtu i Berlina odlatującym o jedenastej rano. Miał pewne kontakty w tym mieście, a przepisy dotyczące służby były całkiem jasne: jeżeli agent uważa, że jest w krytycznej sytuacji, może podjąć działania na własną rękę.

Odchylił się na krześle, patrzył, jak dym wije się w stronę sufitu, i rozmyślał, jak będzie wyglądać *Fraulein* Sperling po kilku godzinach przesłuchania.

Rozdział trzydziesty drugi

Wyglądali przez okna taksówki. Zadymka śnieżna i neony Kurfursterdamm wydawały się nierealne po spieczonym słońcem Pustyni Libijskiej.

Od wyjazdu z Abu Najayim o piątej rano na lotnisko międzynarodowe w Trypolisie nie wspomnieli o Jarmah. Kierowca znał angielski i to wykluczało wszelkie dyskusje na temat ich odkrycia, i w samolocie mógł być podsłuch. Z niecierpliwością czekali na moment, gdy będą mogli poinformować odpowiednie agencje o wyrzutni w Jarmah.

Gdy skręcili w Fasanenstrasse, Tom powiedział:

- Zaczekam z telefonem do Waszyngtonu do czasu, aż powiadomisz Mossad.

- To nie ma znaczenia.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem Kempiański.

- Spotkamy się za godzinę, przyjadę po ciebie - za proponował Tom.

- Powiedzmy za półtorej i to ja przyjadę po ciebie. Dziesięć minut później Eryka wysiadła z taksówki i trzęsąc się z zimna w mroźnym powietrzu nocy, ruszyła do drzwi budynku, w którym mieszkała. Spoglądając za siebie na zaciemnioną ulicę, nie zauważyła nikogo, kto by ją śledził lub obserwował z zaparkowanego samochodu.

Weszła do słabo oświetlonego korytarza i ruszyła w górę przez trzy piętra drewnianych schodów. Na drugim piętrze zatrzymała się, żeby postawić ciężką brezentową torbę. Było niezwykle cicho; z mieszkań nie dochodził jakikolwiek dźwięk. Żadnych domowych kłótni. Żadnego szczekania psów, płaczu dziecka.

Rozpinając płaszcz, zamarła, gdy spostrzegła cień przesuwający się na ścianie piętro wyżej. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała odgłosu kroków, ale nie usłyszała nic. Czy widziała cień, czy tylko go sobie wyobraziła? Zmęczenie i napięcie wywołują dziwne reakcje. Wzdychając głośno, podniosła torbę i powlokła się na podest trzeciego piętra.

Przy drzwiach usłyszała cichy odgłos krzątania z wnętrza Swego mieszkania. Znowu wątpliwość - wyobraźnia czy rzeczywistość? Przyłożyła ucho do drzwi, wytrzymała słuch i próbowała zidentyfikować hałas po drugiej stronie. Wtedy usłyszała dźwięk. Ostry, zdecydowany. Trzeszczenie desek piętro niżej. Ktoś wchodził po schodach.

Tak czy inaczej była w pułapce i postanowiła zaryzykować.

Wzięła głęboki oddech, obróciła klucz w zamku, weszła do ciemnego mieszkania, trzasnęła drzwiami i oparła się o nie dysząc ciężko. Zapaliła światło i skamieniała.

- Nazywam się Landau. - Mężczyzna w średnim wieku w dwudzielnych okularach uśmiechnął się. - Ben Landau. Pracuję dla Mossadu. Miałem instrukcje, żeby się z panią skontaktować. Przepraszam, że przestraszyłem panią. - Przeszedł przez pokój i nalał kieliszek koniaku. - Proszę to wypić. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

- Proszę podać hasło - powiedziała Eryka chrapliwie.

- Jerycho trzy.

Westchnęła z ulgą i przyjęła koniak. Gdy podnosiła kieliszek, wyczuła, że w pokoju jest ktoś jeszcze i odwróciła się gwałtownie. W alkowie stała przeciętnie wyglądająca blondynka.

- To Penelopa - powiedział Landau.

Kobieta skinęła głową, powiedziała coś po hebrajsku do Landaua, przeszła obok nich i wyszła. Kiedy Eryka zapalała papierosa, trzęsły się jej ręce.

- Jak żeście tu weszli?

- Zamek jest dość prosty. Radziłbym zamontować zasuwę. Musi pani też uważać na telefon.

- Co to znaczy?

- Widzieliśmy, jak ludzie z biura napraw telefonów wchodzili do budynku, i chociaż jest tu wiele mieszkań, uznaliśmy za wskazane sprawdzić pani pokój.

- I co?

- Czysty, ale w telefonie jest podsłuch.

Landau podniósł słuchawkę, zdjął wieczko i używając małego śrubokrętu odkręcił dwa przewody. Wyjął coś, co wyglądało jak miniaturowy bezpiecznik.

- Mikroczip. Skuteczne, choć prymitywne. Włożył pluskwę na miejsce i skręcił słuchawkę.

- Nie zostawimy śladu, że odkryła pani podsłuch.

- Kiedy byli tu ci tak zwani mechanicy od telefonów?

- W dniu, kiedy wyjechała pani z Lawfordem. Uważamy, że agenci Hasięgo śledzili was i mogli mieć kogoś na lotnisku w Monachium, kto widział jak Elke Hauser wychodziła z terminalu. Hasi najwidoczniej ma jakieś podejrzenia co do pani znajomości z panną Hauser. Możemy tylko mieć nadzieję, że Kleiser nie podziela jego podejrzeń.

- Towarzyszyłam Kleiserowi przez pięć godzin podczas lotu do Trypolisu i spędziłam z nim nieco czasu na pustyni w Abu Najayim. Nigdy nie okazał mi braku zaufania.

- Czy w którymkolwiek momencie była pani z nim sama? Eryka skinęła głową.

- Przez kilka godzin przed kolacją. Zajmowaliśmy się... - Twarz jej poczerwieniała. -
Pewnymi jego prywatnymi sprawami.

Landau podniósł butelkę koniaku.

- Mogę?

- Proszę bardzo.

Nalał do kieliszka dużą porcję i wypił ją jednym haustem.

- Przez najbliższych kilka dni musi pani szczególnie uważać. Około trzynastego mamy zamiar panią stąd wywieźć.

- Dokąd?

- Jak najdalej od kłopotów. Zew Berger zadba o wszystkie pani sprawy. - Landau wyjął z kieszeni marynarki kopertę. - Bilet Lawforda do Rzymu. Proszę dopilnować, żeby go otrzymał jak najszybciej.

Eryka spojrzała na rozpisane na okładce połączenia. Lot 203, Pan Am o dziewiątej rano z Berlina do Frankfurtu z połączeniem Lufthansa lot 154, odlot z Frankfurtu o 10.50, przylot do Rzymu o 12.35.

- Na jutro rano. - W jej głosie brzmiało zaskoczenie.

- Tak. Generał Harel spotka się z Lawfordem w hotelu Excelsior. - Landau znów łyknął koniaku i powiedział: - Teraz proszę mi powiedzieć, gdzie jest nazistowska baza rakietowa.

Eryka z wahaniem spojrzała na agenta Mossadu, przypominającego raczej nauczycie-

la.

- Czy coś nie tak? - zapytał.

- Nie.. Ja... Po prostu wygląda pan...

- Nie wyglądam odpowiednio do swojej roli?

- Tak.

- Gdyby tylko pani wiedziała, *Fraulein* Sperling, jak żarliwie w młodości się modliłem, żebym wyglądał jak Paul Newman, kiedy dorosnę. Ale - wzruszył ramionami - Jahwe, w swej bezkresnej mądrości, dał mi taką dobroduszną twarz.

- Chciałam tylko powiedzieć, że...

- Proszę pokazać mi bazę - przerwał jej Landau. Eryka rozłożyła szczegółową mapę Libii na stoliku do kawy i pokazała kilka miejsc.

- Tu jest Abu Najayim. Kleiser przywiózł nas tutaj. - Ale to nie była baza?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- To był chytrze przygotowany kamuflaż. Tom uważa...

- Tom?

- Lawford.

- Ach tak, oczywiście. Proszę dalej.

- Tom miał uzasadnione podejrzenia. Naprawdę wyrzutnia jest tutaj, w Jarmah, około trzysta pięćdziesiąt mil na południe od Abu Najayim i pięćset mil na południowy wschód od Trypolisu.

- V-5 są wystrzeliwane w Jarmah?

- Tak mówi przywódca Tauregów. Opisał Jarmah jako miejsce, gdzie pojawia się ogień na niebie. Powiedział dosłownie „słupy ognia”. Poligon rozciąga się na wschód prawie do Egiptu, o tutaj, do Al Kufra.

Landau złożył mapę na precyzyjne ćwiartki.

- Działa pan bardzo sprawnie - zauważyła Eryka.

- Pewnego dnia popełnię błąd - westchnął - ale tak to już jest. Była pani bardzo odważna i bardzo bystra. Ta informacja da nam dość czasu, by zająć się Kahutą.

- Podziękowanie należy się Lawfordowi.

- Jestem pewien, że generał Harel da mu odczuć naszą wdzięczność.

Landau wyjął z kieszeni mały pistolet i podał go dziewczynie. - Wie pani, jak tego używać?

- Tak.

- Niech go pani nosi przy sobie. Jest skuteczny tylko w promieniu dziesięciu metrów,

ale przekaże wiadomość na dwadzieścia. A teraz proszę kluczyki do samochodu.

- Dlaczego?

- Pani samochód stoi w podziemnym garażu od prawie tygodnia. Muszę się upewnić, czy nie założono w nim podsłuchu ani materiału wybuchowego. Nie chcę pani stracić.

Podowała mu kluczyki, a on otworzył drzwi i uśmiechnął się.

- Jeżeli usłyszysz pani huk, to będzie pani wiedzieć, że popełniłem błąd.

Podczas kolacji w małej, oświetlonej świecami restauracji w Tiergarten Eryka opowiedziała Tomowi o niespodziewanych gościach z Mossadu.

- Cóż, to uspokaja, kiedy się wie, że ktoś nad nami czuwa. - Nalał wina do dwóch kieliszków.

- Nic nie powiedziałeś o telefonie do Waszyngtonu.

- Nie ma nic do opowiadania. Admirał wydawał się zadowolony z informacji o Jarmah. No, może uspokojony, to trafniejsze słowo. Mam niejasne uczucie, że nie mają nic przeciwko atakowi Izraela na Jarmah i inne cele w Libii. Ale nadal dostają obłądu, gdy porusza się temat Kahuty.

- Skąd wiesz?

- Admirał chce dostać szczegółowe informacje o instalacji w Kahucie. Interesuje go, jak blisko skonstruowania głowic bojowych są Pakistańczycy, ale wyraźnie dał do zrozumienia, że Agencja zrobi wszystko co w ich mocy, aby zapobiec jakimikolwiek działaniom Izraela przeciw Kahucie.

- Skąd wiedzą, że Izrael planuje atak?

- Nie wiedzą. Liczą, że ich o tym poinformuję. - Co zrobisz?

- Nie wiem. - Tom wzruszył ramionami i łyknął wina. - Tak czy inaczej będę musiał kogoś zdradzić.

- Ale czy rzeczywiście istnieje problem? Z tego, co wiem, Izrael nie posiada środków technicznych, żeby zaatakować Kahutę.

- Zgadza się... przynajmniej takich środków, o których byśmy wiedzieli. - Tom zrobił przerwę, po czym zapytał: - Jaka jest Penelopa?

- Nijaka. Przypomina mi gospodynię mojej matki.

- Może powinnaś jechać do Hanoweru, do matki, i zostać tam do czasu. kiedy Mossad cię zabierze.

- Dlaczego? Nie jestem sama.

Jej uwaga przypomniała mu tamtą noc w restauracji „Chadwick”, gdy Narda powie-

działała mu „Nie jesteś sam”.

Weszli do hotelu Kempinski i Tom zatrzymał się przy recepcji, żeby wziąć klucz.

- Wyjeżdżam rano.

- Bardzo dobrze, proszę pana - powiedział recepcjonista. - Rachunek jest gotowy w każdej chwili.

Wylegiwali się na łóżku w ubraniach, popijali brandy i słuchali muzyki klasycznej z płyt. Blask neonu prześwitujący przez okna wyławiał z ciemności kontury sypialni. Oczy Eryki były zamglone, kiedy powiedziała:

- Będziesz mi musiał wybaczyć tę chwilę rozczulenia nad samą sobą.

Przewróciła się na brzuch i podparła na łokciach, opierając brodę na pięściach. Wpatrywała się w Toma intensywnie, jak gdyby próbowała przeświecić jego myśli. Pocałowała go mocno i szepnęła:

- Obiecuję, że nie będę za tobą tęsknić.

- Będę na ciebie czekać w Rzymie.

- Wiesz, że bez pozwolenia nie mogę nigdzie jechać. Ty też nie. Kiedy jutro wsiądziesz do samolotu, więcej się nie spotkamy, więc... niech już tak będzie... i kochaj się ze mną.

Rozdział trzydziesty trzeci

Parę minut po ósmej następnego ranka Eryka ruszyła swoim BMW spod hotelu i skręciła na północ w Kurfurstendamm, kierując się na autostradę. Obracała w palcach złoty brazylijski wisiołek, który opadał na jej czerwony golf.

- Jalloud miał rację. Ten wisiołek okazał się szczęśliwy.

Tom przytaknął ruchem głowy.

- Wywączaliśmy Jarmah. Teraz wszystko w rękach izraelskiego lotnictwa.

- Zajmą się tym.

- Jeżeli jest jeszcze czas...

Patrzyła na niego przez chwilę, a następnie skierowała uwagę na uliczny ruch.

Dojechali do autostrady, Eryka popędziła stromym podjazdem, zmieniła dwa razy bieg i przyspieszyła wjeżdżając na zewnętrzny pas.

Parę razy spojrzała w lusterko wsteczne. - Może się mylę, ale wydaje mi się, że śledzi nas biała furgonetka Volkswagena.

Tom obrócił się i wyjrzał przez tylną szybę.

- O jakieś sześć samochodów z tyłu - powiedziała. - Widzisz go?

- Nie... zaczekaj. Tak, widzę.

Eryka sięgnęła do torebki i wyjęła browninga kaliber 9 mm.

- Weź go. - Podała mu pistolet.

Tom odbezpieczył go i opuścił szybę. Podmuch zimnego powietrza wpadł do samochodu. Trzymając równo kierownicę i jadąc ze stałą prędkością, Eryka spoglądała, co chwila w lusterko. Tom trzymał pistolet tuż przy oknie i cały czas wpatrywał się w boczne lusterko.

- Kiedy go zauważyłaś? - zapytał.

- Na podjeździe do Spandau.

- Dlaczego uważasz, że jedzie za nami?

- Dwa razy zmieniłam pas i on też. Poza tym utrzymuje tę samą odległość i prędkość.

Jechali tak przez następne osiem mil. Tom od czasu do czasu zmieniał ustawienie lusterka. Kiedy mijali pierwszy drogowy znak na lotnisko, Eryka krzyknęła:

- Zmieniają pas!

- W lusterku Tom zobaczył, jak furgonetka chowa się za małym niebieskim oplem i z mrugającym prawym kierunkowskazem skręca na zjazd. Tom zamknął okienko i odetchnął.

- Myślę, że oboje jesteśmy przeczuleni.

- Może, ale Landau i Penelopa woleli nie ryzykować.

- Martwi mnie, że muszę zostawić cię tu samą.

- Do chwili ukazania się twego artykułu nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo ze strony Kleisera. A ponieważ nie będzie artykułu, nic nie powinno mi się stać.

- Czemu do cholery Mossad nie zabierze cię stąd natychmiast?

- Nie mogę zrobić nic, co wzbudzałoby podejrzenia, do czasu ataku na Jarmah.

Biała furgonetka zjechała z autostrady, a kierowca skinął do siedzącej obok kobiety, która podniosła mikrofon połączony z radionadajnikiem wysokiej częstotliwości.

- Trypolis Niebieski. Tu Trypolis Czerwony.

Abu Hasi siedział w niebieskim oplem obok tęgiego Palestyńczyka, który prowadził samochód z profesjonalną nonszalancją. Jechali za Eryką w odległości dziesięciu długości samochodu.

- Trypolis Niebieski. Tu Trypolis Czerwony. - Kobięcy głos przebijał się przez zakłócenia.

Hasi podniósł mikrofon i nacisnął żółty przycisk.

- Tu Trypolis Niebieski. Nadawaj.

- Jesteśmy w drodze na lotnisko.
- Czy zauważyła was?
- Nie. Ale uznaliśmy, że lepiej będzie zjechać z autostrady.
- Zajmijcie pozycję na drodze dojazdowej do Tegel.
- Tej, która jest przed lotniskiem?
- Tak. Spiesz się na samolot linii Pan Am do Frankfurtu o dziewiątej. Nic innego nie odlatuje. Spotkamy się zgodnie z planem. *Over.*

- Odebrałam. *Over i out.*

Hasi nie lubił dziewczyny, która rozmawiała z nim z furgonetki. Zabijała dla sportu, a on - jeżeli to możliwe - chciał mieć żywą *Fraulein Sperling*.

Lotnisko Tegel znajduje się we francuskim sektorze Berlina i jest ironicznym testamentem historii. Francuska trójkolorowa flaga powiewa tuż obok flagi tradycyjnego wroga Francji - Niemiec.

Eryka zaparkowała samochód przed terminalem i gdy wysiadali podszedł do nich bagażowy o czerwonej twarzy i zawołał:

- Frankfurt?

Tom skinął głową i podał bilet oraz dziesięć marek.

- To za dużo - powiedziała Eryka.

- Popatrz na jego rękawiczki.

Bagażowy miał stare wełniane rękawiczki, jakie nosili amerykańscy szeregowcy, w większej części sprute.

- Stać go na nowe. Noszą te szmaty, żeby wzbudzić współczucie turystów.

- *Ich glaube Sie sind ein bischen spat* - burknął bagażowy.

- *Ja, ja* - przytaknęła Eryka. - *Beeilen Sie sich bitte.* Ładując walizkę Toma na wózek, bagażowy wskazał na zegarek i ruszył szybko.

- Boi się, że spóźnisz się na samolot. - To nie taki zły pomysł.

Stali bardzo blisko siebie, jakby byli sami wśród tłumu przylatujących i odlatujących pasażerów. Ich oddechy wywoływały obłoczki pary podświetlone słońcem. Przechyliła twarz na bok i na jej wargach pojawił się delikatny uśmiezek, taki jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Wtuliła się w jego ramiona. Całował jej włosy i wdychał słodki zapach perfum.

- Zadzwoń do ciebie dziś wieczorem.

- Pamiętaj, że mój telefon jest na podsłuchu.

- To będzie obsceniczny telefon. Podniecimy Kleisera. Po raz ostatni ich oczy się spotkały. Eryka pocałowała go lekko i szepnęła:

- Uważaj na siebie.

W drodze powrotnej do miasta zdecydowała się na mniej uczęszczaną Zimmerstrasse, tak by uniknąć tłoku na Kurfurtdensdamm.

Browning leżał na siedzeniu obok niej. Z radia płynęła muzyka klasyczna, a w popielniczce dopalał się papieros.

Starła się nie myśleć o wyjeździe Lawforda. Musi uznać, że to przeszłość. Nie było innego wyjścia. To bolesne i trudne zamknąć w sobie uczucia, ale życie nauczyło ją dostrzegać różnice między sprawami krótkotrwałymi i długotrwałymi. W jej zawodzie trzeba było korzystać z chwili i niczego nie żałować.

Zatrzymała się na światłach przy skrzyżowaniu z Fiedrichstrasse, opuściła szybę i wyrzuciła papierosa. Światła zmieniły się z bursztynowych na zielone i skręciła w ulicę 17 Czerwca, wjeżdżając w park Tiergarten.

Gałęzie drzew pokryte były kilkoma warstwami śniegu. Na zboczu pagórka gęsta grupa sosen chwiała się na lodowatym wietrze. Park był cichy i opuszczony, pozostawiony własnemu ostrej berlińskiej zimy. Eryka minęła wysoką na 240 stóp „Siegessaule”, ozdobną Kolumnę Zwycięstwa, upamiętniającą wojnę francusko-pruską. Wiele lat temu ojciec zabrał ją na taras obserwacyjny na szczycie kolumny i nigdy nie zapomniała wspaniałej panoramy Berlina - było to niezatarte dziecięce wspomnienie.

Zaczęła kręcić gałką radia, próbując znaleźć stację nadającą wiadomości i przypadkiem zauważyła dach białej furgonetki mknącej poprzeczną ulicą w jej kierunku. Chwyciła pistolet i zaczęła zawracać, gdy zobaczyła niebieskiego opla. Ruszył z drogi dla rowerzystów i podjechał do niej od tyłu. Volkswagen zbliżał się szybko. Oba pojazdy zahamowały i obróciły się bokiem - furgonetka przed nią, a opel za nią - skutecznie zamykając BMW w pułapce między sobą.

Eryka czuła, jak krew pulsuje jej w skroniach, a serce wali szaleńczo.

Kierowca furgonetki trzymał przed sobą pistolet maszynowy z tłumikiem. Smagła kobieta uzbrojona w podobną broń, wysiadła z samochodu. Eryka zobaczyła, jak dwóch mężczyzn wyskakuje z opla. Adrenalina, jak ładunek wysokiego napięcia, pchnęła ją do działania. Wciskając gaz do dechy, skierowała samochód wprost na ciemnoskórą kobietę, która podniosła pistolet i strzeliła. Okruchy szkła z roztrzaskanej szyby pocięły czoło Eryki. Strużki krwi ściekały jej do oczu, ale mocno trzymała kierownicę i wciskała pedał gazu do oporu. BMW wpadło na kobietę i rzuciło jej połamane ciało na maskę. Na ułamek sekundy twarz kobiety przywarła do strzaskanej szyby, po czym z jej ust buchnął strumień krwi i ciało osunęło się na ziemię.

Eryka gwałtownie zakręciła kierownicą i pomknęła w stronę chodnika w nadziei, że przedzie między sosnami na drugą stronę, w pobliże pomnika żołnierzy radzieckich, gdzie przez cały czas żandarmeria wojskowa pełni straż. Nagle jakaś niespodziewana siła rzuciła ją na kierownicę i poczuła przeszywający ból tnący niczym nóż jej lewe ramię. Krew ściekała po ręce i wypływała z rękawa płaszcza. Kierowca furgonetki i ludzie z opła nadchodzili z różnych stron. Eryka była mokra od potu, krwi i moczu. Jej ciałem wstrząsały nie dające się opanować dreszcze. Z furią szaleńca zmieniała biegi, próbując złapać przyczepność, z nadzieją, że przednie koła sięgną krawędzi chodnika. Ale koła obracały się w miejscu na ziemi rozmokłej od śniegu. Włączyła wsteczny bieg i nacisnęła gaz. BMW szarpnęło i ruszyło w tył. Przystrelili opony. Jechała na obręczach, wyrzucając iskry, gdy stał tarła o płyty chodnikowe.

Mężczyźni ostrzeliwali BMW ogniem o niskiej trajektorii. Eryka podniosła pistolet i dwa razy pociągnęła za spust, po czym krzyknęła z bólu, gdy odbity rykoszetem pocisk przebił jej udo. Opadła na siedzenie i jak we śnie zobaczyła, że klamka i drzwi się obraca; wyleciała z samochodu pod nogi Abu Hasiego.

- Bierzcie ją - rozkazał.

Wysoki mężczyzna złapał Erykę za nogi, a grubas chwycił pod pachy.

Nagle Hasi szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. Zobaczył żółtą taksówkę, która pędziła wprost na nich. Podniósł karabin AK-47, ale nie wystrzelił, bo mercedes podskoczył na krawężniku, wjechał na przeciwległy chodnik i zatrzymał się z poślizgiem. Dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, wyskoczyło z samochodu. Przyklękli, wycelowali i oddali serię z broni automatycznej.

Uskakując za BMW Hasi patrzył bezradnie, jak serie pocisków dosięgły obu mężczyzn niosących Erykę. Nogi wyższego ugięły się jak naciśnięty wycior do fajki, gdy kule przecięły go w pół. Grubas wyrzucił ręce do góry i padł z głową podziurawioną pociskami.

Eryka rzucona na ziemię leżała bez ruchu między martwym i umierającym porywaczem.

Zaskoczona nagłą ciszą Penelopa wysunęła się zza okrągłego kamienia, żeby porozumieć się z Landauem, przyczajonym za taksówką. Obserwujący chodnik Hasi zobaczył jej blond włosy i nacisnął spust AK-47. Twarz Penelopy zamieniła się w krwawe rozpryski, a ciało odskoczyło w tył, rzucone siłą uderzenia pocisków. Landau klnąc przedzierał się przez lasek. Biegł wyprostowany, ale niewidoczny dla Hasiego. Parabellum zatrzęsło się w rękach Landaua, gdy sześćdziesiąt kul wystrzeliło do Libijczyka, nadal ukrytego za maską BMW. Jego ciało zatańczyło, a krew, kawałki kości i strzępy ubrania wylądowały na zderzaku.

Landau szybko przeszukał marynarkę Hasiego, z kieszeni wyjął portfel i paszport. W chłodnym powietrzu unosił się zapach prochu i grafitu. Klęknął nad Eryką, miała uchylone oczy i była zakrwawiona od stóp po czubek głowy. Ciemna krew wypływała strumieniem ze zranionego uda. Używając szalika Landau szybko założył opaskę uciskową powyżej rany i zacisnął mocny węzeł.

Podniósł Erykę z chodnika i delikatnie ułożył na tylnym siedzeniu taksówki. Nakrył ją swoim płaszczem i szybko poszedł tam, gdzie leżała Penelopa. Podniósł uzi i rzucił je w głąb parku. Penelopa miała austriacki paszport na nazwisko Helga Honecker. Policja nie będzie łączyć jej z Mossadem.

Landau usłyszał daleki jęk syreny. Wrócił do mercedesa. Ostrożnie sprowadził taksówkę na jezdnię i ruszył szybko w stronę Zimmerstrasse. Dobrze znał Berlin i wiedział, że najbliższym szpitalem jest Charite, nie więcej niż osiem minut od Tiergarten. Był odpowiedzialny za ciężko ranną dziewczynę na tylnym siedzeniu i zawiódł. A Penelopa... popełniła fatalny błąd, który wcześniej czy później trafia się wszystkim.

Rycząc klaksonem Landau pędził jak na wyścigach przez czerwone światła, siejąc panikę i przeklinając jadących przed nim kierowców. Jego ręce i stopy zachowywały spokój, ale myśli goniły jedna za drugą. Najpierw zadzwoni do Bergera, później do matki Eryki w Hanowerze. Jeżeli chodzi o policjantów, to opowie im historyjkę o strzelaninie między handlarzami narkotyków. Ponieważ Eryka załatwiała opium dla Kleisera, może uwierzą, że trafiła na strzelaninę kupując towar. Narkotykowy pretekst ukryje przynajmniej zaangażowanie Mossadu.

Z Penelopa nie powinno być kłopotu. Austriacka turystka, która wyszła na krótki spacer po parku i została pechowo trafiona przypadkowym pociskiem. Wkrótce jakiś agent Mossadu pojawi się jako mąż pogrążony w żałobie i odbierze ciało. Pochowają ją w Galilei.

Landau zbliżał się do podjazdu dla karetek. Ryczący sygnał, pisk hamulców i szalone gestykulacje kierowcy zwróciły uwagę sanitariuszy. Jeden z nich natychmiast ruszył do izby przyjęć, pozostali zaś wytoczyli wózek.

- Wielokrotne rany postrzałowe, ale żyje - krzyknął po niemiecku Landau.

Odpychając go na bok sanitariusze podnieśli połamane ciało Eryki na wózek. Lekarz i dwie pielęgniarki wybiegli na podjazd ciągnąc aparat tlenowy i stojak z butelkami glukozy D5W. Landau patrzył z podziwem na zgranie i tempo pracy zespołu wypadkowego.

Pielęgniarka dużymi nożycami cięła ubranie, lekarz sprawdzał drożność przewodów nosowych i kazał podać tlen. Podłączono kroplówkę z glukozą i uruchomiono monitor czynności życiowych: ciśnienia krwi, puls, oddychania. Lekarz nacisnął paznokcie Eryki, żeby

sprawdzić, czy wraca kolor. Z powątpiewaniem pokręcił głową, patrząc na siną linię wokół jej ust. Sprawdził grupę krwi do transfuzji. Druga pielęgniarka zdjęła tymczasową opaskę zrobioną przez Landaua i założyła opatrunek uciskowy powstrzymujący upływ krwi. Jej koleżanka przygotowała świeży opatrunek i przemyła ranę wodą utlenioną. W tym czasie doktor sprawdzał, czy źrenice Eryki są tej samej wielkości, i czy nie doznała urazu mózgu. Szybko zbadał odruchy kończyn, a następnie potarł szczytem pięści mostek. W celu sprawdzenia, czy występuje reakcja na ból. Eryka poruszyła się nieznacznie i lekarz odetchnął z ulgą. Nie znajdowała się jeszcze w stanie śmierci klinicznej.

- Zwołać zespół - powiedział lekarz. - Potrzeba transfuzji. Nastąpiła znaczna utrata krwi. I znajdźcie doktora Theisena. Mogła nastąpić implozja obojczyka, może mieć odłamki żeber w płucach. Lewe udo i ramię wymagają oczyszczenia z resztek pocisków i tymczasowej rekonstrukcji. Trzeba wyjąć z twarzy kawałki szkła i założyć szwy. Nie mamy danych, ale nie możemy czekać na identyfikację. Przygotujcie podanie trzech milionów jednostek penicyliny. Ruszamy!

202

Popychając przed sobą wózek, na którym leżała ranna Eryka, zniknęli za drzwiami izby przyjęć.

Dyżurny policjant z wydziału kryminalnego zszedł na podjazd i zbliżył się do Landaua.

- Proszę za mną.

Weszli do małego biura administracji, gdzie Landauowi wręczono podkładkę do pisania i formularz.

- Proszę podać dane. Nazwisko, numer taksówki, adres, licencja, skąd pan zabrał tę kobietę i tak dalej. Później powie mi pan dokładnie, co się stało, zanim przyjedzie szef biura, dobrze?

- Tak, tak - powiedział rozdygotany Landau. - Ale muszę iść do toalety. Chce mi się rzygać. Nigdy...

- Tymi drzwiami. Do końca korytarza.

Landau skinął głową, wycofał się i wyszedł przez wahadłowe drzwi na długi korytarz. Po wejściu do wyłożonego kafelkami wnętrza sprawdził kabiny, żeby upewnić się, czy nie ma towarzystwa. Wrzucił czapkę taksówkarza i rękawiczki do kosza na śmieci, zapalił papierosa, podszedł do pisuaru i się wysikał. Umył twarz i ręce, przeczyścił okulary, poprawił krawat i wyszedł na korytarz. Rozejrzał się, ale na korytarzu nie było nikogo. Spokojnym krokiem poszedł w kierunku drzwi wyjściowych i opuścił budynek.

Kiedy szedł w stronę narożnika, myślał bardzo szybko. Zadzwoił do skrytki przy Me-ineckestrasse. Najpierw do Bergera... później anonimowy telefon na policję o narkotykowej transakcji, która zmieniła się w krwawą jatkę... na koniec, pod fałszywym nazwiskiem Klause Anhalta, powiadomił matkę Eryki.

Zatrzymał taksówkę i powiedział kierowcy, żeby wysadził go przy stacji metra Zoo.

Rozparłszy się na skórzanym siedzeniu obejrzał portfel Libijczyka i jego papiery. Szczególnie zainteresowało go zielone libijskie prawo jazdy wyposażone w fotografię. Wystawione było na fałszywe nazwisko Assada Akhdara, ale zdjęcie przedstawiało Abu Hasiego. Ta informacja ucieszyła Bergera. Hasi był na liście celów Mossadu od wielu lat.

Berger na pewno też otoczy opieką Erykę Sperling. Jeżeli przeżyje, to trzeba ją będzie ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu. Lawford jest niewiadomą. Wkrótce generał Harel do- wie się, jak bardzo zaangażował się w sprawę. Landau westchnął myśląc, że te sprawy nie należą do niego. On, Landau, jest tylko żołnierzem.

Rozdział trzydziesty czwarty

Jak na początek marca słońce grzało mocno i stoliki ustawione na ulicy przed „Cafe de Paris” były zatłoczone przez kolorowy tłumek cieszących się wiosenną pogodą rzymian.

Generał Dado Harel siedział naprzeciw szczupłego agenta wywiadu indyjskiego, Pan- dita Sinde. Obaj mieli bezpośredni widok na hotel Excelsior znajdujący się po przeciwnej stronie Via Veneto.

Mężczyźni popijali kawę z ekspresu i przyglądali się życiu słynnego bulwaru.

Dado stuknął palcem w grubą brunatną kopertę, którą Sinde położył na stole.

- Więc to jest przesyłka z pozdrowieniami z Rosji?

- Zgadza się - przytaknął Sinde. - Minister Lewiczenko zdawał sobie świetnie sprawę, że te zdjęcia, wykonane przez zespół orbitalny Sojuz-TM-6, zamówiono do bardzo konkretnych celów. Są tu trzy rzuty Centrum Badań Jądrowych Kahuty zrobione z wysokości dwustu tysięcy stóp do rozdzielczości zerowej. Można zobaczyć fakturę betonu kopuły.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc.

- To nie było działanie całkowicie altruistyczne. - Sinde uśmiechnął się. - Kahuta rzuca długi cień na Indie. Lewiczenko pytał, czy zamierzamy przenieść te zdjęcia na taśmę te-lemetryczną i zamontować w kamerach inteligentnych bomb. Myślę, że jest przekonany, że mój rząd w końcu zdecydował Zabrać się za Kahutę.

- W tym nasza nadzieja - odparł Dado. - W kategoriach politycznych zdystansowanie się Izraela od proponowanej operacji ma podstawowe znaczenie.

- Nie musi się pan martwić, generale. Nawet gdyby na Kremlu wiadano, że Izrael jest odbiorcą tych zdjęć, wątpię, czy zdradziliby was. Lewiczenko i jego zwierzchnicy gardzą Pakistanem za trzymanie u siebie i uzbrajanie partyzantów afgańskich. Rosjanie nie zapomnieli piętnastu tysięcy zabitych żołnierzy i okrutnego sposobu, w jaki okaleczono ich ciała. W gabinecie Lewiczenki wisi zdjęcie Mudżachedinów w szarych futrzanych czapkach zabitych radzieckim żołnierzom. Rosjanie nie uronią łzy z powodu zniszczenia Kahuty.

- Rozumiem, ale podczas wszystkich rozmów nigdy nie wspomniał pan o Izraelu.

- Nigdy. Jestem pewny, że Lewiczenko uważa, że to Indie coś szykują.

Sinde nie wspomniał o fakcie, że w dowód uznania za perspektywę ataku Indii na Kahutę Lewiczenko przysłał oszałamiającą blond prostytutkę pracującą dla KGB do pokoju Sinde w hotelu Metropol. Dzięki wódce i energicznej prostytutce Sinde zdołał utrzymać ciepło w nie ogrzewanym pokoju.

Spojrzał na pospolitą Włoszkę, która siedziała przy pobliskim stoliku. Wydawała mu się znajoma. Jej duże piersi i wyzywający makijaż przypominały groteskowe kobiety z filmów Felliniego. Tak... Prawdopodobnie tam ją widział - w jednym z filmów przedstawiających surrealistyczny cyrk. Odwracając od niej wzrok, zapytał:

- Mam nadzieję, że statek jest odpowiedni.

Dado przytaknął.

- Zaczęliśmy już na nim prace w porcie Ejlat.

- Bashira ostrzega, że kapitan musi mówić po grecku i posiadać greckie dokumenty.

- Tak, wiem - odparł Dado i pochylając się w przód dodał: - Mój rząd chce pana prosić o jeszcze jedną przysługę... - Zamilkł, gdyż kelner zaczął się krzątać przy sąsiednim stoliku.

Sinde zaniepokoił się. Tylko Budda wie, jakie apokaliptyczne szaleństwo wymyślił izraelski generał. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Był w trudnej sytuacji. Przełożeni kazali mu współpracować z Mossadem, ale znał życiorys generała Harela i starał się zachowywać szczególną ostrożność. Kiedy kelner oddalił się, Dado powiedział:

- Bashira przekaże panu rolkę mikrofilmu.

- Nie... nie... nie mnie - odpowiedział Hindus zdecydowanie. - Moje biuro informowało, że szef kontrwywiadu pakistańskiego, generał Murrani, postawił całą sekcję w stan gotowości.

- Co to ma wspólnego z pana spotkaniem z Bashirą?

- Nie wjadę więcej do Pakistanu. - Sinde nerwowo pociągnął papierosa. - Ryzykowa-

łem dosyć na dziesięć żyć. Pewne jest niemal, że Bashira zostanie wykryty i zdradzony. Generał Murrani nie jest głupcem, a ja nie zamierzam kusić losu. Przepraszam, ale musi być jakiś inny sposób przekazania mikrofilmu.

- Ryzyko wpadki jest nieodłączną częścią życia nas wszystkich - naciskał Dado. - Jest pan zawodowym agentem wywiadu.

- Tak. Ale poza tym jestem Hindusem. I odwiecznym wrogiem Pakistanu. Za bardzo rzucam się w oczy. Poza tym, mówiąc prawdę, boję się. Nie mam ochoty na publiczne powieszenie w Islamabadzie.

- Ale pana rząd, może nawet bardziej niż mój, odczuje ulgę, gdy zajmiemy się Kahutą.

- Rozumiem i będę z panem współpracował w każdy możliwy sposób, ale nie spotkam się z Bashirą na terenie Pakistanu.

Dado wstał i wziął grubą kopertę zawierającą radzieckie zdjęcia satelitarne Kahuty.

- Skontaktuję się z panem.

Sinde odetchnął z ulgą patrząc, jak barczysty Izraelczyk przechodzi przez Via Veneto i kieruje się w stronę hotelu Excelsior. Nad generałem ciąży jakieś fatum, pomyślał Sinde. Bez wątpienia jest genialny, ale w jego rozbieganych oczach odbija się obłęd. Generał badał go bezustannie, sam zaś starannie unikał udzielania jakichkolwiek odpowiedzi. A Sinde miał wiele pytań. Po co zdjęcia satelitarne Kahuty, gdy sabotaż od wewnątrz był jedyną możliwością działania?

206

Co było na mikrofilmie, który miał przekazać? Niech to diabli, zaklął w duchu. Odpowiedzi nie dotyczyły jego. Oczywiście, będzie współpracował, ale tylko do pewnego momentu.

Spojrzał na dziewczynę o wyglądzie przeciętnej włoskiej aktoreczki i głęboką kotlinkę między jej piersiami. Ach, te kobiety z Zachodu mają piersi! Nie tak, jak kościste Hinduski zawinięte w sari. Grubo umalowana kobieta uśmiechnęła się do niego, więc odpowiedział jej uśmiechem myśląc, że opowieści o prostytutce z KGB i włoskiej grotesce z tej podróży ożywiłyby wieczory w Polo Club.

Recepcjonista podał Dado klucz i dwie kartki z wiadomościami. Kilka minut temu dzwonił Berger, a Amos Gideon czeka w barze.

- Proszę zadzwonić do pana Gideona i powiedzieć mu, że zejść za pięć minut.

- Oczywiście, proszę pana.

- Gdzie mogę wykonać kopie dokumentów?

- Obok wind, na lewo.

Dado podał kopertę młodej kobiecie, która obsługiwała kopiarkę Simensa.

- Czy może pani wykonać kopie tych zdjęć i wystawić rachunek na pokój 504?

- Pana nazwisko?

- Steifel. Victor Steifel.

Komputer błyskawicznie sprawdził nazwisko i numer pokoju i dziewczyna zaczęła kopiować zdjęcia Kahuty z „Sojuza”. Kiedy ostatnia odbitka wyskoczyła z maszyny, dziewczyna włożyła oryginały i kopie do dwóch osobnych kopert. Dado podziękował jej i dał pięć tysięcy lirów napiwku.

Amos Gideon siedział na wysokim stołku przy długim, mahoniowym barze i czytał „International Herald Tribune”. Marynarkę kapitana linii El Al narzucił na ramiona. Palił papierosa i popijał włoskie piwo. Gideon, szczupły, wysportowany, o wesołej twarzy, która zdawała się nie pasować do chmurnych czarnych oczu, był asem lotnictwa myśliwskiego.

Zestrzelił osiem syryjskich Migów 25 latem 82 nad Libanem i prowadził pierwszą falę myśliwców bombardujących w ataku na kwaterę główną OWP w Tunisie. W 1990 wycofał się z czynnej służby i przez ostatnie dwa lata dowodził pasażerskimi Boeingami 747.

Dado położył wielką łapę na ramieniu Gideona.

- Miło cię widzieć, Amos.

Gideon stuknął palcem w gazetę i powiedział:

- Oddajemy ziemię w zamian za pokój, a mordercy przybywają nadal. Wiem, że to popierałeś. Ale popatrz na ten artykuł redakcyjny. Atakują nas za to, że się bronimy.

- Jakie to ma znaczenie? Moglibyśmy oddać im Tel-Awiv, a prasa i tak by nas krytykowała. Nawet gdybyśmy się przesiedlili do Auschwitz, atakowaliby nas dalej. Po prostu tak już jest.

Podał Gideonowi kopertę zawierającą oryginały zdjęć satelitarnych Kahuty.

- Berger będzie na ciebie czekał na płycie lotniska Ben Gurion.

- A jeżeli go tam nie będzie?

- Jedź do Technionu i przekazaj je profesorowi Newmanowi.

- Załatwione.

- Pomyślnego lotu, Amos.

Jechał na górę windą w towarzystwie dwóch Anglików, którzy omawiali duży transfer złotych sztabek. Wysiadł na piątym piętrze i poszedł przez wyłożony dywanem hol do pokoju 504.

Sprawdził korytarz, wyciągnął z kabury pod pachą rewolwer 38 o krótkiej lufie i otworzył drzwi. Nie usłyszał żadnych podejrzanych dźwięków, pchnął więc drzwi i zrobił

ostrożnie kilka kroków w głąb pokoju. Z rewolwerem w ręku sprawdził sypialnię, łazienkę, a na końcu szafy. Upewniwszy się, że pokój jest bezpieczny, schował do futerału rewolwer i zadzwonił do Zew Bergera. Rozmawiał z nim po hebrajsku, umówionym wcześniej kodem, bez wymieniania nazwisk czy nazw.

208

Narda Simone prowadziła fiata z wyjątkową pewnością pośród szaleńczego rzymskiego ruchu. Odebrała Lawforda z lotniska Fiumicino i podczas długiej podróży do miasta rozmawiała z nim na błahe tematy. Objechali Łuk Konstantyna i minęli wspaniałe marmurowe ruiny term cesarza Karakalli. Wskazując na ogromne ściany w kolorze ochry na szczycie odległego wzgórza, Tom powiedział:

- Letni pałac Nerona.

- Czy dobrze zna pan Rzym?

- Dość dobrze. To miasto nadal należy do Cezara. Bilety na niedzielne występy w Koloseum cieszyłyby się ogromnym wzięciem.

- Na jakie występy?

- Och, nie wiem. Lwy pożerające chrześcijan, pawiany sikające na westalki, gladiatorów i tygrysy, Amazonki duszące karły, wie pani, takie dobrze skrojone widowisko w trzech aktach.

Zatrzymali się na światłach przy Koloseum i Tom zapytał ostrożnie:

- Co zamierza generał?

Narda odrzuciła w tył długie włosy i wzruszyła ramionami.

- Kazano mi pana odebrać z lotniska, nic więcej. Mijali tętniące życiem, zalane słońcem uliczne kafejki wzdłuż Via Veneto i skręcili pod rotundę hotelu Excelsior. Narda dała napiwek portierowi w liberii i kazała dopilnować dostarczenia bagażu Lawforda do pokoju 507.

Pokój był jasny i przewiewny, a szeroki balkon dawał wspaniały widok na miasto.

- Mam nadzieję, że *to* pana zadowala.

- Oczywiście. Muszę się odświeżyć. Zajmie mi to chwilę. Czemu nie otworzy pani paru piw?

Kiedy Narda ruszyła w stronę minibaru, rozległ się dzwonek.

- Tak?

- *Portiere* - odpowiedział przytłumiony głos.

Narda wyjrzała przez wizjer i otworzyła drzwi. Portier o spadzistych ramionach wszedł do środka z bagażem Lawforda. Poszedł za nią do sypialni i postawił walizki na stoją-

ku.

Przez moment stał zaskoczony widokiem otwartych drzwi do łazienki i dolatującym zza nich szumem prysznica. Narda dała mu dobry napiwek, więc rozjaśnił się i zdjął czapkę.

- *Gracie, gracie mille, signorina.*

Po powrocie do salonu Narda wykręciła numer pokoju Dado, ale nie uzyskała połączenia. Czując zaniepokojenie zapaliła papierosa i odczekawszy chwilę, spróbowała znowu. Linia nadal była zajęta. Odłożyła słuchawkę, podeszła do minibaru i wyjęła dwie butelki piwa. Nalała spieniony napój do wysokich szklanek z rżniętego szkła. Wzięła jedną z nich i wyszła na balkon.

Wieczne Miasto połyskiwało w blasku słońca. Kopuła Świętego Piotra przypominała jej Kopułę na Skale w Jerozolimie. Nigdy nie rozumiała, dlaczego starożytni Rzymianie tak łatwo wyrzekli się swych pradawnych bogów i tak szybko przyjęli chrześcijańskie objawienie. Może miało to coś wspólnego z faktem, że ukradli bogów Grekom, więc przyjęli kolejną teologię bez poczucia straty. Popijając piwo westchnęła i pomyślała, że ludzie ciągle poszukują nowych bogów. Jej młodsza siostra wróciła ostatnio do Tel-Awiwu po pielgrzymce do Tybetu, gdzie szukała rady u sławnego lamy. Chociaż Żydzi mogą poszukiwać innych religii, w głębi serca, wbrew sobie, boją się straszliwego boga Jahwe.

- Ładny widok. - Głos Lawforda ją zaskoczył.

- Pana piwo jest na stole - powiedziała wchodząc do pokoju.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

- Tak? - zawołała Narda.

- Dado - odpowiedział głos z korytarza.

Wyjrzała przez wizjer i otworzyła drzwi.

Generał wszedł do pokoju, stanął i przyglądał się Lawfordowi. Przez dłuższą chwilę żaden z nich nie drgnął. Przypominali Nardzie dwa stare lwy, które kiedyś łączył moment zwycięstwa, a później poszły własnymi drogami przez dżungłę czasu, zanim znów stanęły twarzą w twarz.

Dado zbliżył się szybko do Toma i wymienili przyjazny liścisk rąk.

210

- O Boże, chłopie, nie przybyła ci ani jedna zmarszczka - skłamał Dado, ale w głębi ducha uważał, że Amerykanin postarzał się poważnie.

- Ty też. Wcale się nie zmieniłeś - oświadczył Tom równie przekonująco, myśląc jednocześnie, że generał starzeje się w przyspieszonym tempie; jego niegdyś blond włosy były siwe, a błękitne oczy straciły blask.

- Kiedy to było? - zapytał Dado.

- Październik siedemdziesiąt trzy.

- Dziewiętnaście lat - mruknął Dado, po czym rozchmurzył się. - Siadaj. Siadaj. Narda, zamów parę kanapek z kurczakiem i butelkę dobrej szkockiej. Pasuje ci? - zwrócił się do Toma.

- Świetnie.

- A jak lot?

- Ciągnął się w nieskończoność.

- Po Libii to nic dziwnego. Odwaliłeś dobrą robotę.

- To Eryka. Ona przewiozła pocztę.

Dado wytrząsnął z paczki papierosa i poczęstował Toma.

- Nie, dziękuję.

General zapalił, zaciągnął się i dmuchnął dymem w kierunku sufitu.

- Mam dla ciebie złe wiadomości - powiedział cicho. - Eryka Sperling jest ciężko ranna.

Narda gwałtownie złapała powietrze i zbladła. Lawford oniemiał.

- Ma szanse - powiedział Dado. - W tej chwili problemem jest utrata krwi i infekcja.

- Jak to się stało? - zapytał Tom.

- Kiedy zostawiła cię na Tegel, jechali za nią do miasta i przygotowali zasadzkę w Tiergarten.

- Kto?

- Libijska grupa zamachowców.

- Cholera! - wykrzyknął Tom ze złością. - Powinieneś ją chronić! Należało jej się to, co najlepsze!

Narda spoglądała to na Toma, to na Dado.

- Eryka jest doświadczonym, głęboko zakonspirowanym agentem. - Głos Dado był opanowany. - Nikt jej do niczego nie zmuszał. Zawsze działała zgodnie ze swoim sumieniem i z własnej woli. Żadna operacja nie jest na sto procent bezpieczna. Wiedziała o istnieniu ryzyka, mogła się spodziewać, że ktoś ją śledzi. Zrobiliśmy, co tylko można, żeby ją ochronić. Nikt z nas nie mógł przewidzieć, że Abu Hasi zadziała samowolnie. Osłaniali ją moi najlepsi ludzie.

Rozległ się dzwonek i Narda wpuściła kelnera.

Młody człowiek wtoczył wózek do salonu i zaczął przygotowywać miejsca. Narda szybko podpisała rachunek i wyprawiła go z pokoju. Dado otworzył butelkę szkockiej i nalał

dwie solidne szklanki.

- Nalej trzy - poprosiła Narda.

Pili w ciszy, dopóki Lawford nie zwrócił się do generała.

- Powiedz mi, co się stało.

- Landau i Penelopa jechali za Eryką od lotniska do miasta, ale ją zgubili. Libijczycy zastawili pułapkę w parku Tiergarten, niedaleko Pomnika Wojny. Było paskudnie zimno i park opustoszał. Eryce udało się pokonać jednego z napastników. To była kobieta. Eryka przejechała ją samochodem. Mężczyźni otworzyli ogień z broni automatycznej. Landau i Penelopa wykończyli zarówno ich, jak i Hasiego, ale Eryka została ciężko ranna, a Penelopa zginęła.

Narda przygryzła wargi i dołała sobie whisky.

- Landau zawiózł Erykę do szpitala Charite - ciągnął Dado. - Podają, że jej stan jest krytyczny, ale nie ulega pogorszeniu. Jest przy niej jej matka. Ma najlepszą opiekę, ale są komplikacje.

- Jakie?

- Głównym problemem jest infekcja. Ale gdyby Landau me zadziałał błyskawicznie, już by nie żyła.

- Skąd wiesz, że Abu Hasi brał w tym udział?

- Landau zabrał jego dokumenty. Zdjęcie jest identyczne z tymi, jakie mamy w naszym archiwum. Hasi był oficerem bezpieczeństwa STS. Bez wątpienia to on kazał zamordować Hickeya. Mamy powody przypuszczać, że jeden z Libijczyków, których zlikwidowaliśmy w Paryżu, był jego zabójcą.

Tom popatrzył na panoramę miasta, odwrócił się do Dado i powiedział zimnym tonem:

- To ty wystawiłeś Hickeya, prawda?

212

- Ja nadałem bieg sprawie, a Berger ustalił wszystko z admirałem.

- Ustalił? Uważasz wystawienie agenta na przynętę za „ustalenie”?

- On nie został wystawiony. Admirał zażądał, żeby Narda wynajęła firmę Hickeya do śledzenia Muellera.

- I tak pojawiła się kamuflująca historyjka.

- Zgadza się. Chcieliśmy wiedzieć, co Mueller zamierza w Waszyngtonie, dlaczego podróżuje na paszporcie dyplomatycznym Pakistanu oraz dlaczego mieszka w ambasadzie tego kraju. Jedna z odpowiedzi była na kasecie, którą nagrał Hickey - słowo martenzyt, spe-

cyjny stop potrzebny do wirówek w Kahucie. Mueller starał się kupić ten stop od pewnej firmy w Marylandzie, wykorzystując znajomości, jakie zachował z czasów pracy dla NASA. Chcieliśmy też, żeby admirał zdał sobie sprawę, jak bliskie są stosunki niemiecko-pakistańskie.

- Jednak w ogólnym planie potraktowaliście Hickeya jak narzędzie, coś bez znaczenia, środek do osiągnięcia celów.

- Nigdy nie przypuszczaliśmy, że Agencja zostawi Hickeya bez ochrony - wtrąciła Narda. - Powiedziałam to panu w Waszyngtonie. Osobiście ostrzegałam Manfrediego, że uważamy śledzenie Muellera za wysoce ryzykowne zadanie.

- Możecie mi to przedstawiać w dowolnych barwach - westchnął Tom - ale po mojemu po prostu wystawiliście Hickeya.

- Nie mogliśmy przewidzieć, że go zamordują - powiedział Dado. - Ale masz rację, wykorzystaliśmy go. Ciebie też wykorzystaliśmy. I postąpimy tak z każdym, żeby przetrwać. Co byś zrobił, gdyby twój kraj stał w obliczu atomowej zagłady?

- Oszczędź mi mowy o patriotyzmie i polityce.

- To nie ma nic wspólnego z polityką. Ja nie jestem politykiem, tylko żołnierzem. I moja sytuacja jest całkiem jasna. Następnym razem, gdy ktoś postanowi przerobić nas na mydło, zabierzemy ze sobą do wanny cały świat.

- Więc każdego można poświęcić?

- Nie podniecaj się.

- Ale z ciebie cholerny facet.

- Słuchaj, Tom... Nie zamierzam dyskutować z tobą o sprawach moralnych ani etyce. Wykonałeś zadanie. Odkryłeś położenie silosu V-5. Admirał jest zachwycony. Prawdopodobnie dostaniesz medal. Ludzie odpowiedzialni za zabicie Hickeya zginęli. Jesteś w dobrej formie - nic więcej nie da się powiedzieć.

- Dlaczego chciałeś, żebym przyjechał do Rzymu?

- Kiedy zlokalizowałeś wyrzutnie w Jarmah, nie było sensu ryzykować dłużej, że zostaniesz wykryty. Chcieliśmy, żebyś wyjechał z Berlina.

- Dlaczego nie zabraliście Eryki?

- Ona pracuje dla Kleisera. Nie mogła nagle zniknąć. Nie możemy ryzykować wzbudzania żadnych podejrzeń do momentu, gdy będziemy gotowi zaatakować Jarmah. I pozwól, że ci powiem, ale nie jesteś jedyny, który interesuje się bezpieczeństwem tej dziewczyny. Jeden z moich najlepszych ludzi zginął próbując ją chronić. Takiej kobiety jak Penelopa nie da się zastąpić. Zwerbowałem ją przed laty, kiedy jej mąż zginął w wojnie siedemdziesiątego

trzeciego roku. Penelopy też nie chronięm. Nie prowadzę agencji ubezpieczeniowej. Tu nie ma Błękitnego Krzyża. Jest błękitna gwiazda, za którą zginęły miliony. - Głos Dado drżał. - Wśród nich mój syn.

Tom patrzył przez moment na generała, po czym przeszedł przez pokój i nalał sobie drinka.

- Co się stało z Landauem?

- Zmył się nie wykryty i podrzucił policji historyjkę o narkotykach.

- Na użytek Kleisera?

Dado przytaknął.

- Eryka dostarczała mu opium, więc to prawdopodobne, że wpadła w strzelaninę między handlarzami, gdy próbowała zrobić zakupy.

- To nie zagra - powiedział Tom z naciskiem. - Fakt, że wśród innych zginął Abu Hasi, będzie dla Kleisera informacją, że strzelanina nie miała nic wspólnego z narkotykami. Dowie się, że działał ktoś z zewnątrz. Może nie Mossad, może CIA, może wywiad zachodnioniemiecki, ale Eryka jest spalona.

- Na miejscu Kleisera wiedziałbyś w tej chwili, że Eryka

Sperling to przeszłość - wyjaśnił Dado. - Cała jego operacja zbliża się do punktu zero. Musi zadbać o cholernie dużo spraw. Może zakładać, że Eryka była wtyczką, ale absolutnie nie ma powodu, żeby przypuszczać, że odkryła wyrzutnie w Jarmah. Teraz najważniejsze jest, żebyś ty utrzymał wiarygodność u Kleisera.

- Chodzi ci o artykuł? Dado potwierdził.

- Musisz zadzwonić do Kleisera. Słyszałeś o Eryce. Nigdy nie przypuszczałeś, że miała kontakty z zawodowymi handlarzami narkotyków i jesteś szokowany wypadkiem. Będzie dla ciebie bardzo uprzejmy i po krótkiej miłej rozmowie zapyta, jak się ma sprawa twojego artykułu.

- A ja powiem, że jest gotowy i lada moment złożę go do publikacji.

- Zgadza się. Potrzeba nam siedmiu dni. Głowice wyjadą z Pakistanu dwunastego. Musimy utrzymać Kleisera w przeświadczeniu, że wszystko jest w porządku, przez siedem dni.

- A co z Eryką? Jak da sobie radę z zachodnioniemiecką policją? Kiedy będzie mogła mówić, zechcą ją przesłuchać.

- Berger już się tym zajął. Zadzwonił do Manfrediego. CIA poinformowało Bonn, że Eryka Sperling pracowała nad supertajnym zadaniem dla Agencji. Inspektor Lehman z Policji Federalnej rozciągnął wokół niej ochronny parawan. Jeżeli przeżyje, zadbamy o nią do

końca życia.

Tom westchnął ciężko.

- Przypuszczam, że w tym wszystkim bohaterem jest Landau.

- On nie jest bohaterem. Zrobił to, co do niego należało, do czego go przeszkolono. Ty sam robiłeś to samo. Gdybyś był w samochodzie z Eryką, zginąłbyś próbując ją ratować.

- Cóż, nie byłem w tym samochodzie. Jestem tu - i co do cholery mam dalej robić? Pętać się po Rzymie, załatwiać sprawy z Boninim w biurze AP i czarować Kleisera czekając, aż załatwicie Jarmah?

Generał wpatrywał się przez moment w Lawforda, wypił swoją whisky i powiedział:

- Możesz zrobić coś innego.

Szli brzegiem ospale płynącego Tybru w późno popołudniowym słońcu. Dwaj mężczyźni z przeciwnych stron świata, związani spędzonym wspólnie tygodniem w ogniu walki. Słuchali huku haubic przebijającego uszy i przeraźliwego wycia rannych. Mieli różne cele, ale wzajemny szacunek leżący u podłoża ich znajomości nie został naruszony upływem czasu.

- Twój rząd chce uzyskać dane o wnętrzu Kahuty. Mój też - powiedział generał. - Możesz je dla nas zdobyć, Tom. Całą infrastrukturę, piętro po piętrze.

- Wam nie tylko chodzi o dane. Chcecie zaatakować Kahutę, zgadza się?

- Spodziewasz się, że odpowiem na to pytanie?

- Tak.

- Jak mogę to zrobić? Masz wyraźne rozkazy. Jeśli będziesz miał jakiegokolwiek podejrzenia, że Izrael zamierza zaatakować Kahutę, musisz o nich poinformować admirała.

- Będziesz musiał mi zaufać. Jeżeli mam odegrać ważną rolę, chcę wiedzieć, o co toczy się gra.

Dado przyglądał się fladze włoskiej łopoczącej na szczycie Zaniku Świętego Anioła po drugiej stronie Tybru. Stał wobec konieczności podjęcia decyzji podobnej do tych, jakie trzeba podejmować w czasie bitwy, kiedy ważą się jej losy. Błyskawicznie rozważał w myślach wszystkie za i przeciw. Lojalność Lawforda wobec Agencji była wątpliwa. Admirał wystawił Hickeya na śmierć. Landau, agent Mossadu, zgładził zabójcę. Więc może Lawford był mu coś winien. A poza tym Eryka z uporem chwytająca się życia... Oczywiście, Lawford może 'Zaradzić zamiar ataku na Kahutę, to trzeba brać pod uwagę, we teraz, kiedy Sinde zrejterował, pozostał niewielki wybór. Lawford, jako dziennikarz, nie wzbudziłby podejrzeń, gdyby zjawił się na uroczystościach z okazji Dnia Wojska w Pakistanie. Mógłby wtedy spotkać się z Bashirą i wywieźć mikrofilm.

- Zaufam ci, Tom - powiedział w końcu Dado. - Planujemy atak na Kahutę.

- Jak?

- Dane, które możesz nam przekazać, zadecydują zapewne o sposobie ataku. Tak długo, jak istnieje Kahuta, trwa zagrożenie, i to nie tylko dla Izraela. - Zrobił przerwę. - Przypuścimy, że głowica bojowa wpadnie w ręce fanatyków religijnych, jak Hezbollah, co wtedy? Pamiętasz szyickiego fanatyka, który wjechał ciężarówką wyładowaną materiałem wybuchowym do Kwatery Głównej Piechoty Morskiej w Bejrucie?

Tom skinął głową.

- Gdyby ten fanatyk miał bombę atomową, czy myślisz, że zawahałby się przed jej użyciem? Ameryka też może stać się obiektem atomowego terroru. Cóż mogę więcej powiedzieć? Potrzebuję twojej pomocy.

Lawford obudził się w południe po niespokojnym śnie, w którym prześladowały go koszmary. Śniło mu się, że znalazł się w pułapce ciemnego labiryntu tuneli w Nordhausen.

Dopiero w świetle dnia zdał sobie sprawę ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, jakie pociągała za sobą obietnica złożona generałowi.

O północy czasu rzymskiego, a o szóstej rano w Waszyngtonie, zadzwonił do admirała Dwinell, zachwycony perspektywą zdobycia mikrofilmu z Kahuty, natychmiast skontaktował się z ambasadorem USA w Rzymie i polecił dostarczyć Lawfordowi bilet lotniczy i dokumenty potrzebne do złożenia wizyty w Pakistanie. Nazwisko Toma zostanie dołączone do listy zachodnich dziennikarzy zaproszonych do Pakistanu. Podczas obchodów Salim Bas-hira przekaze mu mikrofilm.

Admirał znowu próbował się dowiedzieć, czy Tom nie ma jakichś dowodów na planowany atak Izraela na Kahutę. Lawford zaprzeczył i zgodnie z prośbą Dado nie wspomniał o 12 marca, kiedy to pakistańskie głowice bojowe zostaną dostarczone Kadafiemu.

Tom wstał i wyszedł na balkon, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Wczorajsze wiosenne słońce zastąpiły szare chmury i północny wiatr. Popatrzył na zegarek, wrócił do pokoju i zadzwonił do berlińskiego biura Fritza Kleisera. Dwukrotnie łączono go z sekretarkami, zanim usłyszał głęboki, czarujący głos w słuchawce.

- Ach, to pan, panie Lawford. Chyba czytał pan o wypadku w Tiergarten.

- Tak, byłem zaszokowany. Ta historia znalazła się na pierwszej stronie „Tribune”. Nie miałem pojęcia, że Eryka najmowała się narkotykami.

- Ja też nie.

- Czy ma pan aktualne dane o jej zdrowiu?

- Nie wolno do niej dzwonić ani jej odwiedzać nikomu poza matką. Udało mi się jed-

nak dziś rano porozmawiać z dyżurną pielęgniarką. Wygląda na to, że stan zdrowia Eryki poprawia się. Będzie potrzebować dodatkowych zabiegów chirurgicznych, ale w chwili obecnej niebezpieczeństwo minęło. Pilnuje jej policja. Najwyraźniej z niecierpliwością oczekują na rozmowę.

- Na temat narkotyków?

- Myślę, że jest w tym coś więcej niż tylko narkotyki. Austriacka turystka, która wyszła na spacer po parku, również zginęła w strzelaninie i poszukuje się jakiegoś taksówkarza. Policja chce go przesłuchać.

- To dziwne - powiedział Tom. - W artykule z „Tribune” nie ma słowa o taksówkarzu.

- Według prasy niemieckiej ten taksówkarz przywiózł Erykę do szpitala. Facet najprawdopodobniej był świadkiem całego zajścia, ale zniknął. Przedsiębiorstwo taksówkowe nie posiada danych ani samochodu, ani kierowcy. - Nastąpiła chwila przerwy, podczas której Kleiser zapalił papierosa. A przy okazji, szczęśliwie się złożyło, że postanowił pan dać artykuł do druku w Rzymie. Gdyby pan został, mógł pan być obok niej.

- Tak. Miałem szczęście.

- Rozumiem, że jest pan podenerwowany - powiedział Kleiser oględnie - i nie chcę być natrętny, ale z niecierpliwością czekam na wiadomość, czy skontaktował się pan z szefem biura AP w Rzymie.

- Prawdę mówiąc, właśnie od niego wracam. To potrwa dłużej, niż się spodziewałem. Bonini chce, żebym rozszerzył artykuł do dwóch części, które pójdą do druku w kolejne niedziele. To cholernie dużo roboty, ale też i ogromny sukces.

218

Kleiser wydmuchnął dym i zapytał:

- Kiedy pojawi się pierwsza część? - W następną niedzielę, ósmego.

- Doskonale - powiedział Kleiser i rzeczywiście tak uważał. Artykuł poprzedzi wystrzelenie V-5.

- Jak powiedziałem - ciągnął Tom - dwuczęściowy artykuł dotrze do blisko miliarda czytelników. Wydaje mi się też, że publikacją zainteresują się również inne środki masowego przekazu.

- Mam nadzieję, że potraktował mnie pan uprzejmie.

- Stwierdzi pan sam, że artykuł jest obiektywny i zgodny z prawdą.

- Niczego innego się nie spodziewam - oświadczył pojednawczo Kleiser i zapytał: - Jak długo będzie pan w Rzymie?

- Prawdopodobnie tydzień. Będę mieszkał u przyjaciół na Via Margutta.

- Cóż będę na miejscu, gdyby mnie pan potrzebował. Proszę dzwonić w razie problemów.

- Oczywiście. Przy okazji, czy byłby pan tak uprzejmy i dopilnował, żeby Eryce przesłano ode mnie bukiet kwiatów?

- Z przyjemnością.

Tom wyłączył się i zadzwonił do recepcji.

- Proszę mi przygotować rachunek. Wyjeżdżam dzisiaj.

- Oczywiście, panie Lawford. Właśnie przyniesiono dla pana paczkę z ambasady USA. W tej chwili wysyłam ją na górę.

Rozdział trzydziesty piąty

Kleiser przez chwilę z zadowoleniem kołysał się na krześle, po czym spojrzął na fotografię zakrwawionej twarzy Abu Hasiego z pierwszej strony gazety. W nagłym porywie złości zmiął gazetę i wyrzucił ją do kosza. A więc libijski agent przeprowadził akcję przeciw Eryce.

Strzepując popiół z cygara, Kleiser pomyślał, że jednak musi uczciwie przyznać, iż w oskarżeniach formułowanych przez Hasiego było ziarenko prawdy. Kiedy przyjrzeć się dokładnie faktom dotyczącym wczorajszej strzelaniny, trzeba wyciągnąć wniosek, że Erykę osłaniał zespół zawodowców.

Sprawa narkotyków jest oczywistym wymysłem, kamuflażem sfabrykowanym przez policję. Zasadzka w Tiergarten była nieudolną próbą porwania Eryki, zorganizowaną przez Hasiego. Zastrzelona Austriaczka i poszukiwany taksówkarz niewątpliwie pracowali dla jakiejś agencji wywiadowczej. *Fraulein* Sperling została wprowadzona do jego firmy przed laty. Pracowała albo dla BND, albo dla CIA, albo dla Mossadu. Wszystko wskazywało na wywiad zachodniemiecki, ale ponieważ te trzy agencje współpracują ze sobą w pewnych sprawach, nie można mieć pewności.

Nieważne, pomyślał. Poza nim nikt w STS nie znał dokładnie lokalizacji silosu w Jarmah. Oczywiście, miejsce to było znane Kadafiemu i szefowi pakistańskiego kontrwywiadu oraz grupie inżynierów-rezydentów. Pojawiały się tam również karawany wędrujących Tauregów, którzy korzystali z wody ze źródła W oazie Jarmah, ale nieprawdopodobne wydawało się, by Eryka zdołała nawiązać kontakt z kimś w tym zamkniętym kręgu. Mogła spowodować przeciek pewnych informacji dotyczących działalności STS do prasy czy BND, ale nie było cienia szansy, żeby udało się jej zlokalizować wyrzutnie V-5. Nawet wysoko wykształ-

cony, doświadczony amerykański dziennikarz dał się nabrać na próbę silników w Abu Najajim. Kleisera najbardziej martwiło to, że Eryka wiedziała o jego niezwykłych upodobaniach do opium i kobiet, chociaż pocieszał się myślą, iż to ona zapewniała mu i jedno, i drugie.

Nie... nie ma powodów, żeby podejmować jakieś dalsze działania przeciwko *Fraulein* Sperling. Jeżeli istotnie nadużyła jego zaufania, to było to gorzkie osobiste rozczarowanie, ale obecnie panna Sperling jest bez znaczenia. Wkrótce ukaże się Artykuł Lawforda. Zmontowana V-5 jest w drodze do Jarmah, pułkownik Kaddafi podpisał wypłatę siedmuset milionów dolarów.

Walter Diehl pojechał nadzorować tankowanie i uzbrajanie rakiety. Staruszek ma doświadczenie i wszelkie kwalifikacje, by kierować procedurą startową. Godzina zero jest już bardzo blisko.

Kleiser obrócił się na krześle, zauważył, że zaczął sypać drobny śnieg, i pomyślał, że dobrze byłoby pokazać się na narciarskich trasach St. Moritz rankiem trzynastego. Był szczyt sezonu zimowego i w szwajcarskim uzdrowisku muszą go zauważyć. Trzeba pogodzić się z faktem, że w pewnych kręgach podejrzania padną na STS, ale jeżeli artykuł Lawforda jest rzeczywiście obiektywny, jeżeli napisał zgodnie z prawdą sprawozdanie z tego, co widział, słyszał i sfotografował, trudno będzie komukolwiek połączyć STS z atomowym zniszczeniem Tel-Awiwu i Hajfy. Jest ze dwadzieścia zasobnych finansowo organizacji terrorystycznych, z których każda teoretycznie mogła zdobyć głowice bojowe. W ciągu ostatniej dekady atomowy klub znacznie się rozrósł i nabycie bomby przez fanatycznych wrogów syjonistycznego państwa nie jest wymysłem pozbawionym logiki.

Kleiser z zadowoleniem kołysał się na krześle. Genialnie zatarł za sobą ślady i należała mu się rozrywka. Wziął prywatny notes z telefonami i zaczął wertować kartki. Może Szwajcarki, bliźniaczki... Co zrobił z ich telefonem? Otworzył szufladę biurka i zobaczył wykonane przez Hasiego zdjęcia Eryki spacerującej z Elke Hauser po Tiergarten. Widok zagadkowej twarzy modelki obudził w nim złe przeczucia. Patrząc na zdjęcie pomyślał, że jeżeli Hasi miał rację, iż *Frauleinn* Hauser rzeczywiście jest kurierem, wtedy możliwe, że infiltracja STS była głębsza, niż przypuszczał.

Zatrzasnął szufladę, rozwścieczony narastającą paranoją podejrzeń. Wchodził na te same ruchome piaski, których ofiarą stał się Hasi. Musi opanować nerwy. Zatarł wszystkie ślady i nic, co miałoby znaczenie, nie wyszło na jaw. Spotkanie z Kadafim, strzelanina w parku i zbliżające się odpalenie V-5 wywoływały w nim stan podniecenia. Koniecznie potrzebował nocy odprężenia i ucieczki - ucieczki, jaką mogą dać jedynie opium i chętne na wszystko młodzieńskie dziewczyny.

Rozdział trzydziesty szósty

Pięćset pięćdziesiąt mil na południe od Trypolisu, w pobliżu oazy Jarmah, olbrzymi transportowy McDonnell Douglas C-17 wylądował na pustynnym twardo ubitym pasie startowym. Samolot przebył większość z dwudziestu tysięcy stóp pasa, zanim zatrzymał się i umilkły zewnętrzne silniki. Następnie zawrócił i pokołował powoli w stronę platformy samochodowej wyposażonej w dźwig.

Grupa mężczyzn w ubraniach koloru khaki i lustrzanych okularach stała za samochodem i czekała, aż samolot się zatrzyma.

Tylna sekcja samolotu została otwarta i na pustynny grunt opuszczono podjazd. Walter Diehl podszedł do oczekujących i uścisnął rękę szefowi ekipy. Zamienili kilka słów i przystąpili do przenoszenia wysokiej na sześćdziesiąt stóp wielostopniowej rakiety V-5 z luku bagażowego samolotu na platformę samochodową.

Kiedy zakończono przeładunek, Diehl podniesieniem kciuka dał znak załodze C-17. Dwa wewnętrzne silniki ożyły.

Potężny transportowiec odkołował na początek pasa startowego, jego załoga zaś sprawdzała wskazania zegarów. Pracowały już wszystkie cztery silniki. Kiedy wskazówki przesunęły się na zielone pole, pilot zwolnił hamulce, pchnął dźwignie przepustnic do przodu i samolot potoczył się po pasie startowym.

Stojący obok platformy samochodowej Diehl patrzył, jak C-17 znika na bezchmurnym niebie. Staruszek czuł, jak żar słońca pali go w plecy i przez chwilę cieszył się luksusem suchego ciepła. Artretyczne bóle, które dokuczały mu w Monachium, zniknęły na pustyni. Uważał to za ironię, że bezkresna różowa pustynia miała być sceną jego największego triumfu.

Za pięć dni z Islamabadu nadejdzie wieloładunkowa głowica nuklearna. Gdy tylko ją zamontują, rozpocznie się napełnianie zbiorników ciekłym paliwem i odliczanie. Lot V-5 z wyrzutni Jarmah do celów w Izraelu potrwa osiemnaście minut. Kiedy rakieta osiągnie pułap w stratosferze na wysokości czterdziestu mil, głowice odłączą się i zaczną opadać na cel, naprowadzane zaprogramowanym systemem żyrokompasowym. Tel-Awiv i Hajfa znikną w grzybie radioaktywnego pyłu osiem sekund po pierwszym wybuchu.

Diehl wszedł do kabiny ciągnika i pokazał libijskiemu kierowcy, żeby ruszał. Platforma przejechała trzysta metrów i zatrzymała się na krawędzi okrągłego zarysu, który wyglądał jak wypalony kawałek pustyni.

Diehl powiedział kilka słów do mikrofonu radionadajnika wysokiej częstotliwości i

chwilę później wycie syren zakłóciło panującą wokół ciszę.

Koło otworzyło się i podzieliło na dwie wypukłe połowy, które cofnęły się w ukryte szczeliny. Ludzie stojący na płycie wyrzutni wyjechali na górę z podziemnego silosu w oślepiające światło słońca. Operator dźwigu uniósł V-5 z platformy samochodowej, a załoga szybko i fachowo zamontowała ją na wyrzutni.

Diehl wspiął się na platformę i dał znak głównemu inżynierowi. Znów odezwała się syrena i podstawa wyrzutni powoli zagłębiła się w ciemny, chłodzony powietrzem silos. Wypukłe połówki pokrywy zamknęły się nad dziurą w pustyni.

Rozdział trzydziesty siódmy

Generał major Ayub Murrani, szef Biura Kontrwywiadu Pakistanu, nalegał, żeby spotkanie odbyło się w Ministerstwie Obrony w Lahaur. Murrani nie lubił pozbawionych charakteru północnych miast Islamabad i Rawalpindi, i taką samą niechęcią darzył przesiąknięty biedą położony na południu port Karaczi. Żeby myśleć, medytować, rozważać zawile problemy, człowiek potrzebuje estetycznej oprawy. Lahaur łączyło w sobie dostojność radzów z czasów brytyjskich z zamożnością architektury czasów dynastii Mogołów. Było perłą wśród miast Pakistanu, i gdyby nie znajdowało się na granicy z Indiami, z pewnością zostałoby stolicą.

Sekcja wywiadu mieściła się w pałacu Mogołów z szesnastego wieku, z marmurowymi, przestronnymi i pełnymi powietrza salami. Murrani często myślał, że ten kompleks biurowy pasowałby idealnie naukowcom i poetom.

Był człowiekiem o delikatnych, drobnych, patrycjuszowskich rysach, ale jego wygląd bardzo zwodził. Ludzie, którzy zadarli z szefem wywiadu, w dziwny sposób znikali. Murrani przetrwał i przechrzył starszego Bhutto, jego następcę, fanatycznego Zia i później ambitną córkę Bhutto. Sprawował rzeczywistą władzę zza tronu, a wpływ jego urzędu na kręgi wojskowo-przemysłowe, które rządziły krajem, był ogromny. Murrani wyróżnił się we wszystkich trzech wojnach, jakie Pakistan prowadził z Indiami. Jego agenci przeniknęli do Rady Rewolucyjnej Beludżystanu, kiedy w prowincji tej trwała rewolta, i zdołali zdziesiątkować jej przywódców, przeprowadzając serię zamachów.

Absolwent Cambridge, doktor nauk politycznych, wykazywał zamiłowania artystyczne. Napisał i opublikował trzy tomiki poezji, kiedy jeszcze był studentem. Choć dokonał wielu zabójstw przeciwników politycznych, nie czerpał satysfakcji z morderstwa i uważał premedytację za akt intelektualnego bankructwa. Na pewno wolałby przechadzać się po Ogrodach Sha-

limar i medytować nad niezwykłą harmonią przyrody.

Murrani czuł pogardę dla Kadafiego, ale wiedział, że długotrwałe porozumienie atomowe Pakistanu z libijskim dyktatorem jest psychologiczną i finansową koniecznością. Układ ten dawał miliardy dolarów i gwarantował, że Pakistan przekształci się w supermocarstwo porównywalne z Indiami.

Siedząc za biurkiem o marmurowym blacie, Murrani czekał, aż, służący poda herbatę trzem mężczyznom, znajdującym się w pokoju.

Doktor I. Q. Khan, dyrektor pakistańskiego Centrum Badań Jądrowych, był wybitnym fizykiem i oddanym patriotą. Murrani nie miał wątpliwości co do niezłomności charakteru doktora Khana.

S. M. Abassi, szef Wydziału Specjalnego Służby Bezpieczeństwa Wewnętrznego, był również człowiekiem o nieposzlakowanej opinii.

Szef sztabu, generał Afzal Rahman, był ogromnym mężczyzną, którego długa kariera stanowiła wspaniały przykład

Odwagi i patriotyzmu. Istniały jednak niepotwierdzone informacje, że Rahman używa opium.

Murrani włożył amerykańskiego papierosa w cygarniczkę z kości słoniowej.

- Panowie - powiedział - siły wewnętrzne oddziałujące na Pakistan są liczne i niebezpieczne. Nie dość, że otaczają nas potężni sąsiedzi, to jeszcze w samym kraju - Murrani spojrział na szefa Służby Bezpieczeństwa Wewnętrznego - rozrasta się podziemie kryminalne podobne do raka, które bogaci się na handlu opium. Od czasu rozejmu w Afganistanie staliśmy się ofiarą afgańskich terrorystów, szkolonych i uzbrajanych przez Rosjan. Część tych lewicowych partyzantów działa w północno-zachodniej prowincji, niebezpiecznie blisko Kahuty, i szczerze mówiąc, obawiam się sabotażu.

- Zapewniam cię - odrzekł Abassi - że środki bezpieczeństwa w Kahucie są wyjątkowe. Nasze centrum jest nie do zdobycia.

Murrani patrzył przez moment na Abassiego, a następnie zwrócił się do doktora Khana:

- Kiedy zamierza pan przekazać głowice naszym libijskim braciom?

- Reaktor Kahuty zostanie wyłączony o północy dwunastego marca. Wieloletnia głowica jądrowa będzie gotowa do wysyłki tego samego dnia po południu.

- A co z transportem?

- Samolot wojsk lotniczych poleci bezpośrednio z Islamabadu na pas startowy w Jarmah.

- Jakie są szanse przechwycenia tego samolotu?
- Żadne - wtrącił generał Rahman. - Latamy tą trasą od lat.
- A więc nie ma żadnego zagrożenia Kahuty i jej okolic. Również wysyłka głowic jest bezpieczna. - Murrani wzruszył ramionami. - W takim razie nie mamy się czym martwić.

Doktor Khan kręcił się nerwowo na krześle, aż wreszcie powiedział:

- Muszę zwrócić uwagę, że zabezpieczenia nie chronią nas przed wypadkiem.
- Co ma pan na myśli, doktorze?
- Kiedy uruchomi się reakcję łańcuchową, istnieje pewne niemożliwe do wyeliminowania ryzyko, że nastąpi stopienie rdzenia.
- Czy w Karmacie wykorzystano wszelkie znane środki ochrony?
- Absolutnie.
- Cóż, w takim razie nie ryzykujemy bardziej niż inne kraje, korzystające z energii atomowej, zgadza się?
- Tak, oczywiście.
- Możemy więc zakończyć konkluzją, że wypadki leżą w rękach Allacha, bezpieczeństwo zaś pozostaje w naszych.
- Pozwoli pan, że raz jeszcze potwierdzę, iż nie zostawiliśmy nic przypadkowi - zapewnił Abassi.

Murrani strząsnął popiół z papierosa i spojrzał na jaskrawy blask słońca zalewający werandę. Pozostali mężczyźni przyglądali się mu w skupieniu z nerwowym oczekiwaniem, zdawali sobie bowiem sprawę z tego, że szef wywiadu nie oderwał ich od obowiązków tylko po to, by usłyszeć wiadomości, możliwe do przekazania przez telefon.

Po nieznośnie długiej przerwie, Murrani wstał i popatrzył na nich.

- Nie chcę nikogo obrazić, ale przypominam sobie, że parę lat temu, w lutym osiemdziesiątego ósmego, słyszałem podobne zapewnienia o środkach bezpieczeństwa zastosowanych w składzie amunicji w Islamabadzie. Dwa miesiące później cały magazyn eksplodował, trzystu żołnierzy zginęło, a tysiące ludzi zostało rannych. Straty materialne przekraczały dwieście milionów dolarów.

Generał Rahman odchrząknął i powiedział:

- Po wszechstronnym śledztwie ustaliliśmy, że wybuch był spowodowany samozapłonem w czasie przenoszenia pocisków moździerzowych.

- Tak - przyznał Murrani. - Widziałem raport. Tego samego lata, w osiemdziesiątym ósmym, prezydent Zia i pracownicy sztabu generalnego zostali rozerwani na strzępy podczas wybuchu samolotu. Czy to też był wypadek? - Pytanie zabrzmiało jak oskarżenie. Murrani

wiedział, że śmierć prezydenta nie była spowodowana wypadkiem, ponieważ sam zorganizował umieszczenie bomby z zapalnikiem czasowym na pokładzie samolotu. Późną jesienią 1991 roku doprowadził do wyboru na prezydenta Ahmada Ghaziego, nad którym miał całkowitą kontrolę.

Szef Służby Bezpieczeństwa Abassi przerwał męczącą ciszę.

- Nigdy nie uzyskano ostatecznych dowodów, że tamten wypadek był wynikiem sabotażu.

- Może, ale wygląda na to, że nękają nas wypadki. Dwa tygodnie temu osiemnastu robotników spłonęło w fabryce broni, kolejny wypadek? - Murrani spojrzął na ogrody za oknem, po czym odwrócił się i chłodnym tonem powiedział: - Czy uważacie, panowie, że nasz zmarły kolega Farheed Shah, też miał wypadek w paryskim hotelu. A niemiecki specjalista raketowy Brunner? Czy Heinrich i Mueller zginął przypadkowo pod kołami tramwaju? - Powiódł wzrokiem po obecnych w gabinecie. - Wszystkie te wypadki są bezpośrednio związane z dostawą naszych głowic bojowych Kadafiemu. W miarę zbliżania się do odpalenia rakiety zagrożenie dla Kahuty i wyrzutni libijskiej wzrasta.

- Z czyjej strony? - zapytał Abassi. Murrani machnął ręką.

- KHAD, Mossadu, KGB, CIA, Biura Indyjskiego, jakie to ma znaczenie? Naszym celem jest zabezpieczenie się przed katastrofalnym w skutkach atakiem na Kahutę.

- Cóż - powiedział Rahman - jedno zagrożenie zewnętrzne możemy pominąć. Izrael nie jest w stanie przeprowadzić ataku lotniczego z Tel-Awiwu na Kahutę, jest poza zasięgiem ich F-16 i F-15.

- Mogą wystartować z Indii - skontrował Murrani. Od granicy Indii do Kahuty jest tylko kilka minut.

- Rząd indyjski nigdy nie pozwoli Izraelczykom tu wykorzystanie lotnisk - upierał się Rahman. - Indie nie utrzymują nawet oficjalnych stosunków z Izraelem, a poza tym zdają sobie świetnie sprawę z tego, że moglibyśmy wykonać kontratak na ich instalacje atomowe w Delhi.

Murrani przytaknął i zwrócił się do Abassiego:

- Chcę, żeby mi pan dostarczył wydruk komputerów z danymi o wszystkich pracownikach Kahuty, od sprzątaczek po fizyków; komplet informacji: wykształcenie, pochodzenia etniczne, rodzina, miejsce urodzenia, zarobki, domy, mieszkanie, stan cywilny, zboczenia, narkotyki, jakiegokolwiek aresztowania, choćby nawet z najbardziej błahych powodów. - Również o technikach zagranicznych?

- O wszystkich.

Na moment zapadła cisza. Później Murrani odezwał się ciepło:

- Dziękuję, panowie, za czujność i braterstwo. Doktor Khan wstał, zawahał się, ale w końcu zapytał:

- Czy ma pan jakieś podejrzenia, że Izrael zaatakuje Kahutę?

- Naród, który zdołał przetrwać pięć tysięcy lat nieustannych prześladowań, zasługuje na mój szacunek.

Rozdział trzydziesty ósmy

- Pięć dni... - mruknął premier. W bladym świetle jego twarz była popielata.

Dado Harel i Zew Berger siedzieli w gabinecie premiera przy dużym okrągłym biurku. Berger palił, a Dado pił słodką turecką kawę - kofeina pomagała mu zachować czujność. Od powrotu z Rzymu zdołał jedynie zdrzemnąć się kilkakrotnie. Oczy miał podkrążone, jego policzki zaś pokrywał kilkudniowy siwy zarost. Kursował między Kwaterą Główną Lotnictwa na pustyni Negew a Centrum Dowodzenia Marynarki Wojennej w Hajfie i od czasu do czasu przeprowadzał konsultacje z profesorem Yuvałem Newmanem w porcie Ejlat nad Morzem Czerwonym. Newman nadzorował montaż supertajnego wyposażenia na zardzewiałym dwudziestopięcioletnim greckim frachtowcu.

- Pięć dni... - powtórzył ponuro premier.

- Damy radę - zapewnił Dado. - Mamy wielki dług wobec Eryki Sperling.

- Jakie są prognozy co do jej zdrowia? - zapytał premier.

- Zespół operacyjny uważa, iż są szanse na uratowanie lewej nogi - odpowiedział Berger. - Jej twarz wymaga-

228 dalszych operacji chirurga plastycznego, ale to młoda i silna dziewczyna, więc powinna z tego wyjść.

- Mamy nie mniejsze zobowiązania w stosunku do Toma Lawforda - dodał Dado. - W tej chwili jest w drodze do Pakistanu.

- Czy mam rację sądząc, że admirał nadal nie ma pojęcia o naszych planach ataku na Kahutę?

- Wie tylko, że Lawford odbierze dokładne dane o infrastrukturze Kahuty.

Premier wypił trochę maślanki i zapytał Bergera:

- Jaki jest stosunek admirała do ataku na Libię?

- Jest gotów do całkowitej współpracy. Agencja wyposażyła nasze dowództwo lotnicze w numeryczne fotografie wszystkich zasadniczych celów w Libii. Zdjęcia te wykonu

amerykański satelita KH-11.

- Jak się fotografuje podziemny silos?

- Kamery KH-11 uchwyciły zarys koła w piasku pustyni przy oazie Jarmah - wyjaśnił Dado. - To koło jest pokrywą, która rozsuwa się tak, jak każdy inny podziemny silos rakietowy.

- Czy możemy dostać się do wnętrza silosu?

- Nasze F-16 zostaną wyposażone w bomby naprowadzane kamerą wideo. Ładunek wybuchowy został tak dobrany, że przebijie pokrywę silosu. Druga fala zrzuci bomby stalowe o czasowym zapalniku. Kiedy zapalą się podziemne zbiorniki paliwa, w silosie rozszałe się piekło.

- Czy głowica bojowa V-5 nie zdetonuje?

- Profesor Newman w to wątpi.

- Mam to tutaj - powiedział Berger przekładając papier. - To od Newmana. „Implozja masy atomowej zależy od precyzyjnie dobranej detonacji konwencjonalnego ładunku wybuchowego wewnątrz głowicy w celu kompresji rdzenia uranowego w nadkrytyczną masę wybuchową...” - Berger podniósł wzrok znad dokumentu. - Co oznacza, że wybuch zewnętrzny lub pożar same z siebie nie spowodują wybuchu atomowego.

- Dlaczego proponujesz dokonać ataku na całe wybrzeże Libii? - Premier zwrócił się do Dado. - Dlaczego nie przeprowadzić jednego, dokonanego z chirurgiczną precyzją ataku na Jarmah?

- Z kilku powodów: ten atak będzie zapłatą za dwadzieścia lat terroryzmu, finansowanego przez Libię, a operacja o takim zasięgu będzie ostrzeżeniem dla Bagdadu, Damaszku i Rijadu. Mamy również nadzieję, że atak na Libię w pewien sposób ukryje uderzenie na Kahutę, które nastąpi pięć dni później, mniej więcej w tym samym czasie, gdy Rada Bezpieczeństwa ONZ będzie nas potępiać za atak na Libię.

- Muszę coś powiedzieć - wtrącił Berger. - Nie mam nic przeciwko uderzeniu na Libię, ale chcę, żeby zaprotokołowano, iż sprzeciwiam się operacji przeciwko Kahucie. Kiedy Jarmah ulegnie zniszczeniu, po co mamy zajmować się Pakistanem?

- To cholernie samolubne pytanie! - warknął Dado. Jego oczy błyszczały z wściekłości. - Ty określiłeś Kahutę mianem głowy węża. A może się myłę?

- Nie - powiedział spokojnie Berger - ale to było jakiś czas temu. Uważam, że atak na Libię będzie wystarczającym ostrzeżeniem dla Pakistanu i ze względów politycznych uderzenie na Kahutę jest nie do przyjęcia.

- Uważasz? Kim do cholery jesteś, żeby wydawać takie sądy? Nawet gdybyśmy prze-

szkodzili Pakistańczykom w wywiązaniu się z ich zobowiązań wobec Libii, nic nie powstrzyma ich przed dostarczeniem głowic nuklearnych Irakowi lub Syrii. Tak długo, jak istnieje Kahuta, Izrael stoi w obliczu zagłady atomowej.

- W każdym razie - premier zwrócił się do Bergera - Dado zapewnił mnie, że zniszczenie Kahuty będzie wyglądało na wewnętrzny wypadek, na kolejny Czarnobyl.

- Jaką mamy gwarancję? - zapytał Berger.

- Wierzę, że plan się powiedzie.

Ale jeżeli się mylisz, cały świat bezwzględnie nas potępi upierał się Berger.

- Świat? Świat? - Dado wałnął pięścią w stół. - Jaki pieprzony świat? Ten sam świat, który przymykał oczy na rzeź dwóch milionów żydowskich dzieci? We wszystkich alianckich nalotach ani jedna bomba nie została zrzucona na którykolwiek z trzynastu hitlerowskich obozów zagłady. Nie zniszczono ani jednej zwrotnicy. Pociągi wciąż jechały. Dzień i noc. W deszczu. W śniegu. Wokół szalała wojna, a pociągi z całej Europy jechały wprost do komór gazowych. Wiedział Stalin. Wiedział Churchill. Wiedział Roosevelt. Wszyscy wiedzieli. Ale nikogo to nie obchodziło. Ani wtedy, ani teraz. Przed kim mamy się usprawiedliwiać? Przed Żydami, którzy sobą gardzą? Przed własnymi samorodnymi teologicznymi faszystami? Przed tymi przerażonymi Izraelczykami, którzy opuścili nasz kraj, żeby prowadzić taksówki w Nowym Jorku? Arabofilami ze środków masowego przekazu? A może przed tymi intelektualistami, którzy określają nas mianem nazistów? Komu zawdzięczam nasze zniszczenie? Czy masz zaniki pamięci, Berger? Czy zamknąłeś księgę historii? Ci sami naziści, którzy kierowali pociągi do komór gazowych, są w tej chwili o krok od doprowadzenia do naszego unicestwienia. Kiedy Pakistan wypróbował bombę, czy ktoś pytał o nasze zdanie? Lada chwila słońce może spaść na nasze ulice, a ty martwisz się o cały świat, który ledwie nas toleruje. Co tu jest do cholery do myślenia? - Generał złapał oddech i zwrócił się do premiera. - Nie mam już czasu, Zvikah. Przywiozę Yuvala Newmana, który wyjaśni szczegóły operacji przeciwko Kahucie.

Dado wyszedł trzaskając za sobą drzwiami. Berger zapalił następnego papierosa i przez moment ciężko kaszłał. Premier podał mu szklankę wody.

- Za dużo palisz, Janusz.

- Przepraszam. Powinienem wiedzieć... że nie wolno mu się przeciwstawiać. Jest doskonałym żołnierzem i patriotą. Ale jego motywacja wynika z mentalności człowieka obozów i doprowadzi nas na skraj otchłani.

- Nie. Mylisz się. Robią to inni - powiedział premier i zmęczony usiadł. - Chcę, żebyś dał mi słowo, że będziesz z nim współpracował w każdej dziedzinie.

- Masz je. Ale to musi trafić do akt: Dado jest niebezpieczny, pała żądzą zemsty za „Sześć Milionów”. Chodzi własnymi drogami i nikomu nie wierzy.

- A czego się spodziewałeś? Każde dziecko, które było świadkiem nie kończącego się strumienia ludzi płynących do gazu i krematoriów, nigdy nie uwierzy ani ludziom, ani Bogu. Ty czy ja nie zrozumiemy jego gniewu. - Premier nalał sobie maślanki. - Podzielim twoje wątpliwości co do operacji przeciwko Kahucie. Jeżeli nam się nie powiedzie, opinia światowa pogrzebie nas żywcem. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale naród musi dokonywać wyboru. Mogę powiedzieć tyle: plan Dado jest genialny i jeżeli zostanie wykonany z powodzeniem, wszystko będzie wskazywać na to, że Kahuta została zniszczona na skutek wypadku. Nie ma powodu, by świat zakładał, że Pakistan jest odporny na wypadki w atmosferze. Jak dotąd, przy takiej czy innej okazji, każde państwo wykorzystujące energię atomową przeżyło jakiś związany z nią wypadek.

Berger wstał.

- Możliwe, że atak da się przeprowadzić bez znacznych strat w ludziach, bez skutków ubocznych, bez błędu. Ale istnieje groźba niepowodzenia i dziki koń wychodzi na wolność. A nawet gdy cała operacja zakończy się powodzeniem, kiedyś i tak prawda wyjdzie na jaw. Zawsze ktoś puści farbę.

- Pewnie masz rację. Ale cóż możemy zrobić? Tak żyjemy. Nie czas teraz na biadolenie. Podjęto decyzję i chcę, żebyś zapewnił Dado wszelką pomoc, jaką możesz dać. Zostało pięć dni... pięć dni do otwarcia się silosu w Jarmah. I jeżeli atak flą Libię zakończy się niepowodzeniem, sprawa Kahuty pozostanie problemem akademickim, ponieważ nas już nie będzie.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Izraelski port Ejlat od jordańskiego portu Akaba dzieli mniej niż piętnaście mil lazurowej wody. Chociaż oba kraje znajdowały się w stanie wojny, to jednak respektowały świętość obu portów. Ta polityka neutralności podyktowana była obustronnymi interesami handlowymi. Zatoka Akaba wychodzi w Morze Czerwone i stanowi wrota do rynków dalekowschodnich. Poza tym piaszczyste plaże, opalizujące wody i tropikalny klimat zapewniają obu krajom całoroczny sezon turystyczny, przynosząc miliony w twardej walucie.

232

Ejlat podzielony jest na trzy wyraźne strefy: Południowe Dowództwo Marynarki Wojennej z własnymi nabrzeżami i infrastrukturą, nabrzeża handlowe i pasażerskie oraz obszar

turystyczny z bulwarami, plażami i hotelami.

Athenian Queen stała zakotwiczona w suchym doku sekcji handlowej portu. Dwudziestopięcioletni frachtowiec wyglądał jak karzeł pomiędzy gigantycznymi tankowcami, wyładowującymi paliwo zakupione przez izraelskie Ministerstwo Energetyki na wolnym rynku w Amsterdamie. Państwowe zbiorniki podziemne były rozlokowane w strategicznych punktach i zawsze wypełnione po brzegi, gotowe obsługiwać machin, wojenną, która mogła ruszyć w każdej chwili.

Zdolna pomieścić dwadzieścia pięć tysięcy ton ładunki. *Athenian Queen* miała sześćset stóp długości i sześćdziesiąt stóp szerokości w trawersie. Odpadała z niej farba, a pokład był zaśmiecony pozostałościami dawno zapomnianych ładunków. Z tylnej ładowni i przedniego pokładu rozlegało się walenie młotów, syk palników acetylenowych, szczęk przecinaków i wzmocnione głosy wydające rozkazy. Nieprzydatny do niczego frachtowiec zarejestrowany pod bandera grecką w szybkim tempie uzyskiwał nowy śmiercionośny charakter.

Kadłub pokrywano obrobioną chemicznie powłoką antyrefleksyjną, co utrudniało wychwycenie statku przez radary dalekiego zasięgu. Najnowocześniejsze anteny radaru AN-TPD-37 przyśrubowano do stalowego słupa wysoko nad mostkiem. Elektroniczne numeryczne skanery dopplerowskie i urządzenia zakłócające zainstalowano obok komina. Do elektronicznego systemu żyrokompasowego włączono globalni system określania pozycji, najbardziej precyzyjny jak dotąd system radionawigacji. Przestarzałe silniki parowe frachtowca zastąpiono turbinami Mercedes Benz pozwalającymi na osiągnięcie prędkości trzydziestu węzłów. Mostek wyposażono w loran, sonar i superczułą konsolę radionadajnika wysokiej częstotliwości Mitrek.

Generał Dado Harc] przesunął okulary słoneczne na czubek głowy i wszedł na mostek, gdzie znajdowała się grupki Matty Alona. Smagły Alon, który w marynarce wojennej Izraela miał stopień komandora, zgłosił się na ochotnika na dowódcę wyprawy. Był wielokrotnie odznaczanym bohaterem trzech wojen i kiedyś, służył w elitarnej jednostce SOD. Starannie dobrał załogę, jego ludzie byli nie tylko wysoko kwalifikowanymi marynarzami, ale również mówili po grecku i arabsku.

Alon i jego główny nawigator, Yossi, stali pochyleni nad planszą, na której zaznaczono planowaną trasę z Ejlatu do tajnego punktu o czterdzieści mil na południowy wschód od Karaczi na Morzu Arabskim. Omawiali azymuty, długości i szerokości geograficzne, minuty, stopnie, pływy, prądy i związane z porą roku kierunki wiatrów. Ostateczną prognozę meteorologiczną trasy mieli otrzymać w nocy, przy opuszczaniu portu.

Alon rzucił ołówek i skinął głową na Dado, który wyszedł za nim na pomost nawiga-

cyjny.

W kącikach „oczu Alona usadowiły się drobne zmarszczki. Drapał się dłonią po kilkudniowym zarostzie. Jego głos był głęboki i pełen autorytetu.

- Na południowym krańcu Morza Czerwonego przechodzimy przez cieśninę Bab el-Mandeb. Z mostka można splunąć do Jemenu. Musimy wyglądać niewinnie, bo mogą nas spostrzec wschodnioniemieccy piloci na Migach 25. Trzeba Uważać zwłaszcza tam i przy Ras Ramera.

- Czemu mieliby się nami interesować? Jesteśmy greckim frachtowcem, który płynie na małym zanurzeniu po wyładowaniu transportu aluminium w Akabie. Na dowód mamy jordański manifest.

- Dokumenty mogą pomóc, kiedy misja zostanie zakończona. Ale bardzo dobrze zdajesz sobie sprawę z tego, że nie możemy dopuścić do przeszukania na morzu.

- Rozumiem, Matty. Nie wydaje mi się jednak, żeby południowojemeńskie Migi miały zainteresować się takim starym frachtowcem jak ten.

— Może i tak, ale kiedy wypłyniemy na Morze Arabskie i minimy Oman, przepływamy obok brytyjskiej bazy morskiej Masira. Brytyjska marynarka wojenna uzupełnia patrole omańskiej straży przybrzeżnej.

- Będziemy na wodach międzynarodowych.

- Ale i tak mogą nas zatrzymać.

234

- Więc powiemy im cześć. - Dado ścisnął ramię Alona. - Jesteśmy greckim frachtowcem w drodze do Kalkuty. Pajęczyna zmarszczek w kącikach oczu Alona zaznaczyła się wyraźniej, kiedy burknął:

- Czułbym się lepiej, gdybyśmy zainstalowali baterię dział Quad 40.

- Nie. To by znaczyło większą załogę, więcej maskowania, a gdyby zatrzymała nas fregata, nawet działa Quad nic nie pomogą. Poza tym będziemy mieli obok łódź podwodną *Dolphin*.

Alon popatrzył na Dado z niedowierzaniem.

- Na pewno?

- Tak. Zichroni to załatwił. *Dolphin* spotka nas niedaleko Juwary, na południe od bazy brytyjskiej.

- Musimy wypłynąć między drugą a trzecią nad ranem, żeby być na wysokości Karaczi w świetle przedświt i uniknąć wykrycia przez satelitę.

- Ile dni potrzeba na dotarcie na miejsce?

- Bez niespodzianek... przy spokojnym morzu... pięć i pół - powiedział Alon, spoglądając na pobliskie nagie wzgórze Jordanii. - Co z dokumentami?

- W przygotowaniu. Greckie paszporty, dowody osobiste, prawa jazdy, zaświadczenia o szczepieniach, listy z domu, zdjęcia rodzinne, waluta.

- Kiedy wypływamy?

- Gdy tylko nadejdą zdjęcia.

- A jeżeli Lawford nawali?

- To ruszamy bez nich. Newman będzie musiał ustalić trajektorię.

Alon wpatrywał się w szeroki pas plaży o pół mili dalej.

- Patrz, Dado, Szwedki opalają się, jeżdżą na nartach wodnych, uprawiają surfing, pływają na żaglówkach.

- Pomagają nam utrzymać obraz desperackiego spokoju. - Desperackiego czy nie, chciałbym być na plaży z tymi Szwedkami.

- Co byś z nimi robił?

- Cóż mógłbym robić na tym etapie życia? Patrzyłbym i snuł marzenia. - Alon uśmiechnął się i klepnął Dado po ramieniu. - W porządku. Sprawdźmy jeszcze raz sprawy personalne. Mamy profesora Newmana i trzy osoby jego personelu. Jest dwóch pilotów, nawigator z obsługi Ospreya i moja załoga złożona z osiemnastu osób. W sumie dwadzieścia pięć.

- Dwadzieścia sześć. Zapomniałeś o mnie.

- Czy premier wie, że zamierzasz być na pokładzie?

- Dowie się. Ile jeszcze czasu potrzebujesz?

- Siedemdziesiąt dwie godziny.

Dado udał się na rufę i zszedł po drabinie pod pokład. Potrzebował chwili, żeby oczy przywykły do światła roboczych, zasilanych z niewielkiego generatora. Kiedy mijał pomieszczenie wielkości sali gimnastycznej, w uszach dudnił mu hałas młotów pneumatycznych, którymi wycinano kwadratowe otwory w betonowej podstawie platformy podnoszonej hydraulicznie.

- Profesor Newman nadzorował zespół specjalistów z dziedziny aeronautyki, którzy siedzieli przy konsoli komputerowej, wyposażonej w gmatwaninę wskaźników i wielokolorowych, podświetlanych przycisków. Na ekranie projekcyjnym widać było koncentryczną pajęczynę globalnej sieci geodezyjnej, w której środku znajdowała się Kahuta. Numeryczny wyświetlacz u dołu ekranu pokazywał dane: szerokość geograficzna 33.38 północna, długość geograficzna 73.27 wschodnia.

- Mapa gnomoniczna - wyjaśnił Newman. - To, co widzisz, to dane celu. Teraz popatrz tutaj. - Wydał polecenie technikowi obsługującemu komputer i mapa zniknęła, zastąpiona natychmiast serią zdjęć Kahuty, które rozpoczynały się od wysokości 150000 stóp i w odstępach po 10000 stóp powiększały się do rozdzielczości trzech stóp, tak że odpryski betonu na kopule reaktora wyglądały jak wyraźny relief. - Przetrasponowaliśmy fotografie z Sojuza-TM-6 na moduły geometryczne i wprowadziliśmy je do pamięci Jerycho - wyjaśnił Newman. - Kiedy system naprowadzania za-blokuje się na celu, nic nie sprowadzi go z wcześniej zaprogramowanego kursu.

Newman wziął generała pod ramię i zaprowadził do ogromnej platformy hydraulicznej, pokrytej płytami stali.

236

- Ramię podtrzymujące zostanie przyspawane do tych zamocowanych śrubami płyt.

- A Jerycho?

- Gdy zostanie zmontowane, zafunduję ci wycieczkę z przewodnikiem. - Po chwili milczenia zapytał: - Kiedy otrzymam potrzebne mi zdjęcia infrastruktury Kahuty?

- Jeżeli dopisze nam szczęście, jutro wieczorem. Muszę przyznać, że nigdy do końca nie pojąłem ich znaczenia. Wydawało mi się, że Jerycho wykona zadanie niezależnie od rozkładu Kahuty.

- Zgadza się, z technicznego punktu widzenia. Ale do zniszczenia celu przy ograniczeniu skażenia radioaktywnego do wnętrza, potrzebne mi jest dokładne rozpoznanie strukturalne. Nie mam zamiaru wysadzić w powietrze północno-wschodniego Pakistanu. Ten atak musi być precyzyjny jak zabieg chirurgiczny. Dlatego tak wielkie znaczenie mają te zdjęcia. Chodzi nam o to, żeby spowodować implozję, która pogrzebie Kahutę pod jej własnymi gruzami. Jeżeli będę zmuszony do zgadywania, Jerycho może uwolnić potwora. - Spojrzał na zegarek. - Chodź na pokład. Już prawie pora.

Ich oczy zwężyły się w blasku słońca, gdy spojrzeli w stronę, z której dochodził dźwięk obracającego się wirnika helikoptera.

- Co z atakiem na Libię? - zapytał Newman.

- Czwartek, godzina 04.00.

- To ryzykowne wyliczenie. Przypuśćmy, że Pakistan dostarczy głowicę dzień wcześniej. Co wtedy?

- Mamy nadal margines bezpieczeństwa. Trójstopniowa rakietka na paliwo ciekłe wymaga czterdziestoosmiodziesięciu godzin odliczania.

- Kto ci to powiedział? - Ty.

- Mogłem się mylić. Moi inżynierowie od spraw napędu mogli się mylić. Być może Niemcom udało się skrócić procedurę napełniania rakiety paliwem.

- Co więc radzisz?

- Przyspieszyć. Zaatakujcie Jarmah we wtorek. Da się to zrobić?

Dado skinął głową.

- Chłopcy Arika są gotowi od tygodnia.

Helikopter wylądował na nabrzeżu i łopaty wirnika zwolniły.

Chodź. Przyleciała nasza taksówka - powiedział Newman. - Co powiemy premierowi?

- Prawdę.

- Pakistan to zupełnie inna sprawa niż operacja w Libii - ostrzegł Newman. - Kahuta może przerodzić się w niewyobrażalną katastrofę.

- Premier jest silnym człowiekiem. Rozumie ryzyko.

Kiedy schodzili po trapie, palce Dado zacisnęły się na ramieniu Newmana.

- Kiedy mówię, powiedz mu prawdę, mam na myśli prawdę w rozsądnych granicach.

Wysoko na mostku kapitan Matty Alon podniósł lornetkę i oglądał jordańską część zatoki. Przesuwał lornetkę powoli, badając zbżowiałe wzgórza, i nagle zatrzymał się, gdyż zobaczył coś, co wyglądało jak odbicie słońca w soczewce lunety o dużej rozdzielczości skierowanej na *Athenian Queen*.

Trzymał lornetkę nieruchomo i regulował ostrość, dostrajając obiektyw o dużej sile powiększenia do oczu, ale na zboczu wzgórza nie odkrył nic poza stale obracającymi się antenami radaru skierowanego na Ejlat.

Rozdział czterdziesty

Tom Lawford otworzył okiennice. Do pokoju wpadł chłodny wiatr niosący ze sobą leciutki zapach deszczu. Tom przyglądał się koronkowemu wzorowi świateł wytyczających alejki w ogromnym parku i ogrodzie zoologicznym naprzeciw hotelu. Za parkiem, na wschodzie, dostrzegał bursztynową poświatę wokół oświetlonej wieży meczetu Badashi i labirynt kolorowych lampek opasujących różowy fort Lahaur. Miejsca w Wyglądały dokładnie tak, jak przedstawiał je przewodnik, który Lawford kupił na rzymskim lotnisku; przynajmniej na odległość. Chciałby być tu jako turysta, i żeby Eryka... Z zamyślenia wyrwał go grzmiący ryk i przypomniał sobie, że recepcjonista powiedział, że w nocy można usłyszeć głosy karmionych w zoo lwów.

Telefon zadzwonił głośno serią podwójnych sygnałów.

- Przepraszam, że się spóźniam, panie Lawford. - W głębokim barytonie pobrzmiwał wyraźny brytyjski akcent. - Zamówiłem stolik w salonie muzycznym.

- Ma pan na myśli bar?

- Nie... Chodzi mi o salon. W hotelu Faletti, podobnie jak we wszystkich hotelach w Pakistanie, nie ma barów. Będę siedział przy stoliku pomiędzy marmurowymi słoniami.

Salon udekorowany był ze wschodnią elegancją, której nie było widać w ponurym holu. Na ścianach wisiały wspaniałe gobeliny, a kosztowne orientalne dywany zaścielały podłogę. Pośrodku pomieszczenia znajdowało się atrium z żywymi palmami sięgającymi witrażowego sufitu.

Goście rekompensowali sobie brak alkoholu nadużywaniem tytoniu. W półmroku jarzyły się papierosy i cygara, chmury dymu zaś wirowały ku obracającym się powoli wentylatorom.

Salim Bashira ubrany był w garnitur z szarego kingu, ciemnoniebieską koszulę i krawat w kolorze kasztanów, Lawford natomiast wystąpił w zamszowej marynarce zarzuconej na niebieską koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Gdy tak siedzieli w chybottliwym świetle świec, zacienieni z obu stron przez pięknie rzeźbione marmurowe słonie, wyglądali na dziwną parę. Na ich stoliku paliła się tylko jedna świeca. Bashira rozejrzał się dookoła i niedbałym ruchem przestawił kryształowy świecznik na sąsiedni wolny stolik.

- W świeczniku jest zwykle podsłuch. Ulubione urządzenie Biura Kontrwywiadu generała Murraniego - wyjaśnił Bashira, przyglądając pofalowane, srebrzyste włosy. - Mikrofon kierunkowy może być skierowany na nas z kilku różnych stron, ale cóż, jak się to mówi, trzeba wreszcie wskoczyć do wody. Niech pan spróbuje herbaty. Zawiera korzeń żeń-szenia.

- Czy nie uważa się go za afrodyzjak?

- Tak się mówi - uśmiechnął się Bashira. - Przekonałem się, że pobudzanie zmysłowe jest chyba najbardziej subiektywną emocją człowieka. Ktoś może oglądać najbardziej obrazową pornografię i nie czuć nic. Mnie, od czasu do czasu, los daje błogosławieństwo w postaci kobiety, której uśmiech mógłby wywołać erekcję u zawiniętej w bandaż mumii. Rozwiązanie tej zagadki tkwi chyba w mózgu. Czy zgodzi się pan ze mną?

- Nie jestem autorytetem w tych sprawach. Uśmiechnięte kobiety zawsze przynosiły mi pecha.

- Czy jest pan żonaty?

- Tak.

- Jak dotąd udało mi się uniknąć tych więzów. Wydają mi się przedsięwzięciem nienaturalnym i beznadziejnym. - Bashira zamilkł na chwilę. - Ale skoro mówimy o kobietach,

mam dla pana wiadomość od wspólnych przyjaciół. Kobiecie, która miała ostatnio wypadek, najwyraźniej nie grozi już niebezpieczeństwo. Musi jednak zostać poddana chirurgicznemu zabiegowi rekonstrukcyjnemu. Powiedziano mi, że ta wiadomość będzie dla pana jasna.

- Jest.

- Czy mogę panu zadać osobiste pytanie?

- Oczywiście.

- Jest pan Amerykaninem. Chrześcijaninem. Nie ma pan szczególnych zobowiązań wobec Izraela. Dlaczego naraża się pan na ryzyko?

- Jestem dziennikarzem. Zakłada się, że interesują mnie takie sprawy... Nie interesowały mnie od dawna. Czy taka odpowiedź zadowala pana?

- Jest zwięzła - powiedział Bashira, otworzył platynową papierośnicę i poczęstował Toma cienką, ciemną cygaretką.

- Nie powinienem, ale zapalę.

Bashira wyciągnął z marynarki wysmukłą butelkę.

- Remy-Martin - powiedział i nalał po okazałym łyku do filiżanek po herbacie. - Najlepiej będzie, jeśli zostanie pan dziś wieczorem w hotelu. Jedzenie jest znośne, ale do picia tylko herbata. Niech pan w żadnym wypadku nie pije wody z kranu i nic z kostkami lodu. Żadnych surowych owoców i nie gotowanych jarzyn. Nie możemy paść ofiarami duru brzuszego.

- Dziwne. - Tom rozejrzał się wokół. - Siedzimy w barze, gdzie nie wolno pić alkoholu, a ludzie zabijają, się paleniem.

- Kaprysy islamu - stwierdził Bashira i ściszył głos. - Podczas prezydenckiego przyjęcia znajdzie się pan w samym centrum elity wojskowej i politycznej Pakistanu - śmietanki Pendżabu zgromadzonej dla uczczenia Święta Wojska. Będzie tam też reprezentatywna, międzynarodowa grupa dziennikarzy, zjawią się ambasadorzy z żonami lub kochankami, ambasador Włoch z obydwiema. Muzyka będzie typowa dla Pakistanu, tak jak i jedzenie. W sumie pewnego rodzaju farsa, ale proszę pamiętać, że nie tylko pan jest pracownikiem wywiadu. Niech pan uważa w luźnych rozmowach. Najlepiej uśmiechać się i przytakiwać.

Bashira zamilkł, gdy wysoka, piękna kobieta w czerwono-żółtym sari przechodziła obok wsparta na ramieniu niskiego saudyjskiego szejka.

- Niech pan spojrzy, panie Lawford. Ta kobieta ma twarz Madonny i chód kurwy za pięćdziesiąt rupii. Przepraszam za tę dygresję. - Zawiesił na moment głos. - W odpowiednim momencie poproszę pana o papierosa. Pogrzebie pan w kieszeniach i poprosi mnie o zapaliki. Jeżeli będę miał towar, dam panu pudełko zapalek. Mikrofilm będzie przyklejony po we-

wewnętrznej stronie pudełka. Jeżeli nie otrzymam towaru, powiem, że przykro mi, ale nie mam zapalek.

- Załóżmy, że da mi pan zapalki, jak wyjadę z kraju? Bashira położył na stole dwieście rupii i powiedział: - Chodź, chłopcze. Przejdziemy się po parku, żeby pobudzić apetyt na obiad. - Myślałem, że jest pan umówiony.

- Jestem. Muszę spotkać się z szefem wywiadu Murranim. Muszę przekazać mu raport na temat postępu w sprawie przesyłki stopu o podstawowym znaczeniu, który nazywa się martenzyt.

- Czy tę nazwę literuje się jako martenzyt?

- Tak. A dlaczego pan pyta?

- To słowo było na taśmie, którą nagrał mój zamordowany przyjaciel.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Generał Murrani studiował listę pracowników Kahuty, na której obok nazwisk postawiono czerwone znaczki. Okna były otwarte i pokój wypełniał słodki zapach jaśminu. Od czasu do czasu szef wywiadu prosił swojego doradcę o dokładny życiorys którejs z zaznaczonych osób. Zajmowali się tym cały dzień, przeczesując długą listę urodzonych za granicą techników. Różne wykroczenia popełnione przez osoby, których nazwiska wyróżniono, były drobne: prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu, użycie narkotyków, niewielkie kradzieże i chuligańskie wybryki, wszystkie popełnione w krajach, z których pochodzili. Było też jedno zdarzenie, które wywołało rzadki u Murraniego uśmiech rozbawienia. Belgijski fizyk przeszedł nagi przez całą długość Simplon Express od wagonu klubowego do turystycznego. Po kilku takich spacerach kierownik pociągu dopadł wreszcie ekshibicjonistę i pod groźbą aresztowania zamknął go w swoim przedziale. Murrani zastanawiał się, czy Belg ma zapięty rozporek, gdy zajmuje się materiałem radioaktywnym w Kahucie.

Uśmiech zniknął z twarzy Murraniego, kiedy zaczął przeglądać listę pakistańskich pracowników Kahuty. Na czerwono podkreślono pięć nazwisk: inżynier elektryk został zatrzymany za napastowanie szesnastoletniego chłopca. Tylko interwencja byłego dyrektora Farheed Shaha zapobiegła aresztowaniu. Wyższej rangi chemik został sfotografowany przez tajną policję w towarzystwie człowieka podejrzanego o współpracę z afgańskim wywiadem. Dokładne śledztwo wykazało, że był to jedynie zbieg okoliczności. Facet został mu przedstawiony przez uciekiniera z Afganistanu, profesora - kolegę po fachu. Dwaj dalsi pracownicy zostali oskarżeni o okazjonalne zażywanie opium, co jest wykroczeniem pozbawionym zna-

czenia. Nic w ich aktach nie wskazywało na wrogie działania.

Piąte nazwisko zainteresowało Murranego. Należało do młodego fizyka, którego referencje pozwalały na swobodne poruszanie się po całym kompleksie Kahuty - od sali reaktora na poziomie pierwszym do sali przetwarzania plutonu na poziomie piątym. Fizyk ten był bezpośrednim asystentem

Farheed Shaha, a obecnie spełniał podobne funkcje przy boku I. Q. Khana. Ten sam młody fizyk był świadkiem nawodnej próby nuklearnej. Czerwony znaczek postawiono przy nazwisku doktora Jamila Tukhalego wyłącznie z powodu miejsca jego urodzenia - odległej wioski w powstańczej prowincji Beludżystan. Było niewiarygodne, że ktoś urodzony wśród prymitywnego plemienia mógł wznieść się na takie wyżyny technicznej doskonałości, tylko dzięki talentowi. W Pakistanie Tukhalemu nie wystarczyłyby wybitne zdolności, potrzebowałyby poparcia - poparcia na wysokim szczeblu.

Murrani odchylił się w tył na krześle i klepał linijką o dłoń. Mieszkańcy Beludżystanu nigdy nie dali krajowi nic poza zbrojnymi zamachami i opium, jak to możliwe, że taki talent wywodzi się z tak zacofanego środowiska? W aktach Tukhalego nie było nic o przestępczej działalności, ale jego sukces kłócił się z jego pochodzeniem. Rząd centralny prowadził długą, niewdzięczną wojnę przeciw kochającym wolność mieszkańcom Beludżystanu i było całkiem możliwe, że rodzina Tukhalego ucierpiała od wojsk rządowych.

Murrani zawołał swojego asystenta.

- Kapitanie Meidan.

- Tak, proszę pana? - Młody oficer podniósł głowę znad akt.

- Czy to pan osobiście dokonał podkreśleń na liście pakistańskich pracowników Kahuty?

- Takie miałem rozkazy.

- Czy ma pan pod ręką ich akta?

- Oczywiście, proszę pana.

- Niech mi pan znajdzie akta doktora Jamila Tukhalego. Kapitan przebiegł palcem po alfabetycznym wydruku i wyciągnął arkusz.

- Znalazłem.

- W jakiej wiosce urodził się Tukhali?

- Bughti, w pobliżu Quetta. Wioska została zniszczona przez artylerię i bombardowanie lotnicze w listopadzie siedemdziesiątego ósmego na zakończenie powstania w Beludżystanie.

- Mówi pan, zniszczona?

- Zniszczona i opuszczona, proszę pana.

- Niemożliwe - odpowiedział Murrani. - Byłem w tej wiosce. Towarzyszyłem prezydentowi Zia podczas jednej z jego podróży politycznych w tamten rejon. Wioska Bughti jest grupą pastelowych domków z gipsu, ma czyste ulice, szkołę i, co zaskakujące, szpital prowadzony przez hinduskiego lekarza.

- Ale, proszę pana, zgodnie z naszymi danymi Bughti było jedną z osiemnastu wiosek spalonych napalmem do gołej ziemi.

- Cóż, jeżeli pamięć nie płata mi figła, ta wioska została odbudowana.

- Nie mamy żadnych danych o odbudowie przeprowadzonej przez rząd.

- Niech pan zadzwoni do Khattaka w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Niech się pan dowie, kto zapłacił za odbudowę wioski i kiedy rozpoczęto prace.

- Jakie to ma znaczenie, proszę pana? Chciałem powiedzieć, jaki to ma związek z doktorem Tukhalim?

- Może nie ma, może ma? Kafelki są tylko kafelkami, dopóki nie ułoży się z nich mozaiki. Słyszał pan kiedyś o szpitalu w małej wsi Beludżów? Szpitalu, kapitanie! Zastanawiałem się nad tym, kiedy przejeżdżaliśmy przez tę wioskę z prezydenckim orszakiem. Pomyślałem jednak, że szpital jest jednym z wielkopańskich gestów prezydenta Zia.

Młody oficer odchrząknął.

- Przepraszam pana, ale nadal nie widzę...

- To proste, kapitanie - przerwał mu Murrani. - Jeżeli rząd zostawił wieś w ruinie i nie finansował odbudowy, to kto to zrobił? I dlaczego? Szpital, kapitanie, cholerny szpital w tym zawszonym plemiennym szambie!

Odezwął się dzwonek konsoli telefonicznej i Murrani wcisnął przycisk.

- Salim Bashira - zapowiedziała sekretarka.

Murrani podniósł słuchawkę.

- Salim, przyjacielu. Mamy zarezerwowany stół w Kawloon za piętnaście minut.

- Mam raport w sprawie przesyłki martenzytu.

- Zaczekaj z tym do obiadu. Oczekuję po tobie dobrego zachowania. Przy deserze przyłączą się do nas dwie damy.

- Będę czekał z niecierpliwością.

244

Murrani odłożył słuchawkę, wyszedł na werandę i przyglądał się, jak robotnicy rozwieszają lampiony i ustawiają stoły bankietowe w leżącym poniżej oficjalnym ogrodzie. Elektrycy ustawiali kolorowe reflektory wokół licznych fontann i marmurowych kaskad.

Przyjęcie z okazji Święta Wojska już teraz zapowiadało się wspaniale, ale Murraniego nękało dziwne uczucie zbliżającego się nieszczęścia. Coś nie pasowało. Jakiś kafelek był źle ułożony i mozaika traciła blask. Libijski morderca Hasi zginął podczas strzelaniny w Berlinie, w którą zaangażowana była osobista sekretarka Kleisera, *Fraulein*, Sperling. Według zachodniemieckiej policji, zastrzelona została również austriacka turystka. Zniknął gdzieś taksówkarz. Farheed Shah i Szwed zostali zastrzeleni w Paryżu. Brunnera i Muellera zamordowano. A teraz szpital w rodzinnej wiosce Tukhalego. Murrani westchnął, myśląc, że może niepotrzebnie się martwi. Wieloładunkowa głowica bojowa jest w drodze z Kahuty do Jarmah. Za mniej niż czterdzieści osiem godzin Tel-Awiw i Hajfa przestaną istnieć. Wypełnione zostanie historyczne porozumienie Pakistanu z Kadam. Państwo syjonistów zostanie unicestwione, a jednocześnie nikt nie będzie mógł wskazać palcem na Pakistan. Kadam będzie się puszył jak paw, stroił w piórka i odgrywał rolę, jaką przypisał mu Allah, ale Pakistan pozostanie z dala od podejrzeń. Przecież nie wystrzelono stąd rakiety ani nie zdetonowano żadnej bomby.

Logiczna analiza zdarzeń uciszyła niepokój nękający Murraniego. Nabrał głęboko w płuca pachnące jaśminem powietrze i uspokoił myśli. Dziś wieczorem będzie się bawił. Bashira jest dobrym kompanem, a Bengalki są zawsze interesujące.

Rozdział czterdziesty drugi

Wysoki pisk czternastu tysięcy obracających się wirówek rozdzierał bębni uszu techników, którzy sprawdzali pręty paliwowe bombardujące neutronami basen reaktora. Wiążące się miedziane rury prowadziły radioaktywny łańcuch do obracających się wirówek, w których oddzielano izotopy plutonu od wzbogaconego uranu.

Powyżej poziomu posadzki spadochroniarze patrolowali pomost roboczy okrążający wielką kopułę Kahuty. Specjalnie wyszkolone oddziały wartowników rozsypane były w wachlarz na poziomie pierwszym i jeździły w górę i w dół windami, tak by ich obecność była wyczuwalna. Nie umundurowana tajna policja pilnowała inżynierów, fizyków i techników komputerowych podczas wykonywania delikatnych zadań.

Stojący na pomoście obserwacyjnym doktor I. Q. Khan i doktor Jamil Tukhali spoglądali w dół na apokaliptyczne świadectwo potęgi nauki pakistańskiej.

- Trzysta wirówek wyłamało się z łożysk o 3.14 rano - powiedział Tukhali. - Nigdy nie udało się nam utrzymać produkcji na poziomie możliwości.

- Właśnie gdy o tym mówimy, Salim Bashira jest w trakcie kupowania dwóch tysięcy obudów łożysk z martenzytu - odpowiedział Khan.

- Przepraszam, ale pracując tutaj, słyszałem to już wielokrotnie.

- Bashira dokonywał dla nas cudów w przeszłości i dokona ich znowu.

- Kiedy spodziewamy się otrzymać te obudowy?

- Za cztery dni zamykamy reaktor w celu wymiany paliwa. Łożyska martenzytowe mają nadejść, zanim wznowimy działanie.

Dioda ściennego telefonu zapaliła się i zaczęła mrugać. Tikhali podniósł słuchawkę, wymienił z rozmówcą po drugiej stronie kilka słów i powiesił słuchawkę na miejscu.

- Dzwonił kontroler Mehta. Prosi, żeby pan obejrzał głowicę przed zapakowaniem.

Wysiedli z windy na poziomie piątym, minęli magazyn zawierający ołowiane trumny z plutonem i weszli do ogromnej hali zalanej ostrym światłem. Ściany, podłoga i sufit wykonane były z błyszczącej miedzi wystarczająco grubej, by uniemożliwić przeciek plutonu.

246

Wysoki mężczyzna w białym fartuchu, białych rękawiczkach i masce z gazy na twarzy stał obok trzech podobnie ubranych, techników. Patrzyli na stożkową głowicę bojową o wymiarach sześć na trzy stopy, która spoczywała na pasie transportowym, na którego końcu duża drewniana skrzynia czekała na śmiertcionośny ładunek. Głowica posiadała wystarczającą siłę wybuchu, by unicestwić wszystko w promieniu pięciu mil - ponad dwa razy więcej niż bomba zrzucona na Hiroszimę.

Kontroler zdjął maskę i zwrócił się do doktora Khana.

- Zakładam, że wewnętrzny system naprowadzania i dane komputerowe zostaną wprowadzone na wyrzutni przez niemieckich techników.

- Zgadza się.

- Mając to na uwadze, pomyślałem, że może pan chce osobiście sprawdzić pakiet detonatora przed zamontowaniem.

- Został sprawdzony, przetestowany i prześwietlony. Proszę kontynuować montaż i wysyłkę.

Rozdział czterdziesty trzeci

Ciemnoczerwona kula wstawała nad horyzontem, podświetlając sylwetki ludzi i maszyn zgromadzonych wokół pakistańskiego C-17. Ogromny transportowiec wylądował po czterogodzinnym locie z Rawalpindi do Jarmah. Stojąca pionowo na rampie bagażowej wieloładunkowa głowica nuklearna wystawała z drewnianej skrzyni. Na przeciwnym końcu pasa startowego czekał gotowy do lotu odrzutowiec Lear Kleisera.

Grupa spadochroniarzy libijskich w zielonych mundurach i czerwonych beretach przedstawiła śmiercionośną skrzynię na przenośnik rolkowy samolotu. Przeładunek prowadzono z na maszczeniem. Żołnierze unikali dotykania stożkowej głowicy, jak gdyby sam dotyk ludzkiej ręki mógł spowodować wybuch. Wysięgnik dźwigu samochodowego ustawiono nad przenośnikiem w oczekiwaniu, aż żołnierze ustawią skrzynię na stalowych linach rozłożonych na pustyni.

Doktor Fritz Kleiser i Walter Diehl obserwowali przeładunek wraz z grupą młodych niemieckich techników, których zadaniem było zamontowanie głowicy na szczycie V-5.

Niemal religijna cisza panowała wśród ludzi obserwujących, jak spadochroniarze przesuwały skrzynię cal po calu po rolkach transportera. Tę błogosławioną ciszę przerwał nagle trzask zakłóceń w odbiorniku radiowym, po którym nastąpił krótki wybuch arabskich słów. Żołnierz obsługujący krótkofalówkę podszedł do dowodzącego oficera, który podskoczył do mikrofonu, podał krótką odpowiedź ustalonym wcześniej kodem i wyłączył się. Następnie wydał rozkaz i oddział stanął na baczność.

Na północnej stronie nieba pojawiła się odległa iskierka, która zbliżając się przybierała kształt groteskowego pasikonika. Ogromny radziecki helikopter MI-24 obniżył lot, skręcił ostro na wschód i zawisł w czerwonym świetle. Powoli lądując wzbijał wirnikiem gęsty тумan tańczącego piasku.

Drzwi kabiny otworzyły się i na ziemię opuszczono drabinkę przypominającą akordeon. Sześć kobiet w maskujących mundurach o wzorze sierści geparda, z bronią automatyczną w dłoniach, zeszło po schodach i stanęło na baczność.

Kilka sekund później pojawił się Kaddafi, ubrany w białą szatę. Przeszedł obok swych niemieckich kolegów, nie kiwnąwszy nawet głową. Oficer spadochroniarzy zaszalutował, ale Kaddafi zignorował ten gest szacunku. Zdjął lustrzane okulary i przyglądał się głowicy. Objął rękoma jej stożkowate boki i pochylił głowę w modlitwie. Lekki wiatr pojękiwał w wyschniętych korytach rzek i zakłócał panującą wokół namacalną ciszę.

Po dłuższej chwili Kaddafi podniósł głowę i spojrzął na odległy słup piachu unoszący się nad pustynią, który przysłaniał słońce. Chmura piasku to dobry omen. Palec boży przesłania słońce tak, jak ta bomba zniszczy drapieźnych syjonistów.

Bez słowa czy gestu skierowanego do kogokolwiek Kaddafi wrócił do helikoptera. Kobiety-żołnierze podążyły za nim i składane schodki wciągnięto do środka. Drzwi kabiny zamknęły się i zablokowały. Rozległo się wycie silników i łopatki wirnika nabrały prędkości, wzbijając tumany kurzu. MI-24, niczym prehistoryczny latający owad, uniósł się, nabrał wysokości, skręcił ostro na północ i zniknął.

Wskazując na rosnący komin piachu, pakistański pilot C-17 wychylił się przez okienko kabiny i krzyknął na libijską obsługę. Oficer spadochroniarzy odpowiedział machnięciem, ręki, a jego ludzie szybko zawiesili wysoką na sześć stóp skrzynię na linach dźwigu. Głowica została podniesiona, przeniesiona nad platformę samochodową i opuszczona w ręce czekających niemieckich techników. Liny zdjęto i platforma ruszyła w stronę podziemnego silosu.

Na końcu pasa startowego samolot Kleisera zwiększył obroty. Przekrzykując hałas, Kleiser zapytał Diehla, na którą godzinę przewiduje start rakiety.

- Na szóstą pięćdziesiąt - odkrzyknął Diehl - mniej więcej za czterdzieści osiem godzin od tej chwili.

Kleiser skinął głową.

- Gdyby się coś działo, znajdziesz mnie w hotelu Pałace w St. Moritz.

- A Lawford?

- Wrócił do Waszyngtonu. Artykuł został złożony. Rozmawiałem z szefem biura AP w Rzymie, który przedstawił mi jego treść. Lawford popiera nasze poszukiwanie pomocy finansowej u Kadafiego i stwierdza, że jeżeli Libia w niewłaściwy sposób wykorzysta naszą rakietę, to w żadnym wypadku; nie będzie to nasza wina. Pierwsza część ukaże się w prasie światowej w niedzielę.

- Martwią mnie powiązania *Fraulein* Sperling z Mossadem. Kleiser spojrzał na starszka z przelotnym lekceważeniem.

- Eryka nie pracowała dla Mossadu. Podstawiła ją zachodnioniemiecka Policja Federalna.

- Skąd to wiesz?

- Inspektor Lehman zamknął sprawę. Eryka pracowała dla Bundeswehry.

Pakistański C-17 zwiększył obroty i podobny do wieloryba samolot zaczął kołować.

- Muszę lecieć! - krzyknął Kleiser.

Mężczyźni uścisnęli się i Kleiser pobiegł w górę po schodkach, które natychmiast podniesiono i zamknięto drzwi odrzutowca.

Diehl wsiadł do jeepa i pojechał za chmurą kurzu wzniesioną przez platformę przewożącą głowicę.

Libijscy spadochroniarze wsiedli do jeepów i skierowali się w cień oazy Jarmah.

Samolot Kleisera pomknął po pasie i wzbil się w jaśniejące niebo. Kilka sekund później C-17 przetoczył się z rykiem po prowizorycznym pasie, wyciskając pełną moc ze wszystkich czterech silników. Wolno pokonał siłę ciężenia i uniósł ogromny czub w niebo.

Przywódca Tauregów wyłonił się z gaju palmowego oazy Jarmah i patrzył na odległą

chmurę wirującego piasku. Gestem ręki pokazał grupie Beduinów wyposażonych w miotły, że ich praca nie będzie już potrzebna, by ukryć ślady na pasie startowym przed uważnym okiem krążących po orbicie satelitów. Nadchodząca burza piaskowa zatrze wszelkie ślady zostawione przez samoloty i pojazdy na pustyni.

Rozdział czterdziesty czwarty

Dwa F-16 pomalowane na kolory piasku i zieleni przetoczyły się nad pustynią, przecięły wąski łańcuch górski i odleciały nad Morze Śródziemne.

- Dowódcy grup - wyjaśnił dowódca lotnictwa Carmil. - Jutro chłopcy złożą Kadafiemu pamiętną wizytę.

Stali na tarasie obserwacyjnym poniżej anten radarowych na wieży kontrolnej.

- Przeprowadzamy pięćdziesiąt lotów dziennie: F-15 odbywają ćwiczenia walki powietrznej, a F-16 ćwiczą bombardowanie z małej wysokości. Chodź, Dado. Zanim się ściemni, chcę ci coś pokazać.

Zeszli po spiralnych stalowych schodkach i podeszli do jeepa, w którym obok kierowcy siedziała Narda. Usiedli z tyłu. Kierowca ruszył i pognął obok obsługi naziemnej, pracującej przy samolocie cysternie C-135. Na końcu lotniska zwolnił i wjechał do ogromnego hangaru.

W ciemnościach stał samotny, zalany światłem punktowca F-16, który wyposażono w szeroki asortyment rakiet bojowych, rakiet świetlnych, pojemników na urządzenia elektroniczne i bomb. Generał Carmil oprowadził Dado wokół lśniącego samolotu. Narda słuchała, co mówił, ale nie rozumiała dziwnej litanii słów takich, jak Sparrow, Sidewinder, Popeye, MK-82 Snakeye, Amraam, głowice Orpheus Recce, rakiety SUU-25, wykrywacze fal radarowych Wild Weasel, żyroskop, ekran wertykalnego radaru pokładowego, komory paliwowe czy odrzucane zbiorniki.

Dado i Carmil oglądali F-16 z pełnym podziwu szacunkiem, z jakim na ogół patrzy się na bezcenne dzieła sztuki.

W tym momencie Narda zrozumiała, co jest tragedią tego narodu: obiektem czci Izraelczyków stał się amerykański myśliwiec.

Po obiedzie Narda i Dado dołączyli do dwustu żołnierzy w podziemnej sali, gdzie generał Carmil prowadził ostatnią odprawę przed operacją „Czerwona Pustynia”. Podczas gdy każda grupa miała swoje własne zadania, wszystkie pięć atakujących dywizjonów zdawało sobie sprawę z pełnego zakresu i zadań misji. Każdy pilot znał wykaz celów od Trypolis do

Benghazi.

Wybrzeże libijskie zostało podświetlone na ogromnym ekranie. Wszystkie cele oznaczono kolorowym kodem i migającymi światłami: obozy szkoleniowe terrorystów, rafinerie ropy, lotniska, miejsca koncentracji czołgów, fabryki gazów trujących, instalacje radarowe, baterie rakiet i małe centrum atomowe Tajury. Kolorem jaskrawopomarańczowym zaznaczono podziemny silos rakiety Y-5 w Jarmah. Carmil przypomniał skoordynowane rozplanowanie czasu w mającej nastąpić przed świtem akcji komandosów i okrętów raketowych Kończąc poprosił o zabranie głosu generała i Harela.

Lotnicy byli bardzo młodzi, ale znali życiorys człowieka, który stanął przed nimi. Generał Dado Harel był częścią izraelskiej mitologii wojskowej. W jego budzącej szacunek postaci widzieli odbicie burzliwej historii państwa. Po raz pierwszy zdarzyło się, że szef super tajnego Wydziału Operacji Specjalnych przybył, żeby do nich przemówić, i czuli się tym zaszczytzeni.

Dado czekał, aż zapanuje całkowita cisza, zanim przemówił.

- Wszyscy zebrani w tej sali reprezentujecie tradycję odwagi i doskonałości. Jesteście odbiciem narodu na niebie, linią frontu Izraela. Jesteście najlepsi wśród nas. I jeszcze raz musimy zdać się na was. Chodzi o przetrwanie państwa. Wróg uprawia mord. Finansuje mord. Jest mordercą bezbronnych. Libijski dyktator jest patologicznym terrorystą, który wierzy, iż słucha go Bóg. W końcu udało mu się zrealizować swe marzenie, posiada otrzymane z Pakistanu głowice atomowe. Uzyskał też międzykontynentalny balistyczny system ich przenoszenia od nazistowskich specjalistów raketowych dnia dzisiejszego. Mamy stare rachunki do wyrównania z tymi mordercami, zaległy dług, i jutro rano wy, chłopcy, odegracie rolę egzekutorów.

Dado przerwał. Zwrócone w górę młode twarze przypominały mu syna, Daniego, i poległych we wszystkich wojnach. Byli dziećmi straconego plemienia Jahwe. Krew Abrahama, Izaaka, Jakuba, Mojżesza i Jezusa płynęła w ich żyłach. Należeli do Pisma Świętego i testamentów, inkwizycji, pogromów, komór gazowych i sił przeciążenia. Widzieli lwy i byli lwami. Cóż im można było powiedzieć? Nie ma żadnych optymistycznych alegorii. Był im wien tylko twardą jak diament prawdę. Ciągnął dalej opanowanym tonem.

- Nieważne, jaki sukces osiągniemy w tej misji, i tak nie Zakończy to naszej walki. Wojna trwa bezustannie. Tunel jest długi i nie widać światła na jego końcu. W tej chwili wy jesteście światłem Izraela. Jutro dusze wszystkich naszych poległych towarzyszy polecą z wami.

Cisza trwała, gdy Dado opuszczał scenę. Tylko Narda zauważyła, że w przemówieniu

do lotników Dado nie wspomniał o Bogu. W podświadomości Dado Jahwe był demonem, wszechmocnym magikiem skrywającym się w chmurach pary lokomotyw.

252

Generał zaparkował jeepa przy wejściu do muzeum na szczycie wzgórza. Daleko w dole zalane światłem wieże i kopuły Starego Miasta Jerozolimy błyszczały pośród bezksiężycowej nocy. Dado wyrzucił papierosa i pokazał strzegącym go żołnierzom, że zajmie mu to tylko chwilę.

Portier spodziewał się go i zaszalutował, gdy generał wchodził do Sali Pamięci. Muzeum, podobne do grotty, oświetlały lustra odbijające migotliwe światła niezliczonych świec. Nie było tu eksponatów ani napisów. Tylko fotografie żydowskich dzieci patrzących z ufnością w obiektyw aparatu fotograficznego na moment przed zagazowaniem. W przepelnionych wiarą dzieciach skazanych na śmierć Dado dostrzegał przyczynę legalizującą istnienie państwa Izrael.

Rozdział czterdziesty piąty

Piętnaście mil od wybrzeża Libii na północ od Trypolisu, izraelska fregata dowodzenia *Reshef II* kołysała się na wysokiej, śródziemnomorskiej fali. Czterdzieści mil na wschód dwie dalsze fregaty czekały na pozycjach na wysokości Misuraty z rakietami wycelowanymi na libijskie instalacje rakiet przeciwlotniczych SA-5. Dalsze sto mil na wschód barki desantowe ukryte w zasłonie dymnej postawionej przez korwetę desantową zbliżały się do zatoki Benghazi. Na pokładach znajdowali się żołnierze elitarniej Grupy Zwiadowczej Komandosów Morskich. Z uczernionymi twarzami, siedzieli w jeepach i czekali na uderzenie kilu o skraj plaży.

Dwadzieścia pięć tysięcy stóp nad izraelską flotyllą krążył w ciasnych kręgach samolot radarowy E-2C Hawkeye. Znajdujące się w nim centrum dowodzenia oświetlało blade zielone światło rzucane przez skomputeryzowany ekran radarowy.

Stojąc tuż za technikami, którzy siedzieli przy błyszczącym panelu, generał Arik Carmil sprawdził cyfrowy zegar komputera. Wskazywał 4.16 rano. Korzystając z kanału 3 nadajnika UMF-FM, połączył się z fregatą *Reshef*.

- Alladyn do Mewy Jeden. *Over*.

- Tu Mewa Jeden. Alladyn. *Over*.

- Kontrola czasu - 04.16. *Over*.

- Potwierdzamy. Rekiny wypuszczone. *Over*. - Zrozumiałem, stan gotowości, Mewa

Jeden. *Over.*

- Mewa Jeden w stanie gotowości. *Over* i *out.*

Carmil uważnie przyglądał się radarowemu ekranowi wykrywacza, który przeczesywał wybrzeże Libii. Świecący ekran nie pokazywał żadnych punkcików oznaczających samoloty na trasie do międzynarodowego lotniska w Trypolisie ani w okolicy sąsiadującej z nim bazy wojskowej. Przenosząc uwagę na duży ekran radaru, przeczesującego promień trzystu mil, sprawdził dane przekazywane z anteny obrotowej umieszczonej wysoko nad kadłubem E-2C. Żadne punkciki świetlne nie wskazywały na obecność jakichkolwiek intruzów w powietrzu czy na morzu.

Nawigator podał Carmilowi kubek kawy.

- Wkrótce powinniśmy złapać na ekranie naszą osłonę myśliwców F-15.

Cyfrowy zegar wskazywał 4.19. W tej chwili barki desantowe mkną z pełną prędkością w stronę zatoki Benghazi. Kiedy tylko rampy uderzą o piach, grupa rozpoznawcza pomknie jeepami drogą wzdłuż wybrzeża i przeprowadzi szybki jak błyskawica atak na kompleks obrony przeciwlotniczej w Benghazi. Dane wywiadu zgromadzone w ciągu pięciu tygodni potwierdziły, że pomiędzy trzecią a piątą rano na nadmorskiej drodze ruch jest niewielki lub nie ma go wcale. Barki dotrą do plaży za dwadzieścia minut. Jeepy potrzebują dziesięciu minut na pokonanie szesnastu kilometrów od miejsca lądowania do celu. Carmil polecił inżynierowi pokładowemu wstawić zegar mierzący czas bitwy na trzydzieści minut.

Mamy F-15, panie generale - krzyknął operator radaru.

Mechanik obrócił antenę o dziesięć stopni na wschodni południowy wschód i Carmil zobaczył powiększony przez komputer obraz charakterystycznych samolotów bojowych z podwójnymi statecznikami pionowymi. F-15 uzbrojono w najnowocześniejsze systemy rakietowe AIM-9, AIM-7 i AIM-120 stanowiące śmiertelny zestaw bojowy. Ta grupa myśliwców pełnić będzie funkcję osłony z powietrza dla pięciu kolejnych grup bombowych F-16. Każdy z samolotów F-16 wyposażono w trzy jednotonowe bomby stalówce, rakietę do zwalczania radarów AGM-88, balony, detektory termiczne i zespoły rakiet o dużej sile wybuchu „Popeye”. Skrzydła F-16 zostały zakodowane zgodnie z ich celami: „Czerwona Pustynia 1”, „Trypolis”, „Czerwona Pustynia 2”, „Tajura” i „Misurata”, „Czerwona Pustynia 3”, „Czerwona Pustynia 4”, „Benghazi” oraz „Czerwona Pustynia 5”, która przeprowadzi atak na silos V-5 w Jarmah.

O godzinie 04.36 rampy barek desantowych opadły na błotnistą plażę w zatoce Benghazi. Komandosi popędzili jeepami po plażę, wyjechali na nadbrzeżną drogę i przez nikogo nie zatrzymywani gnali dwupasmową autostradą. Przy kamieniu kilometrowym oznaczonym

numerem sześćdziesiąt zobaczyli bursztynowe światła Centrum Łączności SA-5. Kolumna pojazdów podzieliła się na trzy grupy.

Pierwsza grupa przebiła się przez bramę główną. Użyto broni automatycznej i granatów.

Druga objechała bazę i zaatakowała bramę od strony plaży.

Grupa trzecia wysadziła plot otaczający bazę i skierowała się ku stanowiskom ochrony instalacji radarowych.

Saperzy rozłożyli kostki trotylu przy bunkrach raketowych.

Atakujące grupy wdarły się do koszar, zasypując zaskoczonych Libijczyków ogniem z broni automatycznej.

O godzinie 04.50 wyleciały w powietrze trzy bunkry z amunicją i sześć baterii rakiet SAM-9. Baza zamieniła się w gorące piekło.

Żołnierze libijscy zaczęli wyskakiwać z koszar i odpowiadać na ostrzał, ale zaskoczeni nie byli w stanie odeprzeć ataku.

Grupy izraelskie utorowały sobie drogę do centralnie położonego bunkra dowodzenia i w kopule sterowania radarami założyły ładunki trotylu z trzyminutowym zapłonem.

Grupy saperów wysadziły magazyn paliw i bazę zalał palący żar któremu towarzyszyły huk i siejące zniszczenie kręgi fali uderzeniowej.

Libijskie załogi działek przeciwlotniczych skierowały wielolufowe działo ZSV-23 na środek bazy, zalewając piekło dodatkowym gradem pocisków. Libijscy żołnierze i izraelscy komandosi padali pod bezlitosnym gradem ostrzału.

Zapalniki czasowe przy kostkach trotylu oraz dyskach plastiku zdetonowały i cały kompleks uniósł się na fali jaskrawoczerwonych płomieni.

Izraelscy komandosi ściągnęli ciała zabitych i rannych towarzyszy do jeepów i ruszyli w stronę nadmorskiej autostrady, z pełną szybkością kierując się do zatoki. Od momentu, gdy rampa barki desantowej uderzyła o błotnisty brzeg, upłynęło osiemnaście minut.

W krążącym centrum dowodzenia Hawkeye E-2C generał Carmil przycisnął guzik radiotelefonu łączności między samolotem a fregatą.

- Alladyn do Mewy Jeden. Podać meldunek o rekinach. *Over*.

Kapitan dowodzący fregatą *Reshef II* odpowiedział natychmiast:

- Mewa Jeden do Alladyna. Rekiny wracają do mamy. Zadanie wykonane. Straty umiarkowane. *Over*.

- Zrozumiałem. Mewa Jeden. Rozłokować „Gabriele”. *Over*.

- Zrozumiałem. *Over i out*.

Atakująca flotylla wypuściła morderczą salwę rakiet morze-ziemia - typu „Gabriel”. Głowice o dużej sile wybuchowej dosięgły zaplanowanych wcześniej celów w Trypolisie, Misuracie, Surcie, Rabacie i bazie morskiej w Benghazi.

„Czerwona Pustynia” na ekranie - zawołał operator radaru obrotowego na pokładzie E-2C.

Carmil zobaczył szybko zbliżające się punkty przedstawiające grupę bombowców F-16. Chwycił mikrofon i powiedział:

- „Czerwona Pustynia Jeden”. Tu Alladyn. *Over*.

- Słyszę cię, Alladyn. *Over*.

- Zaatakować cel. Powtarzam. Zaatakować cel.

- Zrozumiałem. *Over i out*.

Dowódca obrony przeciwlotniczej w koszarach Azziza wydał rozkaz, żeby wszystkie nadmorskie baterie przeciwlotnicze i raketowe przystąpiły do akcji. Pociski smugowe, jak nitki neonów, przecinały niebo poranka, a wystrzelenie rakiet ziemia-powietrze odbyło się bez korzystania z radaru, ponieważ instalacje radarowe zostały zniszczone ogniem rakiet „Gabriel”. Gorączkowe meldunki z Benghazi wskazywały na rozwijającą się inwazję z morza.

Dowódca Azziz był pewien, że całe wybrzeże zostało zaatakowane przez duży zespół bojowy związany z Szóstą Flotą USA.

Do skierowanego z morza ognia zaporowego i ataku komandosów dołączyło potężne bombardowanie lotnicze. Tony materiałów wybuchowych spadały jak deszcz na cele wojskowe od Trypolisu do Benghazi: lotniska, ośrodki kontroli radarowej, wyrzutnie rakiet SAM-9, fabryki gazów bojowych, bazy morskie i lotnicze, zgrupowania czołgów i obozy szkoleniowe partyzantów. Ostatni raport potwierdził zniszczenie niewielkiego ośrodka badań atomowych w Tajurze.

Dowódca zaczął tracić głos. Przez ostatnie dwadzieścia minut wykrzykiwał rozkazy ponad falą dźwięków: nieustannie dzwoniły telefony, operatorzy radarów podawali zmiany położenia szybko poruszających się zielonych punkcików, oficerowie przekazywali rozkazy adiutantom i natychmiast je zmieniali.

Na próżno młody libijski dowódca błagał Dowództwo Obrony Lotniczej w Surcie, żeby myśliwce Mig-27 wystartowały i stawiały opór atakującym amerykańskim F-16. Dowódca lotnictwa odmówił, twierdząc, że niemożliwe jest prowadzenie startów podczas bombardowania.

Udręczony dowódca modlił się, żeby pułkownik Kadafi był na miejscu i przejął dowodzenie, ale przywódca znajdował się obecnie w Chartumie z oficjalną wizytą państwową. Jedyne co mu pozostało, to dbać, żeby baterie rakiet SAM-9 i dział przeciwlotniczych ZSV-23 prowadziły nadal ogień.

Miał już zadzwonić do dowództwa lotnictwa w Trypolisie, gdy jego adiutant podał mu przekazany teleksem meldunek, z bazy morskiej w Surcie. Oddech komendanta zaświszczał przez zęby, a oczy rozszerzyły mu się z niedowierzania: cztery F-16 zostały trafione i stracone nad Morzem Śródziemnym. Wyłowiono fragment złomu z ciemnoniebieską Gwiazdą Dawida. Tracąc na moment mowę, dowódca przełknął ślinę i powiedział:

- Spróbujcie połączyć się z pułkownikiem Kadafim w Pałacu Prezydenckim w Chartumie.

Głęboko pod powierzchnią ziemi, w Centrum Dowodzenia Wojskami w Tel-Awiiwie, generał Dado Harel, Narda Simone i Adam Zichroni siedzieli za konsolą dowodzenia i przeglądali meldunki nadchodzące od generała Carmila.

Cyfrowy zegar wskazywał 5.25 rano. Premier był w domu i z niecierpliwością oczekiwał na meldunek od Dado. Tylko minister obrony i członkowie Prezydium Rządu zostali powiadomieni o ataku. Naród i świat nie mieli jeszcze o nim pojęcia.

- Alladyn do Lampy! - w głośniku rozległ się nagle donośny głos Carmila - Alladyn do Lampy. *Over*.

- Tu Lampa. *Over* - krzyknął Dado.

- Flotylla Mew wraca do bazy. Wszystkie zasadnicze cele zrealizowano. Cztery sokoły „Czerwonej Pustyni” zestrzelone na radarze mamy dwóch. Grupy „Czerwonej Pustyni” Jeden do Cztery tankują i wracają. „Czerwona Pustynia Pięć” w drodze do celu w Jarmah. Powiadomię. *Over*.

- Zrozumiałem, Alladyn. *Over i out*.

Pięćset pięćdziesiąt mil na południe od Trypolisu, głęboko w podziemnym silosie, Walter Diehl, nie mając pojęcia o izraelskim ataku, uważnie spoglądał na ekran komputera. Wysocy rangą oficerowie libijscy siedzieli obok niemieckich inżynierów obsługujących procedurę startową.

Do odpalenia pozostało siedem minut i odliczanie trwało. Rakieta V-5 została napełniona paliwem, wieloładunkową głowicę zamontowano i zaprogramowano na cel. Silniki

Dodatkowe nie wykazywały usterek. Diehl zwrócił się do głównego inżyniera:

- Otworzyć pokrywę silosu na trzy minuty przed startem. Osiem samolotów F-16 stanowiących grupę „Czerwona Pustynia” leciało w szyku „strzała” nisko nad pustynią. Dowód-

ca formacji miał oazę Jarmah na ekranie pionowego radaru. Krąg na piasku oznaczający podziemny silos był ledwo zauważalny w podczerwieni na ekranie telewizyjnym. Pilot włączył przycisk uzbrajania naprowadzanych laserem inteligentnych bomb typu Paveway, które mają przebić pokrywę silosu, zanim dywizjon zrzuci na niego jednotonowe bomby stalowe MK-84.

Dowódca dywizjonu wcisnął guzik nadajnika na przewodzie podającym tlen.

- Orzeł do „Czerwonej Pustyni Pięć”. W górę i za mną. Uformowana w strzałę grupa samolotów wzbija się w niebo i zrzuciła serię pomarańczowych, wydzielających ciepło bałonów dezorientujących rakiety przeciwlotnicze, naprowadzane na ciepło.

- Orzeł do „Czerwonej Pustyni”... - Dowódca skrzydła zawiesił nagle głos w pół zdania, gdy ujrzał niesamowity widok. Krąg w pustynnej ziemi zaczął się powoli rozsuwać na dwie części.

We wnętrzu silosu Diehl, jego inżynierowie i libijscy oficerowie zmrużyli oczy, gdy promienie ostrego światła wdarły się do środka po otwarciu pokrywy ochronnej. Główny inżynier, Niemiec, pociągnął za dźwignię hydrauliczną i rozległy się ostrzegawcze syreny, przy dźwięku których platforma wyrzutni V-5 zaczęła się unosić.

Mknące od strony słońca F-16 wyłaniały się z jego blasku i za dowódcą sunęły w dół, w kierunku szczeliny otwierającej się w pustynnej ziemi.

Gdy połyskujący czub V-5 wyłonił się z otwartego silosu, dowódca skrzydła odpalił bomby Paveway i ostro skręcił. Z otwartego silosu strzelił w niebo słup żółtego ognia.

F-16 nurkowały i zrzuciły osiem ton bomb w płonący silos.

Palmy w oazie Jarmah zostały wyrwane z korzeniami przez falę uderzeniową, a wywołujący wędnięcie liści krwawoczerwony słup ognia uniósł się i górował nad pustynią.

Grupa „Czerwona Pustynia Pięć” wyrzuciła zewnętrzne zbiorniki paliwa, skręciła ostro i pomknęła na północ, wznosząc się w kierunku miejsca spotkania z samolotami cysterkami KC-130.

Narda i Zichroni patrzyli, jak Dado nerwowo przemierza dywan w podziemnym centrum łączności.

- Albo „Czerwona Pustynia Pięć” wykonała zadanie - powiedział Dado - albo za czternaście minut Tel-Awiv i Hajfa - będą już tylko wspomnieniem.

- Skąd wzięłeś te czternaście minut? - zapytał Zichroni.

- Musieliby odpalić przed... - Głos Dado umilkł, gdy z interkomu wydobył się trzask.

- Alladyn do Lampy! Alladyn do Lampy! *Over.*

- Dado rzucił się na konsolę i wcisnął przycisk.- Lampa odbiera. *Over.*

- Zadanie „Czerwonej Pustyni Pięć” wykonane - meldował generał Carmil. - Cel

zniszczony. Dowódca skrzydła podał, że silos był już otwarty. *Over.*

Ocierając krople potu z czoła, Narda odetchnęła z ulgą. Zichroni szeptał dziękczynną modlitwę.

- Jakie mamy straty, Alladyn? - zapytał niecierpliwie Dado. - *Over.*

- Z morza wyłowiono ciała czterech zabitych pilotów. Dwaj piloci zostali uratowani przez *Reshef II*. Grupa komandosów melduje o ośmiu zabitych i czternastu rannych. Flotylla Mew i grupy „Czerwonej Pustyni” wracają do bazy.

- Wracaj do domu, Alladyn. *Over.*

- Zrozumiałem, Lampa. *Over i out.*

W sali łączności zapadła cisza. Nie było oznak radości ani uścisków rąk. Dado nakręcił numer premiera. Słuchawka po drugiej stronie została podniesiona natychmiast.

- Panie premierze, z przyjemnością melduję, że „Czerwona

Pustynia” zrealizowała cele. Biorąc pod uwagę zakres operacji, nasze straty są niewielkie.

Dado przyjął gratulacje od premiera i zapewnił go, że operacja przeciw Kahucie rozwija się zgodnie z planem. *Athenian Queen* wypłynie o trzeciej następnego ranka.

Premier natychmiast przekazał ministrowi obrony i członkom Prezydium Rządu informacje dotyczące operacji „Czerwona Pustynia”, ale nie wspomniał o mającym nastąpić ataku na Kahutę. Następnie polecił swemu rzecznikowi prasowemu zwołać na dziesiątą rano konferencję prasową.

Kiedy został już sam, połączył się z ambasadorem USA. korzystając z „czystej” linii.

Ambasador miał zaspany głos, ale zdobył się na to, by powiedzieć uprzejmie:

- Dzień dobry, panie premierze.

- Dzień dobry, Kenneth. Przepraszam, że cię budzę, ale mam dla ciebie pilną wiadomość.

- O co chodzi?

- Chcę cię poinformować, że o piątej rano naszego czasu, izraelskie siły obronne przeprowadziły atak uprzedzający na wybrane cele wojskowe w Libii.

Po chwili milczenia ambasador wykrztusił: - Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że...

Rozdział czterdziesty szósty

Sala konferencyjna Ministerstwa Informacji w Jerozolimie była przepełniona tłumem dziennikarzy zagranicznych. Nad grupą kobiet i mężczyzn oczekujących na przybycie pre-

miera, rozbrzmiewał wielojęzyczny gwar. Krążyły różnorodne plotki o porannej operacji wojsk izraelskich.

Rada Bezpieczeństwa ONZ została zwołana na nadzwyczajne posiedzenie.

W tym momencie pułkownik Kaddafi znajdował się w drodze z Chartumu do Trypolisu.

Liga Arabska zwołała w Algierze sesję nadzwyczajną.

Chińska Republika Ludowa, ZSSR, Włochy i Francja potępiły już atak izraelski.

Królewską Armię Saudyjską i jej lotnictwo postawiono w start gotowości.

Syryjski minister obrony znajdował się w drodze do Trypolisu.

Silny człowiek Iraku, Sadam Hussein, oddał swą milionową armię do dyspozycji libijskiego brata.

Amerykański satelita KH-11 wykrył chmurę radioaktywną nad zniszczonym reaktorem libijskim w Tajurze. Poziom radioaktywności był niewysoki, a radioaktywna chmura dryfowała na południe w stronę ogromnych nie zamieszkanym obszarów pustynnych. Doniesiono o wydostawaniu się gazu musztardowego i cyjanku z ruin ogromnej fabryki gazów bojowych, położonej o pięćdziesiąt mil od Trypolisu.

Amerykański niszczyciel *Kingman* przepływający przez Syrtę uratował zestrzelonego pilota izraelskiego. Wypełniający salę konferencyjną gwar podenerwowanych głosów ucichł nagle, gdy wszedł premier w towarzystwie rzecznika prasowego i ministra obrony. Młody rzecznik prasowy podszedł do mównicy.

- Premier Shomron wygłosi krótkie oświadczenie, po którym odpowie na pytania państwa. Proszę wziąć pod uwagę, że pewne aspekty militarne operacji nie mogą zostać ujawnione na tym etapie.

Premier poprawił przestawny mikrofon na mównicy i łyknął wody. Miał zapadnięte oczy i bladą cerę. Patrzył badawczo na morze twarzy przed sobą - niektóre z nich wyglądały znajomo, niektóre były przyjazne, inne wrogie. Musi uważać, dziennikarze są doświadczeni i przebiegli. Opisz silos raketowy w Jarmah, nie wspominając o głowicy atomowej. Chciał uniknąć wszelkiej wymiany zdań, zmierzającej do pytania, jak i skąd Kaddafi zdobył głowicę atomową. Takie pytania w nieunikniony sposób prowadziłyby w stronę Pakistanu i mogłyby zagrozić zbliżającej się operacji przeciw Kahucie. Zew Berger poradził, żeby premier w swoim wystąpieniu zastąpił określenie

„atomowa głowica bojowa” określeniem „głowica bojowa z gazem trującym”.

Premier odchrząknął i głosem napiętym ze zmęczenia i niecierpliwości zaczął mówić wolno i dobitnie:

- Dziś o godzinie piątej rano, jednostki izraelskich sił obronnych dokonały połączonego ataku sił powietrznych i morskich na wybrane cele wojskowe w Libii, kraju, który znajduje się w stanie wojny z Izraelem od tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego. - Przerwał dając dziennikarzom okazji do dokończenia robionych pośpiesznie notatek. - Nasze siły w sposób zdecydowany unikały obszarów cywilnych. Akcja miała charakter uprzedzający i została podjęta w celu powstrzymania terrorysty, przywódcy tego państwa, przed wystrzeleniem śmiertelnej rakiety na Tel-Awiv i Hajfę. Nasze siły lotnicze zlokalizowały i zniszczyły tajną bazę rakietową w zachodniej części Pustyni Libijskiej, obok oazy Jarmah. Baza ta była finansowana przez pułkownika Kadafiego, ale zaprojektowana i obsługiwana przez specjalistów rakietowych pod kierunkiem Fritza Kleisera i jego kolegi Waltera Diehla. Kleiser i jego współpracownicy są związani z zachodniemieckim przedsiębiorstwem o nazwie System Transportu Satelitarnego. - Premier zrobił przerwę i napił się wody. - Wywiad potwierdził istnienie w Jarmah nowoczesnych rakiet międzykontynentalnych typu V-5 uzbrojonych w wieloładunkowe głowice bojowe zawierające śmiertelny gaz trujący, tabun. Wielokrotnie ostrzegaliśmy nie tylko pułkownika Kadafiego, ale również Syrię, Irak i Arabię Saudyjską, że Izrael nie będzie się wahać, gdy chodzi o obronę jego obywateli, przed użyciem wszelkich środków. Od blisko pięćdziesięciu lat pragniemy pokoju, ale nie dopuścimy do pokoju za cenę naszego zniszczenia i unicestwienia. Jesteśmy starożytnym narodem. Przetrwaliśmy pięć tysięcy lat prześladowań i niewymownego okrucieństwa. Wciąż tu jesteśmy. I tu pozostaniemy. Nasi wrogowie nic powinni popełniać błędu. Państwo Izrael nie zginie. - Zawiesił głos. - A teraz, panie i panowie, postaram się odpowiedzieć na pytania.

Podniósł się las rąk i salę wypełniły okrzyki proszących o głos.

Rozdział czterdziesty siódmy

Leżąc nago w blasku słońca, który zalewał taras, doktor Fritz Kleiser spoglądał na zamrażnięte jezioro i górujące nad okolicą szczyty Alp wokół St. Moritz. Od trzech dni jeździł na nartach, ale nie ograniczał swoich działań rekreacyjnych tylko do tras narciarskich. Jego genewski bankier zapewnił mu bardzo młodą, kosztowną szwajcarską towarzyszkę.

Kleiser popijał wódkę ze świeżym sokiem z czerwonych pomarańczy i słuchał sprawozdania z meczu piłki nożnej pomiędzy RFN i Włochami. Niecierpliwie czekał na komunikat o atomowym zniszczeniu Tel-Awivu i Hajfy.

Wystrzelenie V-5 powinno nastąpić godzinę temu, chyba że nastąpiła awaria silnika i start przesunięto. Ale w takim wypadku Diehl zadzwoniłby do niego. Z drugiej strony, mogło

nastąpić nieznaczne opóźnienie i wstrzymanie odliczania na godzinę. W każdym razie Diehl był weteranem wielu prób raketowych i mógł uporać się z każdym problemem technicznym.

Włosi zdobyli bramkę i może był to dobry omen. Kleiser postawił na Włochów sporo pieniędzy. Westchnął z zadowoleniem, myśląc o siedmiuset milionach dolarów, które Kadafi przekazał na rachunek STS w Hamburgu. Pociągnął ze szklaneczki i zsunął okulary słoneczne na oczy.

Prawie zasypiał, gdy głos spikera przerwał mecz, żeby podać nadzwyczajne wiadomości. Kleiser wyprostował się i słuchał z niedowierzaniem.

- ... Wojska Izraela zaatakowały cele według wybrzeża Libii. Wśród celów ataku znalazła się domniemana baza raketowa w Jarmah, głęboko na Pustyni Libijskiej. Połączony atak sił morskich i lotnictwa był dobrze skoordynowany i pomyślany...

Kleiser wyłączył radio. Poczul, jak w żołądku rośnie mu kula ognia. Eryka, pomyślał, Eryka! Abu Hasi miał rację. Jakimś sposobem odkryła Jarmah i powiadomiła Mossad. Jej zdrada była wyrokiem dla niego. Teraz jego nazwisko znajdzie się na czołowym miejscu listy ludzi poszukiwanych przez Kadafiego. Prawdopodobnie już w tej chwili zespół zamachowców przeczesuje Europę. Mój Boże...

264

Jego szwajcarska dziewczyna wyszła na taras. Drobnymi białymi ząbkami skubała posmarowaną dżemem grzanekę.

- Coś nie tak, Putzi? - zapytała z afektacją i zbliżyła się do niego, naga. - Sprawiałam jakąś przykrość mojemu Putzi?

Ekspłodowały w nim wściekłość i strach i skupiły się na tępej, wieśniackiej twarzy, która uśmiechała się do niego głupawo.

Uderzył ją dwa razy. Przewróciła się waląc głową o twardą podłogę. Usiadł na niej i bił wiele razy, przeklinając ją przy każdym uderzeniu, walił, aż jej twarz stała się krwawą miazgą.

Rozdział czterdziesty ósmy

Szpital wojskowy Beth Zion położony jest w sosnowym lesie na wzniesieniu nad brzegiem Morza Śródziemnego. Rozległy kompleks medyczny uważa się za najdoskonalsze centrum chirurgii ortopedycznej na świecie”. Podczas pięćdziesięciu lat prawie nieustannych wojen zespół złożony z chirurgów i rehabilitantów naprawiał potrzaskane ciała i wymieniał kończyny przy godnym szacunku procencie zabiegów zakończonych powodzeniem.

Wychodząc z budynku administracyjnego, Zew Berger mrużył przez moment oczy, oślepiiony jasnym światłem słońca, zanim zauważył Erykę Sperling. Miała niebieski szlafrok i ciemne okulary. Siedziała na wózku inwalidzkim, przodem do słońca.

Jej twarz poorana była purpurowymi szwami biegnącymi od kości policzkowej do kąćka ust. Lekarze zapewniali, że zabieg plastyczny zlikwiduje blizny, a pręt włożony w udo w miejsce strzaskanej kości umożliwi jej w końcu normalne chodzenie.

Eryka zdjęła okulary, gdy korpulentny szef wywiadu ucałował ją w czoło.

- W pokoju znajdziesz kwiaty i pudełko ciastek - powiedział, próbując nie okazać szoku, jakiego doznał na widok jej twarzy. - Jestem pewien, że kwiaty będą ci się podobać. Ciastka... - Wzruszył ramionami. - W najlepszym wypadku dadzą się zjeść. Moja żona nie jest cukiernikiem.

- Nigdy jej tego nie mów. - Eryka obdarzyła go uśmiechem.

- Nigdy - zgodził się z nią, wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Eryce. - Premier chciał ci to przekazać. To tylko kilka słów, by wyrazić osobiście podziękowanie w imieniu państwa.

Przyjrzała się państwowej pieczęci z wizerunkiem menory, zanim powiedziała:

- Narda mówiła mi, że silos był już otwarty. Czy to prawda?

- Kamery sfotografowały to z samolotu dowódcy. Wyliczyliśmy, że brakowało ośmiu minut do startu rakiety.

- Osiem minut... - szepnęła.

- Najwyraźniej otrzymali głowicę czterdzieści osiem godzin wcześniej, niż się tego spodziewaliśmy. Na szczęście zdążyliśmy na czas.

- A co z Kahutą?

Berger przestępował z nogi na nogę.

- Pracujemy nad tym. W chwili obecnej Lawford jest w Lahaur. Zgłosił się na ochotnika do pomocy w przekazaniu informacji wywiadowczych o wielkim znaczeniu.

- Obiecuj mi coś. - Eryka przygryzła dolną wargę. - Nie chcę go widzieć. Nie teraz. Nie w tym stanie.

Zbliżyła się do nich pielęgniarka w śnieżnobiałym stroju.

- Czas na wirówkę - westchnęła Eryka.

- I tak muszę już iść.

- Powiedz mi, Zew, czy Lawford jest w ryzykownej sytuacji?

- Tak. Muszę powiedzieć, że bardzo ryzykuje.

- Kiedy ma wrócić?

- Wkrótce powinniśmy coś wiedzieć.

- Daj mi znać.

- Oczywiście.

266

Pielęgniarka skinęła głową Bergerowi i popchnęła wózek w stronę zachodniego skrzydła.

Patrząc za nimi, Berger pomyślał, że najwspanialsze plany, wraz z całym precyzyjnym przygotowaniem, uzależnione są od odwagi i determinacji pojedynczego człowieka.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Obchody w ogrodzie Ministerstwa Obrony rozpoczęły się o zmroku. Wspaniałe fontanny i marmurowe kaskady oświetlone były różowymi reflektorami, a chińskie lampiony rozciągnięto nad trawnikami. Orkiestra wojskowa grała popularne zachodnie utwory klasyczne przeplatane lokalną muzyką perkusyjną.

Kobiety ubrane były w długie do kostek spódnice i krótkie jedwabne żakiety w jasnych kolorach, wyszywane złotymi cekinami. Panowie nosili smokingi. Ogromny stół zastawiono parującymi półmiskami, na których podano mięso z rusztu, kurczaki i frutti di mare. Serwowano napoje bezalkoholowe, a w powietrzu unosił się ciężki dym papierosów i cygar.

Przy dźwięku tuszu na bębny i cymbały prezydent Ghazi podszedł do mikrofonu. Wysokim, piskliwym głosem podziękował zagranicznym dziennikarzom i zgromadzonym dygnitarzom za obecność na obchodach Święta Wojska. Przedstawił rozwój potęgi wojskowej Pakistanu i potępił niczym nie sprowokowany atak Izraela na Libię.

Popijając herbatę z lodem Lawford pomyślał, że Ghazi kłamie genialnie i bez wysiłku. W dogodny dla siebie sposób zapomniał, że Pakistan dostarczył Kadafiemu głowicę atomową. Ale cóż, prezydent Ghazi jest manekinem, którym kieruje rządząca klika wojskowa.

Ghazi zakończył krótkie przemówienie i wyszedł otoczony morzem mundurów. Po jego wyjściu atmosfera przyjęcia zdecydowanie się ożywiła i w powietrzu pojawił się charakterystyczny zapach haszyszu. Lawford i Bashira mijali się kilkakrotnie, ale pozdrowili się jedynie przelotnie, gdyż zdawali sobie sprawę z tego, że wśród gości roi się od agentów Biura Kontrwywiadu Generała Murraniego.

Odgłosy obchodów ulatywały w górę ku werandzie trzeciego piętra i dochodziły do biura Murraniego.

Murrani siedział za biurkiem, popijał dzin z tonikiem i palił papierosa za papierosem. Czuł się niepewnie - oplatany intrygą. Wydarzenia ostatnich godzin były złowieszcze.

Jego adiutant, kapitan Meidan, stał przy telefonie i kończył rozmowę z grupą, która śledziła doktora Tukhalego. Biurokraci z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dostarczyli w końcu meldunek, że Bughti, wioska, w której urodził się Tukhali, została odbudowana z funduszy szwajcarskiej firmy holdingowej o nazwie „Lizrose”. Prawo szwajcarskie chroni nazwiska dyrekcji „Lizrose”, ale podejrzenia Murraniego zostały potwierdzone - wioska Bughti zawdzięczała rekonstrukcję finansom ze źródeł pozarządowych. Dlaczego podstawiona szwajcarska firma interesowała się odbudową zrujnowanej wioski w prymitywnym okręgu Beludżystanu? Odpowiedź mogła być tylko jedna: Tukhali nakłonił kogoś, kto się liczy i posiada środki finansowe do odbudowy swej rodzinnej wsi - w zamian za co? Sekrety Kahuty? Czy Tukhali zdradził swego nauczyciela - Farheed Shaha? Młody fizyk był asystentem Shaha i mógł wiedzieć o zbliżającej się podróży do Paryża. Można było założyć, że Tukhali nienawidzi rządu, którego wojska zniszczyły jego wioskę i zdziesiątkowały jej ludność.

W końcu kafelki zaczynały do siebie pasować. Tukhali przehandlował sekrety Kahuty, nie wiadomo komu, za sfinansowanie odrodzenia swej wioski. A bez wątplenia był nim ktoś stojący za tajemniczą spółką „Lizrose”.

Murrani westchnął ciężko, bo jakkolwiek trafne były jego podejrzenia, opierały się na domysłach. Jak na razie, jedynym „rozsądnym sposobem postępowania było śledzenie doktora Tukhalego.

Kapitan Meidan odłożył słuchawkę, odchrząknął i powiedział:

- Generale...

- Tak?

268

- Tukhali wyjechał z Pindi ekspresem o drugiej po południu. Przyjechał na dworzec w Lahaur pół godziny temu i wynajął fiata. Następnie...

- Moment - przerwał Murrani. - Zgodnie z tym, co wiemy, ma przecież nową toyotę, prawda?

- Tak, panie generale - powiedział Meidan spoglądając do otwartej teczki. - Kupił samochód sześć tygodni temu od handlarza w Pindi.

- I zostawił ten samochód w domu, przyjechał pociągiem i wynajął fiata?

- Jest jeszcze coś. Mogę?

- Tak, oczywiście.

- Nasi wywiadowcy śledzili go do garażu na Durand Road. Po kilku minutach wyjechał z niego z nowymi indyjskimi numerami rejestracyjnymi: GH-6852.

- Gdzie jest teraz?

- W restauracji „Cathay” przy Ravi Road na Starym Mieście.

- Indyjska rejestracja... - zastanawiał się Murrani. - Pasuje. Wyślij grupę do policji granicznej w Amritsarze. Niech dostarczą oficerowi dyżurnemu zdjęcie Tukhalego i uprzedź ich o fiacie na indyjskich numerach.

- Mogę zapytać dlaczego?

- Granica jest o niecałe dwadzieścia minut od centrum Lahaur. Wydaje mi się, że nasz genialny fizyk zamierza dać dyla.

- Czy jednostce Kadhara dodać samochód?

- To może się przydać. Gdyby Tukhali próbował uciec, chcę, by go zatrzymano. Tylko bez strzelaniny - ostrzegł Murrani. - Policja graniczna nie słynie z inteligencji. Żywy Tukhali to cenny materiał dla wywiadu, zabity to tylko kolejny plemieniec z Beludżystanu.

- Ale, panie generale, czemu nie każemy Kadharowi zwinąć go teraz?

- Ponieważ, chłopcze, Tukhali może zabierać ze sobą kogoś jeszcze.

- Dyrektora „Lizrose”?

- Może. - Murrani wzmocnił drinka sporą porcją dżinu. Kapitan Meidan wydał serię rozkazów ludziom śledzącym

Tukhalego i dyżurnemu oficerowi po pakistańskiej stronie przejścia granicznego w Amritsarze.

Murrani włożył kolejnego papierosa do cygarniczki z kości słoniowej. Dżin odprężył go i niecierpliwość zmieniła się w uczucie satysfakcji. Sieć zaciskała się wokół tych, którzy knuli, by zniszczyć Kahutę. A on, generał Ayub Murrani, okaże się wielkim obrońcą kraju. Nie powie nic. Pozostanie w cieniu i będzie przestrzegał zasady, że prawdziwa władza jest zawsze niewidoczna.

Meidan odłożył słuchawkę.

- Wszystko załatwione.

- Niech się pan napije dżinu z tonikiem, kapitanie.

- Z przyjemnością, panie generale.

- Widzi pan, jedna mała niedokładność - powiedział Murrani sarkastycznie. - Nowy szpital w wymarłej wiosce, i jest brakująca cegielka. Mozaika robi się kompletna. Pojawia się wyraźny wzór. Niech pan pomyśli przez moment, kapitanie. Izraelskie uderzenie na Jarmah było idealnie zaplanowane w czasie, nawet pomimo tego, że dostarczyliśmy głowicę wcześniej. I dlaczego premier Izraela podczas konferencji prasowej nie wspomniał o głowicach jądrowych? - Murrani wstał i zaczął chodzić po pokoju. - To, mój synu, jest zasadnicze pytanie.

- Może faktycznie podejrzewali, że zamontowano głowicę z gazem bojowym, a nie atomową.

- Takie rozumowanie okazuje się fałszywe, gdy przyjrzeć się ostatnim wydarzeniom - skontrolował Murrani. - Mossad wyprzedzał nas cały czas. Wiedzieli o podróży Muellera do Waszyngtonu. Wiedzieli o wyjeździe dyrektora Shaha do Paryża. Brunner wysadzony w powietrze w Hamburgu był ostrzeżeniem dla Kleisera, tak jak zabójstwo Muellera w Innsbrucku. Libijski agent Abu Hasi został zastrzelony podczas zasadzki na sekretarkę Kleisera, Niemkę o nazwisku Sperling.

Według mnie, taksówkarz, który zniknął, i zastrzelona austriacka turystka byli agentami Mossadu, ochroną tej Niemki. Wywiad libijski poinformował nas, że Kleiser zabrał tę Erykę Sperling do Trypolisu w towarzystwie amerykańskiego dziennikarza.

- Podejrzewa pan również Kleisera?

270

- Uważam, że STS było prześwietlone przez Mossad.

- Jak się to wszystko ma do ostatniej wypowiedzi premiera Izraela?

- Niech pan zada sobie to pytanie, kapitanie: Dlaczego premier zastąpił „głowice atomowe” „głowicami z gazem bojowym”?

Meidan wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Powód powinien być dla pana oczywisty. Gdyby wspomniał, że na rakiemie V-5 ukrytej na Pustyni Libijskiej zamontowano głowicę nuklearną, prasa nieuchronnie zadałaby pytanie: gdzie i od kogo uzyskał Kaddafi taką wymyślną broń? A ponieważ jesteśmy jedynym krajem islamskim, który posiada bombę atomową, kłamstewko premiera Izraela może oznaczać tylko jedno: Izrael planuje atak na Kahutę.

- Obawiam się, że nadal nie widzę... Murrani przerwał mu niecierpliwie.

- Postaw się w sytuacji premiera. Planujesz zniszczenie Kahuty, takim czy innym sposobem. Jeżeli wspomnisz o głowicy jądrowej, pytania dziennikarzy w nieunikniony sposób będą prowadzić w stronę Pakistanu. Ostatnią rzeczą, której chcesz, jest to, żeby świat zauważył, że istnienie Kahuty jest zapisane choćby w najdalszym skrawku twojej pamięci. Uważam, że Kahuta ma być zniszczona przez akt sabotażu, i przy wydatnej pomocy doktora Tukhalego.

- Murrani dopił drinka. - Niech pan rozkaże, żeby podjechał mój samochód, kapitanie.

W ogrodach poniżej biura Murraniego obchody Święta Wojska rozkręciły się na dobre. Grupa afgańskich tancerek z Peszawaru prezentowała się na scenie.

Lawford, oparty o barierkę z kutego żelaza, obserwował uroczystości. Zbliżała się je-

denasta i był już zmęczony. Odwrócił się, żeby powiedzieć coś włoskiemu dziennikarzowi, ale ten już zniknął.

- Szukał pan kogoś? - zapytał nagle Salim Bashira.
- Tak, jednego z kolegów - powiedział Tom, ukrywając zaskoczenie.
- Jak długo jest pan tutaj?
- Na przyjęciu?
- W Lahaur.
- Kilka dni.
- A był pan w restauracji na Ravi Road?
- Której?
- Jest tylko jedna świetna restauracja na Ravi Road. - „Cathay”?
- Dokładnie.
- Będę musiał spróbować.

Właściwe słowa zostały wypowiedziane. Bashira miał mikrofilm. Tom wyjął paczkę papierosów z kieszeni i poczęstował Bashirę.

- Dziękuję.

Tom obmacał kieszenie w poszukiwaniu zapalek. Bashira odczekał chwilę, zanim wyjął pudełko.

- Proszę.
- Dziękuję. Musiałem zostawić zapalniczkę w hotelu.
- Może pan zatrzymać to pudełko.

Po zapaleniu obu papierosów Tom wrzucił zapalki do kieszeni.

- Jak długo jeszcze zostanie pan w Pakistanie?
- Nie wiem... może jeszcze kilka dni.

- Cóż, wybrał pan odpowiednie miasto. Powinien pan odbyć spacer po Starym Mieście. Lahaur reprezentuje wspaniałą mieszaną stylów architektonicznych, od dynastii Mogołów po styl radzów z czasów brytyjskich. - Bashira uśmiechnął się - Miło było z panem porozmawiać.

Barczysty, siwowłosy magnat żeglugowy oddalił się, torując sobie drogę przez tłum.

Lawford pragnął szybko wyjść, ale zmusił się, by kilka minut pochodzić wśród gości przed pożegnaniem z kolegami dziennikarzami. Podziękował pakistańskiemu gospodarzowi i wrócił taksówką do hotelu.

Rozdział pięćdziesiąty

W zaciemnionym pokoju hotelowym Lawford nerwowo przechadzał się po wytartym dywanie. Zbliżała się północ i czuł, jak narasta napięcie. Zmienił smoking na spodnie, sweter, z golfem i mokasyny. Pudełko zapalek, które dał mu Bashira, spoczywało w zapiętej na zamk błyskawiczny kieszeni zamszowej marynarki.

Telefon rozdzwonił się serią podwójnych sygnałów.

- Halo - powiedział Tom.

- Dziesięć minut - powiedział Tikhali i odłożył słuchawkę.

Wychodząc z restauracji „Cathay” Tikhali zatrzymał się i uważnie rozejrzał po Ravi Road. Nie zobaczył nic podejrzanego, podszedł więc szybko do wynajętego fiata.

Usiadł za kierownicą, włączył silnik i spojrzał w lusterko wsteczne. Przy restauracji stało kilka zaparkowanych samo chodów, ale wyglądało na to, że nikogo w nich nie ma. Odczekał jeszcze pięć minut, zanim ruszył w stronę skrzyżowania Melarim.

Czarne volvo stało zaparkowane w uliczce dojazdowej tuż za skrzyżowaniem. Za kierownicą siedział kapitan Meidan. Obok niego tkwił Murrani. Włączony radionadajnik trzeszczał. Murrani zapalił papierosa i opuścił okienko.

- Może nie ma zamiaru uciekać - powiedział Meidan.

- To po co wynajmował samochód?

- Według naszych danych Tikhali lubi panienki. Może... Głos w radioodbiorniku przebił się przez trzaski, przerywając wywód Meidana.

- Jednostka Jeden do Pajaka, *Over*.

Murrani złapał mikrofon.

- Tikhali jedzie w waszą stronę. *Over*.

- Jedźcie na pozycję przechwycenia. *Over*.

- Zrozumiałem. *Out*.

Tikhali jechał powoli i przez cały czas spoglądał w lusterko. Przy Anarkali, w pobliżu muzeum, zauważył światła z tyłu, ale szybko zniknęły. O tej porze ruch był niewielki i łatwo było zauważyć kogoś, kto by go śledził. Zaczynał się rozluźniać. Plan Bashiry był bez zarzutu. To, że wywoził amerykańskiego dziennikarza, było genialnym posunięciem. Nie miał powodów, by spodziewać się jakichkolwiek problemów. Policja graniczna zwraca uwagę tylko na samochody wjeżdżające do Pakistanu. Te, które wyjeżdżają, poddawano jedynie powierz-

chownej kontroli.

Tukhali otworzył okienko i poczuł, jak chłodne, nocne powietrze owiewa mu twarz. Miał klucz do swego depozytu bankowego w Luksemburgu, a na ostatnim wyciągu odnotowano najświeższą wpłatę 250 tysięcy dolarów. Pomacał marynarkę i poczuł swój podrobiony indyjski paszport i kieszonkowe w postaci dziesięciu tysięcy dolarów w rupiach, sumę, która wystarczy, gdyby konieczna była łapówka. Wszystko szło gładko. Izraelski atak na Libię odwrócił uwagę od Kahuty. Ludzie generała Murraniego ślęczą nad szczegółami izraelskiego ataku, zwłaszcza nad tym, co dotyczy zbombardowania silosu w Jarmah. Nie było powodu do niepokoju. Granica jest tylko osiemnaście kilometrów od hotelu Faletti. Za niecałe dwadzieścia minut będzie bezpieczny w Indiach. Ma przed sobą całe życie. Sprawą będą musieli zająć się sami obywatele Beludżystanu. On zrobił swoje. Jego wysiłki spowodowały odbudowę rodzinnej wioski i wzniesienie szpitala. Ryzykował życie, przekazując sekrety Kahuty Bashirze. Zachował się genialnie i wykazał się odwagą. Pieniądze były bez znaczenia. Każdy człowiek, który kładł na szalę własne życie, zasługiwał na drobne zadośćuczynienie.

Tukhali skręcił na skrzyżowaniu Egerton, za którym Murrani ustawił czarne volvo z przygaszonymi światłami i śledził go z odległości dwustu metrów.

Tukhali ubrany jest jak szofer - powiedział kapitan Meidan odkładając mikrofon. - Czarna marynarka, spodnie, czarna muszka. Grupa z Kadharu uważa, że będzie chciał uchodzić za jednego z tych hinduskich kierowców z Amritsaru, którzy przewożą zagraniczników przez granicę.

- Ciekawe, kto będzie jego pasażerem - odrzekł Murrani.

Przechodząc przez ponury hol, Lawford minął dwoje Brytyjczyków, którzy wracali z obchodów Święta Wojska, Kobieta była wysoka, ruda i wściekła.

- Boże, co za cholerna nuda! - wykrzykiwała. - Czy nikt w tym cholernym, pozbawionym uroku kraju nie słyszał o szampanie?

- To zakazane, kochanie - przypomniał jej towarzysz. Tom oddał klucz recepcjoniście i wyszedł przed hotel.

Bashira pokazał mu fotografię Tukhalego i powiedział, że fizyk będzie prowadził fiata na indyjskich numerach.

Przed hotel zajechał konny powóz. Wysiadła z niego para młodych ludzi mówiących po francusku, którzy przed wejściem do środka podejrzliwie przyjrzeni się Lawfordowi. Tom zaczynał czuć się nieswojo i bezbrinnie, gdy tak stał w jasno oświetlonym wejściu do hotelu. Już zamierzał wrócić do środka, gdy na okrągły podjazd wjechał fiat.

Tukhali wyskoczył z dwudrzwiowego coupe i ostentacyjnie otworzył drzwi pasażer-

skie przed Lawfordem. Tom wsiadł. Tuhali szybko obszedł samochód i siadł za kierownicą. Zmieniając delikatnie biegi, ruszył od krawężnika i włączył się w niewielki ruch, który panował na Egerton Road.

- Powinniśmy być na granicy za piętnaście minut.

Gdy skręcili ostro w lewo, w Sharah Road Lawford obrócił się i spojrzął przez tylną szybę.

- Zapewniam pana, że nikt mnie nie śledził.

- Skąd pan wie?

- Mam oczy. Poza tym byłem ostrożny.

- Czy potrafi pan zauważyć ogon?

- Ogon?

- Niech pan po prostu jedzie - westchnął Tom.

- Grupa Pierwsza do Pajaka - trzasnęło radio.

Generał Murrani podniósł mikrofon.

- Tu Pajak. *Over*.

- Fiat jest na Grand Trunk i mija kierunkowskaz do granicy. - Radzimy przechwycenie na Shaliam Cross. *Over*.

- Zawiadomcie dyżurnego oficera na granicy i grupy jeden do cztery. Podejmiemy wstępny kontakt. *Over*.

- Zrozumieliśmy. *Over i out*.

Murrani czuł się uradowany. Zdobycz była niemal w zasięgu ręki. Grupa pierwsza sprawdziła recepcję w Faletti. Pasażerem Tuhalego jest amerykański dziennikarz Tom Lawford. Murrani był gotów postawić własne życie za to, że Lawford to ten sam dziennikarz, który towarzyszył Eryce Sperling do Trypolis. Nie było żadnych wątpliwości. Stali się ofiarą wspólnej operacji CIA i Mossadu, ale gra się jeszcze nie skończyła.

- Niech go pan dogoni, kapitanie. Niech go pan dogoni! - rozkazał Murrani. - Kiedy dojedziemy do Grand Trunk, niech pan wygasi wszystkie światła.

- Tak, panie generale.

Murrani wyciągnął ze schowka czerwone światło policyjne zasilane z akumulatora, wystawił rękę przez okienko i przyczepił magnesem do dachu volvo. Skręcili w Grand Trunk Road i przejechali cztery kilometry, zanim Murrani powiedział:

- Dowolne miejsce w tej okolicy będzie dobre.

- Zgadza się, panie generale.

Meidan zjechał w boczną ulicę i zaciągnął ręczny hamulec, żeby nie gasić silnika.

Murrani zapalił papierosa i poczuł, jak wali mu tętno.

Tukhali zredukował bieg i zwolnił na widok migających strzałek, które ostrzegały, że autostrada zwęża się do dwóch pasów.

- Jest! - krzyknął Murrani. - Ruszamy, kapitanie!

Zwalniając hamulec kapitan Meidan włączył bieg i przy ugaszonych światłach wjechał na autostradę. Utrzymał się kilkaset metrów za fiatem.

Tukhali zwolnił jeszcze bardziej, gdy światła ostrzegawcze pokazały, że autostrada przechodzi w jeden pas w każdym trunku.

Przejechali pod wielką zieloną tablicą z napisem: „Do granicy ograniczenie prędkości do 25 km”.

Po indyjskiej stronie granicy Pandit Sinde chodził nerwowo wzdłuż bariery. Oddział zaprawionych w bojach Gurkhów obsługiwał baterie potężnych lamp łukowych i ciężkich karabinów maszynowych. Sinde niecierpliwił się. Tukhali i Lawford byli spóźnieni i jeżeli ich misja nie zostanie wykonana, przełożeni zrzucą winę na niego. Bał się jakiegokolwiek dalszego kontaktu z Bashirą i odmówił ponownego wjazdu do Pakistanu. a teraz wszystko zależało od Amerykanina i Tukhalego.

Sinde trzął się, a po piersiach ściekały mu strużki potu, chłodzącego ciało. Podniósł lornetkę na podczerwień i sprawdzał pakistańską stronę granicy. Wyglądało na to, że panuje tam normalny ruch. Pakistańska policja graniczna rzadko kontrolowała wyjeżdżających kierowców. Kontrola wjeżdżających pojazdów była szczegółowa; otwierano bagażniki, wertowano wnętrza w poszukiwaniu ukrytych skrytek oraz zdejmowano dekle kół. Cholerni Arabowie, pomysła! Sinde, co można było szmuglować z Pakistanu do Indii. Dziewięćdziesiąt procent światowej produkcji opium pochodziło z uprawy i przerobu w Pakistanie. Sinde miał już opuścić lornetkę, gdy zauważył migające czerwone światło po stronie pakistańskiej, a chwilę później usłyszał złowieszcze wycie syren.

Fiat znalazł się w pułapce.

Samochód dowodzenia Murraniego i grupy ruchome były z tyłu, a jeepy policji granicznej blokowały drogę przed nimi

Nad drogą ryczał głośnik wojskowego samochodu: „*Fiat, indyjskie numery rejestracyjne GH-6852. Zatrzymać się! Wyłączyć silnik! Wsiąść z samochodu - z rękoma do góry!*”

Ręce Tukhalego jakby przymarzły do kierownicy. Miał rozszerzone strachem oczy i ciężko łąpał powietrze. Tom odsunął go na bok siłą, zamienił się z nim miejscami i kilka razy trzasnął osłupiałego Tukhalego po twarzy.

- Słuchaj! Przejedziemy tym odgałęzieniem!

- To niemożliwe - skamlał żałośnie Tukhali. - Fosa ma pięćdziesiąt metrów głębokości, i jest zaminowana.

- Trzymaj klamkę! - rozkazał Tom. - Albo wyskoczysz, kiedy ci powiem, albo zginiiesz!

Z ciemności głośnik powtórzył rozkaz, a z przodu w ich kierunku ruszyła kolumna jeepów. Za nimi Murrani i grupa zbrojonych ludzi wycelowała w fiata broń.

Tom zredukował bieg, wcisnął gaz do dechy i obrócił kierownicę. Opony zapiszczały i zadymiły, gdy samochód skręcił w odnogę. Wskazówka prędkościomierza skoczyła na czerwone pole, gdy zbliżali się szybko do przepaści.

Serce Toma waliło wściekle.

Tukhali mruczał modlitwę.

- Przygotuj się! - warknął Tom.

Poculi, jak opony tracą przyczepność, gdy niczym z katapulty wyskoczyli w powietrze nad urwiskiem.

- Skacz! - krzyknął Tom, otwierając swoje drzwiczki.

Uderzyli o skaliste zbocze, piętnaście stóp poniżej krawędzi rozpadliny.

Fiat przeleciał nad nimi, uderzył o skałę na dnie wąwozu i wybuchnął jasnym, pomarańczowym płomieniem.

Tom wstał z trudem. Ostry, tnący ból przeszył mu nadgarstek prawej ręki i ramię zaczynało puchnąć. Łapiąc oddech spojrzał nad migocącym światłem rzucanym przez płonący wrak. Beładne krzyki dochodzące z góry odbijały się echem od ściany wąwozu, a światła latarek przebijały się przez ciemność.

Jakieś pięćdziesiąt stóp dalej, w dogasającym świetle płonącego samochodu Tom zobaczył, jak Tukhali biegnie po usłanym głazami dnie wąwozu.

„Sukinsyn...” - mruknął Tom z podziwem, gdy drobna postać osiągnęła linie granitowych bloków i biegła wyprostowana w stronę dróżki prowadzącej po zboczu po indyjskiej stronie.

Nagle przez wąwóz przeleciała seria żółtych pocisków smugowych. Tom biegł pochylony pomiędzy ostrymi, nieregularnymi skałami. Jego spuchnięta prawa ręka zwisała bezwładnie. Zawołał Tukahalego, ale Pakistańczyk nawet nie obejrzał się za siebie.

Po stronie indyjskiej Pandit Sinde wydał rozkaz, by Gurkhowie zniszczyli pakistańskie reflektory przeszukujące wąwóz. Strzelanina na granicy nie była niczym nadzwyczajnym. Odezwały się ciężkie karabiny maszynowe i w kierunki, reflektorów pomknęły podobne do

nitek neonu serie pocisków smugowych. Światła łukowe wybuchły i nastąpiło zwarcia przewodów elektrycznych, powodujące iskrzenie i trzaskanie purpurowych płomieni.

- Potrzebny mi oddział sześciu ludzi! - wykrzyknął Sinde. - Reszta z was niech zostanie na pozycjach i przygotuje się do odpowiedzi na ogień nieprzyjaciela.

Ze szczytu nasypu autostrady generał Murrani i jego ludzie wpatrywali się w ciemny wąwóz. Oświetlenie zniszczono, a płomyki z dopalającego się fiata dawały jedynie nikłe migające światło.

- Kapitanie Meidan!

- Tak, panie generale!

- Niech pan sprowadzi oddział policji granicznej na dno wąwozu.

- Ależ panie generale. Uciekinierzy muszą być już po stronie indyjskiej.

- Niech pan robi, co każe! - ryknął Murrani.

Z pistoletem w dłoni kapitan Meidan przebiegł przed migającymi światłami samochodu sztabowego w kierunku kolumny jeepów z załogą policji granicznej.

W światłach reflektorów, w odległości stu jardów, dowódca policji granicznej zobaczył uzbrojoną postać biegnącą w ich stronę z pistoletem w ręce. Podniósł automat M-16 i wypalił długą serię. Kapitan Meidan wyrzucił ręce w powietrze, gdy ołowiane pociski przecięły go wpół. Cały oddział policji granicznej wyskoczył z jeepów strzelając szaleńczo.

Ludzie Murranego machali rękoma, krzycząc do policjantów, żeby wstrzymali ogień, ale w ciemności obecność kogokolwiek stanowiła, zagrożenie i policja strzelała nadal do niezidentyfikowanych sylwetek.

Murrani i jego ludzie ukryli się, przeklinając straż graniczną i jej przodków. Murrani złapał mikrofon radiotelefonu i kazał włączyć się do akcji załodze samochodu z nagłośnieniem. Chwilę później, wśród chaotycznej strzelaniny, na drodze ryknął wzmocniony głos: „Przerwać ogień! Przerwać ogień!”

Z bijącym sercem i spuchniętą ręką Tom biegł przez wąwóz dwadzieścia jardów za Tukhalim. Słyszał świst kul i czuł ciepło przelatujących obok pocisków, ale kierował się ku zagłębieniu po indyjskiej stronie. Przed nim Tukhali zaczął się już wspinać na zbocze. Tom potknął się o kamień i poleciał twarzą w dół na skalistą ziemię. Z bólem podniósł się i stanął na nogi. Krwawiąc z ran na obu rękach i lewym kolanie chwiejnym krokiem zbliżał się do zagłębienia.

Nagle rozległ się głośny trzask i Tom zamarł z przerażenia, gdy zobaczył, jak Tukhali wybuchł płomieniem, jego ciało pali się przez chwilę jak zapalka i opada na ziemię niczym kapka popiołu. Natychmiast poczuł pierścień fali uderzeniowej i kawałki ciała i kości uderzy-

ły go w twarz. Tukhali trafił na minę żelatynową i przez ułamek sekundy Tom zastanawiał się, czy iść dalej, czy też wycofać się po własnych śladach. Ale nie było wyboru. Gdyby wpadł w ręce Pakistańczyków, byłby okazem propagandowym do czasu, aż zdecydowaliby się go powiesić.

Spodziewając się nagłej śmierci w płomieniach przy każdym kroku, posuwał się zagłębieniem. Chwyając się lewą ręką kęp chwastów, powoli, tracąc oddech, wspinał się na skarpe.

Krył się pod płytą ciemnego łupku, gdy wzeszło słońce. Oślepiające, rozgrzane do białości światło rzucane przez węglowe łuki lamp zatrzymało go w miejscu. Sylwetki żołnierzy w hełmach, uzbrojonych w broń automatyczną, poruszały się przed źródłem światła. Tom zrozumiał panikę i przerażenie osaczonego zwierzęcia wypędzonego z własnego legowiska. Stał łapiąc gwałtownie powietrze, złapany w krąg światła. Mieli go. To koniec, dopadli go. Biuro wywiadu Pakistańskiego zamknęło się.

Szczupła postać o wąskich ramionach ubrana w cywilne ciuchy zsunęła się do zagłębienia. Pandit Sinde podszedł bliżej i wyciągnął rękę.

- Witamy w Indiach, panie Lawford.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Pomruk elektronicznej aparatury podkreślał napiętą ciszę, która panowała w sali łączności Technionu.

- Co się do cholery stało! - zapytał sfrustrowany Dado. - Powinniśmy mieć jakąś wiadomość dwie godziny temu.

- To było trudne zadanie - odpowiedział Berger, zapalając kolejnego papierosa. - Bas-hira zorganizował wszystko najlepiej jak mógł. Ale Tukhali to nie zawodowiec, a Lawford wyszedł z wprawy. W takich okolicznościach wszystko jest możliwe, samochód nie zapali, ktoś przechwyci rozmowę telefoniczną, wyjdzie na jaw coś z przeszłości...

- Oszczędź mi wykładu - rzucił Dado. - Nie jesteśmy w akademii.

- Nie czas, żeby tracić nerwy - interweniował profesor Newman - i mamy drugą możliwość.

Dado pokręcił głową.

- Jeszcze dziesięć minut, Yuval, i twoi ludzie muszą przystąpić do pracy.

- Bez tych planów będę zmuszony wziąć poprawkę. Stanowczo wolę dokładność niż przesadę.

- Ja też, ale zaczyna brakować nam czasu. Wasz zespół będzie potrzebował godzin na założenie ładunku.

- Nie na założenie. Na zaprojektowanie.

- W porządku, na zaprojektowanie - westchnął Dado. - *Athenian Queen* będzie na miejscu spotkania za osiemnaście godzin. Nie możemy ryzykować unieruchomienia jej na wodach w pobliżu Omanu.

- Myślałem, że *Dolphin* ją eskortuje.

- Zgadza się. Ale nie możemy zacząć torpedować omańskich fregat. Poza tym w Masi-rze jest baza brytyjska, a radziecki

Sojuz-TM-6 przelatuje po tamtej orbicie o zmroku. Musimy spotkać się z Mattym jutro o osiemnastej.

- Obiecuję ci - powiedział Newman ze spokojem - że o świcie będziemy mogli załadować głowicę. Jeśli nie będzie problemów mechanicznych z samolotem Osprey, zdążymy.

- Rada Bezpieczeństwa odbywa sesję nadzwyczajną - wtrącił Berger. - Delegat chiński przemawiał przez ponad godzinę, z patosem mówiąc o nie spowodowanym ataku na kochający pokój naród libijski.

- Pieprzeni hipokryci - wykrzyknął Dado. - To Chińczycy wyposażyli Irak, Iran, Syrię i Arabię Saudyjską w rakiety dalekiego i średniego zasięgu.

- Może nasz atak na Libię zniechęci naszych sąsiadów do ich użycia - stwierdził Newman.

- Wątpię - powiedział Berger. - Meldunki naszego wywiadu donoszą, że Syryjczycy uzbroili już swoje rakiety w głowice z gazem bojowym. Kiedy wybuchnie nowa wojna, nasi przyjaciele użyją ich, wszyscy naraz.

- Cóż, może zrozumieją coś po Kahucie - westchnął Dado.

- Nie w wypadku, gdy uda się nam - zripostował Newman. - Mamy nadzieję, że zniszczenie Kahuty będzie wyglądało na spowodowane okrutnym kaprysem natury. Wzdłuż północno-zachodniego rowu himalajskiego nastąpi trzęsienie ziemi; trzęsienie o wystarczającej sile, żeby obrócić Kahutę w kupę gruzu. A jeżeli nie oskarży się przyrody, dowody będą wskazywać na wewnętrzny wypadek, wybuch w komorze reaktora, podobnie jak w Czarnobylu. W każdym razie, jeżeli Jerycho zadziała, nikt nie obarczy winą Izraela. A to, panowie, jest głównym celem tego eksperymentu.

- A jeżeli Jerycho zawiedzie? - zapytał Berger. Newman wzruszył ramionami.

- Powiem ci to, co powiedziałem premierowi. Kiedy zaczyna się zabawę nowoczesną bronią, wie się tylko tyle, że nigdy nie będziemy wiedzieć do końca. Podczas gdy z naukowe-

go punktu widzenia broń ta jest bezpieczna, nie daje się zmierzyć jej emocji.

- Emocji? - powtórzył Berger z niedowierzaniem.

- Tak, emocji. Jerycho posiada wybitną percepcję sen-

282 soryczną. Jego mózg został udoskonalony przez stu siedemdziesięciu programistów, którzy opracowali komputerowy program naprowadzania na cel. Ale - zawiesił głos - czasami zachowuje się w sobie tylko zrozumiały sposób. Pamiętacie tragiczny lot promu kosmicznego Challenger. Te fantastyczne maszyny, te pojazdy ery kosmicznej zarażają się wirusem i miewają odchyłki w myśleniu, co powoduje chaotyczne zachowania.

- Zapytam jeszcze raz, co się stanie, jeżeli Jerycho zawiedzie?

Nagle zadzwonił czarny telefon i zaskoczył wszystkich obecnych, którzy patrzyli na niego zafascynowani i przerażeni. Mieli nadzieję na dobre wieści, ale byli również przygotowani na najgorsze.

Telefon zadzwonił umówione sześć razy i zamilkł. Zebrani podeszli do telefaksu, który zaczął mrużyć i stukać. Wysunęła się z niego kartka papieru zapisana dużymi literami po angielsku: „LAWFORD BEZPIECZNY. TUKHALI NIE ŻYJE. TERAZ NASTĄPI SERIA ZDJĘĆ PLANÓW (15). POWTARZAM PIĘTNAŚCIE”.

W laboratorium analitycznym na trzecim piętrze Dado i Berger przyglądali się, jak Newman i jego zespół studiowali zdjęcia planów pod potężną lupą. Rozmawiali ze sobą skomplikowanym językiem ery kosmicznej; ocena celu, formułowanie toru, kod analizy termicznej Sinda, interface naprowadzający, czujniki elektro-optyczne, zabezpieczone zapalniki i opóźniona detonacja. Główny inżynier do spraw systemów zrobił ostatnie notatki i wyszedł ze swoim personelem.

Profesor Newman przeszedł przez pokój i powiedział:

- Rozgryźliśmy problem. Rysunki dostarczone przez Tukhalego dokładnie wskazują położenie rdzenia reaktora w kopule i dają obliczenia wielkości i wytrzymałości kopuły, a co najważniejsze ciśnienie głębinowe na cal kwadratowy stropów poszczególnych poziomów.

- Czemu to takie ważne? - zapytał Dado.

- Ładunek musi się zagłębić i zdetonować na głębokości dwudziestu pięciu stóp, pomiędzy trzecim i czwartym poziomem. To spowoduje, że czterdziestotonowa kopuła betonowa opadnie, a niższe poziomy eksplodują. Temperatura wybuchu spowoduje, że ulegną zesparowaniu i zasklepią reaktor zapobiegając znacznemu opadowi radioaktywnemu.

- Zgodnie z naszymi danymi reaktor jest zimny - stwierdził Berger.

- Nawet w tej sytuacji zmagazynowane pręty paliwowe wyemitują nieco cząstek promieniotwórczych i spowodują niewielki opad radioaktywny.

- Jakiego rodzaju artylerii użyjemy? - zapytał Dado.

- Bombę „paliwowo-powietrzną”. Wyzwała ona niejądrową reakcję łańcuchową powodując zapłon i wybuch tlenu. Ulegające rozprężeniu komory powietrzne otoczone są berylem i sprężone w niewielką, pustą w środku kulę obłożoną siedmioma setkami kilogramów plastiku. Wyzwolona energia odpowiada tysiącowi ton TNT. Dwie mile kwadratowe terenu, na którym stoi Kahuta, dozna trzęsienia ziemi o sile sześciu i pół stopnia. Zniszczone zostaną linie elektryczne i telefoniczne w Islamabadzie i Rawalpindi. Ale jeżeli Jerycho spisze się dobrze, unikniemy syndromu Czarnobyła. Meteorologia również przemawia na naszą korzyść; dominujące o tej porze roku wiatry zniosą chmurę radioaktywną nad południowy wierzchołek Iranu i dalej nad Morze Arabskie.

- A co z wykonaną już i zmagazynowaną w Kahucie bronią jądrową? - spytał dalej Berger.

- Bomby mogą być zmontowane, ale z pewnością nie są uzbrojone. To byłoby samobójstwo. Broń atomowa musi zostać poddana złożonej procedurze uzbrajania, zanim można ją wykorzystać. Żaden fizyk przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby na magazynowanie uzbrojonej broni jądrowej.

- A jeżeli pan się myli?

- W takim, mało prawdopodobnym przypadku - westchnął Newman - Himalaje mogą wybrać się na spacer przez północno-wschodni Pakistan.

284

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Samolot dalekiego zasięgu o przestawnym wirniku typu Osprey CV-22 stał na płycie. Jego dwie trójłopatkowe turbiny spoglądały w niebo. Pomalowany na piaskowo-zielone kolory maskujące izraelskiego lotnictwa przypominał drapieżnego ptaka, który odpoczywa w pustynnym świetle przedświt.

Wirniki samolotu zamontowane na końcach skrzydeł pozwalały na pionowy start i lądowanie oraz na lot z dużą prędkością na długich trasach. Łączył więc dynamikę lotu samolotu turbośmigłowego z możliwościami helikoptera.

Dado patrzył z boku, jak profesor Newman i generał lotnictwa Carmil nadzorowali przeładunek stożkowej głowicy bojowej z helikoptera UH-60 na przenośnik taśmowy Ospreya.

Stojąca obok Dado Narda piła kawę.

- Ta maszyna wygląda na zbyt brzydką, by mogła latać - powiedziała.

- To niesamowity samolot - wyjaśnił Dado z podziwem. - Amerykanie koncentrują się na skandalach, zapominając o własnym geniuszu.

- Jeżeli już mówimy o Amerykanach, to Lawford wykonał zadanie.

- Jak cholera - zgodził się Dado. - Kiedy przyjedzie, chcę, żeby obejrzeni go nasi lekarze w Beth Zion.

- Będzie nalegał na spotkanie z tobą.

- Powiedz mu, że jestem w tajnej bazie komandosów na pustyni. Wrócę przed końcem tygodnia. I jeszcze jedno, ty albo Zichroni musicie być przy kontroli łączności o godzinie zero. Powiadom premiera natychmiast, gdy zamilknie radio Islamabad.

- A jeżeli nie zamilknie?

- To będziesz wiedziała, że nam się nie udało.

Pojemnik z głowicą wjechał na górę po transporterze Ospreya i zniknął w przedziale bagażowym samolotu. Generał Carmil skinął na Dado, że pora ruszać.

- Uważaj na siebie, Narda.

Kiwnęła głową i zsunęła na oczy ciemne okulary, by ochronić je przed matowym światłem wschodzącego słońca.

Generał Carmil towarzyszył Dado i profesorowi Newmanowi do drzwiczek samolotu.

- Przez całą drogę wokół Półwyspu Jemeńskiego będziecie mieli nad sobą osłonę myśliwców F-15. Gdyby pokazały się jakieś Migi, będą mieli pełne ręce roboty. Złożyłem to skrzydło z moich najlepszych chłopaków.

- Twoi chłopcy zawsze sprawowali się świetnie, Arik. Powiedziałem prawdę, kiedy przemawiałem do nich przed operacją przeciw Libii. Nasi piloci to światło narodu.

Generalowie podali sobie ręce i Dado wszedł za Newmanem do kabiny. Drzwi Ospreya zamknęły się i zaskoczyła blokada. Dwa silniki typu Allison kaszlnęły i ożyły. Powoli obróciły się pionowo ustawione turbiny, później zaczęły wirować z prędkością powodującą drżenie samolotu. Maszyna uniosła się niechętnie i zawisła dziesięć stóp nad ziemią. Uniesieniem kciuka pilot dał znak, że wszystko w porządku, i Osprey wzbił się w niebo, a jego pasażerowie i załoga doznali uczucia takiego, jakie ma się podczas jazdy w górę szybko-bieżną windą.

Generał Carmil i obsługa naziemna patrzyli z podziwem, jak samolot osiągnął wysokość sześciuset stóp, zawisł na moment, gdy obudowy zamocowanych na końcach skrzydeł wirników obracały się w tył, zmieniając konfigurację do postaci konwencjonalnego samolotu. Wznosząc się na dziesięć tysięcy stóp Osprey skręcił z gracją na południowy wschód i znik-

nął w warstwie chmur.

Czterdzieści tysięcy stóp nad Morzem Czerwonym dowódca skrzydła F-15 prowadził swoją grupę eskortową w zwartym szyku. Pionowy radar jego samolotu pokazywał powiększony przez komputer obraz Ospreya, lecącego piętnaście tysięcy stóp niżej. Dowódca włączył radionadajnik Mikron-UHF-FM na ustaloną wcześniej częstotliwość i zaczął mówić krótkimi, urywanymi słowami.

- Orzeł Jeden do Konika Polnego. *Over.*
- Konik Polny. Odbieram. *Over* - odezwał się pilot Ospreya.

- Mamy cię na LTI. *Over.*
- Rozumiem, Orzeł Jeden. *Over i out.*

We wnętrzu kabiny pasażerskiej Ospreya profesor Newman rozpiął pas, podszedł do kuchenki, nalał dwie wódki na lodzie i podał jedną Dado.

- *Cheers* - powiedział.
- *Cheers* - odpowiedział Dado.
- To dla mnie zupełnie nowe doświadczenie, lot samolotem hybrydowym z tysiącem ton TNT - oznajmił Newman.
- To tylko liczby, Yuval.
- Tak, wiem. Ale niech Bóg ma nas w swej opiece, gdyby Jerycho zawiódł.
- Gdybym był na twoim miejscu, nie liczyłbym na pomoc Jahwe.
- Ale nie jesteś na moim miejscu - powiedział Newman. - A ja na nią liczę. - Obrócił się i poszedł na tył samolotu, gdzie usiadł obok swego głównego inżyniera do spraw naprowadzania.

Popijając wódkę Dado kiwał głową z niedowierzaniem. Oto Yuval Newman, genialny alchemik, którego geniusz mógłby zniszczyć świat, nadal wierzy w Sztukmistrza, który wymyślił Sztuczkę z Mydłem. Ach, cóż. Jakie to ma znaczenie? Prędzej czy później każdy człowiek tworzy własny mit, z którym się godzi. Ważne było, że Newman był przy nim od samego początku i że naukowa ocena sytuacji przedstawiona premierowi przez profesora przekonała go do zatwierdzenia planu. Jeżeli Newman musi przywoływać do pomocy Jahwe, to można tylko mieć nadzieję, że profesor zna właściwy numer kierunkowy.

Dado dopił wódkę, opuścił zasłonkę okna, odchylił siedzenie, zamknął oczy i prawie natychmiast zasnął.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Podmuchy marcowego wiatru szeleściły w wysokich sosnach, które otaczały budynek Kwatery Głównej CIA i sprawiały, że w narożnym gabinecie admirała Clarka Dwinella drżały szyby.

Admirał wydmuchiwał kółka fajkowego dymu i oglądał w telewizji debatę Rady Bezpieczeństwa ONZ. Ambasador amerykański występował właśnie przeciw popieraniu przez Chiny wniosku o potępienie Izraela za napad na Libię.

- Ponieważ rząd Libii utrzymuje, że znajduje się w stanie wojny z Izraelem, rozsądne byłoby traktowanie przez pułkownika Kadafiego serio własnych gróźb. A jeżeli przywódca państwa libijskiego posiadał rakiety dalekiego zasięgu wyposażone w głowice z gazem bojowym, wycelowane w skupiska ludności na terenie Izraela, to... - Ambasador uniósł ręce w błagalnym geście - jak można uznać akcję Izraela za cokolwiek więcej niż działanie prewencyjne w obronie własnej?

Drzwi gabinetu admirała otworzyły się i wszedł Manfredi.

- W końcu udało mi się złapać doktora Summersa w Los Alamos. Przystudiował... - Zawiesił głos, gdyż admirał gestem nakazał ciszę i skierował uwagę Manfrediego na telewizor.

- Żadna część terytorium Libii nie została zajęta - kontynuował amerykański ambasador - ani też nie pogwałcono politycznej niezawisłości tego kraju. Atak izraelski miał charakter nie tylko prewencyjny, ale i odwetowy. Członkom tej Rady nie wolno zapominać, że rząd libijski zapewnia pomoc finansową terrorystom szkolonym i wyposażanym do przeprowadzania morderczych ataków na obywateli Izraela. Muszę przypomnieć szanownemu zgromadzeniu, że każdy cywilizowany kraj ma prawo chronić życie i majątek swoich obywateli. Dlatego też mój rząd reprezentuje pogląd...

Admirał wyłączył telewizor.

- Zgłosimy veto przeciw rezolucji potępiającej.

- Czemu nie? - powiedział Manfredi. - Przecież sami dokonaliśmy ataku na Libię w osiemdziesiątym szóstym z daleko bardziej błahego powodu.

Admirał postukał fajką i zapytał:

- Co powiedział Summers?

- Fotografie planów Kahuty potwierdzają, że Pakistan produkuje broń nuklearną o rdzeniu plutonowym. Wirówki wzbogacające i odzysk U-239 są takie same jak na Zachodzie.

- Mossad miał całkowitą rację - powiedział admirał.

- Musimy poinformować Komitet Nadzoru Kongresu - ostrzegł Manfredi. - Nie mo-

żemy trzymać tego w tajemnicy. Ktoś ujawni te zdjęcia. W ciągu najbliższych dziesięciu dni zobaczysz je w „New York Timesie”.

- Zgadza się, ale kiedy ujawnisz to, urwie się przyznana przez Kongres pomoc dla Pakistanu. - Admirał ponownie zapalił fajkę i pykał w zamyśleniu. - Zrzućmy to na kolana prezydentowi. Gramy na szachownicy zagłady. Islamska bomba atomowa otwiera drogę do Armageddonu. Izraelski atak na Libię dał wszystkim nieco czasu, ale nic nie powstrzyma Pakistanu od dostarczenia bomby temu szaleńcowi w Iraku lub Sudanowi, Syrii, Iranowi czy też jakiejś grupie terrorystycznej, a nawet znowu Kadafiemu. Kahuta. to światowa bomba zegarowa, której wskazówki zbliżają się do atomowej północy, a Izrael zdaje sobie z tego sprawę.

- Lawford powiedział, że nic nie wie o jakichkolwiek planach Mossadu co do ataku na Kahutę. Ale obawiam się, że w żadnym wypadku nie zwierzyliby mu się z tego.

- Czemu nie? - zapytał admirał. - Współpracował przez cały czas bardzo blisko z Mossadem. Odwalił dla nich kawał świetnej roboty. Zlokalizował Jarmah i wywiózł zdjęcia Kahuty. Od miesiący bierze udział w bardzo ryzykownych przedsięwzięciach. Berger mógł mu coś wspomnieć o możliwości operacji przeciw Kahucie. Nic konkretnego, ale cóż. - Admirał wstał i przechadzał się przez chwilę po pokoju, zanim zatrzymał się przed Manfredim. - Gdzie jest Lawford?

- W drodze do Tel-Awiwu.

- Myślałem, że wraca do domu.

- Według wywiadu indyjskiego został opatrzony i wsadzono go do samolotu Air India do Rzymu z połączeniem przez El Al do Tel-Awiwu.

- Czemu nie wraca prosto do domu?

- Berger uważa, że chodzi o dziewczynę.

- Jaką dziewczynę?

- Erykę Sperling.

- Chcesz powiedzieć, że Lawford związał się emocjonalnie z pracującą przy tej samej sprawie agentką?

- To się przytrafia najlepszym z nas.

Twarz admirała poczerwieniała.

- Nie, nie najlepszym z nas. Najgorszym z nas. Nigdy nie wymagałem, żeby moi ludzie byli święci. Nigdy nie spotkałem świętoszka, którego bym lubił albo mu wierzył. Mężczyzna może pozwolić sobie na moment wypoczynku z kobietą, ale nigdy z agentką pracującą przy tej samej sprawie. - Westchnął ciężko. - To moja wina. Zaangażowanie Lawforda było oportunistycznym. Zaryzykowałem i przegrałem.

- Nie wiemy, czy Lawford był nielojalny, a już na pewno nie można mieć zastrzeżeń co do tego, jak wykonał zadanie - spierał się z nim Manfredi.

- Nie chodzi tu o to, jak Lawford wywiązał się z zadań. Chodzi o jego ocenę faktów. - Admirał usiadł zmęczony. - Logika podpowiada, że Izrael otworzył bojową dokumentację Kahuty, i jeżeli się nie mylę, atak zostanie przeprowadzony przez Oddział Zadań Specjalnych generała Dado Harela. Wiemy, że Lawford spotkał się z Harelem w Rzymie przed podróżą do Pakistanu. Generał musiał przekonać go o zagrożeniu, jakie stanowi dla świata Kahuta.

- Przed chwilą powiedziałem dokładnie to samo.

- Tak, tyle że ja nie jestem żadnym pieprzonym misjonarzem. Zbieramy i analizujemy dane. Nie działamy pod wpływem emocji. Mówię ci, Al, że generał zaapelował do misjonarskiego ducha Lawforda.

- Nie wiem... - wahał się Manfredi. - Myślisz, że Harel podjąłby ryzyko poinformowania Lawforda o planach ataku na Kahutę?

- Gdybym był na miejscu generała, podjąłbym to ryzyko. Nie powiedziałbym mu szczegółów, ale na pewno próbowałbym wciągnąć go do pomocy.

- Nie wierzę, że Lawford zataiłby przed nami informację o tak krytycznym znaczeniu.

- Lepiej zadzwoń do Bergera. Powiedz mu, że chcemy, żeby Lawford wrócił. Chodzi o sprawy bezpieczeństwa kraju. Musimy się dowiedzieć, co ten skurwiel wie, zanim będzie za późno.

Manfredi wstał i westchnął ciężko.

- Muszę przyznać, że zgodnie z moim tokiem rozumowania, świat byłby znacznie bezpieczniejszym miejscem bez Kahuty.

290

- Ale zapominasz o czymś, Al. Jeżeli Kahuta zostanie zniszczona, Pakistan oskarży o to Indie. Cały subkontynent może zginąć w atomowej wojnie. A jeżeli włączą się do tego Rosjanie i Chińczycy - admirał zawiesił głos - potwór znajdzie się na wolności.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Pilot zmniejszył obroty i obniżył prędkość do trzystu węzłów, gdy Osprey zaczął schodzić z dwudziestu sześciu tysięcy stóp.

- Trzymaj na osiemnastu tysiącach - powiedział nawigator. - Namiar jeden-osiem-pięć. Jeżeli statek utrzymywał prędkość i właściwy kurs, powinniśmy go zobaczyć, kiedy zejdziemy poniżej chmur.

- Czerwone światelko na interkomie.

Pilot przesunął przełącznik i nadawany przez radio głos rozległ się w kabinie.

- Królowa Pszczół do Konika Polnego. Królowa Pszczół do Konika Polnego. *Over*.

Pilot odpowiedział natychmiast:

- Konik Polny odbiera. *Over*.

- Mamy was na loranie. *Over*.

- Rozumiem, schodzimy. *Over i out*.

- Dobrze naprowadzenie, Yaki - powiedział kapitan do nawigatora. - Odeślij eskortę do domu.

Nawigator przełączył nadajnik na kanał trzeci zgodnie z zakodowanym wcześniej systemem komunikacji powietrze-powietrze.

- Konik Polny do Orła Jeden.

- Orzeł Jeden odbiera. *Over*.

- Jesteśmy nad punktem spotkania i schodzimy do Królowej Pszczół. Dziękujemy za towarzystwo. *Over*.

- Zrozumiałem. Konik Polny. Spotkamy się w drodze powrotnej. Powodzenia. *Over i out*.

Dowódca skrzydła wykonał ostry skręt, a dywizjon podążył za nim na pułap dwudziestu ośmiu tysięcy stóp, na którym wyrównano lot i jak stado przelotnych ptaków samoloty pomknęły na wschód w stronę Morza Czerwonego.

Ostatnie ślady dziennego światła znikły i niebo przybrało ciemnoniebieski kolor, gdy nad Morzem Arabskim zapadła noc. *Athenian Queen* przeorywała powoli wysokie fale, ustawiając się dziobem pod wiatr. Kapitan Alon wcisnął guzik interkomu, który umożliwił połączenie ze wszystkimi stanowiskami na statku.

- Włączyć światła na przednim pokładzie do lądowania. Przygotować się na przyjęcie Konika Polnego.

Połygliwe niebieskie i białe światła utworzyły świecący owal na przednim pokładzie. Załoga marynarzy stała w gotowości, czekając na kontakt wzrokowy ze schodzącym do lądowania Ospreyem.

Na mostku operator radaru zauważył świecący punkt na ekranie i przycisnął guziki naprowadzania i lokalizacji.

- Mamy Konika Polnego, kapitanie - zawołał. - Jest na ośmiu tysiącach i obniża lot w ciasnej spirali.

- Jaki zamiar?

- Jeden-osiem-pięć.

- Skorygować kurs na jeden-osiem-pięć - rozkazał Alon. Sternik obrócił koło i ustawił na żyrokompasie nowy kurs.

- Jaki jest ostatni odczyt pozycji *Dolphina*? - zapytał Alon radiotelegrafistę.

- O dwie mile z prawej burty na głębokości czterdziestu sążni.

- Poinformuj *Dolphina*, że zmieniliśmy kurs na jeden-osiem-pięć i przygotowujemy się na przyjęcie Konika Polnego.

Generał Dado Harel stał w otwartych drzwiach kabiny Ospreya.

- Wszystko w porządku? - zapytał młodego kapitana.

- Jak dotąd tak, generale. Jak się trzyma profesor Newman?

- Złożywszy swe troski i nadzieje na barki Jahwe, śpi jak dziecko.

- Dobrze. Muszę panu powiedzieć, że będziemy tu bardzo zajęci.

292

- Niech pan nie zwraca na mnie uwagi. Chcę tylko zobaczyć, jak zamienia pan ten samolot znowu w helikopter.

Kapitan skinął głową i wyjął ze skórzanej kieszonki tabelę proceduralną.

- Gotowy do kontroli?

- Gotowy - odpowiedział drugi pilot.

- Wysokościomierz.

- Ustawiony.

- Klapy chłodzenia turbin.

- Zamknięte.

- Moc.

- Tysiąc obrotów w obu silnikach.

- Mieszanka.

- Maksymalnie bogata.

- Pompy wspomagające.

- Włączone.

- Zmiana ustawienia wirnika.

- Na zbliżeniu.

- Tryb synchronizacji śmigieł.

- Ustawiony na lądowanie.

- Prędkość.

- Jeden-pięć-pięć.

Pilot przesunął manetkę przepustnicy w przód i samolot przyspieszył schodzenie po ciasnej spirali.

Nawigator odczytywał głośno dane z wysokościomierza.

- Pięć tysięcy... cztery tysiące osiemset...

Kapitan zmniejszył nieco szybkość, gdy nawigator odczytał trzy tysiące.

- Jest! - krzyknął drugi pilot.

- Gotowość do zmiany ustawienia kąta wirnika - zarządził kapitan.

- Bursztynowe światło kontrolne na ustawieniu kąta wirnika - odpowiedział drugi pilot.

- Łopatki wirnika do rotacji helikopterowej.

Palce drugiego pilota przesunęły się sprawnie po zestawie umieszczonych nad jego głową przełączników.

- Rotacja helikopterowa.

Ton silników Ospreya zmienił się gwałtownie z równomiernego pomruku na wysokie wycie.

- Ustawić wirniki w pozycji pionowej.

Drugi pilot wcisnął dwa czerwone przyciski.

- Nachylenie wirnika włączone.

Dado patrzył, jak śmigła wydają się odrywać od obudów na końcach skrzydeł i jak łopatki nadal obracają się powoli, przyjmując pozycję obrotów w pionie.

Palce kapitana i drugiego pilota przebiegały z wprawą po serii przełączników i przycisków.

- W porządku - powiedział kapitan. - Połączmy się z marynarką wojenną.

Zanim załoga *Athenian Queen* dostrzegła ciemną, dziwaczną sylwetkę, najpierw usłyszała dudnienie obracających się łopatek wirnika i poczuła podmuch powietrza. Stojący na pomoście nawigacyjnym kapitan Matty Alon złapał się za brodę i wpatrywał się w Ospreya, który ustawiał się dokładnie nad pokładem dziobowym. Pokręcił głową w zdumieniu; nigdy jeszcze nie widział podobnego samolotu. Nie można lekceważyć Amerykanów, pomyślał... świat nie został jeszcze oddany we władanie Japończyków.

Pilot spojrział w dół na oświetlony pokład dziobowy i tuż za granicą wyznaczoną przez jaskrawe niebieskie i białe światła dostrzegł sylwetki marynarzy.

- Sześćset stóp - zawołał nawigator.

- Kierunek i prędkość wiatru? - zapytał pilot.

- Zachodni, piętnaście węzłów.

- Pięć stopni w lewo.
- Jest pięć stopni w lewo.
- Tempo opadania: sto stóp na minutę.
- Jest sto stóp na minutę.

Osprey opuścił się na wysokość sześćdziesięciu stóp i zawisł nad pokładem.

- Uwaga! Przygotować się! - krzyknął pilot. Marynarze przytulili się do relingu, kiedy gwałtowny podmuch o sile huraganu, wzbudzony przez turbośmigłowy napęd Ospreya, uderzył o pokład. Samolot wylądował.

Pierwszy pilot i jego zastępca wyłączyli oba silniki i zaciągnęli hamulce kół. Turbina powoli traciła obroty, można już było dostrzec pojedyncze łopatki. Podmuch ucichł i marynarze pośpiesznie założyli kliny pod koła i przeciągnęli stalowe liny między pierścieniami przy goleniach samolotu a pokładowymi pachółkami.

Drzwi kabiny otworzyły się i Dado wyskoczył na pokład, po czym odwrócił się i pomógł wysiąść Newmanowi. Matty Alon chwycił obu mężczyzn w niedźwiedzi uścisk. Kiedy wymienili powitania, marynarze zakryli Ospreya brezentowym pokrowcem. Kapitan Alon przedstawił Newmana głównemu mechanikowi, który miał nadzorować przeniesienie głowicy z samolotu do ładowni.

Była 7.05 wieczorem. *Atheniam Queen* dzieliły trzydzieści trzy godziny od odpalenia rakiety.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Narda zatrzymała jeepa obok posterunku wartowniczego i pokazała młodemu oficerowi swoją kartę identyfikacyjną. Ten sprawdził jej nazwisko na liście personelu Mossadu i gestem nakazał dalszą jazdę. Ostrożnie objechała betonowe krzyżaki, a kiedy wyminęła już barierę, zerknęła na Lawforda. Był blady; skóra opinała mu kości policzkowe, a szare oczy patrzyły ponuro. Na prawym przegubie miał opatrunek gipsowy, a lewe oko zasłonięte wąską przepaską.

Po kontroli na drugim posterunku wjechali do olbrzymiego obozu wojskowego Tel-Awiwu.

Na przedniej szybie zamigotało słońce. Tom zacisnął powieki i wyszeptał:

- Chryste...
- O co chodzi?
- O nic.

- Generał chciałby, żeby zbadał cię nasz chirurg ortopeda w wojskowym szpitalu Beth Zion.

- To tylko złamany nadgarstek. Poza tym hinduscy lekarze nie są źli... troskliwie się mną zaopiekowali.

- Być może, ale Beth Zion jest uważany za...

- Nie bądź taką cholerną szowinistką - przerwał jej gniewnie.

- Wiem, że jesteś zmęczony i przygnębiony, ale nie powiedziałam nic szowinistycznego. Nigdy nie twierdziłam, że jesteśmy lepsi od innych. W żaden sposób nie przejawiałam najmniejszej oznaki szowinizmu. Od naszego pierwszego spotkania, byłam zainteresowana jedynie...

- W porządku! - uciął. - W porządku.

- To nie jest w porządku. Zachowałbyś się rozsądnie, pozwalając obejrzeć swoją rękę.

- Przyjąłem do wiadomości. A teraz powiedz mi, gdzie u licha jest Dado?

Wiedziała, że dokładnie w tym momencie *Athenian Queen* płynie w stronę zapalnego punktu niedaleko Karaczi. Zichroni potwierdził lądowanie Ospreya. Ale nie mogła o tym powiedzieć Lawfordowi.

- Generał znajduje się w bazie na pustyni i analizuje rezultaty libijskiej operacji. Wróci za kilka dni.

- Powinien być w doskonałym nastroju. Raid w Libii był całkowitym sukcesem.

- Przeprowadziliśmy już wiele udanych rajdów, a wojna wciąż trwa.

Zaparkowała w cieniu przysadzistego, czteropiętrowego budynku koloru błota.

Zew Berger wyciągnął do Lawforda dłoń, ale gest zawisł w powietrzu, kiedy dostrzegł opatrunek gipsowy.

- To nic takiego. Mogę posługiwać się palcami, ale nadgarstek jest sztywny.

- Proszę, niech pan siada. Narda, powiedz Shoshanie, żeby zaparzyła kawę. - Berger zwrócił się do Lawforda. - Zapali pan?

- Nie, dziękuję.

Berger przypalił papierosa i powiedział, wydmuchując dym:

- Nie muszę chyba mówić, że darzymy pana największym szacunkiem. Operacja była bardzo ryzykowna, a pan nawet przez chwilę się nie zawahał.

- Skąd pan wie?

296

- Otrzymałem wyczerpujący raport od Pandita Sinde. Narda pomogła młodej sekretarce podać kawę.

- Dziękuję ci, Shoshana, możesz już iść - powiedział Berger.

- Czego ode mnie oczekujecie? - zapytał Lawford, popijając mocną kawę po turecku.

- Chciałbym, żeby opowiedział pan, co się z panem działo, od momentu wyjazdu z Rzymu do przybycia do Indii.

- W jakim celu?

Zanim Berger odpowiedział, wymienił z Nardą szybkie spojrzenie.

- Nie ulega już wątpliwości, że pakistański wywiad miał oko na Tukhalego. Salim Bashira jest wciąż na miejscu, a zatem znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Może coś pan wie - cenne są nawet jakieś drobne, wyglądające na nieistotne, okruchy informacji, które mogłyby go uratować.

- Moje wiadomości nie mogą uratować Bashiry.

- Jest pan zawodowcem - nalegał Berger. - Zdaje pan sobie doskonale sprawę, że niewinne urywki rozmów, coś, co przypadkowo usłyszał pan na przyjęciu, coś, co mógł powiedzieć Tukhali - pojedyncze słowo, komentarz, gest - to wszystko może pomóc. Wiem, że łąpię się już źdźbła trawy, ale...

- Ale macie tylko mnie.

- Tak.

- W porządku. - Tom westchnął. - Opowiem o wszystkim. Ale najpierw pan zrobi coś dla mnie. Chcę zobaczyć się z Eryką Sperling.

- Bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia, gdzie ona jest.

- To cholerne kłamstwo i dobrze pan o tym wie! Jest w szpitalu, gdzieś na północy.

- Powiedziała mu - odezwała się Narda. Berger westchnął.

- Nie mogę panu pomóc, panie Lawford. Dałem słowo Eryce, że oszczędzę jej takiej wizyty. Wyraziła się bardzo jasno. Nie chce się z panem spotkać.

- To próżność przez nią przemawia.

- Być może, ale nie mogę złamać danej obietnicy.

- Jest mi pan winien przysługę.

- Jeszcze więcej winien jestem Eryce Sperling.

- Czemu nie zaczekasz na generała? - poradziła Narda. - Jestem pewna, że Dado coś wymyśli. Przecież on nie obiecywał nic Eryce.

Tom przyglądał się jej przez chwilę, aż wreszcie skinął głową.

- W porządku, zaczynajmy. Jestem cholernie zmęczony.

- Mamy dla pana rezerwację pokoju w hotelu Dan - powiedział Berger, zdejmując okulary i podnosząc je do światła. - Przy okazji, dzwonił Manfredi. Chcą, żeby pan natych-

miast wracał.

- Świetnie. Powiedział mi pan o tym.
- Chodzi o sprawy bezpieczeństwa państwowego. Co mam mu przekazać.
- Żeby się odpieprzył. Teraz niech pan weźmie magnetofon to opowiem o Pakistanie.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Mała armia specjalistów Agencji Wywiadowczej generała Ayuba Murraniego dokładnie przeszukała mieszkanie doktora Tukhalego. Wykrywaczami metali zbadano ściany, rozdarto książki, zerwano obrazy ze ścian, rozbito meble, ubrania pocięto na paski, wypróżniono buteleczki z lekarstwami i kosmetykami; koce, poduszki i dywany pokrojono warstwa po warstwie, a klepki leżały w stertach. Mieszkanie wyglądało jakby ktoś przepuścił je przez maszynkę do mięsa. Grupa agentów Murraniego pracowała metodycznie, choć przepełniała ich niema wściekłość.

Przesłuchano wszystkich pracowników ośrodka w Kahucie, którzy kontaktowali się z Tukhalim. Zajął się tym Wydział Specjalny Służby Bezpieczeństwa. Grupa śledcza poleciała do Beludżystanu, żeby przesłuchać mieszkańców rodzinnej wioski Tukhalego - Bughti.

Murrani siedział przy biurku Tukhalego. Cały ranek poświęcił na dokładne zbadanie każdego świstka, notatki, listu, kartki pocztowej, fiszki, fotografii i odręcznych zapisków znajdujących się w mieszkaniu. Co jakiś czas podchodzili do niego pomocnicy, przynosząc skrawki rachunków i pokwitowań karty kredytowej znalezionych w kieszeniach garnituru. Zatelefonował szef Bezpieczeństwa Wewnętrznego Abassi, a zaraz po nim szef sztabu generał Rahman. Obaj donieśli, że siły zabezpieczające Kahutę zostały potrojone, a wszystkie urządzenia przeciwlotnicze i baterie rakiet ziemia-powietrze „Crotale”, otaczające ośrodek nuklearny, znajdują się w starcie pełnej gotowości. Obawiając się desantu izraelskiego grupy dywersyjnej. Murrani rozkazał wzmocnić patrole na morzu i w powietrzu wokół Karaczi i wzdłuż wybrzeża Morza Arabskiego.

Parę dni wcześniej prezydent Ghazi i dyrektor Kahuty, doktor Khan, spotkali się w gabinecie Murraniego. Generał poinformował ich o incydencie na granicy. Khan wyraził zaniepokojenie sprawą danych o ogromnym znaczeniu, jakie Tukhali mógł przekazać wrogim siłom podczas długiego okresu zatrudnienia w Kahucie. Prezydent przerwał Khanowi twierdząc, że dokonane szkody są już nie do naprawienia, a następnie wyraził uznanie dla Murraniego za wykrycie zdradzieckiej działalności Tukhalego. Ghazi stwierdził, że wezwie amerykańskiego ambasadora i zażąda sprawozdania z udziału Lawforda w tej nieprzyjemnej spr-

wie.

Murrani był zaskoczony oficjalnym zachowaniem prezydenta, pokazem władzy na wyłączny użytek Khana. W rzeczywistości Ghazi nie był w stanie utrzymać się na stanowisku bez wsparcia generała Murraniego.

Przekopując się przez stos papierów, Murrani przypomniał sobie słowa, które Khan wypowiedział na pożegnanie.

- Los naszego Centrum Badań Jądrowych spoczywa w pana rękach, generale.

Murrani gardził wyraźną próbą dostojnego fizyka zdystansowania się od odpowiedzialności za przecieki informacji z Kahuty. Khan, prezydent, generał Rahman, Abassi, wszyscy zrzucili ciężar na jego barki. Zajmie się nimi w odpowiedniej chwili. Ale wszystko po kolei. Musi rozgryźć tajemnicę ucieczki Tukhalego i poznać rolę, jaką w całej sprawie odegrał amerykański dziennikarz. Murrani był pewien, że Lawford to ten sam dziennikarz, który towarzyszył Fritzowi Kleiserowi do Libii. Zadzwoił do STS w Berlinie, niestety, sekretarka nie miała pojęcia, gdzie przebywa Kleiser. Próbował też skontaktować się szefem libijskiego kontrwywiadu, ale Libijczycy nadal otrząsali się po zniszczeniach spowodowanych izraelskim atakiem. Szwajcarski łącznik Murraniego obiecał ujawnić nazwiska kryjące się za tajemniczą spółką „Lizrose”, firmą, która sfinansowała odbudowę rodzinnej wioski Tukhalego.

Kręcąc się na krześle zaczął przeglądać stos artykułów technicznych napisanych przez Tukhalego, gdy oficer śledczy zasalutował i podał mu oprawiony w skórę mały notesik z adresami.

- Znaleźliśmy to w kieszeni wieczorowej marynarki. Murrani włożył okulary i uważnie przeglądał notes strona po stronie. Nie było w nim adresów - tylko numery telefonów i imiona, głównie kobiet. Tylko jedna strona zapisana była sumami dolarów, które wykazywały gwałtowny przyrost. Ostatnią sumą było \$ 250000, przy niej znajdował się numer telefonu bez numeru kierunkowego. Murrani obrócił się na krześle i zawołał swojego nowego adiutanta.

- Kapitanie!

- Tak, panie generale!

- Niech Służba Bezpieczeństwa sprawdzi ten numer, wykorzystując numery kierunkowe wszystkich większych miast. Jeżeli uda się gdzieś połączyć, niech odłożą słuchawkę i podadzą mi pełen numer wraz z kierunkowym.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Athenian Queen orała głęboko fale czterdzieści mil morskich na południowy wschód od Karaczi. Była 3.25 rano czasu pakistańskiego. Z czerwieniejącego nieba lał deszcz.

Statek płynął pod wygaszonymi światłami, a załoga znajdowała się w pełnej gotowości. Trzy mile od prawej burty i piętnaście sążni w głąb morza łódź podwodna *Dolphin* podążała jak cień za *Athenian Queen*.

Na mostku panowała cisza, zakłócana tylko trzeszczeniem statku opadającego i unoszącego się w rytm morza. Generał Harel i kapitan Alon stali obok sternika. Twarze techników obsługujących loran i radar oświetlone były fluorescencyjną poświatą z ekranów.

- Jaką mamy teraz prędkość? - zapytał Dado.

- Dwadzieścia osiem węzłów - odpowiedział Alon. - Dopłyniemy na miejsce odpalenia zgodnie z planem o czwartej rano. To znaczy, jeżeli wszystko pójdzie dobrze.

- A czemu miałoby nie pójść?

- Wszystko może się zdarzyć: pakistańskie samoloty patrolowe, fregaty, a poza tym znajdujemy się niedaleko brytyjskiej bazy morskiej w Masirze.

- Ale jesteśmy greckim frachtowcem korzystającym z prawa swobodnej żeglugi po wodach międzynarodowych.

- Statki zbliżające się do granic Zatoki Perskiej są często zatrzymywane przez pakistańskie łodzie patrolowe poszukujące przemytników opium.

Zadzwoił telefon na mostku. Odebrał go Alon.

- W porządku. - Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Dado. - Newman cię prosi. - Znajdziesz drogę na rufę?

- Tak mi się wydaje.

Dado wyszedł, a Alon podszedł do operatora radaru.

- Masz coś?

- Kilka punkcików daleko na południe.

Alon zwrócił się do radiooperatora.

- Przekaż *Dolphinowi*, żeby zwolnił do piętnastu węzłów i trzymał obecny kurs. - Zbierał się do wyjścia, ale przypomniał sobie o czymś. - Niech dowódca *Dolphina* załaduje i uzbroi torpedy.

Dado miał zejść z drabinki na rufę, gdy statek zatoczył się gwałtownie. Trzymając się dolnego pierścienia poczekał, aż wyprostuje się i dopiero wtedy opuścił nogi na pokład. Potrzebował chwili, zanim oczy przyzwyczyły mu się do smug światła w ogromnym, pustym luku.

Jerycho III stało pionowo na swojej platformie trzymane mocno w pierścieniach wieży

startowej. Dzięki refleksowi światła stożek głowicy zamontowanej na szczycie rakiety wysokiej na trzydzieści pięć stóp błyszczał, jak gdyby potężna siła wybuchu mieszcząca się w jej trzystopowym wnętrzu świeciła własnym światłem.

Dado przeszedł przez wielką ładownię do konsoli komputerowej.

Profesor Newman wydał szeptem polecenie inżynierowi zajmującemu się napięciem i odwrócił się żeby powitać Dado.

- Spójrz, Dado. Przy jednej konsoli trzech ludzi kontroluje start, termodynamiczne ssanie paliwa, wzór toru opadania i ocenę odległości od celu. Widzisz ten czerwony przycisk? Avi naciska przycisk i następuje detonacja paliwa stałego. Po sześciu sekundach spalania sto ton ciągu unosi Jerycho do stratosfery w niecałe dwie minuty.

- Ile potrzeba czasu od startu do trafienia w cel?

- Trzy minuty i czterdzieści sześć sekund.

Dado spojrział na mrugające cyferki danych telemetrycznych na ekranach komputerów i poczuł nagły strach.

- Wyjdźmy na pokład.

- Coś nie tak?

- Nie, nie. Kołysanie działa mi na żołądek. Nie jestem dobrym marynarzem, Yuval.

Nawet wiatr i deszcz dawały wytchnienie po ponurym półmroku ładowni.

- Czy ten deszcz będzie miał jakiś wpływ na Jerycho?

- Nie. Inna sprawa, gdybyśmy trafili na silny sztorm - odpowiedział Newman. - Ale niepewność to duch hauki, teoria Heisenberga, okrucy przypadku i tak dalej. Wszystko może się zdarzyć. Po takim stwierdzeniu muszę powiedzieć, że Jerycho to nie tylko mądra rakieta, to genialna rakieta. Jej mózg został zaprogramowany na cel; komputerowy system naprowadzania inercyjnego stale porównuje dane z obrazu z kamery telewizyjnej z profilem celu. Czujnik wielowarstwowy przenika naturalne bariery. Laserowy ży-ropromień emituje elektroniczną tarczę, która myli i pozwala uniknąć wysłanej przeciw Jerycho rakiety. Jerycho ma na pokładzie sto siedemdziesiąt pięć wspierających komputerów.

302

Chcę przez to powiedzieć, że Jerycho żyje. Potrafi myśleć, czuć i widzieć. Zakładając, że nie zdarzy się nic, czego nie da się przewidzieć, Jerycho wykona zadanie.

- Jestem przyzwyczajony ufać ludziom, a nie maszynom.

- Wystarczy, że wierzysz we mnie, Dado. A teraz odpręż się. Wypij kawę. Muszę wracać do moich dzieci.

Gdy profesor zszedł pod pokład, Dado wpatrywał się w zasłonę deszczu i przypominał

sobie oczy skazanych na śmierć dzieci patrzących w obiektyw kamery esesmanów. Wtedy nie było Jerycho, które mogłoby je uratować. Żadnych F-16. Żadnych czołgów. Żadnych uzi. Nic. Nikogo.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

W głównej sypialni willi na wybrzeżu w Clifton Salim Bashira melancholijnie wpatrywał się w otwartą aktówkę, zawierającą paszport, książeczki czekowe, klucze do depozytów bankowych i wystający spod sterty rupii pistolet Walther. Całe swoje życie poświęcił na budowanie imperium i zbieranie dzieł sztuki, a teraz musiał zamienić to wszystko na jakieś dokumenty, pieniądze i broń.

Wiele lat temu, kiedy jego matka leżała na łożu śmierci, obiecał jej, że niczego nie będzie żałował. Aż do tej pory nie zachwiał się w tym postanowieniu. W końcu nie każdemu trafia się szansa uratowania swojego narodu. Przez wiele lat brał udział w tej śmiertelnej grze, a w ciągu najbliższych paru godzin ważyć się będą jego własne losy. Jak do tej pory sprzyjało mu szczęście. Jedno tylko pytanie zostawało bez odpowiedzi: w jaki sposób generał Murrani odkrył działalność szpiegowską Tukhalego? Gdzieś musiano popełnić błąd, błąd o fatalnych następstwach. Może Tukhali zaufał niewłaściwej osobie, a może sam popełnił pomyłkę? Ale jaką? Ta niewiedza doprowadzała go do szaleństwa.

Bashira poczuł ogarniający go strach; obrócił w palcach trzymaną w kieszeni kapsułkę z cyjankiem. Bez względu na to, co się stanie, nie dopuści do publicznego wieszania. Nie będzie dyndał na linie, dostarczając tłumom rozrywki. Podszedł do drzwi prowadzących na taras i otworzył je na oścież. Morskie powietrze przesiąknięte było zapachem deszczu. We mgle złowieszczo buczały syreny okrętowe, a gdzieś tam, w ciemnościach, *Athenian Queen* zbliżała się do punktu odpalenia.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

W słabo oświetlonej sterówce technicy koncentrowali się wyłącznie na błyszczących monitorach.

Kapitan Alon i generał Harel utrzymywali równowagę, mimo kołysania statku, Alon nerwowo zuł niedopałek cygara i poprosił operatora loranu o sprawdzenie namiarów.

- Trzy mile morskie od punktu odpalenia, kurs jeden-osiem-sześć.
- Prędkość?

- Sześć węzłów.

Na przednim pokładzie zdjęto brezentowy pokrowiec. Obsługa tankowała Ospreya i podłączała generator.

Alon nacisnął guzik interkomu i połączył się z szefem załogi rufowej.

- Raffy?

Po chwili usłyszał odpowiedź.

- Tu Raffy.

- Otwórz tylny luk i melduj.

- Mamy już tylko osiemnaście minut, Matty - powiedział złowieszczo Dado.

- Zdążymy.

Z głośnika rozległ się głos dowódcy załogi na rufie.

- Tylne luki otwarte.

- W porządku, Raffy. Sprawdźcie podnośnik hydrauliczny Jerycho i przekazcie meldunek.

W półmroku tylnego luku profesor Yuval Newman czuł, jak przyspiesza mu puls, gdy zamrugało światło ostrzegawcze podnośnika hydraulicznego i trzydziestopięciostopowa rakietka uniosła się powoli na pokrytej stalą platformie.

Dowódca i marynarze patrzyli uważnie, jak stożkowata głowica Jerycho wyłania się z tylnej ładowni. Dowódca sprawdził wskazania ciśnienia podnośnika. Zadowolony z wyniku połączył się z mostkiem.

- Podnośnik hydrauliczny sprawny.

- Opuść go, Raffy, i bądź w pogotowiu.

Alon połączył się z tylną ładownią przez interkom. Po drugiej stronie odezwał się inżynier odpowiedzialny za start.

- Tak, kapitanie...

- Czy Yuval jest gdzieś w pobliżu?

- Obok.

- Daj mi go.

Dado tylko patrzył. Dowodzenie przygotowaniem należało do kapitana Alona.

- Tu Newman.

- Kontrola odliczania - zarządził Alon. - Osiemnaście minut i czterdzieści sekund.

- Odliczanie telemetryczne zsynchronizowane.

- Powinienem wiedzieć coś jeszcze? - zapytał Alon.

- Komputery detonacji są skalibrowane dokładnie na godzinę 04.00 jako czas startu.

Mamy tylko wąski margines czasu. Jakiegokolwiek poważne opóźnienie oznacza niepowodzenie.

- Co pan uważa za poważne?

- Piętnaście minut.

- W porządku. Bądźcie gotowi. Alon przywołał radiotelegrafistę.

- Uzgodnij naszą pozycję z *Dolphinem* i zsynchronizuj minuty do startu.

- Tak, panie kapitanie.

- I dowiedz się, Avi, czy rybki *Dolphina* są uzbrojone i gotowe.

Radiotelegrafista skinął głową i uzyskał połączenie po kanale łączności głębinowej.

- Po co torpedy? - zapytał Dado.

- Na wszelki wypadek.

- Przeciw czemu?

- Kto wie?

Na mostku panowała głęboka, pełna napięcia cisza. Trzeszczenie kadłuba podkreślało jeszcze jej intensywność. Zegar operacyjny wskazywał godzinę 03.44 - szesnaście minut do startu.

W ponurym półmroku tylnej ładowni profesor Yuval Newman przejrzał serię algorytmicznych równań celu wraz z inżynierem procedury startowej.

Na przednim pokładzie załoga Ospreya wsiadła do samolotu i przystąpiła do procedury kontrolnej.

Na mostku Alon podał Dado filiżankę kawy.

- Ten deszcz pomaga.

- W jaki sposób?

- Silny deszcz uspokaja morze.

- Zapalisz? - Alon poczęstował Dado papierosem.

- Nie, dziękuję.

- Mam coś na radarze - krzyknął operator.

- Prędkość i kurs!

- Kurs jeden-siedem-sześć, zbliża się szybko. Prędkość około trzydziestu pięciu węzłów.

- Odległość?

- Poniżej dwóch mil.

- Chryste... - szepnął Alon. - To musi być pakistańska korweta. Są wyposażone w rakietki Exocet, baterie dział Quad 40 i kierowane sonarem ładunki głębinowe przeciw łodziom

podwodnym.

- Czy możemy zakłócić ich radar?

- Za późno. Za moment zobaczymy ich światła. Musiał nas wypatrzeć samolot radarowy E2-C. Tego się obawiałem. Statek nieomal w bezruchu i pozbawiony świateł daje podstawy do podejrzeń. - Alon zwrócił się do radiotelegrafisty. - Avi, na jakiej jesteś częstotliwości?

- Radiostacji w Karaczi.

- Wyłącz. Niech radiostacja zamilknie.

- Czemu patrolują wody międzynarodowe? - zapytał Dado.

- Może myślą, że mamy kłopoty albo że przewozimy opium. Albo zagęścili sieć patroli morskich. O cokolwiek chodzi, musimy szybko podjąć decyzję, Możemy polecić, żeby *Dolphin* zatopił ich, gdy tylko ich zauważy, ale jeżeli ta korweta zniknie z teledetektora w bazie, będziemy tu mieli flotę powietrzną i flotyllę okrętów w ciągu kilku minut. Możemy wystrzelić Jerycho, ale to równa się naszej śmierci. Trzecie wyjście to wyłgać się jakoś i mieć nadzieję, że nie będziemy musieli korzystać z torped *Dolphina*.

Dado patrzył nad prawą burtę w deszcz i skinął głową.

- Dobra. Spróbuj się wyłgać. Ale jeżeli okaże się to konieczne, zatop ich. Możemy wysadzić nasz statek w powietrze i wystartować Ospreyem. Bez obciążenia ładunkiem zmieścimy się wszyscy.

- Łatwiej powiedzieć niż wykonać. Pamiętaj, że kiedy zatopimy korwetę, pakistańskie F 16 będą tu za kilka minut. Osprey będzie dla nich ćwiczebnym celem.

- Czy możemy odpalić Jerycho, założyć ładunki wybuchowe i przenieść wszystkich, na *Dolphina*?

Alon pokręcił głową.

- Jesteśmy tylko o czterdzieści mil od bazy lotnictwa morskiego w Karaczi. To około sześć minut dla F-16, nieco więcej dla helikoptera raketowego. Przeniesienie wszystkich na łódź podwodną w nocy na rozkołysanym morzu jest trudne i czasochłonne. Jeżeli będziemy musieli zatopić pakistańską korwetę, naszym jedynym wyjściem jest Osprey.

Alon włączył kanał łączności podwodnej.

- *Dolphin*, tu Królowa Pszczół. *Over*.

- Odbieram cię. *Over*.

- Czy masz intruza na loranie? *Over*.

- Potwierdzam. Obecny kurs jeden-osiem-trzy i zbliża się z prędkością trzydziestu ośmiu mil. *Over*.

- Zostajemy na kursie. Idź za nimi po prawej burcie i bądź gotów do odpalenia torped na mój rozkaz. *Over*.

- Zrozumiałem, Królowa Pszczół. *Over i out*. Alon włączył przycisk połączenia z tylną ładownią. - Tu Newman.

- Mamy intruza, jak nam się wydaje, pakistańska korweta. Ale idziemy do punktu startu. Bądźcie gotowi odpalić. Jerycho.

- Jesteśmy gotowi.

Alon połączył się z tylnym pokładem.

- Raffy!

- Mów, Matty.

- Mamy intruza.

- Widzę jego światła.

- Jeżeli nie przekonam go, żeby nas puścił, *Dolphin* go zatopi. Wtedy wystrzelimy Jerycho, założymy ładunki wybuchowe i zabierzemy wszystkich do Ospreya. Niech chłopcy będą gotowi do otwarcia grodzi i założenia ładunków TNT pod linią wody, ale nie róbcie nic bez rozkazu.

- Dobra.

- I jeszcze jedno, Raffv. Poślij łącznika na dziób. Niech załoga samolotu prowadzi przygotowania do startu, ale niech zakryją samolot.

- Załatwione.

Stojący na skrzydle mostka pakistańskiej korwety kapitan i pierwszy oficer nakierowali noktowizory na ciemny kadłub frachtowca.

- Reflektory - rozkazał kapitan.

Potężne lampy łukowe przebiły ciemność i deszcz. Sześćset metrów przed nimi w słabym świetle ukazał się kadłub *Athenian Queen*.

- Obsługa działek na stanowiska bojowe i gotowość dla grupy abordażowej! - polecił kapitan. Później połączył się z oficerem łączności. - Porucznik Hamdi...

- Hamdi na linii.

- Przekaż bazie naszą pozycję. Poinformuj, że mamy tu frachtowiec płynący bardzo wolno, bez świateł, który nie daje żadnych sygnałów. Będziemy nawiązywać kontakt. Nadawaj natychmiast.

- Tak, panie kapitanie.

Teraz kapitan zwrócił się do pierwszego oficera.

- Włącz głośniki.

- Włączone, panie kapitanie.

- Zwolnić do piętnastu węzłów i ster dwadzieścia stopni na prawą burtę. Wszystkie posterunki w gotowości.

Kapitan poczekał, aż jego polecenia zostaną przekazane i podniósł lornetkę.

308

- Co pan o tym myśli? - zapytał pierwszy oficer.

- Jest płytko zanurzony, bez świateł, ledwo obraca śrubami... - z lornetką przy oczach mruknął kapitan. - Wygląda na to, że płynie pod grecką flagą. Albo jest to statek z opium, albo nieszkodliwy frachtowiec, który ma kłopoty.

- Ale, panie kapitanie, jak możemy wejść na jego pokład? Jest na wodach międzynarodowych.

- Możecie zapisać w dzienniku, że zaoferowaliśmy im pomoc w trudnej sytuacji.

W tylnej ładowni *Athenian Queen* profesor Newman sprawdził dane telemetryczne odliczania i zadzwonił na mostek.

- Matty?

- Tak. Wal.

- Osiem minut dwadzieścia sześć sekund i odliczamy.

- Sprawdzone.

Zalane deszczem szyby otaczały mostek oświetlony reflektorami zbliżającej się fregaty.

- Sukinsyny, prowadzą demonstrację siły - powiedział Alon i zwrócił się do sternika: - Dziesięć stopni na prawą burtę.

- Jest, dziesięć stopni na prawą burtę.

Teraz Alon połączył się z maszynownią.

- Przygotuj się do pełnego normalnego oświetlenia.

- Gotowy.

- Yossi!

Operator loranu obrócił się.

- Gdzie jest *Dolphin*? - zapytał Alon.

- Pięćset stóp od lewej burty na dwudziestu sążniach.

Potężne światła korwety zalały mostek, a wzmocniony głos wypełnił wąski przesmyk morza oddzielający oba statki.

- Uwaga na pokładzie! Uwaga na pokładzie! Uwaga na pokładzie! Tu kapitan Khadara, pakistański patrol przybrzeżny numer dwa-trzy-osiem. Chcę rozmawiać z waszym kapita-

nem.

Matty Alon podniósł zasilaną z baterii tubę i wyszedł na skrzydło mostka. Kiedy podniósł tubę do ust, deszcz siekł go po twarzy.

- Mówi kapitan Dimitri Minardos. Powtarzam, Dimitri Minardos. Czym możemy służyć?

- Zidentyfikujcie statek, kapitanie.

Oczy Alona zwęziły się w ostrym świetle, ale dostrzegł obsadzone baterie dział i sylwetki postaci grupy gotowej przeprowić się na pokład *Athenian Queen*, zgromadzone na dziobie korwety.

- *Athenian Queen* w drodze z Akaby do Kalkuty.

- Port rejestracji?

- Pireus.

Nastąpiła złowieszcza cisza i Alon zaczął liczyć, ile czasu będzie potrzebował na odpalenie torped z *Dolphina*.

- Czy potrzebujecie pomocy? - zaryczał głos pakistańskiego kapitana nad wąskim pasmem wody pomiędzy statkami.

- Nie! - odpowiedział Alon. - Powtarzam, nie. Mielśmy pożar w maszynowni. Jesteśmy na zasilaniu awaryjnym i przygotowujemy się do włączenia pełnej mocy.

- *Athenian Queen*, zaczekać! - rozkazał pakistański kapitan. Alon wszedł szybko na mostek.

- Cztery minuty - powiedział Dado.

Peryskop *Dolphina* wystawał nad czarną wodę i obracał się powoli jak głowa kobry poszukującej ofiary. Pakistańska korweta świeciła w celowniku, a na skrzyżowaniu nitek wyraźnie odznaczały się cyfry 238.

- Silniki stop - rozkazał dowódca.

- Zatrzymane, panie kapitanie.

- Odległość do celu czterysta pięćdziesiąt jardów.

Pierwszy oficer powtórzył dane.

- Przygotować dziobowe wyrzutnie torped.

W tylnej ładowni zespół obsługi startu Jerycho wpatrywał się w wyświetlacz danych telemetrycznych. Zegar odliczania wskazywał trzy minuty i osiemnaście sekund. Newman mógł się tylko domyślać dramatu, jaki rozgrywał się na pokładzie, ale pocily mu się dłonie i oddychał ciężko. Spojrzał na Jerycho III z błyszczącą główką. Szybko zbliżali się do punktu, z którego nie było już odwrotu. Komputer detonatora Jerycho odmierzał już czas pozostały do

wybuchu.

Na przednim pokładzie kapitan, drugi pilot i nawigator siedzieli na swoich miejscach w kabinie Ospreya. Hybrydowy samolot zakryty był brezentem. Powietrze w kabinie stało w bezruchu, a kołysanie statku powodowało, że załoga czuła mdłości.

Kapitan walczył z chorobą morską i skupił się na procedurze startowej bez włączania wirników.

- Włącz pompy i sprawdź iskrownik - powiedział - ale nie włączaj go.

Drugi pilot dotknął przełącznika.

- Iskrownik sprawdzony.

- Ustaw mieszankę na bogatą.

- Najbogatsza.

Nawigator wprowadził dane drogi powrotnej do domu w pokładowy komputer nawigacyjny.

Matty Alon chodził po mostku. Cyfrowy zegar pokazywał dwie i pół minuty do startu rakiety.

- Musimy podjąć decyzję, Matty - powiedział cicho Dado.

Alon skinął głową.

- Avi, włącz nadajnik Mitrek i ustaw częstotliwość siedem-jeden-trzy-sześć, częstotliwość nadawania pozycji w razie wypadku morskigo i spróbuj wywołać korwetę.

- Dado, wciśnij te pięć przełączników za tobą.

Na mostku zapadła cisza. Dado zauważył, że koszula Alona przesiąkła potem.

- Mam łączność! - krzyknął radiooperator.

Alon wziął mikrofon i nachylił się nad radiooperatorem.

- Pakistan. Dwa-trzy-osiem. Tu kapitan Minardos. *Athenian Queen. Over.*

- Tu Pakistan. Du^Ta-trzy-osiem. Odbieramy cię. *Over.*

- Mamy pełne zasilanie, powtarzam, pełne zasilanie, i zostajemy na kursie do Kalkuty.

Over.

- Zachować pozycję, *Athenian Queen.* Powtarzam, zachować pozycję.

- Cholera - syknął Alon.

- Będziesz musiał ich zatopić - powiedział Dado. Alon włączył kanał łączności podwodnej.

- *Dolphin*, tu Królowa Pszczół. *Over.*

- Odbieram cię, Matty.

- Gotowość do odpalenia torped po moim odliczaniu. Trzydzieści sekund. Znak!

- Znak!

Alon patrzył na sekundnik zegarka. Na czole pojawiły mu się kropelki potu.

- Znak!

- Dwadzieścia pięć sekund - odpowiedział kapitan łodzi podwodnej.

Nagle potężne reflektory korwety zgasły i zatrzeszczało radio na mostku.

- Pakistan. Dwa-trzy-osiem wzywa *Athenian Queen*. *Over*.

- Wstrzymaj odliczanie *Dolphin!* - krzyknął Alon i podbiegł do radia.

- Tu Minardos. Odbieram. *Over*.

- Ruszajcie do portu przeznaczenia. Powodzenia. *Over*.

- Dziękujemy za pomoc. Dwa-trzy-osiem. Powodzenia. *Over i out*.

Wysmukła korweta odeszła ostro na prawą burtę, zostawiając za sobą brudę spienionej wody.

- Mieliśmy szczęście, Dado! Cholerne szczęście! - krzyknął Alon. - Nasz blef zadziałał. Dowódca jego bazy kupił naszą historyjkę. - Alon zwrócił się do radiooperatora. - Avi, daj mi wszystkie pozycje na głośnik.

Chwytając obie ręczki telegrafu maszynowego, Alon przesunął je na całą naprzód. Statek zatrząsł się, gdy potężne śruby uderzyły o wodę.

- Trzymać kurs - nakazał Alon sternikowi.

- Avi, przełącz kanał na radio Islamabad.

- Przełączam kanał.

- Raffy - krzyknął Alon w słuchawkę. - Słyszysz mnie, Raffy?

- Słyszę. Wal.

312

- Podnieście Jerycho i potwierdźcie gotowość.

- Zvikah. Słyszysz mnie?

- Słyszę. *Over* - potwierdził dowódca obsługi na dziobie.

- Zdejmijcie brezent z Ospreya. Odłączcie generator. Niech pilot rozgrzewa silniki.

- Jerycho gotowe do startu! - dobiegł z głośnika głos Newmana. - Pięćdziesiąt pięć sekund i odliczam.

- Sprawdzone! - potwierdził Alon. - Avi, powiedz *Dolphinowi*, żeby trzymał pozycję i przygotował się. Joel, podaj mi odczyt z loranu.

- Na pozycji.

Alon złapał dźwignie telegrafu maszynowego i przesunął wskazówkę na małą naprzód.

Statek zatrzęsł się i uspokoił. Alon złapał Dado za ramię.

- Chodźmy na rufę.

Pognali przejściem na tylny pokład.

Jerycho III stało na stalowej platformie. Po jego głowicy ściekały błyszczące krople deszczu.

W tylnej ładowni palec inżyniera odpowiedzialnego za start spoczywał na czerwonym przycisku odpalającym raketę. Zgodnie z odczytem danych telemetrycznych pozostało jeszcze trzydzieści sekund.

- Odpalić przy szóstce - polecił Newman.

Patrzyli na zapalające się na wyświetlaczu cyfry: 00.09-00.08-00.07-00.06.

Inżynier wcisnął przycisk.

Na tylnym pokładzie Dado, Alon i załoga patrzyli, jak u podstawy rakiety pojawił się czerwony błysk, który powoli przemienił się w jaskrawy, pomarańczowożółty ogon.

Przez pokład przetoczył się potężny ryk.

Sześciosekundowy zapalnik zdetonował paliwo stale i ciąg o sile stu ton uniósł Jerycho w niebo.

Rozdział sześćdziesiąty

Siedemset osiemdziesiąt mil na północ od Karaczi półksiężyc rzucał słabe, blade światło na Centrum Badań Jądrowych Kahuty. Siły bezpieczeństwa i baterie rakiet strzegące ogromnego kompleksu znajdowały się w pełnej gotowości.

We wnętrzu sali reaktora zespół fizyków i inżynierów prowadził czynności ponownego uruchomienia reaktora. Wibrujący pomruk dziesięciu tysięcy wirówek odbijał się echem o ściany i unosił ku kopule. Świeże pręty paliwa uranowego ustawione z doskonałą symetrią zostały zanurzone w ciężkiej wodzie. Technicy, którzy siedzieli przy rzędach komputerów, sprawdzali wciąż od nowa odczyt analizy podstawowych czynności reaktora. Była 4.02 rano. Za niecałe osiem godzin reaktor osiągnie pełną moc.

W pobliżu głównej bramy, pięćdziesiąt stóp pod ziemią, dwaj technicy obsługujący radary pili kawę i palili papierosa za papierosem, próbując zwalczyć hipnotyczny wpływ patrzenia Ba ekran luminescencyjny, po którym przebiega zielona linia. Służba w stacji radarowej Kahuty była męczącym posterunkiem. Samoloty rzadko wkraczały w zastrzeżoną strefę dwudziestomilową i obsługa radarów doskonaliła swe umiejętności śledząc loty pakistańskich myśliwców wojskowych F-16.

Znudzony dyżurny oficer ziewnął i spojrzął na zegarek. Zostały jeszcze trzy godziny. Wstał, przeciągnął się i nalał sobie filiżankę świeżej kawy.

- Nalać ci? - zapytał dyżurującego razem z nim oficera.

- Nie, dziękuję. Później tylko chce mi się lać.

- Odpocznij sobie, odlej się.

- A nie zaśniesz?

- Nie, nie. Idź.

- Zaraz wracam.

- Nie spiesz się, Kasim. Ten stan gotowości bojowej to idiotyzm, jakiś rutynowy nonsens.

Dyżurny oficer wrócił na swoje miejsce, spojrzął na świecący ekran radaru, sięgnął po następnego papierosa. Wytrząsnął jednego z paczki, zapalił zapałkę, podniósł ją do papierosa i zamarł. Włosy stanęły mu dęba, a ciało pokryła gęsia skórka. Duża, bladozielona kropla paliła się na ekranie i rosła z zadziwiającą prędkością. Zapałka przypaliła mu palce i to pchnęło go do działania. Szybko włączył komputerowy wektor naprowadzania na cel. Natychmiast na ekranie pojawił się rząd cyfr. Obiekt znajdował się na wysokości czterdziestu siedmiu tysięcy stóp i opadał w tempie dwustu stóp na sekundę. Oficer włączył komputerowy system powiększania celu. Obiekt, który widział na radarze, był pozbawiony skrzydeł i miał stożkowaty kształt. Oficer szybko naciskał palcami klawisze komputera. W panice stracił kilka sekund, gdy krzyknął do pustych ścian: „Głowica bojowa”. Łapiąc oddech nacisnął przycisk interkomu łączącego go z koszarami i zawołał:

- Alarm! Alarm! Zbliża się głowica bojowa! Zbliża się głowica bojowa! Odpalić rakiety na podczerwień!

Ryk syren rozdarł noc. Baterie rakiet „Crotale” wkroczyły do akcji. Salwy rakiet wyposażonych w detektory termiczne zostały wystrzelone w stronę zbliżającej się głowicy. Wielolufowe działa przeciwlotnicze otworzyły ogień przeczesując niebo świecącymi pociskami smugowymi. Żołnierze wysypywali się z koszar, wskoczyli do transporterów opancerzonych i rozjechali się w szaleńczym tempie we wszystkie strony. Pakistańskie F-16 wzbiły się w powietrze z bazy lotniczej sąsiadującej z Kahutą.

Jerycho przebiło pierwszy poziom z siłą kafara i zagłębiło się na trzydzieści pięć stóp pod ziemię między poziomem trzecim a czwartym. Skomputeryzowany mózg głowicy bojowej uruchomił detonator. Plastikowy płaszcz eksplodował we wnętrzu obudowy niszcząc kulę berylu i rozprężając komory do masy nadkrytycznej, wyzwalając tym sposobem siłę wybuchu równą tysiącowi ton trotylu.

Poziomy trzeci i czwarty rozpadły się, gdy tornado palącego ognia i rozchodzące się fale uderzeniowe parły poziomo i pionowo.

W hali reaktora ogromna kopuła opadła z ogłuszającym rykiem, zrzucając tony betonu do zbiornika ciężkiej wody.

Obudowa pękła i martwa fala ciężkiej wody chlusnęła na techników zamieniając ich w żywe zdjęcia rentgenowskie, świecące kształty, które ciskały się szaleńczo we wszystkie strony, zanim zaświeciły niebieskim światłem i wyparowały.

Burza pomarańczowo-zielonych płomieni przetoczyła się przez pierwszy poziom jak gigantyczny palnik acetylenowy, pożerając wszystko, co znalazło się na drodze. Kilometry rur zmieniły się w kałuże stopionej miedzi. Kable elektryczne zwały się, zwinęły i ciskały purpurowe płomienie, sycząc niby węże.

W kilka sekund Centrum Badań Jądrowych Kahuty stało się rozchwanianym piekłem radioaktywnego gruzu.

Dwadzieścia pięć kilometrów na północ od Kahuty zatrzęsała się ziemia pod Islamabadem i Rawalpindi. Wylatywały okna. Pękały wodociągi. Zerwane zostały linie zasilania. Ludzie wpadli w panikę i wyskakiwali na opustoszałe ulice. Z przerażeniem patrzyli, jak dwa wielkie języki ognia lizały niebo poranka nad Kahutą.

O 2.26 rano czasu izraelskiego Adam Zichroni powiadomił premiera, że Radio Islamabad przestało nadawać.

O godzinie 4.26 po południu laboratorium sejsmologiczne Caltech w Pasadenie zarejestrowało trzęsienie ziemi o sile sześciu i pół stopnia z epicentrum w północno-wschodnim Pakistanie.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Gęsta mgła otoczyła *Athenian Queen* kołyszącą się w bezruchu na falach. Kapitan Matty Alon ponownie sprawdził współrzędne z operatorem Ioranu.

- Odczyty są identyczne - powiedział operator. - Wierz mi, Matty. Jesteśmy o czterdzieści mil od Karaczi i trzy mile od plaży Gadani. Patrz na ekran. Możesz zobaczyć krzywą plażę.

- Jeżeli jesteśmy na miejscu, to gdzie jest łódź z pilotem?

- Skąd do diabła mam wiedzieć? Nie ja planowałem tę operację. Jedynie zgłosiłem się do niej na ochotnika.

Alon uścisnął ramię marynarza.

- W porządku, Yossi. W porządku.

Jego załoga była zdenerwowana do ostatnich granic, a napięcie nie ustąpiło po starcie Jerycho. Kilka minut później wystartował Osprey zabierając Dado, Newmana i obsługę Jerycho. W tym czasie załoga Alona była zajęta demontażem nowoczesnego sprzętu startowego i wyrzucaniem go za burtę.

Przez ostatnie dwie godziny pocili się na pakistańskich wodach terytorialnych. Wszystko, co wiedzieli, to tyle, że Radio Islamabad zamilkło trzy i pół minuty po starcie Jerycho. Jeżeli głowica trafiła w wyznaczony cel, całe wybrzeże zapewne roi się od patroli... chyba, że rządząca klika wojskowa nie przekazała tej wiadomości do Południowego Dowództwa Marynarki.

- Dajmy pilotowi jeszcze piętnaście minut - powiedział Alon do wyczerpanej załogi na mostku.

Później wziął lornetkę i wyszedł na skrzydło mostka.

Czuł zapach łądu, ale przewalająca się mgła zaciągnęła nieprzeniknioną zasłonę pomiędzy statkiem a wybrzeżem. Sonda głębokości wskazywała łachy i wyżłobione w nich rowy, więc nie mogli ryzykować, że osiądą na mieliźnie o trzy mile od brzegu.

Plan Bashiry musiał zostać albo dokładnie wykonany, albo należało z niego zrezygnować. Alon przypuszczał, że prostota planu okaże się jego silną stroną. Uprzednia współpraca z Salimem Bashirą sprawiała, że miał zaufanie do starego agenta Mossadu.

Podczas obserwacji morza usłyszał lub też wydawało mu się, że słyszy, odległe perkotanie małego silnika. Włączając przedni reflektor, skierował go w stronę, z której dochodził dźwięk, i przez jedwabistą mgłę zobaczył coś, co wyglądało na niewielki kuter. Puls mu przyspieszył, gdy zobaczył barczystą postać mężczyzny stojącego na dziobie.

- Opuść drabinkę, Raffy! Opuść drabinkę! - krzyknął do interkomu.

- Drabinka opuszczona - odpowiedział dowódca załogi pokładowej.

Alon podniósł megafon i zawołał w kierunku zbliżającego się kutra:

- Tu kapitan Minardos. Czekamy na was!

- Przepraszam, kapitanie! - krzyknął pilot portowy. - Wszystko przez tę cholerną mgłę.

Skręcając ostro w lewo, kuter stanął przy lewej burcie frachtowca. Pilot zwinął rękę w tubę i krzyknął:

- Proszę o pozwolenie na wejście na pokład.

Trzydzieści minut później kil *Athenian Queen* zarył się przy pełnej prędkości w piaszczyste dno i statek zatrzymał się sto stóp od plaży Gadani.

- Teraz, kapitanie Minardos - powiedział pilot - zobaczy pan coś, co warto zobaczyć.

Pociągnął za dźwignię i syrena okrętowa zawyła trzy razy. Odziany w łańchmany tłum wrzeszczących mężczyzn o ciemnej skórze wyłonił się nie wiadomo skąd i biegł po mulistej plaży. Wspinali się na pokład po siatkach załadunkowych, które zrzucano z lewej burty. Kiedy znaleźli się na pokładzie, utworzyli łańcuch i z ręki do ręki przekazywali sobie łomy, palniki, przecinaki do śrub i młoty. Wyposażeni w narzędzia Pathanowie zakrzętnęli się po statku jak armie wojowniczych mrówek, które gotowe są przystąpić do konsumpcji bezbronnego zwierzęcia.

Alon i jego osiemnastoosobowa załoga zeszli z pokładu i podążyli za portowym pilotem na brzeg, w stronę oczekującego urzędnika imigracyjnego.

Na drodze, za skleconą naprędce budką urzędu imigracyjnego, stał Salim Bashira oparty lekko o maskę jaguara. Obok błyszczącej limuzyny czekał zakurzony autobus.

Alon i jego załoga okazali greckie paszporty i bez problemu przeszli przez kontrolę.

Załoga wsiadła do autobusu, a Alon do jaguara razem z Bashirą.

Jadąc z niewielką prędkością, oba pojazdy skierowały się nadbrzeżną drogą na zachód w stronę Karaczi.

- Za kilka dni - powiedział Bashira, wskazując kominy pobliskiej stalowni - *Athenian Queen* zniknie w piecach bez śladu. Otwórz schowek, Matty. Znajdziesz tam kopertę z biletami lotniczymi dla ciebie i załogi. Odlatujemy z Karaczi do Aten o trzynastej, liniami Olympic.

- A później?

- Małymi grupami będziemy wyjeżdżać z Aten do Tel-Awihu w ciągu najbliższych dziesięciu dni. Jeżeli nie słyszałeś, na północy miało miejsce katastrofalne trzęsienie ziemi. Zgodnie z doniesieniami nasze centrum atomowe zostało całkowicie zniszczone.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Wybiegając z tłącej się świątyni, żołnierz tulił w rękach palące się zwoje. Dado go gonił. Jordańskie czołgi parły przez ulicę Chain. Żołnierz zginął pod gąsienicami czołgu. Avital klęczała nad zakrwawionym trupem zbierając kawałki zwoju z okaleczonych zwłok. Prorok Eliasz kołysał się w modlitwie nad Avital. Bardzo młody Dado wycelował i strzelił prorokowi prosto w oko. Oko powiększyło się, urosło w balon, wypełniło ulicę. Nabrzmiate krwią żyły przecinały białko oka. Ogromne oko uniosło się nad Starym Miastem. Dado podniósł karabin, wycelował w oko i wystrzelił. Potok krwi lunął na Ziemię, zmywając Avital i zwłoki żołnierza z ulicy Chain. Został tylko młody Dado. Jahwe, ubrany w pasiaka z, obozu śmierci, podszedł do

Dado.

Dado podskoczył na fotelu, złapał oddech i otarł pot z czoła.

- Co się stało? - zapytał Newman.

- Nic - odparł Dado chrapliwym głosem i wyjrzał przez owalne okienko.

Poniżej, w oddali, lazurowe wody Zatoki Adeńskiej połyskiwały w słońcu. Dado rozpiął pas, wstał, i spojrzał na techników z obsługi Jerycho, którzy grali w karty.

- Wszystko w porządku? - zapytał jeszcze raz Newman.

- W porządku - powiedział Dado i skierował się do kabiny pilotów.

- Jak długo jeszcze?

- Jeżeli utrzyma się ten wiatr w ogon, cztery godziny.

- Czy mamy osłonę myśliwców?

- Godzinę temu spotkaliśmy się z dywizjonem eskortowym myśliwców F-15. - Pilot zrobił przerwę. - Czy wszystko w porządku, generale?

- Jestem po prostu zmęczony.

- Jest pan błądy jak ściana.

- Ty też, synku.

- Takie tu światło - powiedział nawigator.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Salę odpraw Ministerstwa Obrony w Lahaur wypełniali przedstawiciele prasy międzynarodowej. Podkreślono system klimatyzacji, by zrównoważyć upał wywołany pracą reflektorów i kamer. Przemówienie prezydenta Ghazi transmitowano na cały świat przez satelitę.

Czarne oczy prezydenta były ponure, a ton jego głosu poważny.

- Nasz kraj dotknęła ogromna tragedia. Z przykrością muszę poinformować państwa, że pakistańskie Centrum Badań Jądrowych Kahuty zostało zniszczone przez trzęsienie ziemi. W katastrofie zginęło sto siedemdziesiąt sześć osób personelu technicznego. Miasta Islama-bad, Peszawar i Rawalpindi zostały tymczasowo ewakuowane. Jednostki wojskowe okręgu północnego starają się zabezpieczyć Kahutę i opanować opad radioaktywny. Apeluję do światowej społeczności naukowej o natychmiastową pomoc. Islamska Republika Pakistanu nie ma ambicji, by stać się mocarstwem atomowym. Centrum Badań Jądrowych zostało wybudowane, by zapewnić tanią energię dla całej prowincji północno-wschodniej. - Zrobił przerwę, czekając, aż notujący dziennikarze uchwycą tok jego wypowiedzi.

W ostatnim rządzie siedział generał Murrani i oglądał występ prezydenta z obojętnym rozbawieniem. Chociaż gardził prezydentem, podziwiał jego wybitne zdolności do ukrywania prawdy za przekonującą fasadą niewinności.

Supermocarstwa wiedziały, że Kahuta istnieje wyłącznie po to, żeby produkować broń atomową, a uwagi Ghaziego miały ukryć prawdę przed obywatelami Pakistanu.

Murrani poinformował wcześniej prezydenta, że wypadek w Kahucie spowodowali wrogowie w kraju i za granicą. Szwajcarski łącznik Murraniego zdołał wreszcie przebić się przez labirynt formalnych spółek, które stały za firmą „Lizrose”. Ślad prowadził wprost do Salima Bashiry i jego Globalnego Systemu Transportowego. Ustalono, że numer telefonu znaleziony w notesie Tukhalego należał do Willi Bashiry. Konta bankowe magnata żeglugo-wego zostały opróżnione, biura zamknięte, a sam Bashira zniknął.

Murrani był pewien, że Bashira przekazywał dane dostarczane przez Tukhalego wywiadowi Indii. Należało pamiętać, że amerykański dziennikarz Lawford i doktor Tukhali uciekali do granicy indyjskiej, a Bashira miał liczne kontakty służbowe w Indiach. To, w jaki sposób Indie zdołały zniszczyć Kahutę, pozostawało zagadką.

W żadnym wypadku fakty te nie zostaną ujawnione społeczeństwu. Wściekłość mas obaliłaby reżim. Murrani doradził, by katastrofą obciążyć przyrodę. Nikogo nie można było obarczyć odpowiedzialnością za trzęsienie ziemi. Na szczęście opad radioaktywny był minimalny. Jednak koszty zabetonowania Kahuty wyniosą setki milionów. Potrzebna będzie góra cementu, ale może z czasem ludzie będą jeździć po niej na nartach - każdy medal ma dwie strony.

Szef wywiadu zapalił papierosa i przyglądał się prezydentowi, który zrobił dramatyczną przerwę w swoim wystąpieniu, a teraz zamierzał zakończyć mowę na pobożną nutę.

- Pozostajemy bastionem wiary islamskiej na azjatyckim subkontynencie. Składamy swe życie i los w ręce proroka Mahometa i wszechmocnego Boga - Allacha.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Admirał Clarke Dwinell wyłączył telewizor i walnął pięścią w wypolerowany dębowy blat biurka.

- Jak? Jak ci cholerni Izraelczycy to zrobili?

- Nie wiemy, czy zrobili cokolwiek - zripostował Manfredi. - To mogło być faktycznie trzęsienie ziemi. Cały ten region leży na uskoku.

Admirał podniósł kubek z kawą i spojrział przez okno na słońce prześwitujące przez wierzchołki sosen.

- Izraelczycy załatwili Kahutę. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Trwająca obecnie debata Rady Bezpieczeństwa w sprawie potępienia Izraela została zawieszona. Zespoły fizyków atomowych z ZSSR, USA, Europy Zachodniej i Międzynarodowej Agencji Atomistyki obradują na temat Kahuty. Uwaga całego świata skupiła się na pakistańskiej katastrofie atomowej. Mówię ci, że kiedy Mossad otrzymał zdjęcia od Lawforda, zaczęli działać. Wybrali idealny pod każdym względem moment. Reaktor był zimny i opad radioaktywny jest taki, jak po wypadku na Three Mile Island, a nie po Czarnobylu. Nasz satelita KH-11 potwierdził na zdjęciach, że nastąpiła implozja zasklepiająca reaktor. Operacja była błyskawiczna i przeprowadzona z chirurgiczną precyzją.

- Ale jak? Droga z Tel-Awihu do Kahuty i z powrotem to pięć tysięcy mil nad terytorium wroga. I nawet gdyby kilka F-16 jakimś cudem dotarło na miejsce, piloci poprzyrastaliby do sterów.

- Nie chodzi o to, jak to zrobili. - Admirał przez moment bujał się na krześle. - Ponad rok temu Izrael wypróbował nowoczesną raketę Jerycho III.

- Ale to tylko rakietka klasy IRBM o zasięgu tysiąca mil. Jak niby miało Jerycho przelecieć z Izraela do Pakistanu?

- Znalezli sposób.

- Skąd możesz mieć pewność, że to nie był wypadek? - upierał się Manfredi. - Wiemy, że w północnym Pakistanie rzeczywiście miało miejsce trzęsienie ziemi o sile sześciu i pół stopnia.

- Skala Richtera nie odróżnia trzęsienia ziemi od podziem-

322 nego wybuchu atomowego. W zeszłym tygodniu przeprowadzaliśmy jakiś test w Newadzie, który został zarejestrowany jako trzęsienie o sile czterech i pół stopnia, a w Las Vegas, o sto mil od miejsca wybuchu, powypadały szyby. To nie był wypadek. Kahuta była śmiertelnym zagrożeniem i w taki czy inny sposób Izraelczycy ją zniszczyli. W Bogu tylko nadzieja, że Pakistan nie obarczy winą Indii, bo inaczej cały ten cholerny subkontynent wyleci w powietrze. - Admirał przycisnął guzik interkomu.

- Tak, panie admirale.

- Proszę mnie połączyć z Zew Bergerem.

Puszczając przycisk interkomu powiedział do Manfrediego:

- Jakie masz najnowsze wiadomości o Lawfordzie?

- Nadal jest w Tel-Awivie.

- Ten skurwiel misjonarz wlaźł Mossadowi do łóżka. Ta Niemka go „odwróciła”. Jeżeli kiedykolwiek coś z tego dostanie się do prasy, jeżeli Komitet Nadzorczy położy łapę na tym, że jeden z naszych własnych...

- Zew Berger na trzeciej linii. - Przerwał mu głos sekretarki.

- Weź drugą słuchawkę, Al.

Admirał Dwinell podniósł słuchawkę i uśmiechnął się ciepło, jak gdyby Berger mógł go zobaczyć.

- Dobry wieczór, Zew.

- Dzień dobry, admirale.

- Jak się masz?

- Mam nadwagę i jestem przepracowany, ale jakoś się trzymam.

- Dobrze. Dzwonię, żeby ci przypomnieć, że Lawford ma natychmiast wracać. Oficjalnie proszę, żebyś wziął go pod nadzór ochronny. Wyślemy po niego samolot naszego lotnictwa.

- Na szczęście to nie będzie konieczne. Ma rezerwację na lot El Al do Nowego Jorku dziś wieczorem.

Siedząc za odrapanym biurkiem, Berger spojrzał na Narde, która przysłuchiwała się rozmowie przez drugą słuchawkę.

- Czy macie jakieś wiadomości dla Lawforda? - zapytał.

- Nie. Żeby tylko znalazł się w tym samolocie.

- Zrobię, co będę mógł. Czy masz coś jeszcze?

- Jedną drobną sprawę.

- Tak?

- Jak żeście to zrobili?

- Co?

- Kahutę.

Berger westchnął.

- Kiedy nadejdzie raport o pierwszym wypadku AIDS na Księżycu, winą za to obciążą się Izrael.

- Chyba masz rację, Zew. - Admirał zachichotał. - Masz zmęczony głos. Weź wolny dzień. Odetchnij. Porozmawiamy wkrótce... I proszę cię, dopilnuj, żeby Lawford zdążył na samolot.

- Nie martw się. Uważaj na siebie, admirale.

- Ty też, Zew.

Rozległo się pukanie do drzwi, weszła sekretarka i podała admirałowi czerwoną kopertę.

- Z NASA.

Admirał przeczytał kartkę papieru ze stemplem „Ścisłe tajne”: „Nagrane przez satelitę KH-11 o 16.40 nad Morzem Arabskim”.

- Spójrz na to, Al.

Manfredi zerknął przez ramię admirała.

- *Królowa Pszczół do Konika Polnego. Królowa Pszczół do Konika Polnego. Over.*

- *Konik Polny odbiera. Over.*

- *Rozumiem. Jesteśmy w drodze. Over.*

(Pauza. Inny kanał).

- *Konik Polny do Orła Jeden. Over.*

- *Orzeł Jeden odbiera. Over.*

- *Jesteśmy nad miejscem spotkania i schodzimy do Królowej Pszczół. Dziękujemy za towarzystwo. Over.*

- *Zrozumiałem Konik Polny. Over i out.* Admirał włożył kartkę do koperty.

- Nagrano to we wtorek, mniej więcej osiemnaście godzin przed zniszczeniem Kahuty.

- Królowa Pszczół... - mruczał Manfredi. - Konik Polny... To brzmi jak kryptonimy używane przez Brytyjczyków. Prawdopodobnie jakieś manewry powietrzno-morskie koło bazy Angoli w Masirze.

- Zadzwoń do Londynu i sprawdź u Saundersa z MI-6. Jedno jest pewne. Te głosy należą do ludzi, którzy posługiwali się wyrafinowanym sprzętem u wybrzeży Pakistanu.

324

Rozdział sześćdziesiąty piąty

Zew Berger zapalił papierosa i pokiwał głową z udaną konsternacją.

- Ach... te nasze gierki.

- Uważasz, że admirał wie? - zapytała Narda.

- Oczywiście, że wie.

- Mimo to, nie może nic udowodnić.

- Na razie. Ale będzie mógł. Amerykanie są niesamowici. Mogą podsłuchiwać rozmowy z Plutona. Z czasem dowiedzą się wszystkiego. - Zawiesił na moment głos. - Ale muszę przyznać, że ta operacja okazała się geopolitycznym zwycięstwem. Tym razem nasi przy-

jaciele nie będą zmuszeni nas potępiać.

- To poważny komplement, zważywszy, że cały czas byłeś przeciwny tej operacji.

- Nie w teorii, tylko w praktyce. Boję się wszelkich operacji, które wymagają idealnego zaplanowania i idealnego wykonania. Ale czasem wszystko wychodzi. Tak więc w północno-wschodnim Pakistanie było trzęsienie ziemi i wszechświat oddycha nieco lżej, gdy ze sceny światowej zniknęła islamska bomba atomowa. Poczęstuj się ciasteczkiem, Nardo.

- Nie, dziękuję.

- To nie są ciastka wypieku mojej żony. Kupiłem je dziś rano w piekarni Hertzberga.

Narda. spojrzała na niego podejrzliwie, ale ugryzła ciastko i popiła je kawą.

- Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Proponuję ci posadę w Sekcji do Spraw Kultury ambasady w Londynie.

- To rozkaz Dado?

- Nie, mój. Wyjedź na trochę, Nardo. Dość przeszłaś. Jesteś jeszcze młoda. Dado nigdy nie porzuci Avital. Nigdy nie uwolni się od Holocaustu. Nigdy nie zawrze rozejmu w osobistej wojnie z Jahwe. Nigdy nie wybaczy przeszłości. Ratuj się.

Narda przyglądała mu się przez chwilę.

- Jesteś uczciwym człowiekiem, Janusz, i dziękuję ci za propozycję, ale Londyn jest dla mnie za zimny. Należę do basenu Morza Śródziemnego.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

Generał Dado Harel i Tom Lawford szli w promieniach słońca w stronę okrągłego ogrodu kwiatowego.

- Oto ona - powiedział Dado. - Zaczekam na ciebie przy wejściu. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Eryka w ogromnych okularach słonecznych wystawiła twarz ku słońcu. Złoty brazylijski naszyjnik okalał jej szyję, a talizman „Figa” błyszczał w słońcu.

Gdy Lawford zbliżył się do niej, zdjęła okulary i wpatrywała się w niego.

- Berger dał mi słowo. Nie chciałam się z tobą widzieć. Dał mi słowo.

- I dotrzymał go. Generał przyprowadził mnie tutaj. Poza tym, jestem dochodzącym pacjentem. Tutejsi lekarze oglądali moją rękę.

- Proszę cię, odejdz.

Tom pokiwał smutno głową.

- Na Boga, Eryko...

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Blask złości w jej oczach przybladł.

- Nie wiem, dokąd poszła pielęgniarka. Czy możesz mnie odwiedzić na drugą stronę?

Tom pchał wózek alejką wysadzaną palmami na zaokrąglony występ wychodzący na Morze Śródziemne.

Wysoko w górze para jastrzębi krążyła z gracją, korzystając z prądów termicznych, a daleko w dole ogromne fale rozbijały się o długi falochron.

- Co się stało z twoją ręką?

- Miałem wypadek samochodowy.

- Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zgodziłeś się tam pojechać?

- Generał mocno nalegał.

- I to wszystko?

- Może ze względu na tunele w Nordhausen. Może ze względu na wiele spraw. Cholera, nie wiem.

Patrzyła w dal na szarą sylwetkę korwety patrolującej wybrzeże.

- To, że nie chciałam się z tobą spotkać, nie wynikało z próżności - powiedziała miękko. - Nie obchodzi mnie moja twarz. Chodzi o to, że nie mogę chodzić i jestem tak cholernie bezradna. Od czasu Berlina nie pozwoliłam się odwiedzić nawet mojej matce. Tylko Narda przychodzi często.

- Lekarz powiedział, że goją ci się blizny i wkrótce zaczniesz chodzić. A jeżeli chodzi o mnie - uśmiechnął się - nadal jesteś kandydatką na Miss Niemiec.

- *Ich glaube Sie sind.*

- Co znaczy?

- Jest trochę za późno. Pochylił się i ucałował ją.

- Proszę, nie rób tego. - Uśmiechnęła się. - Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to frustracja seksualna.

- Nie powinienem cię nigdy zostawiać samej.

- Nie mogłeś nic zrobić. To się stało szybko, bardzo szybko. Landau uratował mi życie, a Penelopa je straciła.

- Czy słyszałaś, co się stało z Kleiserem?

- Nie.

- Został aresztowany przez szwajcarską policję. Wygląda na to, że o mało co nie zabił bardzo młodej Szwajcarki. Pobił ją na miazgę.

- Prawdopodobnie jakieś dziecko, za które zapłacił. Tom wyciągnął kopertę wielkości

małej kartki i położył ją na jej kolanach.

- Wszystkie moje numery. Zadzwoń do mnie.

- Po co?

- Chcę wiedzieć, że dobrze się czujesz.

Przyglądała mu się i pomyślała, że jego szare oczy były bardziej czułe, niż je zapamiętała.

- Obiecuj mi, że zadzwonisz.

Kiwnęła głową.

- Dobrze, obiecuję.

Nachylił się i pocałował ją lekko; Zarzuciła mu ramiona na szyję i objęli się czule.

Wspomnienia wróciły jak powódź. Zapomniała o miejscu i czasie.

- Pan Lawford?

Tom obrócił się. Pielęgniarka w mundurku stała przy wejściu do ogrodu.

- Tak?

- Generał Harel prosi, żeby panu przypomnieć, że czeka na pana.

- Lepiej idź - powiedziała Eryka.

Ich oczy spotkały się i po raz ostatni spojrzeli na siebie. Patrzyła, jak odchodzi i miała nadzieję, że ją zapamięta. Nic więcej...

Dado prowadził piaskowego koloru volvo na południe autostradą nadbrzeżną w stronę międzynarodowego lotniska Ben Gurion. Lawford spoglądał przez okno niewidzącym wzrokiem. Nie rozmawiali ze sobą od wyjazdu ze szpitala.

Blisko za nimi jechał jeep z osobistą obstawą generała. Dopiero gdy minęli pierwsze znaki informujące, że zbliżają się do lotniska, Dado odezwał się.

- Musisz o niej zapomnieć.

- Rozmyślałem tylko, jak ona świetnie to wszystko znosi. Lekarz powiedział mi, że zamiast kości udowej ma stalowy pręt. Wyjdzie ze szpitala, ale do końca życia będzie cierpieć bóle.

- Da sobie radę z bólem. Przez całe życie znosiła bardziej dokuczliwy ból.

- Kiedy zacznie chodzić, kiedy jej stan się poprawi, chcę się z nią zobaczyć.

- Daj spokój, Tom. Eryka Sperling jest na libijskiej czarnej liście. Może być bezpieczna tylko tutaj. Chcesz się osiedlić w kibucu i spędzić resztę życia hodując brzoskwinie?

- Liczę na ciebie, Dado. Chcę, żebyś ją ze mną skontaktował.

- Oczekaj trochę, a jeżeli nadal będziesz chciał się z nią zobaczyć, załatwię to. Masz moje słowo.

Wjechali przez główną bramę, objechali rotundę i zatrzymali się przy krawężniku przed budynkiem odlotowym.

Jeep zaparkował za nimi. Żołnierze wysiedli i czekali aż Dado i Tom się pożegnają.

- Moi chłopcy przeprowadzą cię przez kontrolę bezpieczeństwa, gdzie będzie na ciebie czekać Narda. Nie ma sposobu, w jaki mógłbym ci podziękować. Ziemia Święta należy do ciebie.

Uścisnęli sobie ręce i Tom powiedział:

- Powiedz mi, jak załatwiliście Kahutę?

Generał przyglądał mu się przez dłuższą chwilę i myślał: Czemu nie? Wierzył Lawfordowi przez cały czas.

- Użyliśmy jednego z naszych lotniskowców. A teraz ruszaj, spóźnisz się na samolot.

Tom wszedł do wypełnionego hałasem budynku i ruszył za żołnierzami przez przewalający się tłum. Wiedział, że Dado ma rację, ale wspomnienie ukradzionych intymnych chwil z Eryką było niezatarte i jego znaczenia nie umniejszy ani czas, ani miejsce. I za to był wdzięczny.

Wyprostował się i rozchmurzył. Widział rekina i z jednym wyjątkiem spłacił długi co do grosza. Nadal winien był swojemu małżeństwu uczciwe rozwiązanie. Cóż, czas pokaże. Zawsze tak jest.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

Jak ciemne cienie, które wylaniają się z mgieł starożytności, ortodoksi kołysali się i śpiewali przed zalaną światłem Zachodnią Ścianą. Patrząc na nich, Dado zdał sobie nagle sprawę, że przepowiednia Avital spełniła się. W jakimś sensie uratował Święte Księgi przed ogniem. Atomowe słońce nie spadło na święte miejsca.

Ortodoksi będą modlić się o przyjście Eliasza. Arabowie będą klęczeć przy Kopule na Skale. Chrześcijanie będą szukać odkupienia w kościele Grobu Świętego. Jerozolima będzie trwać. A może to jest największa sztuczka Jahwe, pomyślał Dado.

Generał postawił kołnierz, chroniąc się przed wiatrem nocy, i poszedł w stronę połupanej pociskami Bramy Jafskiej. Jutro pojedzie do bazy lotniczej na pustyni i porozmawia z pilotem, który w Arawa widział lwa...